

SKRZYŃNIA PEŁNA DUSZ

Marcin Mortka



SON
imaginatio

Spis treści

Strony tytułowe

Mapy

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

Epilog

Strona redakcyjna

SKRZYŃNIA PEŁNA DUSZ



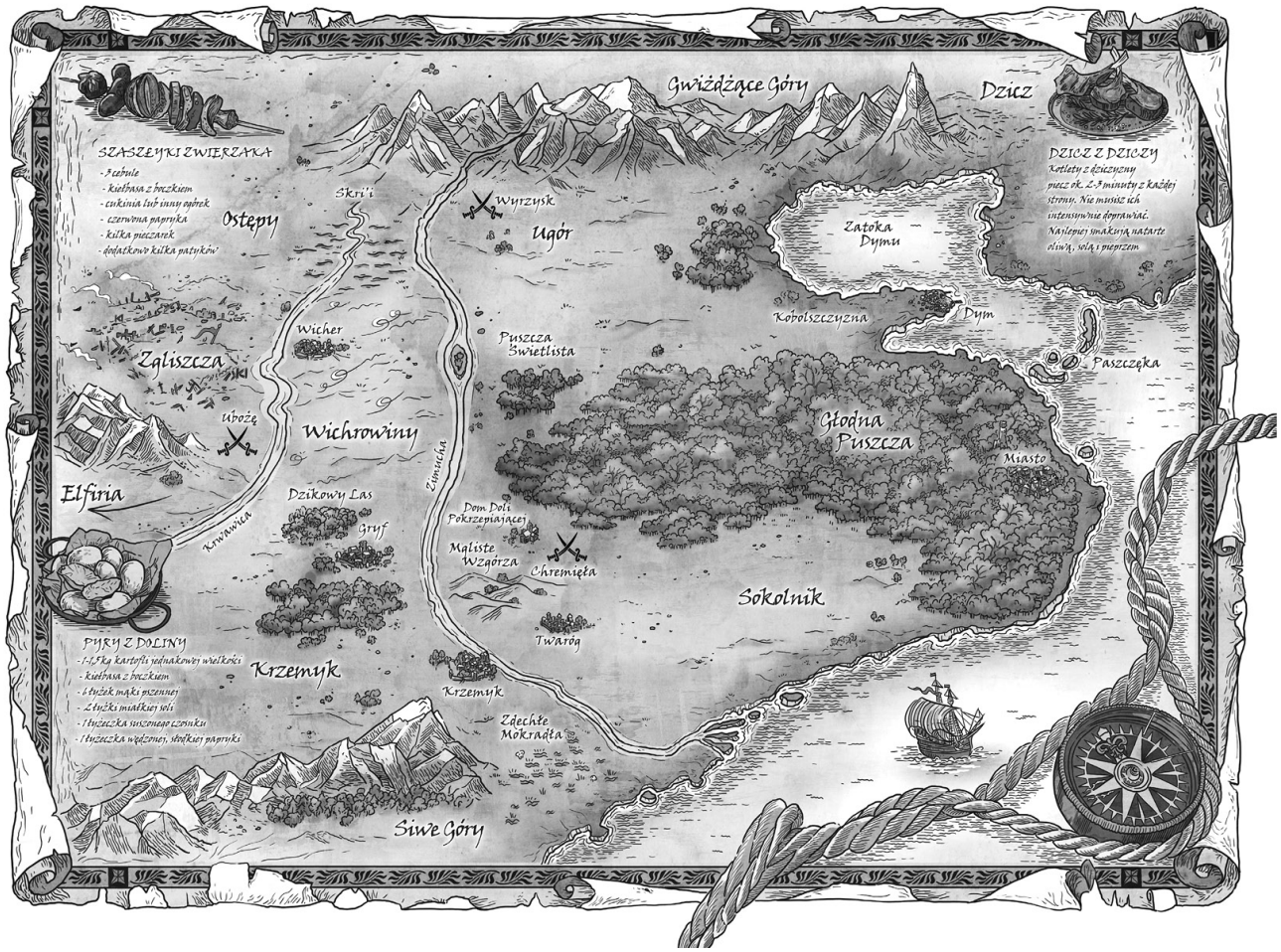
SKRZYŃNIA PEŁNA DUSZ

Marcin Mortka



Kraków 2022





SZASZĘTKI Z WIERZAKA

- kabanosie
- kiełbasa z pieczakiem
- ciukinia lub suszy opłonek
- czarna papryka
- kilka przecieków
- dodatkowy kawa naturoku

DZIEC Z DZICZY

Kotlety z dziczymy
piecz ok. 2-3 minuty z każdej
strony. Nie musisz ich
intensywnie doprawiać.
Następnie smażymy natarte
oliwą, solą i pieprzem.

PYRY Z DOLINY

- 1/4 kg kartofli jednakoży wielkości
- kiełbasa z pieczakiem
- 1 szklanka mąki pszennej
- 2 łyżeczki mielonej soli
- 1 szczypta suszonego czosnku
- 1 szczyпка wędzonej, słodkiej papryki

Elfina

Ostępy

Gwiżdżące Góry

Dzicz

Zaliszczka

Skrini

Wyrzysk

Ugor

Zatoka Dymu

Wichrowiny

Puszcza Światlista

Głódna Puszcza

Sokolnik

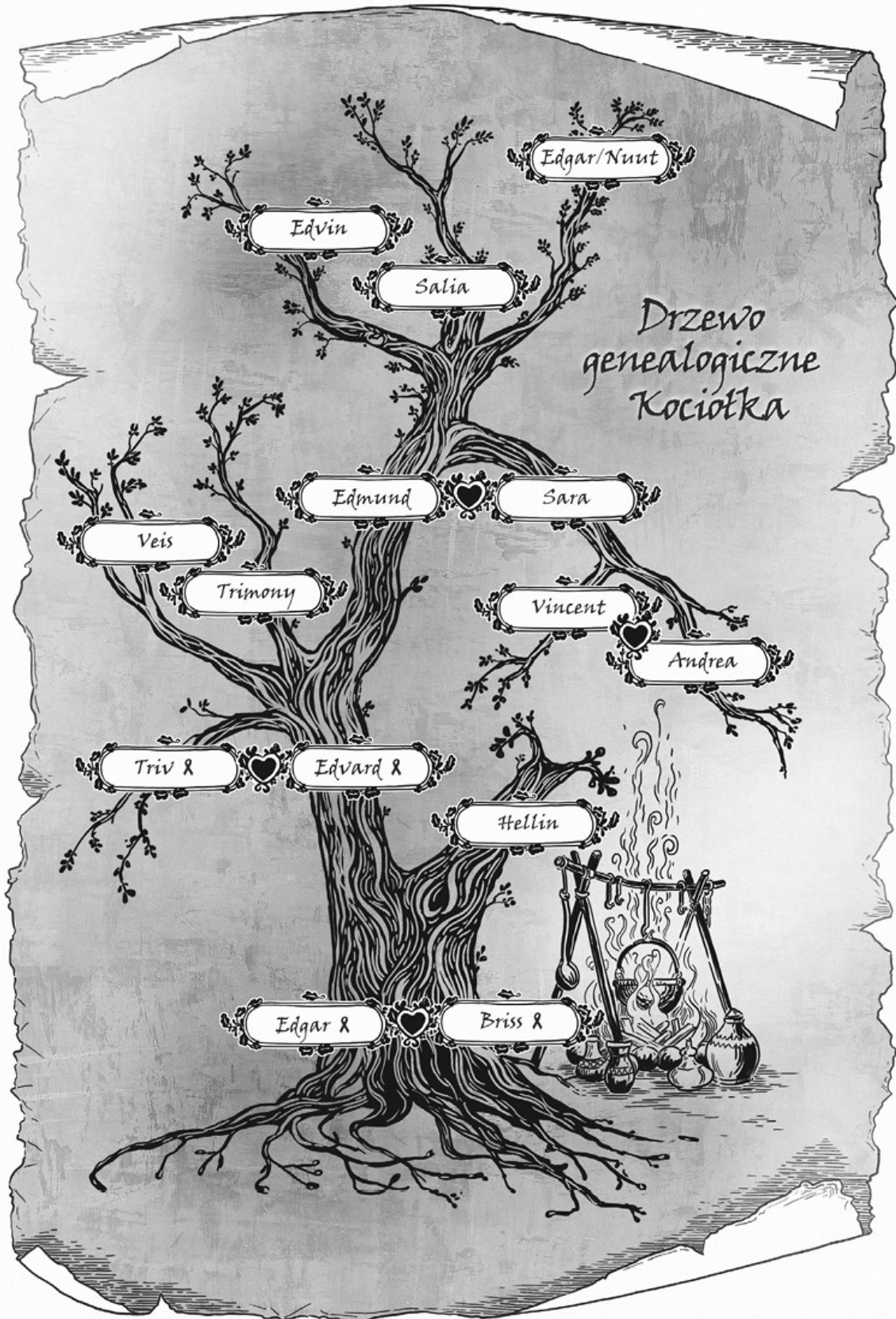
Krzemyk

Sive Góry

Paseczka







1

Nie mogłem zasnąć.

Nie należę do ludzi, którzy borykaliby się z takimi problemami, wręcz przeciwnie. Zazwyczaj zasypiałem natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki, co nieodmiennie irytowało Sarę, bo z miejsca zaczynałem wówczas gromko pochrapywać. Dzień miałem za sobą ciężki, jak zwykle zresztą, a więc spodziewałem się, że sen spadnie na mnie od razu.

Nic z tego!

Leżałem z szeroko otwartymi oczami i wpatrywałem się w ciemności kłębiące się pod powałą. Przez głowę przemykały mi rozmaite obrazy, nie układały się jednak w żadną logiczną całość. Salia nawlekająca ususzone owoce jarzębiny na nitkę. Nuut goniący rozchichotanego Zwierzaka. Żychłoń pochylony nad deską, w której mozolnie rzeźbił swoje znaki. Sara zagładająca do pieca chlebowego.

– Piec – mruknąłem. – Muszę przetkać komin. Albo nie, Zwierzaka wyślę.

– Edmund, śpij już – wymamrotała sennie Sara, a ja uświadomiłem sobie, że ostatnie słowa wypowiedziałem na głos.

– Nie mogę zasnąć – poskarżyłem się.

– Po prostu cicho bądź.

Westchnąłem ciężko i obróciłem się ku żonie. Objąłem ją ramieniem, a potem wsunąłem dłoń pod koszulę, by pogłodzić Sarę po plecach. Uwielbiałem jej kształty, ale plecy darzyłem szczególnym upodobaniem, być może dlatego, że nieraz dawała mi do zrozumienia, że to jedna z najwrażliwszych części jej ciała.

Cios łokcia prosto w żołądek błyskawicznie wybił mi z głowy myśli o amorach.

– Ej – stęknąłem zaskoczony.

– Muszę wstać rano – mruknęła Sara i na potwierdzenie swych słów dźgnęła mnie piętą w goleń.

No dobra. Nie tędy droga. Westchnąłem z udręką i obróciłem się na plecy, po czym znów wbiłem wzrok w ciemność. Wiatr za oknem powiał mocniej i żar w kominku się rozjarzył, przez co przelotnie ujrzałem belki sufitu. Gdzieś nad nami coś zachrobotało.

- Kuny – szepnąłem do siebie. – Pieprzone kuny.
- Co? – westchnęła sennie Sara.
- Mamy kuny na dachu. Znowu. Muszę poprosić Żychłonia o...
- To nie kuny, tylko Zwierzak.
- Zwierzak? – zdziwiłem się.
- Łazi po dachu od kilku dni. Gałęzie tam wciąga. Możesz już się zamknąć?
- To ty gadasz.

Znów mnie zdzieliła w goleń, tym razem celniej, a więc i boleśniej. Wiatr przybierał na sile, rozdmuchiwał żar, który mienił się z cichym sykiem. Jedna z okiennic stuknęła, po niej druga. I znowu.

- Miałeś naprawić te okiennice – mruknęła Sara.
- Naprawię je jutro – wymamrotałem stosowną formułkę.
- Jasne. I pewnie gont na szapie też ułożysz? I płotek wokół rabatki z sałatą nareperujesz?

- Czepiasz się.
- Proszę cię o to od miesiący. I cicho bądź, bo spać próbuję.

Chciałem przypomnieć Sarze, że to ona zaczęła, ale byłoby to proszeniem się o jeszcze jednego kopa. Znów wbiłem wzrok w powałę.

Po co Zwierzak łazi po dachu? – zastanawiałem się. I czemu w nocy? To przecież niebezpieczne. Jak się sturla na ziemię, to nawet Żychłoń go nie połata. Żychłoń zresztą przegina, bo ostatnio nie interesuje go nic poza ryciem tych znaczków w drewnie. Pogadać się z dziadem nie da... A Gramm zrobił taki bajzel wokół kuźni, że nawet półślepa Andrea to zauważyła. Jak tak dalej pójdzie, jeszcze któreś z dzieci się przewróci. A Nuut ciągle się tam bawi...

Któraś z okiennic znów zaterkotała. Zamarła na chwilę i ponownie zaczęła łomotać. Z ust Sary wyrwało się coś pomiędzy sennym westchnieniem a warknięciem. Wiatr przybierał na sile. W kominie wyło, a wśród okrucichów żaru pojawiły się nieśmiałe ogniki.

- Nienawidzę wiatru – wymamrotała Sara. – I nienawidzę...

Drugiego z obiektów jej nienawiści już nie poznałem, bo słowa mojej żony nagle się rozmyły, a potem zastąpiło je cichutkie chrapnięcie, z gatunku tych, które można było tylko uwielbiać. Leżałem nieruchomo jeszcze przez kilka minut, czekając, aż Sara zaśnie na dobre, a potem bezszelestnie wyślizgnąłem się spod koca.

Skoro nie mogłem zasnąć, równie dobrze mogłem jakoś ten czas spożytkować.

Zrobię pastę z grzybków i bobu! – pomyślałem. Albo jakiś smalec. Tylko...

Podłoga zaskrzypiała cichutko pod moimi stopami. Stąpałem ostrożnie, najdelikatniej, jak umiałem. Klamka, ku której wyciągnąłem już dłoń, była coraz bliżej. Wyraźnie widziałem ją w blasku żaru z kominka.

I wtedy trąciłem nogą cynowy nocnik.

Był pusty, ale na tym moje szczęście się kończyło, bo naczynie potoczyło się po podłodze z rumorem godnym opróżnianej taczki druciarza. Sara poderwała się z głuchym warknięciem, a ja pisnąłem i wykonałem sus ku drzwiom. W okamgnieniu, z sercem bijącym jak młot kowalski, znalazłem się na korytarzu, pospiesznie zatrzasałem drzwiami i na wszelki wypadek zablokowałem je własnymi plecami.

Ze środka dobiegały jeszcze jakieś wściekłe pomruki, ale Sara najwyraźniej nie miała ochoty mnie gonić. Odetchnąłem głęboko i zajrzałem do sypialni dzieci. Wyglądało na to, że hałas nie zbudził żadnego z nich. Podziękowałem w duchu Doli za ten przejaw łaski – rozbudzony Nuut z reguły darł się wniebogłosem i zasypiał co najmniej przez godzinę.

Zszedłem do izby gościnnej. Przy ogniu buchającym z kominka siedział tam Gramm i popijał piwo z wielkiego kufła.

– Też nie możesz zasnąć? – spytałem, sadowiąc się naprzeciwko niego.

– Nie wiem. – Krasnolud wzruszył ramionami. – Jeszcze dziś nie próbowałem. Chcesz piwa?

– Nie – burknąłem. – Sara potem narzeka, że śmierdzi mi z gęby.

– Bo śmierdzi – przyznał z powagą krasnolud. – Było się żenić?

W innych okolicznościach zapewne zacząłbym wymieniać liczne korzyści płynące z małżeństwa, ale teraz, mimo problemów z zaśnięciem, poczułem, że jestem zbyt znużony na prowadzenie zażartych dyskusji.

– Zmieniłem zdanie – powiedziałem. – Chcę piwa.

– To sobie nalej. W kuchni jest.

Począpałem do kuchni, gdzie odkryłem, że okiennice łomoczą jeszcze bardziej niż ta w sypialni. Wiatr najwyraźniej przybrał na sile.

Jesień, pomyślałem, napełniając kufel. Jednocześnie najlepsza i najgorsza pora roku.

Naprawdę lubiłem jesień. Zawsze czułem ulgę na widok żółknących i czerwieniejących liści, bo wiedziałem, że wreszcie kończą się susze i upały, a wraz z nimi wytężona praca w obejściu. Oczywiście wraz z nadejściem chłódów również czekał nas ogrom pracy, ale choćby samo przygotowywanie zapasów na zimę niosło obietnicę wspólnych wieczorów przy kominku, zajmującej opowieści i kufła korzennego piwa.

Rzecz jasna długotrwałe deszcze, które zamieniały drogi w topieliska, i wichury przyginające drzewa do ziemi skutecznie leczyły mnie z owego zachwytu.

– Cieszę się, żeśmy podjazd wybrukowali – powiedziałem po powrocie do Gramma. – Wstyd mnie ogarnia, gdy przypomnę sobie to bajoro z poprzedniego roku. Czeka nas natomiast sporo innej roboty. Słyszysz, jak okiennice klekocą?

Gramm spojrział na mnie spod przymrużonych powiek.

– Kociołek – odezwał się, a w jego głosie zabrzmiała groźba. – Chłopie, ty nie chcesz chyba przy kuflu o robocie rozmawiać, co?

– Nie chcę – przyznałem potulnie. Upiłem łyk piwa, odstawiłem naczynie i oparłem łokcie na kolanach. Zapatrzyłem się w płomienie. – Ale... o czym jeszcze można rozmawiać?

– Znalazłoby się parę tematów – mruknął Gramm. – Ale ty żonaty jesteś. A od tego się dziadzieje.

– Wcale nie – zaprotestowałem. Zgromiłem druha wzrokiem, na co ten parsknął śmiechem.

– Spójrz tylko na siebie, Kociołek – rzucił z rozbawieniem. – Kiedy wróciliśmy z Głodnej Puszczy? Miesiąc temu? Nie, z sześć tygodni będzie, a ty nie gadasz o niczym innym jak tylko o gospodarstwie. To trza naprawić, tamto przygotować, tam się co obluzowało... W środku nocy przysiadasz się do kompana, który walczył u twego boku ze Złym, i pierdzielisz o okiennicach?

– Co w tym złego? – obruszyłem się.

– Nic. – Gramm wzruszył szerokimi ramionami. – Serio. Doceniam to. Porządną karczmę prowadzisz, chłopie, o rodzinę dbasz, smakowitości gotujesz, zapasy gromadzisz. Wszystko w porządku. Poza tym, że dziadziejiesz.

Upiłem łyk piwa, znów wpatrzony w płomienie. Moje oburzenie szybko przygasło, bo w gruncie rzeczy nie mogłem ani nie powinienem protestować. Gramm miał rację – nie dość, że dziadziałem w szybkim tempie, to jeszcze poddawałem się temu procesowi całkowicie świadomie. Wszystkie te przyziemne czynności, jak robienie cydru, kiszenie kapusty, naprawianie dachu czy zwożenie z pola siana dla koni, odgradzały mnie bowiem coraz grubszym murem od wielkich wydarzeń w Dolinie. Dzięki nim wspomnienia naszych przygód w Głodnej Puszczy czy też książących intryg, w które zostaliśmy wplątani, blakły i w pewnym momencie przestawały przeszkadzać.

Nie byłem bohaterem. Cóż, potrafiłem bohatera naśladować, ale męczyło mnie to i mi przeszkadzało, tym bardziej że na ogół bohaterstwo łączyło się z rozłąką, bólem i ryzykiem. Nie miałem na to wszystko ochoty. Byłem karczmarzem i gospodarzem, a do tego mężem i ojcem. Uważałem swoje życie za kompletne i choć jakiś czas temu marzyłem, by wraz ze swoją drużyną do zadań specjalnych

niecóż dorobić do interesu, szybko się z tych pragnień wyleczyłem. Bardzo pomogło mi to, że Dolina była niewielką krainą, w związku z tym nasze poczynania prędzej czy później musiały zahaczyć o politykę.

Z układów z książętami i księżnymi nie mogło zaś wyniknąć nic dobrego.

– Jeśli gdzieś cię ciągnie, Gramm – powiedziałem po chwili – nie oglądaj się na mnie. Ruszaj w drogę. Tylko ogarnij ten bajzel wokół kuźni.

– Ciągnie mnie. – Krasnolud zamoczył wąsy w piwie. – Ciasno mi się tu zrobiło. Nie zrozum mnie źle, Kociołek – dodał pospiesznie. – Dobrze mi tutaj i ani myślę wracać do swoich w góry, ale niegłupio jest czasem spakować manatki i ruszyć w drogę całą drużyną, co nie?

Zarechotał głośno, ale ja odniosłem wrażenie, że jego śmiech jest jakby troszkę wymuszony, a w przymrużonych oczach błysnęła nadzieja.

Cóż, musiałem przyznać, że też to lubiłem. Wieczory przy ognisku, dowcipy rzucane w siodłach, kłótnie na rozstajach, piwo w przydrożnych knajpach... Tak, trudno było Grammowi odmówić racji, z drugiej strony wszystkie te wspólne wyprawy prowadziły nas najczęściej w tarapaty, za każdym razem poważniejsze. Ja natomiast miałem bardzo wiele do stracenia i naprawdę chciałem porzucić ten styl życia.

– Jesienią jest zawsze kupa roboty – powiedziałem, wpatrując się w ogień. – A zimą podróżowanie bywa mocno utrudnione. Myślałem, by na wiosnę pojechać na targ koni do Lipy...

– Czyli zdziażdżałeś do reszty. – Krasnolud westchnął.

– Pewnie tak, Gramm – zgodziłem się. – Wybacz, przyjacielu, ale być może masz rację. To, że o mały włos nie zginąłem z ręki Gwidona, mocno się przyczyniło do owego zdziażdżenia, a ja akurat wolę żyć. Ba, muszę. Nie chcę zostawić dzieciaków i Sary samych.

– Jasne, chłopie. – Krasnolud się wyprostował. – Szanuję to, naprawdę. Pewnie chlapnąłem ciut za dużo, ale to piwo jest mocniejsze od poprzedniego i...

– Ja nie jestem taki jak ty czy Urgo – ciągnąłem, niepomyślny na jego słowa. – Żaden ze mnie bohater, Majster. Ja chcę tylko zrobić swoje i wrócić jak najszybciej do Gryfa, a to, co się wydarzyło w Głodnej Puszczy, mną wstrząsnęło. Uwierzysz, jeśli ci powiem, że zacząłem się bać wiatru? Za każdym razem, gdy mocniej dmuchnie, wyobrażam sobie, że w pobliżu czai się horda trolli...

Wiatr znów zatrzęsł okiennicami. Po bruku dziedzińca coś się turlało ze stukotem.

Ktoś łomotał do bramy karczmy.

– Zaraza – westchnąłem. – Jeszcze Sarę obudzi.

Wedle niespisanego kodeksu karczmarzy, którego zasady wpoił mi ojciec, pod żadnym pozorem nie wolno było odprawiać gości spod bram, zwłaszcza podczas paskudnej pogody. To w zasadzie tłumaczy, dlaczego karczmarze uchodzą za ludzi gderliwych i wiecznie niezadowolonych – większość z nas ciągle chodzi niewyspana.

Upiłem jeszcze łyk, po czym się podniosłem, jedną ręką złapałem pochodnię, którą rozpałem od ognia w kominku, a drugą ująłem tęgą łagę, którą zawsze trzymałem za ladą. Narzuciwszy na ramiona ciężki płaszcz, wyszedłem na zewnątrz.

Wiatr atakował bezlitośnie, zrywając liście z drzew i przetaczając po podwórzu zapomnianą konewkę. Co chwila rozlegało się głuche pacnięcie, gdy z gałęzi jabłonki spadały ostatnie owoce. Po niebie gnały poszarpane chmury, zza których co rusz wyłaniał się księżyc w trzeciej kwarcie. Widziałem w jego blasku, jak drżą nasze wrota. Ten, kto w nie walił, najwyraźniej wkładał w to mnóstwo siły.

Zdałem sobie sprawę, że Gramm wyszedł w ślad za mną, i zrobiło mi się nieco różniej.

– No co?! – zawołał zadziornie krasnolud. – Nie pękaj, Kociołek. Chyba nie wzmówiłeś sobie, że do twojej karczmy zawitały trolle, co?

Skrzywiłem się pokazowo na znak, że nic takiego nawet nie przyszło mi do głowy, a potem wspiałem się na strażnicę, by spojrzeć z góry na nocnych gości.

I ujrzałem trolle.

Nie było ich aż tak wiele – ledwie siedem – ale to, że na ich czele stał Thuul, sprawiło, że serce podeszło mi do gardła.

Spoglądałem na ogromnego buntownika, który nie tak dawno temu chciał opuścić Głodną Puszcę na czele hordy krwiożerczych Wrzasklaków, a następnie podpalić Dolinę, tak jak ongiś uczynił to Vahan, poprzedni wielki wódz trolli. Na owładniętego żądzą sławy szaleńca, który wszedł w konszachty ze Złym i dał się omotać Gwidonowi, największemu mścicielowi, jakiego miałem nieszczęście poznać. Na brutalnego bandytę, który uznał, że wydanie wojny bezbronnemu światu ludzi to najlepsza metoda na nasycenie mroku we własnej duszy.

Ogarnęła mnie furia na myśl, że drań miał tupet stanąć u bram mojej karczmy. Że w ogóle zbliżył się do miejsca, gdzie spała moja rodzina i chronili się moi przyjaciele.

Panika w okamgnieniu przeobraziła się w gniew, zimny i mroczny.

– Thuul, tak? – wycedziłem, wspierając dłonie na drewnianym parapecie. – Czemu zawdzięczam tę wizytę? Czyżbyście uznali, że łomot, który spuściliśmy wam w Głodnej Puszczy, wymaga powtórki?

Thuul ze świstem nabrał tchu i zadarł olbrzymią głowę. Był potężny nawet jak na trolla – nagie ramiona wydawały się równie masywne co konary drzew, a pierś

niezniszczalna niczym kamienny słup – w jego przymrużonych, lekko skośnych oczach płonąła wściekłość. W blasku własnej pochodni szarpanej podmuchami wiatru widziałem jednak, że zaciska powieki i wstrzymuje powietrze, jakby dusił w sobie emocje. Potem rozłożył ramiona i pokazał mi puste dłonie.

– Prosimy o schronienie – zadudnił.

Szczerze powiedziawszy, gdyby zasypał mnie wyzwiskami i uderzył maczugą w bramę, poczułbym chyba coś na kształt ulgi, a na pewno wiedziałbym, co począć. Tymczasem jego prośba zaskoczyła mnie tak bardzo, że przez chwilę po prostu stałem z rozdziawionymi ustami.

– Kociołek – mruknął Gramm. – Spójrz no tylko na nich.

Prawe ramię Thuula było owinięte szmatą, brudną i być może zakrwawioną. Podobną owiazał nogę nad prawym kolaniem i teraz, gdy spojrzałem na niego uważniej, odniosłem wrażenie, że przeniósł ciężar ciała na lewą. Jeden z jego towarzyszy wspierał się na złamanej halabardzie, inny, ciężko dysząc – na towarzyszu z obandażowaną głową. Jeszcze inny siedział na ziemi, wpatrzony tępo we własne stopy grzęznące w błocku.

– Dostali łomot – szepnął krasnolud.

– I to ciężki – odpowiedziałem cicho. – Ciekawe, komu możemy za to podziękować.

– O gościnę prosimy – powtórzył Thuul.

Słyszałem go jedynie raz, gdy się wyklócał z Gwidonem na bagnach w sercu Głodnej Puszczy. Jego głos emanował wówczas dzikością i przekonaniem o własnej racji, a słowa kazały sądzić, że jest to osobnik piekielnie inteligentny. Nie zostało z tego nic – głos trolla, choć donośny, wydawał się pusty. Gdybym miał określić Thuula jednym słowem, powiedziałbym, że jest zgnębiony.

Upokorzony. Pobity.

– A cóż takiego się stało, że sam wielki Thuul, następca Vahana i przywódca Wrzasklaków z Głodnej Puszczy, przybywa, by prosić o gościnę? – spytałem z przekąsem. – Nie zwykłeś przypadkiem brać tego, na co masz ochotę?

– Jeśli prośba to za mało – wychrypiął troll – mów, czego chcesz.

I obejrzał się za siebie, na co któryś z jego towarzyszy zrobił to samo. A potem jeszcze jeden.

Nie przywidziało mi się. Trolle cechowała dalece solidniejsza budowa niż ludzi, a do tego nie miały szyj – głowy wyrastały im prosto z ramion, przez co, chcąc spojrzeć za siebie, troll musiał obrócić całe ciało.

Nie było więc wątpliwości. Coś je ścigało. Coś albo ktoś.

Jeszcze czego, przemknęło mi przez myśl.

– Wybacz! – zakrzyknąłem w noc. – Mam cię za wroga wszystkiego, co żyje, i gdybyśmy cię w porę nie powstrzymali, bandyto, paliłbyś ludzkie osady stąd do

Gwiżdżących Gór! W imię czego miałbym udzielić ci schronienia i narażać się twoim wrogom, których w zasadzie powinienem uważać za przyjaciół?

Troll mruknął coś boleściwie.

– Wpuść mnie, a ci wytłumaczę – odrzekł.

Nie wydawał mi się już przerażający. Był upokorzony i cierpiący, ale nie zmieniało to sytuacji. Pod żadnym pozorem nie mogłem go wpuścić, nawet jeśli ryzykowałem zszarganie swej karczmarzkiej reputacji.

– Nie ma mowy – powiedziałem. – Won stąd. Gramm! Wołaj chłopaków! Być może zaraz trzeba będzie kogoś przekonać, że gościna to przywilej, nie obowiązek.

Krasnolud zniknął w mroku, a ja jeszcze raz pochyliłem się ku nieproszonym gościom i zaczerpnąłem tchu, by dorzucić inwektyw, gdy troll siedzący na ziemi nagle się dźwignął i wyprostował. Był nieco drobniejszy od przywódcy i chyba młodszy, choć przez liczne bandaże odniosłem wrażenie, że jest dojrzałym osobnikiem.

– To był mój pomysł – odezwał się głosem, który nagle wydał mi się podejrzanie znajomy. – Wybacz, wujku, ale naprawdę nie mieliśmy się dokąd udać.

Po plecach spłynął mi zimny dreszcz.

– Olhar?

– Tak, to ja – powiedział młody troll znużonym głosem. – Nie chcę cię narażać na niebezpieczeństwo, wujku, ale...

– Zaraz – przerwałem mu. – Ty powiedziałaś „wujku”?

– Nooo... – Olhar uniósł głowę. – To taki zwyczaj mego ludu... Matka mówiła, że raz z tobą...

– Nie! – Chciałem wrzasnąć, ale głos mnie zawiódł. – Cisza! Ani słowa! Nie chcę tego słuchać.

– Dobrze, dobrze – rzekł skwapliwie Olhar. – Ale wpuść nas. Proszę cię. Na jedną noc.

Milczałem przez chwilę. Wiatr wył i maltretował płomień mojej pochodni. Thuul zaciskał pięści i pochylał łeb, a Olhar wpatrywał się we mnie błagalnie.

– W coś ty się wpakował, młody? – spytałem cicho.

Troll, o dziwo, usłyszał.

– Długa historia – odparł nieco drżącym głosem. – I to taka, z której nie jestem dumny. Zapewniam cię jednakże, wujku, że od wyjścia z Głodnej Puszczy nie zrobiłem nic złego. Absolutnie nic. Ani ja, ani nikt z moich towarzyszy.

Przez głowę przemknęło mi wspomnienie szerokich, zadbanych ulic Miasta, poważnych twarzy Kaiana, Yorlana i Aiany, szerokiego uśmiechu Pogorzałka oraz traktów wiodących przez Głodną Puszcę. I wówczas zrozumiałem, że losy

Doliny znów mnie dogoniły. Nie mogłem zatrzasnąć drzwi przed młodym Olharem, gdyż wówczas wielu z tych, których miałem za sojuszników lub przynajmniej niewrogów, mogłoby nagle przestać mnie darzyć sympatią. Moje życie splątało się z dziejami Doliny do tego stopnia, że nie mogłem się już kierować wyłącznie odruchami serca.

Powoli zszedłem na dół, rozpałem jeszcze kilka pochodni, a potem odryglowałem bramę. Pchnąłem oba skrzydła.

– Pierwszemu, który zrobi coś, co mi się nie spodoba, rozwalę łeb – powiedziałem cicho, waząc w dłoni okutą żelazem pałę. – Bez ostrzeżenia.

Przez ponurą twarz Thuula przemknął złowrogi grymas, mimo to troll burknął coś pod nosem na znak, że się zgadza, i skinął na resztę.

– Zaczekajcie na dziedzińcu – poleciłem. Sam stanąłem z boku, patrząc, jak poranione, poturbowane trolle wchodzą do środka.

– Jestem ci winien dozgonną wdzięczność – szepnął Olhar, który wszedł jako ostatni.

Nie skomentowałem jego słów. Spojrzałem raz jeszcze w ciemność, obawiając się, że lada chwila wychynie z niej coś, z czym trolle miały tak ciężką przeprawę, niczego jednak nie dostrzegłem. Słyszałem tylko dziki świst wiatru. Zamknąłem więc bramę i zaryglowałem ją staranniej niż zwykle, a potem odwróciłem się w stronę dziedzińca.

Siódemka trolli skupiła się na środku podwórza, rozglądając się dookoła i łypiąc dziko oczami. Przypomniało mi się, że Wrzasklaki, w większości popierający Thuula, nie przepadają za zdobyczami cywilizacji i preferują proste życie w kniei, ci tutaj mogli się więc poczuć nieswojo, ale nie zamierzałem im współczuć.

– Mam nadzieję, że zapamiętaliście sobie ostrzeżenie gospodarza – odezwał się nagle Gramm. Stał obok mnie w hełmie, wspierając dłonie na toporze, a w jego głosie pobrzmiwała złowieszcza nuta. – Gdybyście zamierzali je zlekceważyć, pomnijcie, bydlaki, że ja jestem Gramm, syn Triska, dowódcy kontyngentu krasnoludzkiego, który złożył wam omszałe dupska pod Chremięgą. Całe życie spędziłem w cieniu ojca i aż mnie łapy świerzbią, by mu spróbować dorównać.

Nie żartował. Równie poważnie wyglądał Urgo, który wyszedł z Gryfa tylnym wyjściem, bez zbroi, za to z tarczą i mieczem w dłoniach. Na skraju dachu siedział Zwierzak, który machał wesoło nogami i bawił się łukiem, a z cieni sadu wyłonił się Elich, kręcąc bolasem. Żychłoń, dzierżąc ciężki kij, zerkał na mnie ze zdziwieniem, ale w trolle wpatrywał się z nieprzejednaną niechęcią.

Staliśmy wokół niespodziewanych gości, mniej liczni od nich, drobniejsi i słabo uzbrojeni, ale twardzi, nieprzejednani, wzmocnieni świadomością, że

przecież znajdujemy się na własnym terenie. Trolle również to czuły i zerkały na nas niemalże płochliwie. Jeden Thuul usiłował nadrabiać miną, ale wtedy otworzyły się drzwi frontowe i w progu stanęła Sara.

Moja żona miała rozczochrane włosy i zapuchnięte od snu oczy, a na bielutką koszulę nocną narzuciła jedynie wełniany sweterek. Sama zaprzeczyłaby temu z zapalczywością, ale ja byłem całkowicie przeświadczony, że w tym stroju emanowała największą mocą. W każdej chwili mogła bowiem zarówno przynieść ukojenie płaczącemu z bólu dziecku i przegnać złowrogi koszmar, zaplanować cały tydzień aktywności dla kilkunastu osób, jak i przeobrazić się w demonicę seksu.

Teraz stała się nocną strażniczką.

Stała boso na progu, trzymając w jednej ręce latarnię, a w drugiej nagi miecz. Wyglądała niebywale przekonująco, wręcz niewzruszenie, a spojrzenie jej przymrużonych oczu kryło w sobie niewypowiedzianą groźbę.

– Zrzucić broń tam, w rogu – rozkazałem trollom i wskazałem łagą kąt obok wozu, którym zwoziliśmy siano i chrust. – Całą broń, łącznie z nożami. Ugościmy was tak, jak nakazuje tradycja, a wy wyniesiecie się skoro świt.

Thuul drgnął, jakby nagle strząsnął z siebie czar. Burknął coś w obcym narzeczu i zamaszystym ruchem odpiął pas z kilkoma ostrzami, czym dał sygnał pozostałym. Ja zaś w okamgnieniu znalazłem się przy Sarze.

– Wytłumaczysz mi to jakoś, prawda? – mruknęła, nie spuszczając wzroku z gości.

– Nie wiem – odparłem szczerze.

– Tak myślałam.

– Skąd masz mój miecz?

– Stał w schowku, między miotłami. – Sara zwróciła ku mnie zapuchnięte, lecz wciąż nieprzyzwoicie piękne niebieskie oczy. – Dziadziejesz, Edmund.

*

Olhar jadł pospiesznie, nie bacząc na to, że gorący gulasz parzy go w wargi. Nie marnował też czasu na ocieranie ust, co najlepiej świadczyło o tym, jak spędził kilka ostatnich dni. Siedzieliśmy z Sarą naprzeciwko niego, nie mówiąc ani słowa. Na sąsiedniej ławie Żychłoń oczyszczał ranę innego trolla, nie bawiąc się w przesadną delikatność, przez co ten raz po raz posykiwał z bólu. Dwa inne trolle spały na ławach pod oknem, a dwa pozostałe po cichu rozprawiły o czymś z Thuulem. Po sali ostentacyjnie przechadzał się Gramm, a Urgo i Eliah siedzieli przy drzwiach i nie spuszczaali wzroku z gości.

– Na Puszcę, ależ to było dobre – powiedział w końcu Olhar. – Mogę?

Wskazał kosz z chlebem, ale zdążyłem go w porę odsunąć.

– Najpierw mi opowiedz, co robisz z tym bandytą, młody – zażądałem twardo.

– To dłuższa historia, wujku – ostrzegł mnie troll.

– Wujku? – Sara uniosła brew.

– To taki... – Zakrztusiłem się. – To taki zwyczaj wśród trolli. Zwracają się tak do ludzi, którzy... Bo... Ponieważ...

– Okazujemy w ten sposób szacunek przyjacielom rodziny – powiedział gładko Olhar. Mogło mi się wydawać, ale chyba wywrócił przy tym oczami, co oznaczało, że najwyraźniej nie był taki głupi, za jakiego go miałem. – Wujek Edmund to dla nas niemalże melharr.

– Nie mać, młody – zniecierpliwilem się. – I opowiadaj, co cię łączy z tym gnojem.

– To naprawdę długa historia – zastrzegł Olhar.

– Nic dziwnego, skoro co chwila powtarzasz to samo – powiedziałem. – O ile dobrze kojarzę, banda Thuula została najpierw wystrychnięta na dudka przez Gwidona, a potem przetrzebiona przez nas na bagnach. Z tego, co mówił Pogorzałek, Ai... ekhm... twoja matka wyruszyła z Miasta, by rozprawić się z resztą Wrzasklaków, tak? I co poszło nie tak?

Młody troll wyraźnie się spieszył, ale czułem, że przyczyną wcale nie jest moje pytanie, tylko przenikliwy wzrok Sary. Odkaslnęła parokrotnie.

– Musiałbym wam najpierw opowiedzieć co nieco o honorze wojownika – zaczął. – Matce i radzie starszych nie zależało na rozlewie krwi. Dość naszych zginęło podczas Bitwy na Ulicach. Chcieli więc zaproponować Wrzasklakom honorowe poddanie się, ale wedle naszej tradycji mogłoby to nastąpić dopiero po śmierci Thuula. On sam nie miał najmniejszego zamiaru ginąć, a żaden z Wrzasklaków nie zdobyłby się na to, by podnieść na niego rękę. Mógł go więc zgładzić tylko któryś z Mówców czy Szeptunów, a to doprowadziłoby do bitwy, której matka chciała uniknąć. Obradowali przez kilka dni, aż wreszcie Thuul zaproponował, że odejdzie sam, zabierając jedynie garstkę stronników. Matka znów ostro zaprotestowała. Bała się, że Thuul zacznie napadać na wsie, a wtedy ludzie skierują swój gniew ku Miastu.

Kątem oka ujrzałem, jak Thuul wstaje i idzie ku nam. Gramm obrócił się, unosząc topór, ale zatrzymałem go gestem.

– To moja opowieść – burknął, siadając obok Olhara. – I ja ją dokończę. – Wbił wzrok w nieco zaskoczoną Sarę i powiedział: – Jedyнным rozwiązaniem było dołączenie do naszej grupy kogoś, kto będzie nam patrzył na ręce. Kogoś, kogo będziemy szanować na tyle, by nie poderżnąć mu gardła zaraz po opuszczeniu lasu. Młody Olhar okazał się godnym kandydatem.

– Aiana się zgodziła? – spytałem z niedowierzaniem.

– Olhar zgłosił się na ochotnika – odparł Thuul, obracając się ku mnie, a potem znów skupił uwagę na Sarze. – Aiana musiała się zgodzić. Gdyby zaprotestowała, podważyłaby jego wiarygodność i umiejętność decydowania o sobie.

– A ja zawsze chciałem zobaczyć świat – bąknął młodzieniec, czyszcząc miszkę palcem. Cofnął dłoń, gdy Sara trzepnęła go po niej po matczynemu.

– Coś mi mówi, że szybko tego pożałowałeś – powiedziałem.

– Dzień czy dwa po opuszczeniu Głodnej Puszczy – przyznał Olhar. – Opadła nas jakaś banda. Ludzie, ale liczniejsi od nas i nieźle uzbrojeni. Przebiliśmy się, ale...

Pokręcił głową. Siedzący obok Thuul zacisnął pięść, aż zachrząściło.

– Wielu z nich gorzko tego pożałowało – wysyczał, kierując spojrzenie na Sarę. – Ale straciłem kilku kamratów. A później... – Ze świstem wypuścił powietrze z nozdrzy i zgrzytnął zębami. – Pochodzimy z puszczy – burknął ponuro. – Gdybyśmy nadal walczyli wśród drzew, żaden z nich nie wróciłby do rodzinnej nory. Ale tu, na otwartej przestrzeni... Nie, to nie nasz żywioł. Często się gubimy.

Troll skupiał całą swą uwagę na Sarze, co dawało się logicznie wytłumaczyć – w ich społeczeństwie panował wszak matriarchat, a Thuul, całkiem zresztą słusznie, uznał moją żonę za najważniejszą osobę w izbie. Byłem natomiast pod wrażeniem spokoju, z jakim Sara znosiła tę rozmowę. Nie miałem wątpliwości, że nigdy wcześniej nawet nie widziała trolla, o rozmowie z którymś z nich nie wspominając, mimo to wytrzymywała ciężkie, mroczne spojrzenie Thuula, a na twarzy nie drgnął jej żaden mięsień. Widziałem, jak skubie skórki wokół paznokci, co było u niej wyrazem sporego poruszenia, ale jej dłonie kryły się pod blatem i troll nie mógł tego zauważyć.

– Kto was dopadł? – spytałem.

Thuul wzruszył potężnymi ramionami.

– Ludzie. Młody dobrze gadał. Liczni, dobrze uzbrojeni, nieźle kryci. Widać, że nie byle siurki. Rycerz z nimi jeden był. Czarnobrody, zły z gęby. Sprawnie wywijał żelazem.

– Nosił jakiś znak? – spytałem niby od niechcenia.

– Miał tarczę z czerwonym słońcem – odparł Olhar, również zwracając się do Sary, która pokiwała głową, choć niewiele jej to mówiło. – Po mojemu to on dowodził tą hałastrą.

– Czerwone słońce... – mruknąłem i wyteżyłem pamięć, by przypomnieć sobie wszystkich pasowanych, z którymi miałem wątpliwą przyjemność spotkać się podczas Waśni, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Ogień w kominku trząsał, któryś z trolli pochrapywał, Gramm z chrzęstem oręza usiadł na sąsiedniej ławie.

Gdzieś za nami rozległo się głucho stęknienie. Spojrzałem za siebie i ujrzałem Żychłonia, który wsadził palec w opatrywaną właśnie ranę i wyzywająco wpatrywał się w pobladłego, spoconego trolla.

– Tylko cicho, cichutko – wyszeptał guślarz. – Dzieci śpią, wiesz? Nie chcesz ich pobudzić.

Wrzasklak wpatrywał się w niego z żądzą mordu w oczach, mimo to ani pisnął.

– Nie wiem, co to za jeden – przyznałem. – Jesteście pewni, że nadal na was nastaje?

– Ściga nas od dwóch dni – odrzekł zniecierpliwiony Thuul. – Dwakroć się z nimi zwarliśmy i dwakroć żeśmy ich odparli, ale sił nam już brakuje. Gdyby nie młody Olhar i wasza gościna, pewno dawno by nas rozwłóczyli.

Widziałem, że ledwie panuje nad emocjami, i wcale mu się nie dziwiłem. Do niedawna był jeszcze wodzem powstania i spadkobiercą wodza legendy, a teraz stał się zwierzyną łowną.

Powoli wciągnąłem powietrze w płuca.

– Czyli ścigający są niedaleko? – spytałem głucho.

– Są – przyznał Thuul i umknął spojrzeniem w bok, jakby w pełni rozumiał ryzyko, jakie podejmowali ludzie przyjmujący go pod dach.

Milczałem przez chwilę, Sara również. Żychłon z młaśnięciem wyciągnął palec z rany trolla i wrócił do bandażowania.

– Dokąd zmierzacie? – spytałem w końcu.

– Ku Upiornym Szczytom. Tam ponoć jeszcze mieszkają nasi – odrzekł Thuul.

Przysłuchujący się tej rozmowie Gramm prychnął cicho, ale nie powiedział ani słowa.

– Prześpijcie się i odpocznijcie – powiedziałem, wstając. – Zostało jeszcze trochę chleba i gulaszu. Obudzę was na godzinę przed świtem.

Złapałem Sarę za rękę i ruszyłem ku schodom na piętro. Olhar i Thuul pożegnali ją pełnymi szacunku ukłonami.

– Koszmar – szepnęła Sara, gdy wchodziliśmy już na górę.

– Zgadza się – burknąłem. – Ale nie martw się. Zrobię wszystko, by sprawa rozeszła się po kościach. Nikt nie musi wiedzieć, że gościliśmy...

– Ja nie o tym – przerwała mi żona zniecierpliwionym tonem. – Ten Olhar... Edmund, czy nastolatki naprawdę są takie głupie? Jak sobie pomyślę, że Edwin kiedyś może odstawić podobny numer, to aż mnie ciarki przechodzą!

Była to ostatnia myśl, która przyszłaby mi do głowy, ale nie skomentowałem tego ani słowem. Nie chciałem, by Sara przejmowała się tym, co ja.

– Zaczekajcie! – zawołał ktoś za nami. Odwróciłem się i ujrzałem Urgo, który szedł szybko po trzeszczących schodach. – Nie chciałem tego mówić przy tych... – Zmełł słowo i zerknął za siebie. – Ale ja znam ten herb. Wiem, kto go nosi.

Blask kominka sprawiał, że nasze cienie nieustannie drżały. Oczy Urgo lśniły niepokojem.

– To herb rodziny Rosomaków – dodał ciszej. – Rycerskiego rodu, który służy księciu Rupertowi.

2

Z chwilą, gdy Thuul i jego towarzysze rozgościli się pod naszym dachem, wiatr znacznie przycichł i drzewa przestały się kołysać jak oszalałe, ale o tym, bym położył się do łóżka i choć spróbował zasnąć, nie było mowy. Odprowadziłem Sarę do sypialni, poczęstowałem ją kilkoma frazesami o tym, jak doskonale panuję nad sytuacją, usłyszałem, że śmierdzą piwem, i udałem się do kuchni, by nalać sobie jeszcze kufelek.

Rycerz księcia Ruperta.

Oczywiście mógł to być przypadek. Czy coś bowiem stało na przeszkodzie, by jakiś obrotny rycerz, który usłyszał pogłoski o duszach trolli i zamieszanu w Głodnej Puszczy, skrzyknął zbrojną bandę i zaczął się, by zapolować na Wrzasklaki?

– Nie oszukuj się, Edmund – jęknąłem, wbijając sobie pięści w czoło.

Trolle nie opuszczały Głodnej Puszczy od wielu lat i mieszkańcy Doliny zdążyli o nich zapomnieć. Jedynie książęta słyszeli o konflikcie między Wrzasklakami i Mówcami, ale nie znali wielu szczegółów i nie mogli z całą pewnością założyć, że w ogóle dojdzie do najazdu trolli. O samym Thuulu nie mieli pojęcia. Czy to możliwe, by ktoś był na tyle wtajemniczony w sytuację w Głodnej Puszczy, by zacząć się czaić na trolle?

Nie chciało mi się w to wierzyć, głównie dlatego, że doskonale pamiętałem treść listu Ruperta. Książę obiecywał mi sporo pieniędzy, jeśli doprowadzę do tego, że natarcie trolli pójdzie prosto na jego ziemie i zdążę go ostrzec zawczasu. Oczywiście miałem inne sprawy na głowie i książęcą propozycję z rozmysłem zignorowałem, a po powrocie do Gryfa wysłałem lakoniczny liścik z informacją o niepowodzeniu misji.

Liścik, który Rupert – co uświadomiłem sobie z nagłą zgrozą – mógł odebrać jako obrazę.

Książę Rupert, pan na Sokolniku, nie miał wielu powodów, by mnie lubić. Co prawda niegdyś uratowałem jego córeczkę Matyldę z łap bandziorów, co mogło mi zaskarbić jego dozonną wdzięczność, gdybym nie wymógł na księciu wypłaty pełnego wynagrodzenia. Rupert był bowiem najbardziej skąpym i fałszywym z wszystkich książąt rządzących Doliną i najprawdopodobniej święcie wierzył, że ludzie powinni narażać dla niego życie dla samej tylko pochwały. Wśród cech, które księżniczka Matylda odziedziczyła po ojcu, na pierwsze miejsce wysuwał się niepohamowany tupet, przez co nie miała co liczyć na szczególne względy w naszej drużynie i wspólna droga powrotna do Sokolnika kosztowała ją nieco godności. Wystarczyły te dwa powody, by podczas tajnego spotkania książąt w Gryfie Rupert odnosił się do mnie z nieskrywaną niechęcią, a teraz, gdy zawiodłem jego oczekiwania i w zasadzie zdrwiłem z niego w liście, zapewne uznał mnie za wroga.

Do tego dowiedział się, że Yanna ma do nas słabość, a Stefan darzy mnie niechętnym szacunkiem. Co będzie, jeśli doszedł do wniosku, że jestem wiernym sojusznikiem tej dwójki i dopieczę rodzeństwu, paląc mi karczmę?

Zacisnąłem powieki i pokręciłem głową, dopijając zawartość kufła. Oczyma wyobraźni widziałem orszak ponurych, zahartowanych zbrojnych, którzy zmierzali w kierunku Gryfa, prowadzeni przez bezwzględного zabójcę w rycerskim pasie. Wyglądało na to, że mam wrodzony talent do ściągania na siebie i moich bliskich katastrofalnych tarapatów.

W tej sytuacji pozostało do zrobienia już tylko jedno.

Upewniłem się, czy nikt nie podgląda, po czym zajrzałem po kryjomu do schowka na miotły. Wyciągnąłem kolczugę, hełm i pas z długim sztyletem. Wróciłem do izby gościnnej, przeszedłem ostrożnie między chrapiącymi trollami i potrzęsnałem za ramię drzemiącego na ławie Olhara. Troll otworzył oczy, a ja natychmiast przyłożyłem palec do ust.

– Skąd jada ci, którzy was gonią?

– Ze wschodu – wymamrotał młodzieniec. – Trochę ich odstawiliśmy, bo ich konie się nas boją.

– Trochę czyli ile?

– Nie wiem. Dwie mile, może trzy.

– W porządku. – Wyprostowałem się i klepnałem młodego trolla w ramię. Coś przyszło mi do głowy, więc znów się nad nim nachyliłem. – Ty, Olhar... – szepnąłem, spoglądając na Thuula śpiącego na podłodze kilka kroków dalej. – Czy on nadal ma przy sobie duszę Vahana?

– Co takiego? – Olhar wytrzeszczył oczy. – Wujku, co ty wygadujesz! Przecież...

Przerwałem mu gniewnym syknięciem.

– Czyli nic ci nie powiedział – mruknąłem. – No tak. Jeszcze wypaplałbyś mamie, a wtedy cały układ poszedłby w diabły. Cóż, młody, pozwól, że cię oświecę. Twój dowódca jest najprawdopodobniej w posiadaniu najpotężniejszego artefaktu waszego plemienia. Dobra, budź resztę. – Wyprostowałem się i dodałem głośniejszym głosem: – Za godzinę będzie świt. Bierzcie coś do żarcia i spieprzajcie stąd, pókim dobry. Zalecam pośpiech, bo moja teściowa zrywa się o brzasku, by śpiewać hymny ku czci Doli. Wierz mi, będziesz miał ochotę zalać sobie uszy gorącym woskiem.

Młodzian uśmiechnął się krzywo, podniósł się i przeciągnął. Gdy zauważył mój strój, spoważniał.

– Pójdziemy bez poganiania – burknął.

– Wiem. Ja już myślę o innym wyzwaniu.

– Jeśli nasze najście ściągnęło na ciebie jakieś kłopoty...

– Wy tylko uświadomiliście mi pewną rzecz – odparłem cicho. – W tarapaty wpakowałem się sam. Zwiewajcie stąd. Spróbuję zyskać dla was trochę czasu.

*

Upewniłem się, że cała siódemka trolli ruszyła na północ, pomachałem Olharowi, po czym wróciłem na dziedziniec, gdzie chłopaki szykowały się już do wyjścia. Urgo, trzymając nad głową pochodnię, po raz setny instruował Zwierzaka, jak się zakłada siodło, Gramm lżył swojego jelonka, który ignorował go z pozazdroszczenia godnym spokojem, Eliah przytraczał do siodła starannie zwinięte pęki lin, a Żychłoń ostrymi szarpnięciami sprawdzał pęta luzaka. Bez słowa wkroczyłem między nich i ująłem własnego konia za uzdę, a potem westchnąłem i odwróciłem się ku kompanom.

– Uwaga, zaczyna się – burknął Gramm.

– Cicho bądź, Majster – powiedziałem, po czym odkaszlnąłem. – Słuchajcie, zanim wyruszamy, muszę wam coś powiedzieć.

– Wiemy – wtrącił Żychłoń. – Zakładam, że będzie to coś w stylu: to nie jest wasza walka, przykro mi, że was narażam, i zostańcie w domu, tak?

Otworzyłem szeroko usta, ale w porę opanowałem zaskoczenie i oświadczyłem:

– Nie. To znaczy tak, ale... Słuchajcie, nie mogę tego pozostawić bez komentarza. Wyjeżdżamy przeciwko bandzie, która ściga Thuula i jego najlepszych siepaczy. Już samo to zakrawa na nonsens, a...

– Do tego momentu jestem skłonny się z tobą zgodzić – odezwał się, ku memu zdumieniu, Urgo. – Nie mam ochoty ginąć za żadnego trolla, chyba że taka

będzie wola Doli. To, że Thuula ściga któryś z Rosomaków, zmienia jednak sytuację.

– I to diametralnie, Kociołek – poparł go Gramm. – Razem ratowaliśmy jego smarkułę, wspólnie doświadczyliśmy jej wdzięczności i wszyscy dobrze pamiętamy, z jakim bólem jej stary wypłacił nam forszę. Nie zapomnieliśmy też, że wpadł później do Gryfa i wyjechał z cokolwiek kwaśną miną. Dobrze będzie tej łajzie przypomnieć, że nie oczekujemy wiele, ale trochę życzliwości to jednak mógłby nam okazać.

– I dobrze byłoby przypomnieć mu o tym jak najdalej od Gryfa – dodał Żychłóń. – Szkoda, by dzieciaki miały oglądać mordobicie.

Aż się wzdrygnąłem.

– Wolnego – powiedziałem cicho, ale stanowczo. – Nie wiem, co wyście sobie ubrdali, ale my nie jedziemy na wojnę.

– Masz rację. – Żychłóń uśmiechnął się paskudnie. – Wyjeżdżamy, by utrzyć nosa nadętemu rycerzykowi.

– By oddalić zagrożenie od domu, który stał się naszym własnym. – Urgo lekko się skłonił.

– By nieco rozprostować kości – mruknął Gramm.

W oczach Eliaha, które w ciemnościach jak zwykle wydawały się nieco większe i jaśniejsze, migotało coś na kształt rozbawienia.

– Gdzieś jedziemy? – szepnął Zwierzak do Urgo, rozglądając się dookoła, jakby się właśnie przebudził.

Nie było w tym nic nowego – nasz goblin na ogół orientował się we wszystkim jako ostatni, co nadrabiał unikalną wprost umiejętnością błyskawicznego dostosowywania się do sytuacji.

W tym, że moja drużyna potrafiła mnie zaskoczyć absolutną lojalnością, również nie było niczego nowego. Z trudem przełknąłem kulę rosnącą mi w gardle i powiedziałem:

– Tak czy owak, nie mam ochoty na szczególnie krwawe rozwiązania. Tych bandziorów jest zapewne więcej niż nas, a więc starcia, które marzą się Grammowi, z założenia odpadają. Posłużymy się strategią opracowaną przez Żychłonia.

Krasnolud wydawał się niepokieszony, za to stary guślarz uśmiechnął się jeszcze szerzej i z entuzjazmem pokiwał głową.

– Sprawa z księciem Rupertem jest zaś nieco bardziej złożona, niż sądzicie – dodałem. – I, niestety, nie byłaby tak skomplikowana, gdybym przemyślał treść pewnego listu, a więc mimo wszystko macie prawo ciosać mi kołki na głowie.

– Opowiesz nam o wszystkim po drodze. – Urgo oddał kuca Zwierzakowi, a sam wspiął się na siodło.

– Właśnie – mruknął Żychłóń. – I pospieszmy się, co? Mam za dnia sporo roboty.

Eliah, który wykorzystywał każdą okazję, by odwrócić się do nas plecami, już szedł ku bramie. Uśmiechnąłem się z przekąsem i wskoczyłem na grzbiet swego rumaka.

– Nieźle jak na dziada – ocenił Gramm.

Zerknąłem na okno, za którym – jak miałem nadzieję – spała Sara. Wkrótce potem wyjechaliśmy w noc.

*

Jesień, zwłaszcza o tej porze, prezentowała możliwie najgorsze ze swoich oblicz. Jechaliśmy wąskim traktem wśród kołyszących się drzew, w większości już nagich, a kopyta naszych wierzchowców to mlaskały w kontakcie z błotem, to znów rozchlapwały kałuże. W zimnym powietrzu unosił się zapach butwiejących liści, skądś dobiegało szczekanie psów, gdzieś pohukiwała sowa. Wokół naszych ust unosiły się blade kłęby pary.

Czasem nie mogłem wprost uwierzyć, jak bardzo zmieniała się nasza okolica po zapadnięciu zmroku. Las, który przemierzałem setki razy i znałem jak własną kieszeń, stawał się nieprzyjaznym, zimnym labiryntem, z którego co rusz dobiegały złowieszcze odgłosy. Co więcej, choć miałem za sobą piątkę najtwardszych drani, jakich widziała Dolina, perspektywa czekającego nas starcia również nie podnosiła mnie na duchu.

Zacząłem więc raz jeszcze analizować sytuację.

Każdy z nas znał prastarą historię o duszach trolli i wiedział, że kryje się w niej sporo prawdy. Rodacy Olhara byli jedynym spośród zamieszkujących Dolinę plemion, które dysponowało materialną formą duszy – czarną grudką zawierającą energię zmarłego, jego siłę i esencję osobowości. Zabiwszy trolla, można było duszę wyłuskać z jego ciała, a potem – o dziwo! – zjeść i w ten sposób przejąć drzemiące w niej moce.

– Wygląda na to, że księżę Rupert ma ochotę przejąć jak najwięcej dusz – odezwałem się bezwiednie do jadącego obok mnie Żychłonia.

– Wiem o tym. – Niskie burknięcie guślarza przebiło się przez stukot wielu kopyt.

– Wiem, że wiesz – zniecierpliwilem się. – Muszę sobie poukładać wszystko w głowie, a to wychodzi mi najlepiej, gdy mówię na głos.

– Dobra. No to gadaj.

– A więc Rupert dał mi to do zrozumienia w swoim liście, który z pełną świadomością olałem. Drużyna owego Rosomaka poluje natrolle z tego samego

względu i dlatego wolę, by nie dorwali Thuula, który poza tym, że stanowi cenną zdobycz, posiada duszę Vahana. O tym, po co cholerny Rupert zbiera dusze trolli, nie chcę nawet myśleć.

Urwałem na chwilę. Żychłóń milczał, a reszta drużyny, nawet jeśli ktokolwiek cokolwiek usłyszał, również się nie odzywała.

– Ale mam złe przeczucia. Może sukinsynowi marzy się zjednoczenie Doliny, co?

Aż się wzdrygnąłem na samą myśl. Jako kucharz i kwatermistrz spędziłem większość Waśni na tyłach armii księcia Stefana, co jednakże w pełni wystarczyło, bym zrozumiał bezsens wojny. W Dolinie nikt nie chciał być „jednoczony”, zwłaszcza jeśli miało się to odbywać wbrew jego woli. Wszyscy marzyliśmy wyłącznie o świętym spokoju i na samą myśl, że ktoś mógłby mieć na ten temat inne zdanie, ogarniała mnie wściekłość. W takich chwilach doskonale rozumiałem Żychłonia.

– W takim razie nasza wyprawa przestaje być wypadem rekreacyjnym, a nabiera charakteru strategicznego! – zawołał jadący za mną Gramm, który najwyraźniej wszystko usłyszał. – A w takiej sytuacji trzeba będzie grzmocić poważniej.

Tym razem nie zaprotestowałem.

– Tylko oszczędźcie rycerza – nieoczekiwanie wtrącił się Urgo.

Spojrzałem na niego z zaskoczeniem, a wraz ze mną Gramm i Żychłóń, na co Urgo wzruszył ramionami i bąknął:

– No wiecie. Nie można tak pasowanego tłuc jak zwykłego oprycha.

Nikt nie skomentował jego słów.

Dotarliśmy do nieodległej rzeczki, którą nazywaliśmy Bździawką. Nazwę wymyśliła Salia, ale była wówczas malutką dziewczynką i kompletnie nie umiała nam wytłumaczyć, skąd jej to przyszło do głowy. Nowa nazwa spodobała się nam bardzo i wnet nikt w Gryfie już nie pamiętał, jak rzeczka nazywała się naprawdę. Spędzaliśmy nad jej brzegiem mnóstwo czasu – dzieciaki pluskały się tu w letnie wieczory, Zwierzak łowił całkiem spore okonie, a Żychłóń eksperymentował ze swoim tajnym alfabetem.

Dziś zaś chcieliśmy tu zatrzymać Rosomaka.

Miejsce nadawało się do tego idealnie. Bździawka miejscami wdzierała się głęboko w las i tworzyła grząskie mokradła. Do tego ostatnio sporo padało i miejscowe bagniska stały się nie lada przeszkodą. Ktoś, kto zmierzał w stronę Gryfa, musiał przejechać po przerzuconym nad nią mostku, co zamierzaliśmy skwapliwie wykorzystać.

Księżyc był w trzeciej kwarcie, a więc mieliśmy dość światła, by się należycie przygotować. Zdjęliśmy z luzaka rzeczy, które przyszykował nam Żychłóń,

a potem przystąpiliśmy do przygotowania stanowisk obrony. Wnet wszystko było gotowe – Urgo odprowadził nasze wierzchowce w głąb lasu, na tyle jednak niedaleko, byśmy zdołali do nich dotrzeć, gdyby coś poszło nie tak, a Zwierzak i Eliah, najlepsi łucznicy w drużynie, zajęli stanowiska za kępami leszczyn. Ja zaś rozpałem ogień i zabrałem się do smażenia kiełbasek z cebulką.

Tak, wiedziałem, że ich zapach dotrze do bandy Rosomaka. Ba, na to właśnie liczyłem.

Zaczynało już szarzeć, a jesienny las wciąż milczał. Podjedliśmy i popiliśmy kiełbaski cienkim piwem, a ja nawet zacząłem się zastanawiać, czy zdążę wyszorować naczynia, gdy Eliah nagle znieruchomiał, a potem klepnął mnie w ramię i wskazał trakt. Zamarłem i po chwili nabrałem pewności, że przez cichy plusk wody przebiło się ciche prychnięcie konia i siarczyste przekleństwo.

– Jada – mruknął elf, a mnie serce zabiło mocniej.

– Na miejsca – rzuciłem.

Każdy z nas złapał broń i zajął pozycję. Las po naszej stronie Bździawki znieruchomiał i tylko ognisko, wciąż tłące się na poboczu drogi, stanowiło sygnał, że jeszcze niedawno ktoś tu obozował.

Z szarugi świtu wyłoniło się dwóch jeźdźców, a za nimi dwóch kolejnych. Dalej mrowili się następni.

– Chyba żeśmy komuś przeszkodzili w śniadaniu – burknął ten na czele, tęgi mocz z gęstą czarną brodą. Słowa skierowane były do jadącego obok rycerza z czerwonym słońcem na tarczy.

Niespodziewanie rozboleła mnie głowa. W sumie nie powinienem się dziwić – miałem za sobą nieprzespaną noc i zaskakującą wizytę, która zaowocowała wieloma godzinami przemyśleń – ale moment był co najmniej nieodpowiedni. Wiedziałem, że powinienem zachować pełną kontrolę nad tym, co robię i mówię.

– My już podjedliśmy! – zawołałem, ukryty w gęstych krzakach jałowca. – Jeśli sami macie ochotę coś przekąsić, proponuję poszukać szczęścia na waszym brzegu Bździa... rzeki!

– A to ci dopiero – oznajmił rycerz i ściągnął wodze.

Jego brodaty towarzysz uniósł rękę i jadący za nimi oddział się zatrzymał. Było ich kilkunastu, a paru nosiło bandażę. Mogłem się mylić, ale wydawało mi się, że kilku zeskoczyło z koni i oddaliło się w las. Cóż, byliśmy przygotowani i na to.

– A gdybym tak się uparł? – Rosomak ostentacyjnie zaplótł ramiona na piersi.

Był barczystym, siwiejącym mężczyzną o surowej twarzy, poznaczonej zmarszczkami tak głębokimi, że nie umiałem sobie wyobrazić na niej uśmiechu, a jego spojrzenie emanowało chłodem i niechęcią do całego świata. W twardych rysach twarzy, ledwie wyraźnych w szarudze świtu, dostrzegłem coś znajomego,

ale znajdował się zbyt daleko, bym mógł mieć pewność, a okoliczności nie sprzyjały bacznej obserwacji.

– Bo na ogół nie słucham tych, którzy wydzierają się na mnie z krzaków – dodał rycerz, wyciągając głowę, by spróbować coś dostrzec.

– Czyli uparty z pana człowiek, mości Rosomaku, a z upartością to różnie bywa! – krzyknąłem, walcząc z odruchem uciśnięcia skroni dłońmi. – Są tacy, którzy jej później żałują!

Klepnąłem siedzącego obok Żychłonia, a ten świsnął jak lelek kozodój. Bzyknęła strzała i wbiła się w drzewo tuż obok rycerza, który nawet nie drgnął, w przeciwieństwie do czarnobrodego draba: ten błyskawicznie uniósł tarczę i cofnął konia. Ja zaś, mimo bólu, nie zdołałem opanować zaskoczenia.

Tyle już razy oglądałem strzeleckie popisy Eliaha i Zwierzaka, że potrafiłem odróżnić ich strzały zarówno po kształcie, jak i po torze lotu. Teraz nie miałem wątpliwości, że własną wypuścił jedynie Zwierzak, a przecież nie tak się umawialiśmy.

Wystrzelić mieli obaj.

Co tam się dzieje?

Eliah był wśród nas od lat i zdołaliśmy się przyzwyczaić, że on do nas nie przyzwyczai się nigdy. Zawsze siadał na uboczu, jechał w oddaleniu od reszty i z rzadka brał udział w rozmowach, o wspólnych wygłupach nawet nie mówiąc. Na każdym kroku podkreślał swym zachowaniem, że nic go z nami nie wiąże i lada moment zniknie na zawsze, ale jakoś nigdy do tego nie doszło, a podczas akcji bojowej nie zawiódł nigdy. Ba, powiedziałbym nawet, że dopiero wtedy dawał do zrozumienia, że doskonale rozumie łączącą nas więź, co przy innych okazjach skrzętnie ukrywał.

Ale przecież przykazałem mu wyraźnie, by wypuścił strzałę w tej samej chwili co Zwierzak. Co poszło nie tak?

– W innych okolicznościach uznałbym, że chcesz mi coś przekazać, człowieku z krzaków – oznajmił nieporuszony rycerz. – W tej sytuacji jednakże uznam to po prostu za skrajną nieuprzejmość.

– Rozumiem, że zapach kiełbasek na cebulce może odebrać komuś humor, ale nie obrażajcie się, mości Rosomaku! – Ból głowy, przybierający na sile, uwolnił we mnie sporo niebezpiecznego jadu. – Przecież ludzie patrzą. Skupmy się na owym przekazie.

– W dupie mam... – zaczął rycerz, ale nie pozwoliłem sobie przerwać.

– Jest on jasny i klarowny, mości Rosomaku. Z ramienia księcia Ruperta wiedziesz ekspedycję wojenną przez ziemie księcia Stefana, co stanowi pogwałcenie obowiązującego prawa!

– Będziesz mi tu wykłady robił? – Rycerz oparł dłoń na rękojeści miecza, co w przypadku ludzi jego pokroju było dość naturalną reakcją na przejaw supremacji intelektualnej.

– Nie mam takiego zamiaru. To już sobie książęta obgadają między sobą i potem wnioski wyciągną. Ciekaw jestem tylko, czy Rupert wie, że kłusujesz na obcym terytorium, mości Rosomaku? Jeden z moich ludzi już pognął do Wichru, by złożyć odpowiedni meldunek.

– Tylko tędy przejeżdżamy, w prywatnej sprawie! – Na pobrużdżoną twarz rycerza wypłynęły ciemne rumieńce gniewu.

– Czyjej to? Waszej? Przecież każdy wie, że ród Rosomaków służy księciu Rupertowi na Sokolniku! Cóż więc za prywatną sprawę możesz mieć, mości Rosomaku, na ziemiach Stefanowych, co? Zwłaszcza że zapuściłeś się tu na czele bandy najemnych. Rejza wam się marzy? Rabunek? A może wendetta?

– Gównu ci do tego, krzakomówco! – warknął rycerz. – Wypuść jeszcze jedną strzałę, a wyciągnę ją z miejsca, w które trafi, i wbiję ci ją w dupsko!

– Zaraz! – wtrącił nagle ciemnobrody osiłek. – Wolnego, panie rycerz. Bo w moim kontrakcie napisane stoi...

Ból przybrał na sile do tego stopnia, że ledwie rozumiałem pojedyncze słowa, ale ich ogólny przekaz był czytelny.

– W dupę sobie wsadź swój kontrakt! – ryknął rycerz, tracąc resztki opanowania. – I lepiej się z tym pospiesz, jeśli nie chcesz, bym sam to zrobił, pomagając sobie kijaszkiem! Ja mam swoje rozkazy i nie będziesz mi się tu stawiał! Naprzód, zaraza! Ten, który ciśnie mi krzakomówcę do nóg, zarobi dodatkową złotą monetę!

– Ja bym jeszcze... – odezwał się ciemnobrody, ale dwóch spośród jego podwładnych, widocznie skuszonych wizją rychłego bogactwa, popędziło konie. Mostek zadudnił pod ich kopytami, rozbrzmiały dzikie okrzyki.

– No, zapraszam – mruknął klęczący tuż obok mnie Żychłóń, co przez dudnienie w skroniach ledwie usłyszałem.

– Uwaga! – wybełkotałem. – Trzeba... Trzeba...

Nie dokończyłem, ale moi przyjaciele na szczęście doskonale wiedzieli, co należy zrobić – tę operację obmyślił bowiem Żychłóń i zdołał już ją z nami kilkakrotnie przećwiczyć na łące za ulami Eliaha. Nasza początkowa niechęć wobec nowej doktryny wojennej malała, w miarę jak przybywało nam guzów i stłuczeń, aż w końcu przerodziła się w absolutny zachwyty.

Zgodnie z oczekiwaniami oba konie zatrzymały się niemalże jednocześnie. Wryły kopyta w błoto, zarżały donośnie i wierzgnęły, strącając jeźdźców.

– Lejemy? – spytał z nadzieją Gramm.

– Jeszcze nie! – wycharczałem.

Ból głowy był tak potężny, że na skraju pola widzenia migotały mi gwiazdy, ale zachowałem resztki zdrowego rozsądku. Ten zaś mi podpowiadał, że to drobne niepowodzenie nie powstrzyma Rosomaka. Jego wrzask zdawał się dochodzić z wielkiej dali.

– A masz, Jaźwiec, jakichś ludzi, którzy potrafią jeździć konno?! – darł się rycerz. – Ruszaj, spuść łomot tym wieśniakom, pókim jeszcze dobry!

Miałem wrażenie, że dowódca oddziału nazwany Jaźwcem znów próbuje protestować, ale wówczas Rosomak wyciągnął miecz i smagnął jego konia płazem po zadzie. Most znów zadygotał od szarży kilku jeźdźców.

I wtedy wydarzyło się coś, co kazało mi o nich na chwilę zapomnieć.

Tuż przede mną wyrósł Eliah.

Elf był blady, a jego wytrzeszczone oczy przydawały mu wyglądu leśnego upiora. Pulsowało w nich szaleństwo przemieszane z grozą.

– Co ty tu... – bełkotałem. – Ty powinieneś...

Eliah smagnął mnie z otwartej dłoni w policzek, aż się zatoczyłem, a potem przysiadł i obejrzał się ku leśnej głuszy, wciąż spowitej mrokiem.

– Ocknij się – syknął. – Złe nadciąga.

Podczas wędrówki przez Głodną Puszcę elf dowiódł nie raz i nie dwa, że dysponuje osobliwym zmysłem, pozwalającym mu niejako rozumieć las. Na ogół umiejętność ta przydawała mu się głównie do wyszukiwania odpowiednich szlaków i omijania niedogodności, ale teraz najwidoczniej pomogła mu odkryć poważne zagrożenie.

Bardzo poważne.

Ból głowy ustąpił równie gwałtownie, jak się pojawił. Wciągnąłem łapczywie powietrze w płuca i w tej samej chwili usłyszałem przeraźliwe rzenie koni oraz przekleństwa spadających w błoto jeźdźców. Któryś wrzeszczał z bólu, Rosomak na drugim brzegu miotał wściekle przekleństwa, Gramm dopytywał się głośno, czy już nadeszła pora na walenie po gębach. Mimo tego harmidru usłyszałem dzikie, chrapliwe ujadanie, które nadciągało od południa, wzdłuż naszego brzegu Bździawki.

– Złe! – zawołałem. – Żychłóń, słyszysz?

– No to się porobiło... – stęknął pobladły guślarz. – Łapcie dechy! Szybciej!

Na oczach zaskoczonych ludzi Jaźwca, przeklinających, gramolących się z błota i posykujących z bólu, wyskakiwaliśmy z ukrycia i podnosiliśmy przemyślnie rozłożone deski z wygrawerowanymi symbolami. Któryś z najemników próbował nas zatrzymać, ale zrezygnował, celnie kopnięty przez Zwierzaka, inny, skryty między drzewami na drugim brzegu, posłał nam strzałę, na szczęście niecelną, Rosomak nadal się wydzierał, ale nikt go już nie słuchał.

Bo piekielne ujadanie robiło się coraz głośniejsze i konie wojaków Jaźwca, które zdołały strząsnąć jeźdźców, już umykały w las z przeraźliwym rzeniem, a oni sami nagle zapomnieli o nas i rozglądali się z przestachem i niepewnością.

– Tutaj ułóż! – darł się Żychłoń. – I tu! Pospiesz się, Uργο!

Deski jedna po drugiej lądowały na mchu, aż utworzyły nierówny półkrąg, a my skupiliśmy się za nim. Zwierzak i Eliah naciągnęli łuki, Gramm splunął w dłonie i ujął topór, skupiony Żychłoń zaciskał dłonie na kiju, a Uργο, wokół którego utworzyła się poświata, zastygł z mieczem wzniesionym do ciosu.

– Ej, wy! – krzyknął ktoś za nami. Po głosie poznałem Jaźwca. – Można wiedzieć, co tu się dzieje?

Piekielnie ujadanie narastało. Miałem wrażenie, że dostrzegam jakieś kształty, sunące ku nam przez jaśniejącą szarówkę świtu.

– Łap za broń! – zawołałem, nie odwracając się. – I twoim chłopakom też to radzę! Zaraz robi się tu gorąco!

– Są blisko! – krzyknął Eliah.

Wypuścił strzałę, a Zwierzak tuż po nim. Rozległ się rozdzierający skowyt, a wśród mgieł coś się przetoczyło. Ujadanie się wzmogło, a potem nadciągające postacie zaczęły nabierać wyrazistości.

Stworzenia przypominały psy bądź wilki, z tą różnicą, że były znacznie od nich wyższe oraz smuklejsze. Dzięki długim kończynom potrafiły się zapewne rozpędzić do niepojętej wprost prędkości, co źle wróżyło ich przeciwnikom. Fakt, że przy każdym szczeknięciu odsłaniały grube ostre kły, również. Widziałem też masywne kolce rosnące wzdłuż grzbietu aż po ogon.

Mieliśmy przerąbane.

A w zasadzie mielibyśmy, gdyby nie Żychłoń i jego wynalazki.

Zwierzak zdołał wpakować strzałę w rozwartą pysk któregoś z nadciągających ogarów; ten zaskamlał i przekoziółkował po mchu, by już nigdy się nie podnieść, a Eliah trafił innego prosto w ślepię. Na kolejne napięcie łuków nie starczyło już czasu. Elf złapał za bolas, a goblin pochwycił tarczę i miecz.

– Cofnąć się! – ryknął Żychłoń. – Za szybko pędzą, juchy!

Każdy z nas odruchowo wykonał kilka kroków do tyłu, nie spuszczać wzroku z nadciągających ogarów, a potem...

Cóż, potem się zaczęło.

Ogary, podobnie jak ludzie Jaźwca, nie miały pojęcia o pułapce zastawionej przez naszego guślarza. Dzięki magicznym znakom wrytym na deskach każdy, kto próbował przez nie przestąpić, tracił równowagę i potykał się, dzięki czemu przez kilka sekund stawał się całkowicie bezbronny. Pierwszy z ogarów zwinął się w locie niczym nakłuty szpilką robak, a wtedy przypadł do niego Gramm, który wykonał piruet i rozrąbał go toporem. Kontynuując niemalże taneczny

wypad, krasnolud ciął z dołu i rozchłastał pysk innemu. Kolejny potknął się i przetoczył po ziemi tuż pod nogi Urgo, który płynnie przyklęknął i wbił dolną krawędź trójkątnej tarczy w gardziel bestii, a potem poderwał się, by rozciąć cielsko kolejnej. Następną w locie spętał bolas Eliaha, po czym Żychłłoń rozwalił jej czaszkę celnym ciosem kija.

Ja zaś w przypiływie nadziei uświadomiłem sobie, że oszałamiająca prędkość ogarów, która w innej sytuacji dałaby im druzgocącą przewagę, w tym przypadku staje się ich słabością. Upiorne psiska wpadały na naszą magiczną przeszkodę niemalże jedno po drugim i nie miały możliwości zorientować się w sytuacji i dokonać odwrotu. Potykały się, przewracały się, nurzały pyskami w błocie, a my cięliśmy i rąbaliśmy bez wytchnienia.

Któryś z ogarów przetoczył się po ziemi, ale zaparł w porę patykowatymi łapami, poderwał się i wyskoczył. Zasłoniłem się tarczą, a wyryte na niej glyfy skupiły uwagę potwora na chwilę wystarczająco długą, bym zdołał wyprowadzić cios mieczem. Uderzyłem mocno i z ponurą satysfakcją powitałem zgrzyt stali o kości. Wyszarpnąłem miecz, odruchowo cofnąłem się o krok, a wtedy dostrzegłem coś, co zmroziło mi krew w żyłach.

Jak woda, która opływa gład na środku potoku, strumień nacierających ogarów zaczął się rozstępować. Widziałem, jak któryś z nich sady wielkimi susami, szykując się do ataku z prawej strony.

– Urgo! – zawołałem do rycerza jaśniejącego aurą Doli. – Prawa flank! Zwierzak, za mną!

W środku zamętu bitewnego goblin wykazywał się o wiele większym refleksem niż poza nim. Zaczekał, aż ogar skieruje uwagę na mnie, a potem cisnął nożem, który utkwiał w boku bestii aż po rękojeść. Uskoczyłem w bok i na wszelki wypadek rozrąbałem potworowi pysk.

Potem zauważyłem dwa kolejne.

Jak na komendę zasłoniliśmy się tarczami. Znów podziękowałem w myślach Żychłłoniowi i jego glifom – ogar, który zmierzał na mnie, wyraźnie zwolnił, ale ten, który obrał sobie na cel Zwierzaka, przyspieszył. Goblin uskoczył i ciął mieczem, ale chybił, a ogar przemknął obok niego. Ze zgrozą uświadomiłem sobie, że wróg wnika w sam środek naszych umocnień, a wyobrażenia podsunęła mi widok masywnych kłów zaciśniętych na szyi Żychłłonia czy Eliaha.

Wykonałem niemalże odruchowy półobrót i chlasnąłem wysoko, ścinając ogarowi garść kolców z grzbietu, co najwyraźniej okazało się dlań zaskakująco bolesne. Zaskowytał i kłapnął zębiskami, ale odruchowo zasłoniłem się tarczą i kły ześlizgnęły się po rytym przez Żychłłonia drewnie. Drugim cięciem odrąbałem potworowi łapę, a trzecim pchnąłem go w pierś. Zaryzykowałem spojrzenie za siebie – w samą porę, by ujrzeć, jak prześlizgujący się ogar toczy

się po ziemi ze strzałą sterczącą z gardzieli. Zwierzak błyskawicznie wbił mu miecz w brzuch i spojrzał tam, gdzie ja.

Jaźwiec już nakładał strzałę na cięciwę.

– Jakieś wyjaśnienie tego bajzlu, jak rozumiem, istnieje? – warknął.

– Istnieje – przytaknąłem zdyszany. – Koniecznie teraz?

– Niekoniecznie – mruknął czarnobrody i wypuścił kolejną strzałę. – Załatwmy najpierw to plugastwo! Naprzód, chłopaki!

*

Walka nie trwała już długo, co świadczyło o tym, że ogary zdołały jednak ocenić sytuację i zorientowały się, że przeciwnikowi przybywa sił. Ich szczekanie nagle przeszło w alarmujący, przeraźliwy ton, po czym jeden po drugim zaczęły zawracać. Ścigane wieloma strzałami, w tym również tymi z drugiego brzegu Bździawki, umykały w poranną mgłę, gdzie ich szczekanie powoli nikło. Na zrytej, skrwawionej ziemi zastygło dwadzieścia kilka groteskowo wykrzywionych ciał.

– Zwierzak – wycharczałem, wspierając się na mieczu. – Od tej pory żadnego łowienia ryb w Bździawce.

– Żadnego – powtórzył zdyszany goblin. – A raków?

– Też nie.

– A czy teraz możesz mi powiedzieć – odezwał się czarnobrody osiłek, który szedł ku mnie szybkim krokiem – co to właściwie było?

– Mnie osobiście wystarczy, że „było” – oświadczył Gramm, wsparty na toporze.

Jaźwiec wytarł miecz o kępę trawy i spojrzał na krasnoluda, nie kryjąc niechętnego podziwu. Z pewnością widział Gramma podczas walki.

– Ja jednakże jestem bardziej dociekliwy od mości rębajły – oznajmił.

– Złe – powiedziałem i trąciłem najbliższego ogara stopą. Wypatroszony sztyletem Eliaha, wydawał się teraz bezwładny niczym pacynka i równie niegroźny, ale coś mi mówiło, że obrazy sprzed kilku chwil pozostaną ze mną na zawsze. Bezwiednie potarłem skroń. – Wystarczy ci takie wyjaśnienie? Innego, obawiam się, nie ma.

– Wystarczy – rzekł Jaźwiec. – Złe, powiadasz – dodał, wpatrując się w rozwłózione tu i tam zwłoki. – Ludzie gadają, że w Dymie też się objawiło. I w Głodnej Puszczy.

– Ano gadają.

– No, tośmy się nacieszyli spokojem w Dolinie. W mig by nas te piździajstwa pokonały, gdyby nie wy – ciągnął podkomendny Rosomaka. W jego oczach

pojawił się nowy błysk, gdy wsunął miecz do pochwy i wyciągnął rękę. – Jaźwiec jestem.

– A ja Edmund. Kociołek mi mówią – powiedziałem i uścisnąłem mu dłoń. – A to moi przyjaciele.

Urgo skinął mu głową, Gramm uniósł dłoń, Zwierzak od niechcienia wymamrotał coś pod nosem, a Żychłoń, zajęty oglądaniem swoich desek, nawet się nie obejrzał. Eliaha, oczywiście, już nie było.

– Odważni z was ludzie – stwierdził Jaźwiec, a jego towarzysze, zbierający się za jego plecami, pokiwali głowami. – Najpierw nas żeście zatrzymali, potem onych... – Machnął ręką w stronę trupów ogarów. – Dobrze, żeśmy sobie nawzajem do gardeł nie skoczyli. Te dechy – zmienił nagle temat – to gdzieś można kupić?

– Mógłbym jedną odstąpić – powiedziałem. Żychłoń w okamgnieniu uniósł głowę, ale zgasił go ostrym spojrzeniem. – Jednakże za parę informacji. Muszę wiedzieć, dla kogo pracujecie i po co.

– Cóż, to akurat mogę zdradzić. – Jaźwiec wzruszył potężnymi ramionami. – Bo mości Rosomak, który był nas wynajął, ulotnił się na początku starcia i jakoś nie wraca, a więc mamy chwilę spokoju. A ubrdało się naszemu pasowanemu dobrodziejowi, żeby ubić parę trolli. Trochę strach był, bo to wielkie bydlaki, ale gubią się na otwartej przestrzeni i łatwo drani osaczyć. Sześciu żeśmy położyli, a wówczas Rosomak rozcinał im szyje i coś tam wygrzebywał. Rzygać się chciało, jak człowiek na to patrzył. Szypuła – machnął ręką w stronę jednego ze swoich ludzi – gada, że dusze im wydłubywał, ale przecie to bajki ino. No nie?

– Pewnie tak – powiedziałem i przełknąłem ślinę. – Czyli sześć ich miał, tak?

– Więcej – odparł Jaźwiec. – Bo wcześniej kupił parę od kłobuków z Głodnej Puszczy. Od nich też się dowiedzieliśmy o tych trollach, które uciekły z Puszczy, no i zaczęła się cała wyprawa.

– Aha – powiedziałem, a moje domysły zaczęły się krystalizować. – Jeszcze jedno tylko muszę wiedzieć... Komu służył ów Rosomak?

– Tego nam nie powiedział, ale raz popił wieczorem i przechwalał się wówczas, jaki to posłuch ma u księcia Ruperta. Rzekłem księciu to, poradziłem mu to, a wtedy książę srutututu i pierdu-pierdu. – Jaźwiec skrzywił się i splunął. – Za kark chciałem uciąć i w mordę dać, ale wiecie, w interesach nie ma miejsca na zgrzyty.

– Ano nie ma – przytaknąłem. – Zaprosiłbym was na śniadanie do swojej karczmy, chłopaki, ale na waszym miejscu poszukałbym owego Rosomaka, i to bez chwili zwłoki. Tak się składa, że trochę poznałem Ruperta i wiem, że nie przepada za płaceniem. Niewykluczone, że przekazał tę filozofię pomagierom.

– Coś podobnego. – W głosie Jaźwca pojawiła się groźna nuta. – A ja byłem gotów uznać, że ów Rosomak to dupa wołowa, a nie rycerz, i ze strachu dał dyla. Czyli twoim zaś zdaniem do płacenia nieskory?

- Sprawdziłbym.
- Sprawdzę. Bywaj, Kociołek.
- Bywaj, Jaźwiec.
- Którą dechę mi dasz?
- Łysego spytaj. To jego kram.

*

Żychłóń się trochę obraził – zarówno o to, że zadysponowałem jego dobytkiem, jak i o to, że określiłem go mało fortunnym epitetem. O pierwszym zarzucie jednak zapomniał, gdy zasypałem go komplementami, a z drugiego się wycofał, gdy uświadomiłem mu, że nikt, a zwłaszcza najemnik na żołdzie księcia Ruperta, nie powinien łączyć jego imienia z magicznymi deskami.

– Spalmy to kurestwo – rzuciłem, wskazując trupy ogarów. – Na wszelki wypadek. Gdzie Eliah?

– Po mojemu to wykręcił się od roboty – mruknął Gramm, który odłożył już topór i złapał dwa ogary, by powlec je tam, gdzie nasz rycerz Doli ułożył pierwszych kilka trucheł. – Patrz, Urgo! – zawołał, potrząsając jednym z nich. – Widzisz, po czym poznać te, które ja załatwiłem?

Odpowiedź Urgo umknęła mojej uwadze, bo spomiędzy nagich czarnych drzew wyłonił się elf. Odnalazł mnie wzrokiem i przywołał ruchem głowy. Ruszyłem ku niemu bez wahania, mijając Zwierzaka, który wyrywał własne strzały z ciał ogarów, oglądał jej i pakował do kołczanu.

– Dlaczego nie wypuściłeś strzały tak, jak się umawialiśmy? – spytałem, ale bez pretensji. Wiedziałem, że Eliah musiał mieć swoje powody.

- Wyczułem coś w lesie – powiedział, nie patrząc na mnie.
- Te ogary?
- Nie – odparł i przyspieszył kroku, a ja podążyłem za nim.

Teren robił się grząski i nasze stopy więzły w błocie po kostki, przeszkadzały też bezlistne konary, ułamane podczas ostatnich wichur, ale na szczęście cel naszej wędrówki znajdował się niedaleko.

- To – powiedział Eliah i oparł się plecami o korę pobliskiego drzewa.

Gdybym spojrział na tę istotę z oddali, uznałbym zapewne, że patrzę na sowę, która przymknęła oczy w blasku dnia. Była však obła, nieruchoma i szara, tu i ówdzie poznaczona plamkami bieli. Główna różnica polegała na tym, że sowy

z godnością zasiadają na konarach drzew, a nie pełzają po pniach niczym olbrzymie, pulchne liszki!

– Co to jest? – spytałem Eliaha, ale ten jedynie wzruszył ramionami, co oznaczało, że najprawdopodobniej wypowiedział już wszystkie słowa przewidziane na ten dzień.

Stworzenie drgnęło nagle, a część jego tułowia się uniosła, jakby chciało się mi przyjrzeć, choć w pokrywającym ją szarobiałym puchu nie dostrzegłem ani śladu ślepi. Niespodziewanie w mojej głowie eksplodował ból tak gwałtowny, że wszystko, co nastąpiło później, stanowiło odruch bezwarunkowy.

Gdy ból ustąpił na tyle, bym odzyskał ostrość widzenia, ścisnąłem w drżącej dłoni miecz. Stworzenie przypominające pełznącą sowę było zaś pocięte na miazgę dziesiątkami ciosów.

– Przynajmniej nie trzeba będzie palić – mruknął elf. Klepnął mnie w ramię i ruszył tam, skąd dobiegał już smród dymu.

3

W walce z ogarami nikt z nas nie odniósł żadnych poważniejszych obrażeń i w głębi duszy obiecałem sobie, że kiedyś podziękuję za to Doli. Na razie jednak poprosiłem przyjaciół, by doprowadzili się jakoś do porządku i pod żadnym pozorem nikomu nie wspominali, do czego doszło nad Bździawką.

– A już przede wszystkim Sarze – dodałem, ścierając wciąż wilgotne błoto ze spodni. Wyglądało na to, że w starciu przynajmniej raz przetoczyłem się po ziemi, czego zupełnie nie pamiętałem.

– Naprawdę? – Żychłóń udał zdziwienie. – Nie chcesz, by wiedziała, że Złe zakrada się w nasze okolice?

– Chcę, by to wiedziała – prychnąłem ze złością. – Ale powiem jej o tym w momencie, który uznam za stosowny. Co więcej, sam dobiore odpowiednie słowa. Zostawcie to mnie. Żychłóń, możesz obejrzeć to skaleczenie na czole Gramma?

– Ani się waż! – zawołał Majster. – Jestem krasnoludem i czuję dumę z powodu każdej blizny! Nawet tej najmniejszej!

– A jeśli ktoś ci ten czerep nadwerężył i zaraz mózg ci wypłynie? – Żychłóń podrzucił sakiewkę z dratwą, igłami i kilkoma prymitywnymi narzędziami chirurgicznymi. – Dużo go nie masz, a więc chwila i byłoby po wszystkim! No, karyplu, chodź no tu do wujka Żychłonia!

Gramm uskoczył w stronę swojego jelonka, który oczekiwał go z niezmaconym spokojem. Zrobił natomiast krok w chwili, gdy krasnolud złapał siodło za lęk i chciał wpakować stopę w strzemię, w czym przypuszczalnie pomógł mu Zwierzak, sugestywnie machając nacią marchewki. Gramm z dzikim rykiem runął w błoto, wywołując salwy śmiechu tak donośne, że z pobliskich drzew poderwały się wrony.

Wszyscy potrzebowaliśmy chwili odprężenia, ale ja skorzystałem z niej najmniej. Nieprzespana noc i ostre starcie, podczas którego jakieś bydle dwukrotnie próbowało usmażyć mi mózg, odebrały mi większość sił witalnych, a resztę zaabsorbowały troski i dylematy, które opadły mnie po walce. Wiedziałem, że powinienem jak najszybciej wrócić do gospody, zjeść coś, rzucić się na łóżko i przespać parę godzin, tym bardziej że Sara zaplanowała na wieczór huczną imprezę, ale po prostu nie mogłem. Musiałem sobie wszystko dokładnie przemyśleć i znaleźć tyle odpowiedzi, ile tylko się dało.

Wróciliśmy do Gryfa na późne śniadanie. Ucałowałem nieco zaniepokojoną Sarę w zaróżowiony policzek, przekazałem jej, że odnaleźliśmy bandę, która podążała tropem naszych nocnych gości, i nakłoniliśmy ją do zmiany marszruty, strząsnąłem z siebie dzieciaki, po czym złapałem kufel grzanego piwa oraz garść precli i zamknąłem się w niewielkiej komnacie, którą w tajemnicy przed Sarą uznałem za swoje biuro.

Nie mogłem się przed nią przyznać do czegoś takiego, bo natychmiast by mnie wyśmiała. Sama od lat prowadziła buchalterię Gryfa, co czyniła z morderczą wprost precyzją. Byłem kiedyś świadkiem, jak udowodniła poborcy podatkowemu nieznaną niektórym zasad wyliczania wysokości daniny, wskutek czego tenże urzędnik już nigdy nas nie odwiedził. Gdyby się dowiedziała, że mam „biuro”, natychmiast uznałaby, że to jakaś nora, w której chowam się przed pracą, i zastawiłaby wejście do owego pomieszczenia workami, beczkami i skrzyniami, podsuwając mi pomysły na bardziej efektywne spędzenie czasu. Straciłbym wówczas jedyne miejsce, w którym mogłem ślęczeć nad mapami Doliny, pisać listy oraz wertować pamiętniki Matta z Kurzu.

Właśnie te ostatnie intrygowały mnie teraz najbardziej.

Książka, ongiś wypożyczona z biblioteki księżnej Yanny, władczyni Dymu, dostarczyła mi już wielu odpowiedzi i miałem nadzieję, że znajdę w niej również coś na temat potworów, z którymi walczyliśmy dziś o świcie. Zapaliłem świeczkę i pochyliłem się nad pożółkłymi kartkami, zapisanymi prostym, żołnierskim charakterem pisma. Wkrótce całkiem pochłonęły mnie opowieści o przerażających bojach sprzed wielu lat. Wzdrygałem się, przypominając sobie historie o Nocnych Jeźdźcach, Parszywcach i Trójokich Grzesznikach, o Trupowładach, Wabicielach i Tłamszących. Odruchowo kręciłem głową, nie mogąc sobie wyobrazić wysiłku potrzebnego do pokonania tak potężnych hord.

Gdyby teraz doszło do inwazji, Dolina nie zdołałaby zareagować w porę. Każdy z władających nią książąt dysponował co prawda jakąś armią, ale istniała ona głównie po to, by szachować rodzeństwo. Nic naszych rządzących nie absorbowało tak bardzo jak wzajemne utarczki, co prowadziło do oczywistego

wniosku – zanim odkryliby rozmiary niebezpieczeństwa i zwarliby szyki, być może nie byłoby już o co walczyć.

Złe jednakże obrało już inną taktykę. Zamiast przypuścić zmasowany atak z Gwiżdżących Gór, od lat podgryzało Dolinę od środka. Jego agenci – z niesławnym Gwidonem, kandydatem na księcia Dymu na czele – poczynali sobie coraz śmielej i odnosiłem wrażenie, że kolejna inwazja właściwie już się zaczęła. Co więcej, najwyraźniej byłem jedynym człowiekiem w Dolinie, który o tym wiedział.

Moja dłoń kartkująca pamiętnik Matta nagle znieruchomiała, a mnie zrobiło się słabo.

Skoro do ataku doszło tak blisko Gryfa, znaczyło to, że Złe wiedziało, że ja wiem.

Na kolejnej stronie znalazłem potwierdzenie swoich domysłów.

„Szyszłaki – pisał Matt z Kurzu – nie mają ślepi ni uszu, ni nosów, a jedna Dola raczy wiedzieć, czym srają, o ile w ogóle to czynią, bo i przy jedzeniu nikt ich jak dotąd nie widział. Szyszłaki czyhają w ukryciu – bądź to w konarach drzew, bądź to w krzakach czy między belkami stropu – i w chwili, którą sobie wybiorą, zsyłają na ofiarę potworny wprost ból czerepu. Nie wiadomo, skąd się biorą ani jak wybierają ofiary, ale sprytu im nie brakuje, bo zawsze na cel obierają sobie tych, którzy potrafią dowodzić, służyć radą czy wspierać na duchu. Sam ból zaś, choć trudny do zniesienia, nie jest w tym najgorszy, bo przywabia Bóložerców, sforę kolczastych ogarów, które opadają ofiarę szybko niczym błyskawica i rozszarpują ją jak psy dzika na łowach”.

Powoli zamknąłem książkę i zacisnąłem powieki. Szyszłaki i Bóložercy. Co jeszcze?

Zaledwie kilka godzin temu byłem przekonany, że największym zagrożeniem dla mnie i mojej rodziny jest książę Rupert. Teraz okazało się, że na cel wzięło mnie Złe.

Naszła mnie przemożna chęć, by wygrzebać sobie norę w ziemi i nigdy, przenigdy z niej nie wyleźć. Niestety, miałem bliskich, o których musiałem się zatroszczyć. Należało zacząć działać. Natychmiast.

Tylko co powinienem zrobić?

Ktoś właśnie mijał moją kryjówkę, donośnie stukając chodakami. Głos, który rozległ się w ślad za stukotem, natychmiast przywrócił mnie do rzeczywistości.

– ...całą noc z tą bandą nierobów przebimbał Dola jedna wie gdzie, a teraz? – zrzędziła Andrea, matka Sary, szurając miotłą po podłodze. – Schował się gdzieś i śpi, cymbał jeden, niemota lenistwem cuchnąca! Odsypia swoje nocne harce, a pewnie i butelczynę obściskuje jak ten brodaty kurdupel, co to nawet szacownej

matrony dobrym słowem pozdrowić nie potrafi. Mówiłam Sarze, by się dwakroć biedaczka zastanowiła, czy chce nieroba za męża, ale nic to nie dało, nic!

Teściowa dokładnie zamiotła podłogę przed moimi drzwiami, przemierzyła, nie przestając zrzedzić, cały korytarz i zawróciła, by powtórzyć tyradę głośniejszą, co oznaczało, że doskonale zna moją kryjówkę i wie, że się w niej zaszyłem. Zakończywszy dzieło, nareszcie się oddaliła, a ja westchnąłem ciężko. Zaraz potem, o dziwo, zachciało mi się śmiać.

– Złe i księżę Rupert to, jak widać, wcale nie koniec świata – mruknąłem do siebie i wyszedłem z pokoju.

*

Zszedłem po schodach gospody, gdzie trwał zupełnie inny koniec świata. Sara z rozwianymi włosami szalała niczym trąba powietrzna, gestami i wrzaskami wprawiając w ruch każdego, kto znalazł się w jej zasięgu. Salia wymiatała kurz spod ław, Edvin wnosił z zaplecza stopy obrusów, a Nuut pucował blaty. Dziewczyny, które zatrudnialiśmy do pomocy, wieszały girlandy u powały, a Tobiasz, nasz parobek i stajenny, odmalowywał stojący w rogu posąg Doli. Z kuchni dobiegały wrzaski i łaskoty o podobnym nasileniu, a wraz z nimi zapach podejrzanie przypominający woń bigosu.

Stałem przez chwilę nieruchomo i mrugałem, próbując sobie to wszystko jakoś poukładać, aż mój wzrok padł na Edvina.

– Hej! – zawołałem. – Czy wy... Czy ty nie powinienesz być w szkółce świątynnej?

– Mama nas zwolniła! – zawołał podekscytowany chłopak. – Mamy pomagać w przygotowaniach! To o wiele lepsze od pisania tych durnych liter! – I popędził w stronę zaplecza.

Chciałem go zatrzymać, ale nie zdążyłem, bo wyrosła przede mną Sara. Po jej rumieńcu i niespokojnym spojrzeniu nie pozostał nawet ślad – teraz patrzyła z groźną stanowczością, która wywoływała u mnie lęki egzystencjalne i trudności w wysławianiu się.

– O, jest rycerz z bajki! – warknęła. – Wypałeś się? Odpocząłeś sobie?

– Ja... wcale nie odpoczywałem – bąknąłem, całkowicie przeświadczony, że ze wszystkich głupich rzeczy, które mogłem w tej sytuacji powiedzieć, ta była zdecydowanie najgłupsza.

– To fatalnie, bo zmarnowałaś kupę czasu. Chciałam ci przypomnieć, że dzisiaj mamy wesele Janika i Rozamundy, za które przyjęliśmy sporą zaliczkę, więc szkoda byłoby nawalić!

– Wesele – jęknąłem. Czyli szykowała się naprawdę spora impreza!

– Właśnie, wesele. Uświęcona autorytetem kapłana uroczystość, podczas której zakochana kobieta skazuje się na dożywotnie towarzystwo cuchnącego nieroba, zwieńczona pijaństwem, sprośnymi przyśpiewkami i konkursem na najgłośniejsze beknięcie! – zagrzmiała Sara z mocą tarana kruszącego bramę. – Pamiętasz może?

– Pewnie, że pamiętam! – Wyprostowałem się w nadziei, że w ten sposób odzyskam choć strzęp autorytetu.

– A o tym, że miałeś przywieźć kapelę z Rżyska, też pamiętasz? A o muzykantach ojca Rumianka z Taradejki? I o tym, że trzeba wobec tego wyszczotkować konia i wysprzątać wóz? Z czym należy się spieszyć, bo ktoś musi przyprawić bigos, przyrządzić comber i upiec dwa kołaczki? I kupić piwa, bo może zabraknąć? I dogotować grzybowej, bo te darmozjady w nocy wszystko wychleptały? I wysprzątać wychodek, bo któryś z nich najwidoczniej po raz pierwszy musiał trafić do dziury i nie podołał?

Kolejne zdania Sary uderzały we mnie niczym cegły ciśnięte z katapulty, ale, o dziwo, dokładnie tego potrzebowałem.

– Ogarnę to – powiedziałem z przekonaniem. – Wszystko ogarnę.

Wyciągnąłem rękę, chcąc ją objąć, ale żona uskoczyła z gracją tancerki.

– Śmierdzisz piwem – oznajmiła i na powrót przeistoczyła się w trąbę powietrzną.

Przez następne dwie godziny z pasją oddawałem się obowiązkowi gospodarskiemu. Praca, zwłaszcza ciężka i wytężona, doskonale wpływała bowiem na spokój duszy, a ostatnimi czasy bardzo pomagała też w wypieraniu rzeczywistości, w czym powoli stawałem się mistrzem. Z zapamiętaniem kroilem grzyby, cebulę i marchewkę na zupę, a nim w garnku zaczęło pyrkać, ugniatałem już ciasto na kołaczki. Przygotowywanie combra pochłonęło mnie zaś do tego stopnia, że nawet nie zauważyłem, jak za moimi plecami przez kuchnię raz po raz przetaczała się trąba powietrzna zwana Sarą.

– Wina – mruknąłem do siebie. – Jeszcze trochę wina potrzeba, a przy okazji sprawdzę, czy rzeczywiście piwa brakuje...

– Proszę, proszę – mruknęła moja teściowa, krojąc warzywa przy sąsiednim blacie. – A jak od pijusów wyzywam, to się obraża, jaśnie pan gospodarz.

Do uwag Andrei należało się przyzwyczaić tak jak do obcierania nosa Nuutowi, ale mój zmęczony umysł przechwycił jej ostatnie słowa.

Jaśnie pan, powtarzałem sobie w głowie, ostukując beczki. Kiedyś wsadzę babę do takiej właśnie beczki na całą noc. Ciekawe, jak to na nią wpłynie, bo przecież bardziej wredna już się nie stanie. Jaśnie pan, dobre sobie!

Oparłem się obiema rękami o beczkę. O co chodzi Rupertowi? Po co zbierał dusze trolli? Może szykował się do jakiejś wojenki, a może...

– Edmund! – wrzasnęła Sara. – Trzeba dokupić kufli! Jak będziesz jechał po muzykantów, zatrzymaj się u starego Cholewy i kup z tuzin! Albo najlepiej dwa!

– Kufle – wymamrotałem i poczłapałem na zewnątrz, ku szopie z wozem. Zignorowałem obszczekującego mnie radośnie Paprocha.

Jak głęboko siedzi Złe? Gdzie jeszcze czeka? Ciekawe też, kogo jeszcze przeciągnęło na swą stronę. Jak w ogóle doszło do tego, że skupiło się akurat na mnie? I czy karczma jest bezpieczna? Czy Sarze i dzieciom nic nie grozi?

– Edmund! – ryknęła Sara z okna. – Może byś się pospieszył, co? Sama sobie ze wszystkim nie dam rady.

Ja też, uświadomiłem sobie. Ja też nie.

Potrzebowałem sojuszników. Silnych, zdecydowanych, gotowych podjąć ryzyko, rozumiejących zagrożenie. Byłem przecież, na Dolę, jedynie karczmarzem.

Nagle poczułem lęk. Być może zbyt długo wypierałem rzeczywistość. Być może zbyt długo udawałem, że jeśli odwrócę się od świata i zajmę własnymi sprawami, Złe po prostu zniknie. Ono tymczasem wsiąkło głęboko w świat Doliny i snuło swe intrygi w najlepsze, a sam fakt, że na celownik wzięło akurat mnie, doskonale ukazywało skalę problemu.

Najwyraźniej w całej Dolinie nikt nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. Nikt poza pewnym karczmarzem i jego grupką przyjaciół.

Brukowany dziedziniec Gryfa niespodziewanie zatonął w słonecznym blasku, zapewne po raz ostatni czy przedostatni tej jesieni. Stałem nieruchomo i chłonałem jego ciepło, aż dotarło do mnie, że ktoś mnie woła. Odwróciłem się błyskawicznie, przekonany, że Sarze znów się coś przypomniało, ale wołającym był Gramm.

– Hej, Kociołek! – krzyczał rozbawiony krasnolud. – Chodź no tu!

Majster siedział na ławce, którą zrobił jakiś czas temu dla siebie i ustawił pod murem okalającym gospodę, bo, jak sam to ujął, fascynowała go praca na gospodarstwie i mógł się jej godzinami przyglądać. Tym razem towarzyszył mu Żychłoń. Obaj trzymali wielkie faje, z których unosił się wonny dym, a ich nieco rozmyte spojrzenia sugerowały, że tradycyjny tytoń zastąpiła uśmierzająca wszelkie troski mieszanka opracowana przez guślarza, skądinąd wielkiego znawcę ziół.

Poczłapałem w ich kierunku.

– Siadaj, Kociołek – powitał mnie Gramm. Żychłoń, który chyba mnie nie zauważył, kiwał filozoficznie głową. – Co słyhać, chłopie?

– Wesele – bąknąłem. – Wesele dzisiaj mamy.

– Wiem. – Majster uśmiechnął się szeroko. – Właśnie, jak widzisz, pracujemy nad zwiększeniem apetytu.

– Zawsze można liczyć, że każdy z was zareaguje na tę okoliczność na własny sposób. – Westchnąłem. – Ja tyram jak wół, ty palisz zielsko, by móc więcej zeżreć, a Urgo – wskazałem rycerza, który siedział po przeciwnej stronie dziedzińca, obserwowany przez Paprocha – poleruje zbroję na spotkanie z kapłanem. Eliaha ostatni raz widziałem dwie godziny temu. Zwierzak, jak sądzę, nie ma o niczym pojęcia.

– Nie ma – zgodził się dobrodusznie Gramm. – Założyliśmy się z Żychłoniem o pół mohina, czy się spieprzy, czy nie.

– Że co? – Spojrzałem na krasnoluda uważniej. – Co ma się spieprzyć?

– Zwierzak – odparł Gramm, a Żychłoń znów pokiwał głową w zadumie. – A więc raczej kto, a nie co. Stąd. Z dachu.

Majster zamaszystym gestem palucha wskazał dach karczmy, na którym uwijał się goblin. Od kilku dni usiłowałem dociec, co Zwierzak właściwie wyprawia. Z początku wydawało mi się, że z własnej woli łąta dziury w dachu, i trochę się zawstydzilem, bo odniosłem wrażenie, że dachówki są jeszcze raczej w porządku, ale potem zauważyłem, że goblin sklecił tam coś na kształt drewnianej platformy, na której zaczął układać gałęzie. Parokrotnie próbowałem od niego wyciągnąć, co właściwie robi, ale za każdym razem wymigiwał się od odpowiedzi. Jako że miałem go za zacnego kompana, doszedłem do wniosku, że nic złego nie planuje i powinien mieć prawo robić to, na co ma ochotę.

– Po mojemu – odezwał się nagle Żychłoń – to on sobie gniazdo wije.

– Gniazdo? – Wziąłem fajkę od Gramma i pyknąłem parokrotnie. Nie wiem, czym została nabita, ale dym okazał się niezmiernie kojący.

Krasnolud pokiwał głową.

– To ma sens. Jajo będzie składał.

Zakrztusiłem się dymem. Minęła dłuższa chwila, zanim odzyskałem możliwość mówienia.

– Pogięło cię, Majster. I to bardziej, niż z początku myślałem.

– A skąd ty wiesz, jak się rozmnażają gobliny? – Krasnolud spojrzał na mnie w zadumie, natomiast Żychłoń znów pokiwał głową. – Co my w ogóle wiemy o goblinach? Mieszkają na bagnach tak jak bociany, to może znoszą jaja?

Milczałem przez chwilę, poddając się dobroczynnemu działaniu ziółek, a potem odnalazłem wzrokiem Zwierzaka.

– W sumie – powiedziałem niewyraźnie – to może i racja. Może znosi jajo.

W polu widzenia zamajaczyła mi nagle znajoma drobna postać. Była to Salia, wlekąca za sobą wypakowany plecak.

– Więc tak – sapnęła moja córka. – Dobrze, że was widzę razem, bo mam roboty po uszy i szkoda czasu na bieganie. Wujku Żychłoni – dziewczynka

podniosła plecak i wepchnęła go w objęcia zaskoczonego guślarza – mama już cię spakowała i proponuje, byś się wyniósł do Mglistego Brzeźniaka.

– Eee... – Żychłoń przytulił plecak. – A czemu?

– Bo wesele dziś wyprawiamy – oświadczyła dziewczynka tonem przeznaczonym dla półgłówków. – Kapłan na nim będzie, a nasza karczma nie może sobie pozwolić na skandale. Tak powiedziała mama. Ja nie wiem, co to jest skandal.

– Ja wiem! – rozpromienił się Gramm, ale Salia nie miała zamiaru dopuścić go do głosu.

– Co do ciebie, wujku, mama powiedziała, że masz się wziąć do roboty. Jakiegokolwiek roboty, bo w przeciwnym razie spędzisz wesele w drewni. Masz ukryć wszystkie glify, które wyrył wujek Żychłoń, a potem ponoć coś jest w wychodku do zrobienia. I okiennice klekoczą.

– To moja robota – wymamrotałem.

Wtedy dziewczynka na mnie spojrzała, a w jej zmrużonych niebieskich oczach zagościł znany mi doskonale błysk, tak typowy dla jej matki.

– Ty, tatuniu, masz natychmiast wyszorować powóz. I ruszać w drogę.

– I tak też się stanie – mruknąłem.

Podniosłem się nie bez trudu, ucałowałem córeczkę w czoło i kazałem jej zmykać, a potem spojrzałem na obu przyjaciół.

– Mamy przerąbane – stwierdził Gramm. – Oficjalnie i dokumentnie. Jeśli ta smarkula już w tym wieku...

– Mamy przerąbane – powiedziałem w nagłym przebłysku zdecydowania. – Bardziej, niż myślisz, Gramm. Nie żłop dzisiaj za dużo, a wieczorem spakuj, co trzeba. Żychłoń, wróc o świcie. Przekażę wiadomość Urgo, a wy powiadomcie Eliaha i Zwierzaka. Wyjeżdżamy na kilka dni.

– Dokąd? – spytał guślarz, raptownie przytomniejąc.

– Jeszcze nie wiem – mruknąłem. – Ale nie można już dłużej czekać.

Resztę wesela pamiętam jak przez mgłę, i to wcale nie przez gorzałę, której jako gospodarz musiałem trochę wypić, ani też przez zmęczenie, które sprawiło, że parę razy o mało się nie wywróciłem o własne nogi. Po prostu mój umysł pracował nazbyt intensywnie jak na swoje możliwości – przed oczami przemykały mi nazwy zamków i dzielnic, imiona książąt, fragmenty map, zapiski Matta z Kurzu oraz fragmenty opowieści moich przyjaciół. Skutkowało to narastającym chaosem w głowie, który z kolei przekładał się na coś, co Sara w pierwszej, z reguły najsłabszej fazie irytacji nazywała niezbornością. Od czasu do czasu natrafiałem na jej wzrok i wiedziałem, że pierwsza faza już dawno minęła. Usiłowałem się wówczas wziąć w garść i jeszcze lepiej wypełniać swoje obowiązki, ale im bardziej się starałem, tym więcej za tym szło gaf. Fakt,

grzybową trzeba było bardziej doprawić, kufle kupione od starego Cholewy należało starannie wyszorować przed napełnieniem, a muzykantom nie wolno było podawać niczego mocniejszego od piwa. Posadzenie starego ojca Rumianka obok wdowy po Jemiołku Mocarzu okazało się, przyznaję, beznadziejnym pomysłem, kołacz weselny trzeba było zręcznie ująć przy podnoszeniu ze stołu, a tradycyjne przemówienie, w którym gospodarz błogosławi parę młodą, wypadało przynajmniej przemyśleć. Wciąż byłem przekonany, że goście i tak zapamiętają przede wszystkim wzruszenie uroczej Rozamundy i roziskrzony wzrok Janika, a także huczne tańce i niezgorszą ucztę, ale chłód w oczach Sary mówił mi, że ona ma inne zdanie.

Położyliśmy się późno w nocy. Żadne nas nie miało wcześniej czasu, by rozpaść w kominku, ale nawet gorejący płomień nie przegnałby zimna, które panowało między nami.

– Sara... – Usiadłem na łóżku. – Słuchaj, ja przepraszam, że byłem dziś trochę... nieobecny, ale...

Moja żona siedziała tyłem i wiązała koszulę nocną.

– Edmund, ja nie jestem moją matką – przerwała mi. – Nie będę na ciebie wyrzekać ani wymyślać ci od pijaków i nierobów, bo nie jesteś ani jednym, ani drugim. Mam cię za uczciwego, pracowitego mężczyznę, który nawet kłamać porządnie nie potrafi, i gdy widzę, że się miotasz, od razu wiem, że coś cię gryzie. Wiem, że coś się stało podczas tej waszej wyprawy, i nie wciskaj mi kitu, że pobiliście się z jakąś zgrają.

– Ale tak było!

– Urgo polerował dziś zbroję na podwórzu, ale zapomniał zabrać szmatki, z której korzystał. Znalazł ją Paproch, który ją obwąchał, obszczał i... uciekł. Nigdy nie widziałam tak przerażonego psa. Czym cuchnęły te szmaty? Co tam się wydarzyło, Edmund? – Sara odwróciła się ku mnie. Jej oczy błysnęły lękiem w ciemnościach. – Co takiego Urgo stał z własnej zbroi?

Przez chwilę wyobrażałem sobie, że powiem jej wszystko: „Wiesz, to w sumie nic takiego, ale od pewnego czasu potykamy się ze Złym. Udało nam się jak do tej pory wygrać wszystkie starcia, zarówno w Dymie, jak i w Głodnej Puszczy, a nawet wyeliminowaliśmy groźnego agenta Złego, ale chyba kogoś tam wkurzyliśmy, bo Złe nasłało na nas watahę Bółożerców. Nie ma się czym przejmować, bo do starcia doszło daleko stąd – będzie z trzy mile – i oczywiście daliśmy sobie radę, bo przyszła nam z pomocą pewna przypadkowo spotkana banda najemników. Ty w zasadzie też nie masz się czym przejmować, bo Złe zawzięło się głównie na mnie”.

Zamiast tego westchnąłem ciężko i powiedziałem:

– Muszę wyjechać na kilka dni. To nic takiego, ale powinienem się rozmówić z pewnym człowiekiem w ważnej sprawie. Ani się obejrzysz, a będę z powrotem, to nic takiego, tylko...

– Nie – przerwała mi Sara.

– Co nie?

– Nie chcę tego słuchać, Edmund. Albo powiesz mi całą prawdę, albo nie odzywaj się wcale.

Siedziałem w mroku i milczałem, aż usłyszałem jej westchnienie, a potem szelest pościeli, gdy układała się do snu, wciąż odwrócona do mnie plecami.

– Nie mogę – powiedziałem w mrok. – Ja... ja po prostu nie chcę cię...

– Milcz.

Do rana nie usłyszałem już nic.

4

Nigdy jeszcze nie wyjeżdżaliśmy w całkowitym milczeniu.

Każdy oczywiście miał ku temu własne powody. Urgo zachowywał powagę przynależną chwili – wszak w jego odczuciu każda nasza wyprawa stanowiła wyzwanie rzucone złu, nie wypadało więc od początku psuć atmosfery żartami czy piosenkami. Żychłóń, klnąc bezgłośnie, rozglądał się dookoła i co chwila nas opuszczał, by odsłonić kolejną kolekcję wyrytych na ścianie glifów, które pieczołowicie zasłoniliśmy na okoliczność wizyty czcigodnego ojczulka Rumianka. Zwierzak co rusz tęsknie spoglądał na konstrukcję, którą wzniósł na dachu, jakby nieskoro mu było ją porzucić, Elish milczał, bo nie działało się nic, co byłoby powodem do zabrania głosu, a Gramm po prostu miał kaca.

Ja zresztą też. Dręczył mnie kac z gatunku tych najpoważniejszych.

Wiedziałem, że Sara nie przepada za moimi wyprawami, i doskonale rozumiałem przyczyny – sam się wszak o nią martwiłem, gdy wybierała się, dajmy na to, na targ do Rżyska. A gdyby oznajmiła, że rusza na poszukiwanie przygód, jak nic oszalałbym z niepokoju! Czułem więc wielką ulgę za każdym razem, gdy mogłem jej chociaż z grubsza nakreślić, po co jadę i kiedy wrócę. A teraz...

Cóż, teraz nie mogłem tego zrobić. Ba, nie powinienem. Wszelkie powody, dla których opuszczałem Gryfa, musiały pozostać moją tajemnicą. Nie zyskałbym niczego, gdybym przedstawił Sarze całą prawdę, być może poza tym, że wyjeżdżałbym z lżejszym sumieniem. Ale czy jej coś by to dało? Czy byłaby szczęśliwsza, gdyby wiedziała, z czym przychodzi mi się mierzyć? Jak nic zamartwiałyby się, nie spała po nocach i umierała ze strachu na widok każdego posłańca. Lepiej, by była po prostu na mnie wściekła.

Musiałem wyjechać i... coś zrobić. Cokolwiek. Musiałem przedsięwziąć jakies kroki, by Złe przestało być wyłącznie moim problemem.

Poza tym uparcie wierzyłem, że Złe upatrzyło sobie mnie, a nie nas wszystkich. W końcu atak nastąpił bezpośrednio na mnie, i to w chwili, gdy byłem stosunkowo daleko od domu. Skoro więc to ja byłem celem, czym prędzej powinienem się znaleźć jak najdalej od Gryfa.

„Naprawdę? – szeptał jakiś podstępny, złośliwy głos w mojej duszy. – A może się mylisz, Kociołek? Może wszystko popieprzyłeś? Przecież Złe się uczy, prawda? Powoli i na błędach, ale przecież robi postępy. Może więc, skoro z taką łatwością rozpędziliście sforę Bóložerców, zdecyduje się uderzyć gdzieś indziej? Tam, gdzie nie spodziewa się już oporu, a gdzie cię na pewno zaboli?”

Z chwilą naszego wyjazdu Gryf stawał się bezbronny.

Spojrzałem na zamknięte okiennice, za którymi spała Sara, ledwie widoczne w półmroku jesiennego świtu, a potem na okna pokoiów dziecięcych, znajdujące się tuż obok. Czułem, jak w sercu rozlewa mi się zimny, lepki strach, i przez jedną krótką chwilę miałem ochotę zeskoczyć z konia, wbiec do środka, obudzić żonę, przypaść jej do nóg i wszystko wyznać.

Tylko co potem?

Żyć z dnia na dzień, spodziewając się kolejnego ataku Złego? Tym razem w samym środku Gryfa? Na oczach dzieci?

Poczułem na swoim ramieniu ciężką dłoń.

– Jeśli chcesz – powiedział Urgo – zostanę z nimi.

Zamrugalem pospiesznie.

– Znowu mówiłem na głos? – wymamrotałem.

Rycerz zaśmiał się tubalnym głosem.

– Nie musisz mówić na głos. Wystarczy spojrzeć na ciebie, Kociołek, i wszystko jasne.

– Masz obrzydliwą, nalaną gębę – wymamrotał Gramm. – Tak wielką, że wszystko się na niej zmieści. Każde uczucie, łącznie z tymi najgłupszymi. I tak, ja też mogę zostać.

Odwróciłem od nich wzrok, by spróbować zdusić zdradliwe wzruszenie.

– Tak – wykrztusiłem w końcu. – Chcę tego. Bardzo bym chciał, by ktoś z was z nimi został, ale być może, gdy tylko wyjedziemy z Gryfa, Złe znów nas opadnie, a jeśli zabraknie któregoś z was... Cóż, wtedy Sara i dzieciaki mogą zostać same na zawsze. Ja nie myślę o sobie – dodałem szybko. – Nigdy tego nie robię i...

– No właśnie – przerwał mi Gramm. – Niestety, bo czuję, że zanoszę się na kolejną płacziwą przemowę, jak bardzo jesteśmy dla ciebie ważni i jak bardzo nie chcesz, byśmy się narażali. Słuchaj, nie posłuchałem cię wczoraj i wypięłem za dużo. Zbiera mi się na rzyganie i jeśli chcesz to przyspieszyć...

– Nie – wszedł mu w słowo Żychłóń, który wydawał się mocno rozdrażniony i chyba zziębnięty po nocy w lesie. – Zdecydowanie nie chcemy tego oglądać. A ty, Kociołek, przestań się mazgać i ruszajmy. Im szybciej załatwimy to, co chcesz załatwić, tym lepiej. – Wsiadł na konia i poprawił się w siodle. – A Sarą i dzieciakami się nie przejmuj – dodał ciszej i ruchem głowy wskazał mi rząd glifów wyrytych w belce nad strażnicą i przed chwilą osobiście przez niego odsłoniętych. Brzegi znaków zdążyły już poczernieć, a tu i ówdzie obrósł je mech, ale je rozpoznałem: takich samych użył w Dymie, gdy zorganizowaliśmy akcję odbicia księżnej Yanny z rąk uzurpatora Gwidona.

– To wystarczy? – spytałem w przypływie nadziei.

– Oczywiście – prychnął guślarz. – Złe nie zwróci na to miejsce uwagi, chyba że ktoś zada sobie sporo trudu i zniszczy wszystkie inskrypcje. Wszystkie dwanaście. Ruszamy?

– Ruszamy – powiedziałem mocniejszym głosem.

– Nie martw się, Kociołek – odezwał się nagle Zwierzak, dosiadając swego kuca. – Ja też troszczę się o wasze bezpieczeństwo.

W głosie goblina pojawiła się ujmująca powaga, a mnie kolejna fala wzruszenia przeszkodziła w sformułowaniu pytania, cóż takiego właściwie miał na myśli.

Nim ruszyliśmy, raz jeszcze spojrzałem na okno Sary. Wciąż było zamknięte, choć o tej porze z reguły już się krzątała.

Wyjeżdżałem z sercem zalanym trucizną.

*

Wziąłem sobie słowa Żychłonia do serca i nie szczędziliśmy wierzchowców. Przerwę zrobiliśmy tylko dwa razy, gdy Gramm uznał, że już dłużej nie wytrzyma i musi opróżnić żołądek. Za drugim razem zeszło mu dłużej, a całemu procesowi towarzyszyły odgłosy tak przerażające, że w pewnym momencie zaczęliśmy po sobie zerkać z lekką obawą. Gdy krasnolud wreszcie wylazł z krzaków, wydaliśmy zbiorowe westchnienie ulgi.

– Co się tak gagicie? – mruknął niewyraźnie, przecierając pozieleniałą twarz dłonią. – Kociołek jakąś trefną wódę ściągnął na wesele, to nic dziwnego, że mnie przerobiło. Albo to przez tego pieprzonego rogacza – dodał, wspinając się na siodło swego jelonka. – Do kuców zdążyłem się przyzwyczaić, ale ten bydlak tak drobi, że chlupocze w bebechach.

Jelonek zastrzygł uszami, już dawno nawykły do utyskiwania Gramma.

– A skoro i tak mamy przerwę – odezwał się nagle Urgo – to może byś nam zdradził, Kociołek, dokąd my właściwie jedziemy?

Nabrałem tchu.

– Do Sokolnika – powiedziałem. – Do księcia Ruperta.

Zapadła głęboka, wiele mówiąca cisza, którą dopiero po dłuższej chwili przerwał Żychłóń.

– Do Ruperta – rzekł, udając zadumę. – Do księcia, któremu uratowaliśmy córkę. W innych okolicznościach uznałbym, że to dobry pomysł, bo przecież ktoś taki powinien czuć dozgonną wdzięczność wobec swoich dobroczyńców. Ja jednakże jakoś nie mogę zapomnieć, że choć Rupert ucieszył się z ocalenia tej paskudy, to do płacenia jakoś się nie kwapił i nie szczędził nam epitetów na pożegnanie, oj, nie szczędził.

– Podczas letniej wizyty w Gryfie też jakoś mnie za serce nie ujął – dodał Gramm.

– Do tego być może już wie o naszym starciu z Rosomakiem – rzekł z powagą Urgo.

– Nie starliśmy się z Rosomakiem! – zaprotestowałem.

– Stanęliśmy mu na drodze. – Urgo upierał się przy swoim. – Chcieliśmy go przegonić, powołując się na autorytet księcia Stefana, a potem zwróciliśmy przeciwko niemu jego własną drużynę. Nie mówiąc już o tym, że przypuszczalnie udaremniłoby mu dalsze polowanie na trolle.

– Doceniam, że używasz liczby mnogiej – powiedziałem. – Bo to wszystko w zasadzie moje pomysły były. Tak, Rupert nie ma szczególnych powodów, by za mną przepadać, ale... Cóż, postanowiłem wziąć sprawę we własne ręce.

Cmoknąłem na konia, który ruszył naprzód. Rozległo się mlaskanie kopyt w błocie traktu, gdy pozostałe wierzchowce ruszyły za mną.

– Już dawno powinienem był to zrobić – mówiłem. – Nasi rządzący muszą wiedzieć, że szukają wrogów w niewłaściwych miejscach. Złe przeniknęło do Doliny i czuje się tu coraz swobodniej, bo jak dotąd mało kto zdaje sobie sprawę z jego obecności. Ktoś powinien im więc o tym powiedzieć.

– I chcesz zacząć od Ruperta? – spytał z powątpiewaniem Urgo.

– Owszem – przyznałem. – Nie mam na to najmniejszej ochoty, ale tak nakazuje logika. Yanna wie już o wszystkim. Po aferze z Gwidonem, starciach we własnej stolicy i zamieszanu w Głodnej Puszczy księżna Dymu doskonale zdaje sobie sprawę z powrotu Złego, a Pogorzałek i Głuszec zapewne dbają, by o tym nie zapomnieli. Stefan chyba też często myśli o Złym po swoim upokorzeniu związanym z Kuną. Pozostają więc Fryderyk, Nikodem i Rupert – wyliczyłem. – Fryderyka pozostawiłbym sobie na koniec, bo podobno jest najświatlejszym z całej piątki. Sporo czyta i ufundował nawet akademię w Krzemymku, co daje nadzieję, że uda mu się w porę przemówić do rozumu. O Nikodemie mówią z kolei, że jest z całego rodzeństwa najwaleczniejszy, ale

i najdurniejszy, co w sumie też może ułatwić porozumienie. Pozostaje więc Rupert, który wydaje się od nich o wiele trudniejszym przeciwnikiem.

Urwałem na chwilę i zapatrzyłem się w jesienny krajobraz. Kompani cierpliwie czekali na ciąg dalszy mojej perory. Doceniałem to.

– Ruperta poznaliśmy jako zawistnego chytrusa, człowieka aroganckiego i wzgardliwego – podjąłem po chwili. – To beznadziejne połączenie cech, ale nie zaskakujące u człowieka sprawującego władzę. Osobiście od takich ludzi wolałbym się odwrócić, ale w tej konkretnej sytuacji być może spróbujemy jakoś wykorzystać jego wady na swoją korzyść. Poza tym – nabrałem tchu – niewykluczone, że Rupert podejrzewa już powrót Złego. – Zerknąłem na Żychłonia, który ponuro pokiwał głową. – Pamiętacie ów incydent, do którego doszło tuż po odbiciu Matyldy, kiedy targowałem się z sir Valdanem? Owym nadętym rycerzykiem, który reprezentował oddział Ruperta uczestniczący w odbiciu jego córki?

– Pod chatę podjechało paru jeźdźców z luzakami – burknął Urgo. – Przybyli po porywaczy i po księżniczkę.

Kątem oka widziałem, że guślarz, nadal z ponurą miną, nie przestaje kiwać głową.

– Nie dowiedzieliśmy się, kto zlecił porwanie – ciągnąłem. – W zasadzie mogło to być któreś z Rupertowego rodzeństwa, ale...

– Nie – przerwał mi Żychłóń. – Nie chciałem ci tego wówczas mówić z powodów, które wyjaśniłem później, ale to nie byli zwykli ludzie. To byli wysłannicy Złego, Kociołek. To zaś oznacza, że Rupert może mieć ze Złym na pieńku dłużej, niż sądzisz.

– Niewykluczone, że o tym wie – stwierdziłem. – A jeśli nie, to tym bardziej powinniśmy go odwiedzić.

– No dobra. – Gramm przetarł czoło. – Powiedzmy, że mnie przekonałeś. Musimy złożyć oficjalną wizytę księciu Rupertowi, ale... właściwie po co?

– Chcę mu uświadomić, że Dolinie zagraża Złe.

– Dobrze, czyli nie straciłem wątku do końca. Rzeknij mi tylko, Kociołek, jak ty chcesz tego dokonać? Bo o ile dobrze pamiętam opowieści Sary, ten wypłosz skrytykował nawet twój bigos. Jak ty chcesz go przekonać do swoich racji?

– Nie wiem – przyznałem. – Ale do Sokolnika mamy jeszcze kawałek. Coś wymyślimy po drodze.

Przecież zawsze się udawało, nieprawdaż?

*

Mój optymizm szybko zaczął się ulatniać, spłoszony późnojesienną aurą. Nad naszymi głowami sunęły ciężkie chmury, zwiastując ulewę. Na razie nękała nas tylko dokuczliwa mżawka, co mógłbym jeszcze znieść, gdyby nie porywisty wiatr, który pojawiał się znienacka, szarpał czarnymi konarami i podrywał z ziemi mokre liście. Trakt był rozmokły i pełen kałuż, po których niemrawo stąpały nasze wierzchowce. My zaś kuliliśmy się nad ich karkami niczym sześć zziębniętych wron.

– Daleko jeszcze do tego Sokolnika? – spytał nagle Żychłoń i hałaśliwie wytarł nos.

– Jutro będziemy na miejscu – obiecałem.

Chyba, dodałem w myślach.

Urgo jechał z wysoko uniesioną głową, jednakże co rusz wstrząsał nim całkiem nierycerski dreszcz. Gramm przeklinał, Żychłoń smarkał, a Eliah całkiem schował się pod płaszczem. Jedynym zadowolonym wydawał się Zwierzak, który nawet wesoło pogwizdywał, przynajmniej dopóki nie oberwał pięścią od Gramma.

Nastroje zdecydowanie siadły. Wiedziałem, że chłopaki dały się przekonać i podobnie jak ja uznały, że wizyta w Sokolniku ma sens, ale nie oznaczało to, że cieszy ich taki obrót spraw. W takich sytuacjach zawsze budziły się we mnie wyrzuty sumienia. Próbowałem trochę popędzić towarzystwo – wszak mieliśmy się spieszyć – ale kłus w błocie mógł się źle skończyć dla naszych rumaków. Konkurs na opowiadanie pieprzonych dowcipów nie zainteresował nikogo, a na moją propozycję wspólnego pośpiewania odpowiedział tylko Gramm. Również ciosem pięścią.

Pozostała mi już tylko jedna sztuczka.

Po południu, gdy trakt, z każdą pokonaną milą coraz bardziej błotnisty, wił się przez gęstą buczynę, natrafiliśmy na opuszczone szalasy smolarzy.

– Pora na przerwę – zarządziłem, zeskakując z konia. – Kto ma ochotę na bigosik?

Nie znałem nikogo, kto zdołałby się oprzeć magii tradycyjnego bigosu weselnego, który, żeby zrobił należyte wrażenie, należało dusić przynajmniej dwa dni. Jego aromat zwabiał wówczas domowników do kuchni, która nagle stawała się obleżoną twierdzą – każdy bowiem chciał unieść pokrywkę, wygłosić pochwałę, napawać się zapachem lub ukradkiem wpakować łyżkę do garnka. Sporo go z wesela zostało, skwapliwie napełniłem więc dwa garnki, które następnie zawiesiłem po bokach końskiego grzbietu. W wodoszczelnym worku trzymałem również tęgi bochen chleba, a w bukłaku chlupotało ciemne piwo.

Propozycja natychmiast poprawiła nastrój w drużynie, a ogólna wesołość udzieliła się nawet Eliahowi, który pozwolił sobie aż na uśmiezek. Wkrótce

siedzieliśmy wszyscy wokół dymiącego ogniska, wpatrzeni w pyrkający wesoło kociołek. Już nie było zimno, a szarość dnia zaczynała ustępować miejsca kolorom.

– W sumie to moglibyśmy wrócić do tego pomysłu z kawałami – odezwał się Gramm. – Słyszeliście może, czemu rycerze mają krótkie kuśki?

Dowcip oczywiście nie miał żadnej sensownej puenty, bo chodziło w nim wyłącznie o wyprowadzenie z równowagi Urgo, przewrażliwionego w kwestiach związanych z płciowością. Rycerz natychmiast poczerwieniał i ze świstem wciągnął powietrze przez nos, ale w spojrzeniu, którym obdarzył rozradowanego Gramma, nie było złości.

– Bo odgniatają sobie w siodłach – oświadczył. – Podczas wypełniania bohaterskich misji, rzecz jasna. Natomiast dlaczego krasnoludom mało co rośnie, tego nie wie nikt.

Oto kolejna magiczna właściwość bigosu weselnego, pomyślałem z rozbawieniem, przyglądając się towarzyszom, którzy pokładali się wprost ze śmiechu. Urgo uśmiechał się szeroko, zadowolony z siebie, a Gramm trzymał palec w powietrzu, jakby się szykował do riposty, ale rehot pozostałych uniemożliwiał mu dojście do głosu.

– Alem się ubawił – oznajmił w końcu Żychłoń. Ściągnął wielką czapę i przetarł czoło z potu, a następnie klepnął Urgo w plecy.

– Jak to się stało, blaszaku, że załęgło się w tobie poczucie humoru, co? – spytał.

– Chyba za dużo czasu z wami spędzam – oświadczył rycerz.

– A co ty na to, Gramm? – Zwierzak spoglądał na krasnoluda z zaciekawieniem. – Zaprzeczysz? Bronić się będziesz? Czy potwierdzisz?

Gramm znów pogroził palcem i otworzył usta, jakby chciał tym razem dogryźć goblinowi, ale nie usłyszeliśmy ani słowa.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie chciał nam niczego pokazywać – mruknął Eliah.

Tym razem krasnolud również nie miał okazji, by się odciąć, bo wybuch śmiechu po tym nieoczekiwanym komentarzu elfa trwał tak długo, że w tym czasie bigos zdążył się zagotować.

Nałożyłem każdemu solidną porcję i docinki ustąpiły miejsca ciamkaniu, siorbaniu i westchnieniom zadowolenia. Bigos okazał się pyszny, chleb wciąż był świeży, a piwo idealnie zaspokoilo pragnienie.

– Synowie zapluty muflonów – wyrzucił z siebie Gramm i otarł usta. – Niewdzięczne prostaki, ścierwem karmione! Okazalibyście choć trochę szacunku memu ludowi, co? Wszak to mój ojciec na czele zwartego hufca z thanatów Gór Gwiżdżących walczył z trollami o waszą wolność!

– O ile dobrze pamiętam, sowicie go za to wynagrodzono. – Żychłóń wycierał miskę chlebem.

– No pewnie. – Gramm wzruszył ramionami. – Za darmochę miał taki kawał do was dyrdać?

Coś mnie tknęło. Upiłem potężny łyk piwa, dzięki czemu niewyraźna myśl okrzepła i ułożyła się w pytanie.

– Gramm – zacząłem ostrożnie – a wiesz ty może, co się stało z... zapłata?

Krasnolud znieruchomiał, jakbym poruszył temat, o którym wolałby zapomnieć.

– Jak to, co się stało? – spytał powoli.

– Rozumiem, że król Rotgier wywiązał się z umowy i zapłacił waszemu władcy? – ciągnąłem, wpatrując się w niego uważnie.

– Nie wiem, o co ci konkretnie chodzi, Kociołek – Gramm podniósł wzrok – ale chyba powinieneś wiedzieć, że gdyby wasz Rotgier próbował oszukać króla Eriga, ten zszedłby z gór i udzielił mu paru lekcji przyzwoitości.

– Nie wątpię – powiedziałem. – Nie wątpię też, że Rotgierowi by się to przydało. Czyli, innymi słowy, twój ojciec wrócił w góry z zapłata, tak? Z odmierzoną wedle umowy porcją trollich dusz?

Gramm wzruszył ramionami.

– Wszystko na to wskazuje – zmarszczył brwi, jakby próbował coś przywołać w pamięci – choć nie przypominam sobie, by ktokolwiek kiedykolwiek o nich mówił. Pewnie trafiły do królewskiego skarbcza, gdzie czekają na gorsze czasy. A może już zostały zużyte podczas walk ze Złym? Opowiadałem wam, że krasnoludy walczyły ze Złym, zanim ludzie się w ogóle dowiedzieli o jego istnieniu?

– Dziś jeszcze nie – westchnął Żychłóń.

– Coś ci chodzi po głowie, Kociołek. – Urgo wpatrywał się we mnie uważnie.

– Nie. Albo tak. Nieważne. Ciągle się zastanawiam, jak ugryźć problem z Rupertem, i nadal nie mam pomysłu – przyznałem, wpatrzony w kłęby dymu gromadzące się pod dachem szałas. – Chce ktoś dokładkę? Bo jeśli nie, to ruszajmy w drogę.

Wnet spakowaliśmy wszystko, co trzeba, i dosiedliśmy koni – a co poniektórzy jelonka. Chwilę później zaczęło padać.

*

Ulewa uderzyła w nas z zaciekłością, jakby złośliwe bóstwa pogody czekały na chwilę, gdy znajdziemy się wystarczająco daleko od domu, by nie móc już im umknąć. Zimny, nieprzyjemny deszcz błyskawicznie przemoczył mi płaszcz

i resztę odzienia i mogłem jedynie pochylić się nad końskim karkiem, brnąc naprzód, pośród licznych kałuż oraz wściekłych podmuchów wiatru, smagany bezlitośnie strugami wody.

Wnet nikt już nie pamiętał miłych chwil wokół ognia i garnka z bigosem. Przeklinałem w myślach pogodę, świat i własne pomysły do chwili, gdy straciłem resztki energii, po czym już tylko szczekałem zębami. Robiło się coraz ciemniej, a żywioły wcale nie łagodniały. Wyobrażałem sobie właśnie, że przyjdzie nam spędzić noc pod gołym niebem, gdy Zwierzak, który jakiś czas wcześniej wysforował się na czoło naszej grupki, zawołał coś głośno i wskazał kierunek.

– Co?! – krzyknąłem, bo szum ulewy stłumił jego słowa.

Goblin zawrócił kuca i podjechał do mnie.

– Karczma! – zawołał. – Chyba by wam się przydała, co?

Zadałem sobie w myślach pytanie, w jakich warunkach rodzą się, dojrzewają i żyją gobliny, skoro tak wściekła ulewa nie robi na nich szczególnego wrażenia, ale postanowiłem znaleźć rozwiązanie tej zagadki kiedy indziej, a sam, tknięty nagłą nadzieją, popędziłem konia. Wierzchowiec, rozbryzgując wodę z kałuż, wyłonił się z bukowego lasu, a moim oczom ukazała się szara tafla jeziora. Trakt otaczał je od północy i na powrót zagłębiał się w las, ale najważniejsze było to, że tuż przy brzegu, niedaleko niewielkiego pomostu z dwoma łodziami, rozsiadła się okazała karczma w otoczeniu kilku mniejszych zabudowań.

– Karczma! – ryknąłem z radością i popędziłem konia, a reszta drużyny runęła za mną niczym do szarży.

Przybytek nazywał się Pod Lipą, co w innych okolicznościach sprowokowałoby pewnie serię mało wybrednych rymowanek, ale zmordowani, mokrzy i przemarznięci nie byliśmy skorzy do żartów. Drzwi otwarły się przed nami szeroko, a na błoto podwórca padł bijący z wnętrza ciepły blask. Na progu stał gospodarz – tęgi mężczyzna z rozłożystymi ramionami i mocnym karkiem – który otaksował nas uważnie. Nie umknęło mojej uwadze, że prawą dłoń chowa za framugą, jakby coś tam trzymał. Wielką lagę na przykład.

– Niech Dola wam sprzyja! – zawołał przez szum ulewy. – Panowie, jak rozumiem, wypłacalni?

Amator, przeszło mi przez myśl. I całe szczęście. Jak się rozejdzie po traktach, że Pod Lipą najpierw zagłąda się w sakiewkę, a potem wpuszcza, pies z kulawą nogą tu nie zajrzy.

– Wypłacalni – warknąłem, zeskakując z końskiego grzbietu, jak na złość w sam środek głębokiej kałuży. – Chcemy się wysuszyć, ogrzać, zjeść coś i przespać się pod niecieknącym dachem.

– Toście dobrze trafili – rzekł karczmarz. – Lokal pusty, bo, wybaczenie panowie, ale trzeba mieć narąbane, by ruszać w taką pogodę. Odstawcie konie do

stajni, a ja napalę w saunie.

*

– Powinniśmy sobie, Kociołek, sprawić coś takiego – rzekł Żychłoń z błogim westchnieniem.

Jedynym źródłem światła w saunie była latarenka o zaparowanych szybkach. Kłęby pary co rusz przesłaniały mi twarze przyjaciół, ale i tak widziałem ich rozanielone uśmiechy. Nie dziwiłem się im wcale, bo sam czułem, jak w moje przemarznęte ciało na powrót wnika ciepło. Stopy mrowiły przyjemnie, płuca z każdym oddechem wypełniała miła wilgoć, a w mojej głowie zapanowała absolutna pustka.

Tak można było żyć.

– Akurat – bąknąłem. – Stawu rybnego nie potraficie wykopać, a sauna wam się marzy.

– Nigdy nam, Kociołek, nie wyjaśniłeś, po zarazę ci ten staw – mruknął gderliwie Żychłoń. – Gdy trzeba ryb, wysyłamy Zwierzaka nad Bździawkę i po sprawie.

– Już nie wolno – poskarżył się goblin.

– Nie przeszkadzaj. Zalety sauny zaś mogę ci wyliczyć od razu. Po pierwsze...

– Dobra, dobra. – Leniwym ruchem dłoni odegnałem sprzed twarzy kłęby pary. – W porządku, Żychłoń. Wybudujemy saunę.

– No, tuś mi brat! – Guślarz się rozpromienił. – Sława Gryfa poniesie się daleko, chłopie, bo kto by nie chciał się wyprażyć na okoliczność noclegu? Tutejszy gospodarz ma łeb na karku.

– Ocenię, jak skosztuję tej jego kaszanki i rozejrzę się po pokojach – wymamrotałem. Czułem coraz większe odprężenie, a niepokojące myśli jak dotąd trzymały się ode mnie z daleka. Nachodziła mnie ochota, by wyciągnąć się na drewnianej ławie i zdrzemnąć. – Taka sauna to nie wszystko, Żychłoń. Od lat siedzę w karczmarstwie i wiem, że decydujące jest pierwsze wrażenie. Tymczasem gość kazał nam samodzielnie oporządzać konie, a przywitał nas z pałą w garści...

– Skoro już o pałach mowa. – Gramm, któremu wilgoć rozcapierzyła brodę na wszystkie strony, podniósł nagle głowę. – Może byśmy sobie pomierzyli, co?

Otworzyłem szerzej oczy.

– Że co? Aż tak ci Urgo dopiekł?

– Nie, nie – wypalił pospiesznie krasnolud. – Ale jak będziecie takie bzdury wygadywać, to ten... No... Sprawa może się ponieść, a... a tego bym nie chciał. Trochę lojalności wobec rodaków to ja jeszcze mam!

– Gramm. – Żychłoń pochylił się i oparł łokcie na kolanach. Po jego masywnym, zarosniętym torsie spływały krople potu. – Czy tobie ostatecznie odpieprzyło?

Urgo, który krępował się wejść do sauny, a teraz tkwił w najdalszym jej kącie, owinięty ręcznikiem, jęknął żałośnie. Jego mina zdradzała, że gdyby wiedział, jakie konsekwencje pociągnie za sobą rzucony nieopatrznie dowcip, nie odezwałby się ani słowem.

– Oczywiście do zawodów przystępujemy na ochotnika – ciągnął Gramm z odzyskanym entuzjazmem. – Kociołka mógłbym honorowo zwolnić z udziału, bo dzieciaków narobił i pewnie się trochę zużył, ale całą resztę serdecznie zapraszam. Nadmienię, że jeśli ktoś będzie próbował się wykpić – wbił wzrok w Urgo – przyzna się tym samym do porażki.

Elijah westchnął przeciągle i ruszył w stronę drzwi.

– A ty co?! – zawołał za nim krasnolud. – Akurat teraz postanowiłeś się wynieść?

Elijah nienawidził przebywania w zamkniętych pomieszczeniach i samo to, że zdecydował się wleźć w ślad za nami do dusznej klitki, mówiło wystarczająco wiele o tym, jak bardzo przemarzył na trakcie. Z drugiej strony zrzućcie z siebie ubrania przyszło mu łatwiej niż reszcie z nas, nie licząc może Zwierzaka, który o noszeniu ciuchów zaczynał poważniej myśleć dopiero późną jesienią. W królestwie elfów panowała spora dowolność w kwestii przywdziewania ubioru, co Elijah nieświadomie przejął i równie nieświadomie kultywował w Gryfie, przynajmniej do czasu, kiedy kazałem mu zakładać koszulę w towarzystwie kobiet. Miałem się za dobrego szefa i hojnie wynagradzałem służbę, ale odnosiłem niejasne wrażenie, że młodzi ludzie obojga płci garnęli się do pracy w karczmie w nadziei na to, że nieprzyzwoicie przystojny elf znów zapomni się ubrać.

Teraz Elijah zatrzymał się przy drzwiach, położył dłoń na klamce i spojrzał na Gramma z pobłażaniem.

– Nigdzie się nie wynoszę – wyjaśnił. – Idę poszukać miarki.

– Miarki? – Zwierzak uniósł głowę. – Po co będziesz po zimnie łaził? Mój palec mierzy dokładnie...

– Nie! – zawołał Urgo piskliwym głosem, podrywając się z ławy. – Dostyc tego! Wynocha wszyscy! Gospodarz powiedział, że po wyprażeniu się mamy wszyscy wskoczyć do jeziora! Wszyscy, kurwa mać! Już!

Oszołomiony patrzyłem, jak rycerz przypada do drzwi i otwiera je na oścież. Kłęby pary zatańczyły w powietrzu, gdy do środka wpadł zimny podmuch, ale Urgo to nie powstrzymało. Kopniakiem wyrzucił na zewnątrz Eliaha, potem złapał Zwierzaka i posłał go w mrok za elfem, a na końcu złapał za karki

Gramma i Żychłonia, po czym wywłókł ich na zewnątrz, ignorując wściekłe protesty.

– Mnie zostaw w spokoju! – zawołałem. – Ja się już zużyłem.

Jedyną odpowiedzią Urgo było trzaśnięcie drzwiami.

Wyciągnąłem się na ławie i przez chwilę słuchałem niktających w oddali wrzasków, wieńczonych pluskiem wody jeziora. Gorąco błyskawicznie zdusiło powiew chłodu z dworu, a pokusa, by przymknąć powieki, stała się trudna do odparcia.

Gdy tylko to uczyniłem, przed oczami zatańczyły mi osobliwe obrazy, niezwiązane ani ze sobą, ani z rzeczywistością. Zapadałem w sen, błogi i niewinny.

Skądś dobiegło cichutkie trzaśnięcie drzwiami, a potem szelest przypominający ten, z którym suknia Sary osuwała się na podłogę podczas naszych upojnych nocy. Uśmiechnąłem się bezwiednie, wciąż nie otwierając oczu, i nagle ogarnął mnie niepokój.

Co się z nią działo? Czy dalej jest wściekła? Czy się boi? Czy nic jej nie grozi?

Poczułem falę tęsknoty tak przemożnej, że byłem gotów zerwać się z gorącej ławy, ubrać i pognać do domu, wbrew ulewie, jesiennej nocy, własnym planom i zdrowemu rozsądkowi.

Oprzytomniałem uderzenie serca później, gdy w saunie skrzypnęła deska pod czyjąś stopą. Podniosłem się nieco, otwierając oczy, ale kłęby pary, gęstsze niż przed chwilą, przesłoniły mi widok.

– Wiem, że już tu jesteś – szepnął kobiecy głos. – Ubiegłeś mnie. Aż tak się stęskniłeś?

Zdębiałem. Rozległo się kolejne skrzypnięcie. Nikły blask zaparowanej latarenki wydobyl z kłębow pary szczupłą sylwetkę.

– Nigdzie nie widziałam konia. Czyżbyś pieszo tu przybył? Aż tak ci zależy?

Cichy śmiech zadowolenia. I nowe skrzypnięcie. Sylwetka stała się na tyle wyraźna, bym nie miał już wątpliwości, że to kobieta, i to bardzo młoda. I bardzo naga.

Byłem tak zaskoczony, że nie umiałem wykrztusić słowa.

– Rozumiem – szepnęła zmysłowo. – Bo mnie też zależy. Pojęcia nie masz, jak bardzo. Całymi nocami myślę o twoich ramionach i o tym, jak...

Jej głos nagle ochrypl i urwała, ale zanim to nastąpiło, zrozumiałem, że chyba go znam. Że gdzieś go już słyszałem, choć wykrzykiwała nim wówczas głównie obelgi i groźby. Obleciał mnie paniczny strach. Zerwałem się, odruchowo przytrzymując ręcznik w strategicznych miejscach.

– Ale ja... – wybełkotałem. – Ja tylko... Ja wcale nie...

Kobieta przystanąła. Była już na tyle blisko, bym nie miał najmniejszych wątpliwości. Widziałem okrągłą twarzyczkę upstrzoną piegami, ciemne włosy, wąskie brwi oraz niebieskie, wiecznie zmrużone oczy.

Matylda. Córka księcia Ruperta.

Widziałem, jak otwiera szeroko usta. Nie dowiedziałem się nigdy, czy była skrajnie zaskoczona, czy też chciała przeraźliwie wrzasnąć, bo w tej samej chwili drzwi do sauny otworzyły się szeroko, a podłoga zadudniła pod ciężkimi krokami. W zaparowanym wnętrzu pojawiło się kilka postaci, wielkich i groźnych.

– Mamy go! – zawołał ktoś chrapliwie. – Mamy gaszka! To się księżę pan ucieszy!

Ten głos też znam, przyszło mi do głowy, gdy rzucałem się do ucieczki, tyleż panicznej, co beznadziejnej. Któryś z przybyszów złapał mnie bowiem w pól i podciął, inny zasadził mi kopa w żołądek, jeszcze inny przygniótł mnie kolanami.

– Bić gnoja! – rozbrzmiał nowy głos, młodziutki, piskliwy, ale pełen pasji. – Będzie się z łapami do księżniczki pchał! Fagas bezczelny! Bić, powtarzam!

Któryś z żołdaków posłuchał, a ja zwinąłem się z obezwładniającego bólu. Byłem świadom, że Matylda zaczęła w końcu wrzeszczeć, zdawałem sobie też sprawę, że mężczyźni usiłowali ją ubrać i wyprowadzić, z czego skorzystał Piskliwy Głosik i wymierzył mi kopa w newralgiczne miejsce.

– Będziesz się tu, kurwa, szarogęsił, ty... – wycedził, łapiąc mnie za włosy, ale wtedy ktoś go odciągnął. Kątem oka widziałem, że młodzieniec się zatoczył i uderzył w ścianę, a mnie świat przysłonił ktoś inny, znacznie potężniejszy i bardziej złowrogi.

– Znów się spotykamy – powiedział z niekłamanym zachwytem sir Valdan. – Kociołek, o ile dobrze pamiętam?

5

Plusem mojej nowej sytuacji było to, że zmierzałem w stronę księcia Ruperta, i to szybciej, niż sądziłem, bo ludzie sir Valdana wyruszyli niemalże natychmiast po tym, jak wrzucili mnie do furgonu i zatrzasnęli za mną drzwi.

Za kolejną korzyść należało uznać, że furgon był zadaszony, a oprawcy cisnęli do środka moje ubranie, które zdążyło nawet podeschnąć.

Chyba należało się też cieszyć z tego, że moi przyjaciele nie zdążyli rzucić mi się na ratunek. Nie miałem pojęcia, czy któryś z nich w ogóle był świadkiem zajścia – ludziom sir Valdana zależało najwyraźniej na czasie – ale pięciu nawet najbardziej zdeterminowanych golasów nie miało większych szans w starciu z dobrze uzbrojoną eskortą.

Poza tym, mimo najszczerzych chęci, pozytywów już nie widziałem.

Ubrałem się, co w podskakującym furgonie wcale do łatwych zadań nie należało, a potem rozsiadłem się w kącie i pogрузyłem w ponurych rozmyślaniach.

Wszystko wskazywało na to, że księżniczka Matyllda wcale nie była taką smarkulą, za jaką ją miałem, i umówiła się na schadzke z kimś, kogo obdarowywała czymś znacznie konkretniejszym niż powłóczyście spojrzenia. Księżę najwyraźniej nabrał podejrzeń i posłał w ślad za córką zaufanego rycerza, by pojmał gacha i przywiódł przed jego oblicze. Pech jednakże chciał, że ów zaufany pochwycił niewłaściwego człowieka – czyli mnie – a że miał z nim swego czasu na pieńku, ani myślał go wypuścić.

Na to, że zrobi to Rupert, również nie liczyłem. Księżę Sokolnika miał teraz jeszcze jeden powód, by potraktować mnie z całą surowością, a o tym, że wysłucha ostrzeżeń przed Złym, mogłem właściwie zapomnieć.

Mój szlachetny zamysł uratowania świata właśnie wziął w łeb tylko dlatego, że znalazłem się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiedniej chwili. Może nie

powinienem był wcześniej obrażać sir Valdana? Może wówczas udałoby mi się przemówić mu do rozumu? Zaraza, co za pech! Co za cholerny, pieprzony pech...

Przebywanie w niewoli było w zasadzie nieodłącznym elementem naszych przygód i nikogo z nas już nie zaskakiwało, że raz na jakiś czas ktoś zatrzaskiwał za nami zakratowane drzwi. Znalazłem się już w celi w Dymie, w podziemiach Świątyni Doli Pokrzepiającej i w sieci kłobuków, ale jak dotąd zawsze udawało mi się jakoś wyrwać na wolność, a to dzięki łutowi szczęścia, a to znów dzięki pomocy któregoś z przyjaciół, który akurat wymknął się oprawcom. Teraz nie mogłem już na to liczyć. Ba, miałem wrażenie, że gdybym uciekł, potwierdziłbym tylko swą winę i siepacze pałającego żądzą zemsty Ruperta ruszyliby prosto do Gryfa, zdeterminowani jeszcze bardziej niż do tej pory.

Jakkolwiek głupio by to zabrzmiało, musiałem zostać w niewoli. Musiałem też liczyć na to, że w ten czy w inny sposób uda mi się przemówić Rupertowi do rozumu.

Uklęknąłem. We wnętrzu furgonu, który trząśł się niemiłosiernie, panowała niemalże całkowita ciemność, a więc nie miałem nawet jak się rozejrzeć. Ostrożnie obmacywałem ściany, aż dotarłem do drzwi. Moje palce natrafiły na grube, przerdzewiałe zawiasy, a potem odkryły niewielkie zakratowane okienko. Podniosłem się i wyjrzałem na zewnątrz.

Za furgonem podążało dwóch zbrojnych. O ile dobrze zapamiętałem, dwóch kolejnych jechało z przodu, a eskortę wzmacniał woźnica. Wyglądało więc na to, że książę Rupert poważnie podchodził do sprawy. Ucieczka, a już tym bardziej walka nie wchodziłyby w grę, nawet gdybym się nosił z takim zamiarem.

Na szczęście dla tych drani ulewa już się skończyła. Ale wiatr bynajmniej się nie uspokoił. Nagłe podmuchy podrywały płaszcze mojej eskorty i targały drzewami rosnącymi wzdłuż drogi, niemiłosiernie potrząsały także furgonem, i tak już podskakującym na wybojach. Konie zwieszały łby, kopyta grzęzły w błocie. Jeden z jeźdźców zachrapał w siodle.

Wtem za dwoma strażnikami zamajaczyła jeszcze jakaś postać, jeździec w płaszczu i kapelusiku z piórem, który przytrzymał za każdym razem, gdy wiatr powiał mocniej. Zaintrygowało mnie to – przecież każdy, kto myśli praktycznie, schowałby taki kapelusz do sakwy albo zgoła cisnął go w krzaki. Istniał tylko jeden rodzaj człowieka, który był gotów walczyć z żywiołem o nieskazitelność swego wizerunku w środku nocy na błotnistym trakcie. To odkrycie podsunęło mi pomysł.

Jeśli istniało coś, w czym całkowicie zgadzałem się z moją teściową, było to jej święte przeświadczenie, że osiągnąłem mistrzostwo świata w udawaniu idioty.

W istocie, stanowiło to moją ostateczną i niezawodną broń, a teraz zamierzałem z niej skorzystać.

– Sir Valdanie! – zawołałem w kierunku jeźdźca w kapeluszu. – Dobry panie rycerzu! Sir Valdanie!

Jeździec pochylił się do przodu, przytrzymując nakrycie głowy, by przyjrzeć mi się uważniej. Zbrojny jadący bliżej mruknął coś pod nosem i splunął w błoto.

– Sir Valdanie! – nie ustawałem. – Rzec wam coś muszę! Coś związanego z waszym wujem!

– Zamknij już gębę, co? – burknął jeden ze zbrojnych.

– Wiecie może, czemu wuj Otto chodzi ostatnio taki marudny? Ano to mus wam wiedzieć, że z dziewczką pewną się pokłada i tryprem się od niej...

– To nie Valdan! – prychnął drugi członek eskorty. – Valdan został w karczmie z resztą chłopaków. Niby woli z księżącą córką jechać za dnia, ale po mojemu to dupsko chce sobie wygrzać w saunie.

– Skurwiel – stwierdził jego towarzysz i kichnął donośnie, a potem znowu. Hałaśliwie wytarł nos w rękaw. – A ty nie gadaj o tryprze, bo mam złe wspomnienia.

Powiał mocniejszy wiatr. Jeździec zmierzający za nami w ostatniej chwili ocalił kapelusz.

– To nie sir Valdan? – Wybałuszyłem oczy z udawanym zdziwieniem. – Czyli kto, panie sierżancie?

Był to jeden z najtańszych znanych mi chwytów, ale działał nadspodziewanie często. Zbrojny nazwany sierżantem, ignorując kpiące prychnięcie towarzysza, wyprostował się w siodle.

– A zaraza go wie – stwierdził. – Jedzie za nami od karczmy. Po mojemu to chyba ciemności się boi!

– Czyli nie przyjechał z wami z Sokolnika? – spytałem. Na chwilę zapomniałem, że miałem udawać głupka, ale chyba nie wzbudziłem niczyjej podejrzliwości.

– Gdzie tam! – prychnął zbrojny. – My proste chłopaki jesteśmy. Gdzie nam do takiego fircyka w kapeluszu, co to tak się pachnidłami skropił, że nawet koniom się zbiera na kichanie!

– Zgadza się. – Zachichotałem. – Aż tutaj go czuć. Fuj, ale daje!

Kolejnym moim talentem, którego już teściowa jakoś nie raczyła zauważyć, była jakże przydatna w branży karczmarzkiej umiejętność rozmowy z dosłownie każdym o dosłownie wszystkim.

– Ciekawe, że ci, co robią pachnidła, same jakieś smrody butelkują – ciągnąłem. – Kompletnie nie znają się na tym, co dobre. Przecież każdy wie, że najlepszy zapach na świecie to pieczywo o świcie. Z masełkiem, czosneczkim

i świeżym pomidorkiem, no nie? A co powiecie na zapach jajecznicy ze szczypiorkiem, takiej na bekonie? Jest coś lepszego na świecie?

– Zżarłbym całą patelnię! – zarechotał zbrojny, a jego kolega pokiwał głową.

– Zamknęlibyście już gęby, co?! – ryknął woźnica. – Głodny się robię od samego słuchania!

– Każdego już chyba ssie w żołądku – przyznałem z powagą. – Zaraza, chłopaki. Gdyby to inne czasy były, zaprosiłbym was do siebie i ugościł po królewsku. Karczmę prowadzę, wiecie? W Wichrowinach, w połowie drogi między Wichrem a Kozibrodem.

– Kuzyn był. – Woźnica wyraźnie się ożywił. – Mówił, że niezłego pstrąga jadł. Na masełku.

– Człowieku, toż to koronne danie mojej żony! Ja ostatnio głównie w zupach siedzę. Dyniową zrobiłem taką, że palce lizać. Grzybowa też mi niezła wychodzi, gulaszowa całkiem, całkiem. A o bigosie z boczniaków słyszeliście?

– Moja stara robi – wtrącił któryś ze strażników na czele. – Sama, powiem wam, do lasu dyrda i znosi tych grzybów całe wiadra, ale bigosik smaczny! Aż się morda śmieje na samo wspomnienie!

– Zjadłoby się cosik – zarżał woźnica. – Na przykład bigosik!

Kilku zbrojnych zachichotało, ale przerwał im czyjś jęk zgrozy:

– Ale jak to? Bigos z boczniakami?

Strażnicy podzielili się na obozy zwolenników i przeciwników bezmięsnego bigosu, po czym gładko przeszliśmy do tematu soczewicy, dzikiego chrzanu i osobliwej zdolności ziemniaków do wyrastania dosłownie wszędzie. Zżywieniem dyskutowaliśmy o konserwowaniu ogórków, pouczyliśmy woźnicę, że nie ma to jak ciasto z rabarbarem, wreszcie zajęliśmy się wymienianiem wszystkich domowych sposobów na zatwardzenie. Rechotaliśmy przy tym, jakbyśmy się znali od lat, a przez cały ten czas jeździec w kapeluszu przybliżał się coraz bardziej. W pewnym momencie gdzieś między drzewami poniósł się krzyk sowy, na co nieznamy obejrzał się trwożliwie, o mało nie gubiąc kapelusza, i odruchowo popędził konia, aż ten niemalże zrównał się z wierzchowcami strażników.

– Słuchajcie, długo jeszcze będziemy tak jechać? – spytałem, gdy ucichły śmiechy po kawale o kapłanie Doli, któremu zbierało się na numer dwa na widok zapisanego pergaminu. – Przystało już padać. Otwórzcie mi ten nieszczęsny furgon, a upichcę wam coś pysznego!

– Sir Valdan będzie wielce niezadowolony, jeśli wypuścicie więźnia! – odezwał się niespodziewanie jeździec w kapeluszu. Mówił, co nie zaskoczyło mnie wcale, piskliwym głosem, który nie zdążył jeszcze zgrubieć z wiekiem.

– Coś podobnego. – Jeden ze zbrojnych spojrział na niego niechętnie. – A tyś co za jeden?

– Jestem Quelian Korneliusz z rodu Rosomaków! – oświadczył tamten z dumą. Zaciśnąłem powieki.

– I wiem, co mówię – ciągnął chłopak. – To niebezpieczny więzień, oskarżony o... o gwałt na następczyni tronu! Nie powinniście wypuszczać go z furgonu ani na chwilę!

– Z tego, co widziałem, do żadnego gwałtu tam nie doszło, jakem Kania – stwierdził strażnik. – Nawet, biedaczysko, obmacać jej nie zdołał. A ty, fircyku, nie będziesz mi mówił, co mam robić.

– Trochę racji w tym jest – powiedziałem z udawaną troską. – Sir Valdan to służbista. Wstanie skoro świt, podje sobie, piwa się napije i rychło na koń siądzie, a przed bramami się z wami zrówna.

Celowo dobrane słownictwo wywarło należyty efekt. Kania się najeżył i znów splunął w błoto, a potem wycedził:

– Za jakąś milę będziemy w Pokrzywie. Znam tam pewnego kupca, co to nawet po ćmoku sprzeda nam wszystko, co będziemy chcieli. Usmażysz nam pstrąga, więzień?

– Usmażę.

– A za co kupisz tego pstrąga, co? – W głosie woźnicy nadzieja mieszała się z powątpiewaniem.

– Młody nam postawi – oświadczył Kania i klepnął fircyka w plecy, aż temu kapelusz się zsunął na czoło. – Co nie? Chyba że chcesz sam traktem po ciemku wracać?

*

Perspektywa roztoczona przed młodym Rosomakiem wstrząsnęła nim do tego stopnia, że oprócz koszyka ryb, masła i przypraw zafundował towarzystwu jeszcze trzy flaszki samogonu, za co zebrał klepnięcie w plecy od każdego z członków eskorty. Zatrzymaliśmy furgon w sosnowym zagajniku w pobliżu przydrożnej świątynki. Była to prosta budowla o drewnianych ścianach i skośnym, również drewnianym dachu, która kryła męskie wyobrażenie Doli. W blasku pochodni Kani ujrzałem, że rysy posągu, przedstawione bez większego polotu, zdążyły już rozmyć upływ czasu, ale tak czy owak jego obecność poprawiła zbrojnym nastrój. Wnet przed świątynką zapłonęło ognisko, a Kania z namaszczeniem otworzył drzwi furgonu.

– A właściwie to jak cię zwać? – spytał z wahaniem.

– Rodzice dali mi Edmund, ale wszyscy i tak na mnie Kociołek wołają – odpowiedziałem najszczerzej, jak umiałem.

– Niech będzie Kociołek – rzekł strażnik i groźnie zmarszczył brwi. – Wiesz, co ci zrobimy, jak spróbujesz uciec?

– Nie wiem i nigdy się tego nie dowiem, bo o żadnej ucieczce nie ma mowy – zapewniłem i wyskoczyłem z furgonu. – Pewnie dziwnie to zabrzmiało, ale mam do pogadania z księciem Rupertem, a na pusty żołądek robić tego nie będę.

– To ci frant. – Kania zachichotał. – No, to bierz się do roboty.

Burza zdawała się mijać. Wiatr nieco osłabł i choć sosny raz po raz ugięły się pod jego naporem, my, siedząc wśród korzeni drzew, niemalże nie czuliśmy jego mocy. Ogień płonął jasno, a ciemne chmury nad nami tu i ówdzie rzedły, odsłaniając już pojedyncze gwiazdy. Kucałem i patroszyłem pstrągi w blasku płomieni, słuchając przekomarzań i żartów eskorty, a spojrzenie umykało mi ku Quelianowi, który rozsiadł się wśród strażników z miną nuworysza świeżo awansowanego do tajnej rady.

– No to, chłopaki – Kania z wprawą odbił łokciem butelkę samogonu – w czasie jak nasz nowy przyjaciel będzie się zajmował kolacją, proponuję wznieść toast za dzielnego sir Valdana, który zawsze jest gotów dzielić z nami trudy żołnierskiego życia! Dawać czarki! Ty nie, młody, bo się zrzygasz.

Kątem oka ujrzałem nieudolnie skrywany, dramatyczny zawód na twarzy młodego Rosomaka, spotykany jedynie u przewrażliwionych młodzieńców, którzy naprawdę uwierzyli w to, że wkroczyli w dorosłość.

– Panu kucharzowi również poleć! – nakazał Kania. – Zaraza, czarki nie mamy. Z gwinta se, Kociołek, golnij.

– Mowy nie ma. – Pokręciłem głową, smarując patelnię tłuszczem. – Kucharz nigdy nie pije w pracy. Taki mamy kodeks.

– Ale za wasze zdrowie pić można? – upewnił się Kania.

– Nawet wypada!

Ciąg dalszy spontanicznej biesiady, przebiegającej pod okiem pokracznego posągu Doli, był łatwy do przewidzenia. Strażnicy, utrudzeni drogą, późną porą i walką z ulewą, pospiesznie osuszyli pierwszą flaszkę, co osłabiło ich czujność, sprawiło, że zaczęły plątać im się języki, i zaostrzyło apetyt. Następnie zjedli pstrągi, które, zważywszy na okoliczności, udały się całkiem dobrze, wynagrodzili moje trudy serią toastów, wybełkotali kilka komplementów oraz mało oryginalnych spostrzeżeń na temat prokreacji, po czym jęli zasypiać.

Wnet zapadła cisza, przerywana jedynie cichym trzaskiem ogniska i odległym pohukiwaniem sów. Posłuszny wieloletniemu przyzwyczajeniu, dokładnie wyszorowałem patelnię i spakowałem ją do juków Kani, a potem ująłem trzecią

butelkę, na szczęście nie do końca opróżnioną, i nalałem sobie gorzały. Spojrzałem na młodziana.

Quelian Korneliusz z rodu Rosomaków popatrywał na mnie z ognistą nienawiścią.

– Przejrzałem twój plan! – powiedział piskliwie. – Upiłeś ich wszystkich, by móc uciec, tak? Na szczęście ja wciąż tu jestem! – Zacisnął przy tym dłoń na rękojeści kordzika.

Zamknąłem oczy i wychyliłem zawartość czaraki. Zapiękło, jakbym sobie wsunął pochodnię do ust.

– Sami się upili – wyrzęziłem. – Ja ich do niczego nie zmuszałem, a wódkę, o ile dobrze kojarzę, kupiłeś ty. Ktoś mógłby więc ciebie oskarżyć o współudział w ucieczce.

Quelian poczerwieniał aż po czoło.

– Na twoje szczęście, młody, nigdzie się nie wybieram.

– Powstrzymałbym cię! – zawołał chłopak.

– Och, nie wątpię – zgodziłem się. – Wyglądasz na takiego, co to potrafi się skutecznie ucześcić rękawa.

– Chcesz posmakować mego gniewu? – Pisk wszedł w rejestr, na którym ledwie odróżniałem od siebie słowa.

– Usiądź, młody – warknąłem. – I zamknij się, bo głowa mnie boli od tego twojego piania. – Nalałem sobie jeszcze jedną czarę, wychyliłem ją i spojrzałem na Queliana. Jego poczerwieniała z oburzenia i wstydu twarz migotała w rozgrzanym powietrzu.

– Pogadać musimy – dodałem. – Masz, chlapij sobie.

Podąłem mu butelkę. Młodzian wyciągnął korek zębami, splunął nim zamasyście na ziemię, ujął mocno butelkę za szyjkę i pociągnął tego z gwinta. Odczekałem cierpliwie, aż odzyska zdolność i ochotę do budowania zdań, po czym spojrzałem na kołyszące się lekko drzewa i rzuciłem od niechcienia:

– Głupio wyszło, co?

– Z czym? – wychrypiał chłopak.

– No, z Matyldą.

– Nie wiem, o czym mówisz – rzekł sztywno Quelian.

– Przestań gadać od rzeczy. Nie trzeba być mędrce, by się domyślić, o co tu chodzi. Macie się z księżącą córeczką ku sobie i wymykacie się za Sokolnik, by się migdalić – powiedziałem, ponownie wpatrując się we wstrząśniętego chłopaka, który otwierał usta i zaraz je zamykał. – A wczoraj przytrafił ci się zarówno pech, jak i wielki fart. Pech, bo księżę Rupert najwyraźniej się połapał, że Matyldzie amory w głowie, i posłał w ślad za nią swego ulubionego psa

gończego. Fart, bo się spóźniłeś i sir Valdan wywlókł z sauny mnie zamiast ciebie.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Quelian milczał.

– Żałuję tylko tego, że Matylda nie weszła do sauny jakiś kwadrans wcześniej.

– Czemu? – wychrypiał chłopak.

– Załapałaby się na przygotowania do pewnych zawodów. Nieważne, chłopcze. Rozumiem, że jak dotąd nie popełniłem błędu w analizie – ciągnąłem, wpatrując się w niego uważnie. – Nie pomyłę się zapewne również i w tym, że nie starczyło ci odwagi, by pozostać przy Matyldzie, a więc ruszyłeś w ślad za nami.

– Ja i Matylda bardzo się kochamy! – zapiszczał młodzieniec.

– Nie wątpię. W związku z tym zapewne nie przestajesz myśleć o tym, co takiego powiem, gdy stanę przed majestatem księcia Ruperta, prawda? Co będzie, jak padnę przed nim na kolana i zacznę tłumaczyć, że to przecież nie ja jestem jej gachem, bo przez ostatnie dwa miesiące nie wyściubiłem nosa poza własną karczmę, na co mam armię świadków.

Chłopak zauważalnie pobladł.

– Co będzie – ciągnąłem z udawaną obojętnością – jak zacznę opowiadać o niejakim Korneliuszu w śmiesznym kapeluszu, he, he, he! Który to Korneliusz, wystrojony i wypachniony, pojawił się w gospodzie Pod Lipą w chwili, gdy mnie z niej wywlekano? Jak myślisz, co robi wtedy książę, Quelian? Zaraz, ty naprawdę masz tak na imię? – Skrzywiłem się.

– Nie – bąknął młodzieniec. – Wymyśliłem je sobie.

– No tak. Moja żona miała jednak rację.

– Z czym?

– To całe dojrzewanie dzieci okaże się niezłą harówką. A wracając do tematu, młody, zastanawiałeś się nad tym, co teraz będzie?

Quelian alias Korneliusz wpatrywał się w płomień. Nie odezwał się ani słowem, ale miałem wrażenie, że pobladł jeszcze bardziej. Któryś ze strażników wymamrotał coś przez sen, inny pierdnął donośnie.

– Posłuchaj mnie, młody – powiedziałem, opierając łokcie na kolanach. – Nie mam najmniejszego zamiaru stąd uciekać ani też dzielić się z kimkolwiek swoimi odkryciami. Mam problemy o wiele poważniejsze niż twoje miłostki, i to o nich będę rozmawiać z księciem Rupertem. Wyłącznie o nich. – Spojrzałem na niego ostro. – Chyba że chcesz, bym wspomniał coś o was? Może się spieszysz z oświadczeniami czy coś?

Twarz chłopaka stała się równie blada jak niepełna tarcza księżycy, który właśnie wyrzał zza postrzępionej chmury.

– N-nie... – wymamrotał.

– Dobra. To opowiedz mi co nieco o tym, czym zajmuje się twój ojciec. Bo słyszałem, że podobno ruszył w teren na czele zbrojnej drużyny.

*

Chłopak opowiadał długo i nieskładnie, mimo to zdołałem wyłowić z potoku jego słów parę intrygujących konkretów. W końcu, gdy zaczął się rozwodzić nad żyznością rodowych gleb, kazałem mu się zamknąć i posłusznie wskoczyłem do więziennego furgonu, by powrócić do roli przyzwoitego więźnia – i osłonić się przed wiatrem. Owinąłem się kocem, skuliłem w kącie i zagłębiłem się w rozmyślaniach.

Wcale nie byłem pewien, czy Rupert posłucha głosu rozsądku i da się przekonać, że nic mnie nie łączy z jego córką – nie ceniłem wysoko ani jego inteligencji, ani dystansu do rzeczywistości. Wiedziałem, że wpadłem w gnojówkę po uszy, mimo to nadal uważałem, że ucieczka obróciłaby się przeciwko mnie. Nie dość, że byłaby formą przyznania się do winy, to jeszcze oddaliłaby ode mnie szansę na rozmówienie się z księciem.

Po tym, co właśnie usłyszałem od młodego Rosomaka, pozwoliłem sobie żywić nadzieję, że rozmowa z Rupertem okaże się łatwiejsza.

Paradoksalnie tym, co mogło pokrzyżować moje plany, byłoby pojawienie się Żychłonia i reszty drużyny. Chłopaki na pewno zorientowały się, że zostałem porwany, i niewykluczone, że planowały jakąś akcję ratunkową, co mogłoby odnieść katastrofalne skutki. W zasadzie powinienem się zastanawiać, dlaczego jeszcze mnie nie odbili. Przecież Zwierzak i Eliah byli niezłymi tropicielami, a więc bez trudu mogliby odnaleźć nasz ślad, a obezwładnienie przejezdzonej, pijanej i rozspanej eskorty nie stanowiłoby większej trudności nawet dla moich dzieciaków.

Nie pojawili się jednak, co oznaczało, że być może podjęli jakieś działania w okolicy karczmy Pod Lipą. Snułem w myślach rozmaite scenariusze, a od niektórych przechodziły mnie ciarki. Istniało wszak prawdopodobieństwo, że obezwładnili sir Valdana oraz jego eskortę i pochwycili Matyldę, by dokonać wymiany więźniów. Nie istniało chyba gorsze rozwiązanie.

Obiecałem sobie w duchu, że już nigdy, przenigdy nie zostawię tych baranów samopas, teraz jednak pozostawało mi jedynie czekać. Niestety każda upływająca minuta ciszy utwierdzała mnie w przekonaniu, że chłopaki odwaliły coś, co zemści się na nas w sposób straszny.

Drzwi od furgonu naraz drgnęły i do środka wczołgał się zziębnięty Korneliusz.

– Wieje jak cholera – oznajmił, szcękając zębami. – I straszno tak jakoś. Można?

Przyszło mi do głowy, że jeszcze nie słyszałem, by ktoś prosił więźnia o wpuszczenie do jego celi, ale w sumie w czym mi to mogło zaszkodzić? I tak zająłem najwygodniejszy kątek.

Niedługo później zasnąłem.

*

Obudziłem się z poczuciem, że coś jest mocno nie tak.

Rozchyliłem powieki i uświadomiłem sobie, że śpię w kącie zadaszzonego wozu, w którym jedynym źródłem światła jest zakratowane okno w drzwiach. W sumie to właśnie powinno być odpowiedzią na moje wątpliwości, ale skądś wiedziałem, że chodzi o coś więcej.

Po nocy spędzonej w ciasnym kącie moje ciało było zdrętwiałe i zziębnięte, przez co każdy, nawet najmniejszy ruch zeszywniałych kończyn okazywał się nader bolesny. Mimo to podniosłem się na kolana. Przemieszczałem się powoli i ostrożnie, by rozklekotany furgon więzienny nie drgnął na skutek nieostrożnego ruchu. W końcu zdołałem wstać, przenieść nogę nad wciąż śpiącym młodzianem i zbliżyć się do drzwi.

A wtedy zamarłem.

Ognisko dawno już zagasło, ale szara poświata nadchodzącego świtu zdradzała już to i owo. Ujrzałem więc, że większość mojej eskorty przeniosła się do świątynki, by dalej spać pod ciepłym okiem nieforemnego Doli. Na zewnątrz pochrapywał jedynie Kania, owinięty kocami i baranymi skórąmi.

I nad nim właśnie się ktoś pochylał.

Zabrakło mi odwagi, by krzyknąć, nie mówiąc już o wyskoczeniu z furgonu. Zdjęty zgrozą patrzyłem na nieznanego, który wyciągał właśnie rękę ku mojemu strażnikowi. Nie umiałbym opisać wyglądu przybysza, głównie dlatego, że najwidoczniej....

Nie miał ciała.

Przez jego sylwetkę, wąską i zamazaną, prześwitywał pień pobliskiego drzewa.

– Gdzie jest księżniczka? – szepnęła zjawa, choć jej usta wcale się nie poruszyły.

– Została z sir Valdanem – odparł cicho Kania, choć nie otworzył przy tym oczu. Miałem wrażenie, że nadal śpi. – Książęcym rycerzem. W karczmie Pod Lipą niedaleko stąd. Rano mają wyruszyć w drogę do Sokolnika.

Obcy cofnął dłoń i się wyprostował, a potem odszedł. Widmowy wiatr unosił jego płaszcz, choć czarny pień nadal przeświecał przez ciało. Kania zachrapał i przewrócił się na bok.

Nie wiem, ile czasu minęło, nim się otrząsałem, ale gdy to wreszcie nastąpiło, pozwoliłem, by panika zawładnęła mną w pełni.

– Wstawać! – zawołałem, wyskakując na zewnątrz. – Wstawać, ochlapusy! Księżniczka w niebezpieczeństwie! Sir Valdan również!

Przypadałem od jednego strażnika do drugiego, szarpałem ich, kopałem, próbowałem ocucić. Niemrawo podnosili już głowy, kręcili nimi, próbując strząsnąć z siebie resztki ciężkiego, pijackiego snu, i usiłowali rozprostować zeszywniałe kończyny, a każdy spoglądał na mnie z niedowierzaniem i oszołomieniem. Ja zaś nie ustawałem.

– Kania! – Przypadłem do szefa eskorty, złapałem go za poły kurty i targnąłem parokrotnie, zmuszając do otwarcia oczu. – Kania, obudź się, do cholery! Pamiętasz coś? Co pamiętasz?

– Ja pieprzę – wychrypiał ochroniarz. – Że co? Znowu coś po pijaku wywinąłem?

Syknałem i zacisnąłem powieki.

– Posłuchaj, wiem, że to zabrzmii nedorzecznie, ale czy... Czy pamiętasz jakąś rozmowę? Pamiętasz kogoś, kto się nad tobą nachylał i pytał, gdzie jest Matylda?

– Ktoś tu był? – Kania rozejrzał się, ale dostrzegł jedynie swoich kompanów oraz młodego Rosomaka, wszystkich równo zaskoczonych gwałtownością moich reakcji.

– Tak! Tak i nie, ale nie wnikajmy... Skup się, Kania! Pamiętasz kogoś czy nie?

– Kociołek, ty może wracaj już do furgonu, co? – Strażnik odtrącił mnie i podniósł się ze stęknięciem. – Chłopaki, znajdźcie mu jakieś sznury, żeby się nie pokaleczył. Gdzieś tu zostawiłem flachę, a w niej parę łyków...

– Posłuchaj mnie! – ryknąłem z taką furią, że strażnika zapowietrzyło. – Przed chwilą ktoś tu był! Pytał, gdzie jest księżniczka Matylda, a ty mu wszystko wyaplałeś!

– Co takiego?! – zakrzyknął gromko Quelian Korneliusz, zaciskając dłoń na rękoności kordu. Szybko się jednak opamiętał i zatuszował wystąpienie sztucznym kaszlem.

Nikt jednakże nawet na niego nie spojrział – uwaga wszystkich skupiła się na Kani, który najpierw zmarszczył mocno czoło, próbując sobie cokolwiek przypomnieć, a potem zerknął na mnie z narastającą podejrzliwością.

– Nic takiego nie pamiętam – oświadczył. – A z reguły pamiętam rozmowy z ludźmi. Jak choćby to, że obiecałeś grzecznie siedzieć w furgonie. Mieliśmy

cię, choroba, dowieźć jeszcze w nocy do Sokolnika, a tu na świt się ma! Ale będzie darcie ryjów, na Dolę... Pakuj się do furgonu, pókim dobry, a wy...

– Nie! – zawołałem. – Pies trącał Sokolnik i wasze rozkazy! Księżniczka jest w niebezpieczeństwie! Ruszajcie natychmiast Pod Lipę, a może jeszcze zdołacie ją uratować!

– Co ty kombinujesz, Kociołek? – spytał inny ze strażników, w którym rozpoznałem wczorajszego woźnicę. – Jeśli pojedziemy Pod Lipę, spóźnimy się ponad dobę i księżę Rupert powbija nam konewki w dupy!

– A jeśli tego nie zrobicie, czeka nas kryzys dynastyczny w Sokolniku – jęknąłem.

Chciałem powiedzieć im prawdę. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wyznać tej zgrai poczciwych w sumie chłopów, że księżniczkę Matyldę z jakiegoś powodu tropi Złe, a ów jegomość, który zakradł się do naszego obozowiska, najprawdopodobniej sięgnął po magię, by wydobyć z Kani informacje, ale w porę odstąpiłem od tego pomysłu. Doświadczenie mówiło mi bowiem, że na wieść o Złym ludzie reagują z nieufnością i niedowierzaniem, a gdy w grę wchodzi magia, najchętniej wzięliby nogi za pas. Gdybym więc postawił na pełną szczerłość, przypuszczalnie osiągnąłbym tylko tyle, że zostałbym sprawnie skrepowany, zakneblowany i bez ceregieli dostarczony do Sokolnika.

– Kryzys dynastyczny – powtórzył woźnica. – Po namyśle stwierdzam, że jednak bliższa mi własna dupa.

Pomruki reszty eskorty dały mi do zrozumienia, że nie jest w tym odosobniony, a któryś ze strażników podniósł zwój liny, czym zdopingował mnie do zmiany strategii. Przeniosłem wzrok na Queliana Korneliusza.

– Jedź, chłopcze – rzekłem z patosem, na który siliłem się jedynie podczas opowiadania bajek o bohaterach. – Mknij jak wiatr przez mgły poranka, by ostrzec księżniczkę przed niebezpieczeństwem! Powiedz jej i sir Valdanowi, że ktoś, komu źle z oczu patrzy, poznał miejsce ich pobytu i być może się przyczai, by na nich napaść!

– A jeśli zrobię z siebie głupka? – spytał niepewnie młodzieniec, naciągając kapelusz z piórkiem.

Zduśliłem w sobie ochotę, by mu uświadomić, że na takie obawy to już ciut za późno, bo przypomniał mi się pewien fakt z przeszłości.

– Jeśli sir Valdan ci nie uwierzy, każ mu sobie przypomnieć poprzednie porwanie Matyldy – odrzekłem. – I to, co widział za chatą, w której ją trzymano.

– To Matylda została kiedyś porwana? – jęknął chłopak.

– Jedź już. I pospiesz się, na Dolę!

6

Ludne, bogate miasto zwane Sokolnikiem wzniesiono na przecięciu trzech ważnych traktów handlowych na południu Doliny. Pochodzenie jego nazwy, jak to zwykle bywało, nikło w mrokach dziejów, choć obito mi się o uszy, że swego czasu leżała tu osada łowiecka, skąd przodkowie króla Rodryka chętnie wyprawiali się na łowy z oswojonymi sokołami. Dzieje te jednakże musiały należeć do zamierzchłej przeszłości, bo wokół miasta ciągnęły się rozległe pastwiska oraz zaorane na zimę pola uprawne, a zabudowania obwiedziono pasem murów obronnych. Natomiast nad dachami kamienic wznosił się zamek.

Widziałem go już kiedyś i odniosłem wówczas wrażenie, że przy budowie wykazano się zarówno brakiem polotu, jak i rozmachem. Budowla wydawała się bowiem potężna i mocna, ale zupełnie pozbawiona finezji. Blanki wieńczące potężny, acz pojedynczy mur miały urok poszczerbionego uzębienia pijaczyny, a masywny, wręcz zwalisty stołb w ordynarny sposób dominował w panoramie miasta i nie pozwalał docenić czerwonych dachów kamienic, jakże pięknych w blasku słońca.

Tego dnia poznałem inną, równie złowrogą cechę zamczyska księcia Ruperta – miejsce to słynęło bowiem z niesamowitej akustyki, co w praktyce oznaczało, że jeśli ktoś zaczynał się w nim wydzierać, słyszeli to dosłownie wszyscy.

Kiedy zaś wrzeszczeć zaczęli wszyscy, można było po prostu oszaleć.

A tak właśnie było tego dnia. Sir Valdan darł się na Kanię i jego chwatów, księżę Rupert darł się na Matyldę, kobieta o silnym, ochrypłym głosie, którą odruchowo wziąłem za żonę Ruperta, darła się na nich oboje, a potem inicjatywę przejęła sama Matylda, która z podziwu godnym zapałem darła się na rodziców. Sesję przerwało pojawienie się jakiegoś najwyraźniej wysoko postawionego człowieka, który ośmielił się w ostrych słowach zwrócić do księcia, co sprawiło, że przez dłuższą chwilę cała trójka darła się tylko na niego.

Mnie zaś, tym razem już solidnie skrępowanego, zostawiono w niewielkim areście przy bramie, gdzie siedziałem samotnie, pogrążony w coraz to bardziej ponurych myślach. W zasadzie powinienem odczuwać satysfakcję – młody Rosomak nie szczędził rumaka i dotarł w porę do sir Valdana, a ten, najwidoczniej nie chcąc zaryzykować kolejnego kryzysu dynastycznego, natychmiast wyruszył w drogę. Przypuszczam, że on i jego towarzysze nie szczędzili koni i wybrali mało znaną trasę, dzięki czemu pomieszali szyki tajemniczemu szpiegowi. Tak czy owak, eskortujący Matyldę oddział zrównał się z naszym na jakąś milę przed bramą miasta, dzięki czemu miałem trochę czasu, by przywyknąć do wrzasków. Zaczęło mnie jednakże trapić co innego: zastanawiałem się bowiem, czy wskutek silnych emocji targających rodziną książęcą przypadkiem o mnie nie zapomniano. Przejmowałem się tym choćby z tego względu, że moim ostatnim posiłkiem był pstrąg z wczorajszego wieczoru. Poza tym cóż za ironia losu: mogłem się spodziewać różnych rzeczy, ale na pewno nie tego, że nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać.

Sznury, którymi mnie skrępowano, wpijały się boleśnie w ciało. Co gorsza, przed spętaniem posadzono mnie na krzesło, które było okrutnie niewygodnie, a burczenie w żołądku bynajmniej nie cichło. Próbowałem się nawet zdrzemnąć, co okazało się niemożliwe, jako że Sokolnik nieustannie rozbrzmiewał wrzaskami. Tym razem były to ochryple, męskie ryki.

Niemalże z ulgą uświadomiłem sobie, że wiem, co mnie czeka. Nabrałem tchu i raz jeszcze powtórzyłem w myślach wszystkie argumenty.

Nie tak sobie wyobrażałem konfrontację z księciem Rupertem, ale byłem na nią gotów.

Tak sądziłem przynajmniej do chwili, gdy pchnięte gwałtownie drzwi huknęły o ścianę z takim impetem, że posypał się z niej tynk, a w progu wyrósł Rupert. Jak dotąd widziałem go dwukrotnie i poznałem już część jego wad – skąpstwo, nieszczerłość i arogancję – ale o rozmiarach książęcego gniewu nie miałem bladego pojęcia.

Zarośnięte policzki Ruperta były poczerwieniałe, oczy przekrwione, a czarna broda rozwichrzona, jakby co rusz za nią targał, usiłując rozładować nadmiar emocji. Na mój widok zaryczał niczym raniony niedźwiedź, odsłaniając mocne, żółte zęby, a potem skoczył na mnie z uniesionymi pięściami.

– Najpierw żeś mnie, kurwipołciu, oszukał na należność za uratowanie córki! – wyryczał, plując drobinkami śliny, i rąbnął mnie w szczękę, aż mi pociemniało przed oczami. – Potem żeś mnie gościł w tym zafajdanym chlewie, podając końskie szczyny do picia, a teraz zaczęłeś się z łapami pchać do Matyldy! Ty ścierwojadzie na taczce gnoju zrodzony! Kozia dupo dratwą fastrygowana!

Chciałem jakoś zaprotestować, ale nie udało mi się dojść do głosu. Każde zdanie Rupert akcentował bowiem ciosem na odlew, a po tym, jak przewróciłem się razem z krzesłem na twardą posadzkę, przeszedł do kopniaków.

Pożałowałem wszystkiego, od myśli, że zdołałam przemówić mu do rozumu, po nadzieję, że w jakiś sposób pomogę Dolinie. Któryś kopniak, chyba w głowę, odebrał mi przytomność, a nim to nastąpiło, przez ułamek sekundy widziałem Sarę, która stoi nieruchomo, z dłońmi wspartymi na biodrach, i wpatruje się we mnie z miażdżącym osądem.

Potem już była tylko ciemność, litościwa i obojętna.

*

Jasność przesączająca się przez moje powieki stanowiła wyraźny sygnał, że błoga nieświadomość dobiegła końca, a ja będę się musiał na powrót zmierzyć z rzeczywistością. Odruchowo policzyłem wszystkie zęby i na szczęście nie odkryłem żadnych ubytków, ale ból promieniujący z brzucha, prawego uda, lewego ramienia i paru innych miejsc kazał sądzić, że nadchodzące godziny będą wyjątkowo trudne.

– Nie... – jęknąłem cicho. – I po co mi to było.

W ustach czułem żelazisty smak krwi, od czego robiło mi się niedobrze. Kręciło mi się w głowie, a świat wydawał się odległy i nierzeczywisty. Ze wszystkich sił pragnąłem powrócić w niebyt.

– No właśnie – rozległ się kobiecy głos. – Też sobie zadaję to pytanie.

Otworzyłem szerzej oczy i zamrugałem parokrotnie, by szybciej odzyskać ostrość widzenia. Wciąż leżałem na boku, mocno przywiązany do krzesła, i opierałem się skronią o brudną, niezamiataną od tygodni podłogę. Grudki ziemi wbijały mi się boleśnie w skórę głowy, a gdy spróbowałem ją podnieść, przeszył mnie dojmujący ból.

W czaszkę też mnie kopnął, skurwiel, pomyślałem. Powinienem był mu naszczać do piwa w Gryfie.

Przynajmniej odzyskałem zdolność widzenia na tyle, by ujrzeć parę kobiecych bucików z jasnej, cięłej skóry. Czubek prawego unosił się rytmicznie i opadał, co mogło oznaczać, że jego właścicielką targają silne emocje.

Nie, przemknęło mi przez głowę. Tylko nie to.

– Z tego, co mówią strażnicy z eskorty, miałeś przynajmniej całą noc na ucieczkę – ciągnęła kobieta, której twarzy wciąż nie widziałem. Musiałbym w tej sprawie obrócić głowę, a na to nie byłem jeszcze gotów. – A mimo to zostałeś. Oświadczyć się może chciałeś, co?

– Z kim ja mam przyjemność... – wybełkotałem, na co kobieta zaśmiała się sucho.

– Masz osobliwą definicję przyjemności – oświadczyła. – Ale w istocie powinieneś wiedzieć, z kim masz do czynienia. Jestem księżna Marianna. Matka Matyldy.

Zrobiło mi się zimno.

– A więc wróćmy do pytania. Chcesz się oświadczyć?

Prawy trzewik zastukał szybciej niż wcześniej.

– Ja... – wychrypiałem z niemałym trudem. – Ja już jestem żonaty. Nie tknąłem waszej córki. To był przypadek. Nieszczęśliwy przypadek.

– Wiem – padła odpowiedź, a trzewik znieruchomiał.

– Eee... Naprawdę?

– Jasne. – W głosie kobiety pojawiło się rozbawienie. – Jesteś za stary i trochę za gruby. Nie ma w tobie nic, co by mogło zainteresować młodą dziewczynę. Zupełnie nic.

W innych okolicznościach wziąłbym sobie jej słowa do serca i być może nieco posmutniał, ale teraz zalała mnie bezgraniczna ulga.

– Uff, dziękuję! – wybełkotałem. – Dziękuję za zrozumienie, wasza księżęca moc! Od samego początku byliśmy ofiarami ogromnego nieporozumienia i chciałem to omówić z waszym mężem. To oraz parę innych rzeczy, bo...

– Mój mąż akurat ma teraz kilka ważniejszych spraw na głowie, jak choćby ten przeklęty napad, ale wróci do ciebie, nie bój się.

– Nie boję się – przyznałem. – I poczekam, byleby... No, bylebym nie musiał leżeć w więzach na podłodze.

Zaśmiałem się, jakbym właśnie opowiedział dowcip, ale nie usłyszałem żadnej reakcji. Trzewik ani drgnął.

– No bo skoro nie ponoszę winy, to chyba mogę się domagać uwolnienia? – spytałem z nadzieją.

– Domagać się możesz – odparła księżna Marianna. – Byleby nie za głośno, bo od tych wrzasków na zamku głowa mi pęka. Litości się jednak nie spodziewaj.

– Dlaczego? Przecież jestem niewinny! – jęknąłem ze zgrozą.

Trzewik znów zaczął stukać o brudną podłogę, o wiele szybciej niż przed chwilą.

– Tym akurat nie zamierzamy się przejmować – powiedziała zimno kobieta. – Matylda to niestety nasze jedyne dziecko, a więc spoczywa na niej ogromna odpowiedzialność. Musi zostać odpowiednio wydana za mąż, by zabezpieczyć przyszłość Sokolnika, a być może nawet zadecydować o przyszłości Doliny. Nie mamy zamiaru pozwolić, by zbałamucił ją byle kto, na co Matylda najwyraźniej ma wielką ochotę.

– Ale to nie ja! – jęknąłem rozziewając, choć w głębi duszy wiedziałem już, co zaraz usłyszę.

– Nie, pewnie, że nie ty. To jakiś szczawik z któregoś ze znaczniejszych rodów. Postawiłabym na mydłka Dognara z Jemiołów lub tego pryszczatego koniowała ze Szczupaków... Nigdy nie udało mi się zapamiętać imienia główniarza, może dlatego, że już po oczach widać, że to zboczech.

Rytm uderzeń trzewika jeszcze przyspieszył.

– Żaden z nich – mówiła dobitnie księżna – ani Jemioła, ani Rosomak, ani nawet pieprzony Szczupak nie zasługuje na skoligacenie z rodem książęcym. Oddanie jedynej córki za żonę potomkowi rodów klienckich byłoby dla naszej rodziny potwornym wręcz upokorzeniem, dlatego też musimy tej zgrai niedomytych, obślinionych parweniuszy dać wyraźny sygnał, by zrobili krok w tył. Oczywiście nie możemy ukarać żadnego z nich: czasy są ciężkie i potrzebujemy wsparcia każdego rycerskiego rodu. Przyda nam się więc kozioł ofiarny.

Trzewik znieruchomiał. Zaszleściła suknia, a ja ujrzałem nad sobą jakiś ruch. Chwilę później mocna dłoń księżnej zacisnęła się na moich włosach.

– Dlatego racja stanu wymaga, byś trochę pocierpiał – wycedziła, szarpnięciem unosząc mi głowę. – Oczywiście procesu o pohańbienie czy zniesławienie książęcej córki ci nie urządzimy, bo to mogłoby obniżyć jej wartość w oczach potencjalnych mężów. Damy ci jednak porządną naukę i rozpuścimy w odpowiednich kręgach plotkę, za co ją otrzymałeś, co z całą pewnością nauczy tę zgraję kogucików należytego szacunku.

Ostry, nieprzyjemny ból rwanych włosów przyćmił na chwilę resztę moich dolegliwości i sprawił, że przepełniła mnie desperacka odwaga.

– Doskonały plan! – warknąłem. – Szkoda tylko, że nie uwzględnia prawdziwego niebezpieczeństwa, które grozi waszej córce, pani.

Księżna leniwie wypuściła moją czuprynę, poklepała mnie po policzku i wyprostowała się z szelestem szat.

– Przyślę kogoś, by cię podniósł – powiedziała, a ja ujrzałem, że trzewiki oddalają się w stronę progu. – Jeszcze wilka złapiesz.

– Na Matyldę uwzięło się Złe! – krzyknąłem.

Miałem wrażenie, że księżna się zawahała, zaraz jednak pchnęła drzwi i wyszła z aresztu.

*

Niedługo po niej pojawiło się kilku strażników, którzy bez przesadnej delikatności postawili krzesło w pionie, a potem rozwiązali sznury i popędzili

mnie szturchańcami i kopniakami ku wyjściu. Wydawało mi się, że rozpoznaję w ich gronie przynajmniej dwóch ludzi, których wczoraj podjąłem kolacją. Odróżniali się od reszty kwaśnymi minami, a ich szorstkie zachowanie sugerowało, że mają mi za złe, że dali się ugościć.

Nie zamierzałem jednak roztrząsać przewrotności ludzkich nastrojów, bo w chwili, gdy wtrącono mnie do prawdziwego lochu, pochłaniała mnie tylko jedna myśl. Spotkanie najpierw z ojcem, a potem matką Matyldy dało mi do zrozumienia, że przyjazd do Sokolnika był koszmarnym błędem.

Teraz musiałem wymyślić jakiś sposób, by się stąd wydostać.

Strażnicy cisnęli mnie na zimną kamienną podłogę, dołożyli po kopniaku i wyszli. Szczęk kraty, który poniósł się echem po ciemnym korytarzu, oraz zgrzyt klucza w zamku utwierdziły mnie w przekonaniu, że czeka mnie zadanie nader trudne.

Zakląłem wściekle i spróbowałem się podnieść, co udało się dopiero za trzecią próbą. Rupert przyłożył mi ciężkim butem w udo, a potem któryś ze strażników trafił w to samo miejsce. Bolała mnie głowa, bolały mnie żebra, wściekłym bólem pulsowało ramię, a do tego dosłownie ssało mnie z głodu.

– I na co mi to wszystko było – wymamrotałem, zaciskając dłonie na zardzewiałych prętach krat. – Chciałem zbawić świat i proszę. Mam za swoje.

Wciągnąłem w płuca nieprzyjemnie wilgotne powietrze lochów i spróbowałem zebrać myśli. W jaki sposób uciekano z więzienia? Szarpnąłem raz i drugi za kraty, ale te oczywiście nawet nie drgnęły. Przytuliłem do nich policzki i usiłowałem wypatrzeć jakiegoś strażnika, do którego mógłbym zagadać, ale korytarz był pusty i ciemny. Na jego końcu majaczyły mocne, okute żelazem drzwi. Dobrze je pamiętałem, bo któryś ze strażników niby przypadkiem pchnął mnie na ich krawędź.

Usmażę wam jeszcze pstrąga, wy niewdzięczne mysie chujki! – pomyślałem ze złością, co oczywiście niewiele mi dało.

Z nadzieją wsunąłem dłonie do kieszeni. W bajkach, które opowiadaliśmy z Sarą dzieciom, główny bohater, gdy znalazł się w opałach, zawsze odkrywał w kieszeni coś, co mogło mu pomóc. W szczególnie dobrze dopracowanych opowieściach były to trzy przedmioty, które odpowiednio służyły do pokonania trzech kolejnych przeszkód, ja jednak w kieszeni znalazłem jedynie guzik. Należący do Nuuta zresztą.

– Ciekawe, co sobie dzieciaki pomyślą – mruknąłem. – Ojciec wyjechał na kilka dni i nie wrócił, bo obwiesili go za potajemne harce z księżniczką.

– A bo ty pierwszy jesteś? – odezwał się ktoś w kącie celi.

Gwałtownie się odwróciłem. Niewyraźny kształt, który w pierwszej chwili wziąłem za kilka szmat rzuconych na kupę wilgotnego siana, nagle się poruszył

i usiadł.

– Od tego właściwie są księżniczki – ciągnął mój współwięzień. – Każda stara się uwieść, kogo tylko może, a czasu ma niewiele, bo przecież racja stanu wymaga, by jak najszybciej została wydana za odpowiedniego strategicznie kandydata. Toteż się spieszy, a że siłą rzeczy z natury wydaje się kimś nieosiągalnym, ambitnych durniów gromadzi się wokół niej aż nazbyt wielu. Fajnie chociaż było?

Zacisnąłem powieki.

– Do niczego nie doszło.

– He, he! Założę się, że gdybyśmy siedzieli przy kufelku grzańca, inaczej byś gadał.

Mój wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności i widziałem współosadzonego coraz lepiej. Był niskim człowiekiem w podeszłym wieku, o którym najwyraźniej tu zapomniano, bo koszmarnie wychudł, a z jego ubrań pozostały jedynie łachmany. Resztką siwych, okalających łysinę włosów sterczała na wszystkie strony, a białka wytrzeszczonych oczu niezdrowo połyskiwały, przez co mój towarzysz przypominał oburzoną sowę. Uwagę przede wszystkim zwracał jednakże głos, sugerujący zaawansowany wiek, mimo to mocny i melodyjny.

– Kim jesteś? – spytałem.

– O tym, kim jestem, wolę nie rozmawiać. O tym, kim byłem, rozmawiać mi nie wolno, a o tym, kim zostanę, nie chcę nawet myśleć. Wystarczy, jeśli będziesz mi mówił Droździk.

– Ja jestem Kociołek.

Stary podejrzliwie zmarszczył brwi.

– Ejże! To nie jest jakaś konspiracja, byśmy się do siebie zwracali wymyślnymi aliasami!

– Ale ja naprawdę tak się nazywam. Cóż, na imię mam Edmund, ale wszyscy mi mówią Kociołek.

– Ano, chyba że tak. – Droździk pokiwał głową. – To co? Jak było? Porządnie jej wygodziłeś? Wiesz, jakiś czas tu posiedzimy i dobrze byłoby mieć o czym rozmawiać.

– Nie sądzę, bym miał ci naprawdę długo towarzyszyć – odparłem ponuro. – Racja stanu, na którą się powołałeś, może raptownie skrócić naszą znajomość.

– Czyli polityczny jesteś? – Droździk odsunął się nieco i nerwowo wytarł dłonie o łachmany.

– Na to by wychodziło. A ty?

– Zwykły kryminalista. – Droździk wzruszył ramionami. – Przybyłem do Sokolnika, by ukraść trochę żarcia, ale... Cóż, w nieodpowiednim momencie

obudziła się we mnie dusza minstrela i postanowiłem pośpiewać tu i tam, a że najwięcej forsy zbiera się zawsze za krytykę władz, zaśpiewałem coś w rodzaju:

„Oto oferta
dla księcia Ruperta,
któremu czasem nie staje.
Nie czas się boczyć,
lecz kijek przytroczyć
choć marchew też się nadaje”.

Jego głos, mocny i dźwięczny, wypełnił naszą celę i poniósł się echem na korytarzu. Parsknąłem śmiechem, który niestety natychmiast przeszedł w atak kaszlu, ale gdy zdołałem nad sobą zapanować, z uznaniem pokiwałem głową.

– Nieźle – przyznałem. – Masz fantastyczny głos, Droździk. Czy to za ten kuplet cię przymknęto?

– Nie – odparł śpiewak. Na jego zapadłe policzki wystąpił rumieniec. – Za inny. Ten o księżnej pani.

Odkaszlnął, szykując się do odśpiewania kolejnego numeru, ale powstrzymałem go gestem dłoni.

– Daj spokój – mruknąłem. – Kiedy indziej. Parę razy już dziś oberwałem. Poza tym kuplet... Miałem dziś do czynienia z księżną panią i chyba wolałbym dostać w gębę od jej męża niż odbyć z nią choć jedną rozmowę więcej.

– No, jest coś w tym – przytaknął Droździk ze smutkiem w głosie. – Chcesz trochę siana ode mnie?

Zawahałem się nad odpowiedzią. Przyjęcie podarunku oznaczało bowiem, że pogodziłem się ze swoim losem i szykuję się na dłuższą odsiadkę, ale... czy pozostało mi cokolwiek innego? Nie miałem pojęcia, gdzie się podziali Żychłóń i reszta, ale nadal gorąco liczyłem, że pomysł akcji ratunkowej nawet nie przyjdzie im do łbów. Sokolnik, choć koślawy i obrzydliwy, należał do największych zamków w Dolinie i nawet grupa moich postrzelonych przyjaciół nie zdołałaby się wdrzeć do środka, tym bardziej że po porannej awanturze straż z całą pewnością przez kilka dni będzie się miała na baczności.

Poza tym... Nie sądziłem, że to powiem, ale nie miałem ochoty opuszczać tej celi przez jakiś czas, zwłaszcza że na zewnątrz czekała na mnie racja stanu.

– Przyda mi się trochę – przyznałem i przycisnąłem dłonie do żołądka, który nagle zaburczał zdradziecko. – Dzięki – dodałem, widząc, jak stary hojnie nabiera pełne garście słomy i niesie je do kąta, który najwidoczniej uznał już za mój. – A wiesz, że skoro przyskrzynili cię za opozycyjne śpiewy, to w zasadzie też jesteś polityczny?

– Naprawdę? – zdziwił się Droździk, troskliwie moszcząc mi posłanie. – Cóż, pewnie masz rację, choć to akurat wpisane jest w moją profesję. Każdy minstrel

w zasadzie jest odrobinę polityczny, bo każdego w pewnym momencie trafia szlag i nie ma już ochoty śpiewać tych dyrdymałów o rycerzach, księżniczkach i smokach. Czym się zajmujesz?

– Kucharzem jestem.

– O, to z polityką nie masz, chłopie, wiele do czynienia.

– Zdziwiłbyś się. Słuchaj, a skoro już o tym mówimy... Karmią tu jakoś?

– Jakoś. – Drożdзик nieco sposepniał. – Dwa razy dziennie. Poranny posiłek przegapiłeś, więc pewnie załapiesz się dopiero na wieczorny. O ile, rzecz jasna, kuchnia wie już, że do lochu trafił nowy więzień. Ale nie martw się, pogadamy sobie, pożartujemy, pośpiewamy. Jakoś zleci.

Z rezygnacją pokiwałem głową i ostrożnie, by nie urazić stłuczonego uda, usiadłem na swoim nowym posłaniu. Gdzieś huczał wiatr, nieopodal po podłodze przemknęło coś, co być może było szczurem. Słoma szeleściła, gdy Drożdзик mościł się po swojej stronie celi. Podłoga ziębiła jak cholera i zgarbiłem się, by otulić kolana ramionami.

– Od czego by tu zacząć... – mamrotał do siebie stary minstrel. – O, już wiem. Opowiem ci o mojej służbie u Leśnego Króla.

*

Już po jakimś kwadransie monologu Drożdzika nabrałem przekonania, że stary ma nierówno pod czaszką.

Kilka lat w towarzystwie Eliaha, Zwierzaka, Gramma, Urgo i Żychłonia nauczyło mnie sporo o niekonwencjonalnych zachowaniach, dzięki czemu hołdowałem prostemu założeniu, w myśl którego każdy, kto wykazywał większe oderwanie od rzeczywistości od moich przyjaciół, zasługiwał na miano poważnie stukniętego. Dziadek Drożdzik zaklasyfikował się do tej grupy w chwili, gdy zaczął utrzymywać, że od wielu lat jest nadwornym minstrelem Leśnego Króla.

Znałem opowieści o Leśnym Królu, bo od czasu do czasu sam opowiadałem je dzieciom, nieraz też gościłem w Gryfie podróżnych, którzy zaklinali na Dole, że natknęli się na jego Dwór, a nawet spędzili na nim trochę czasu. Wedle ich relacji Leśny Król był sędziwym, rubasznym jegomościem, który rezydował gdzieś w słonecznych lasach Doliny wraz z bandą bardów, dam dworu, paziów, błędnych rycerzy, astrologów i innych popaprańców i oddawał się temu, o czym wszyscy marzą – picciu, tańcom, nieróbstwu oraz wymyślaniu głupot. Rzekomo każdego, kto miał pecha lub szczęście natknąć się na Dwór, Leśny Król, ku uciesze swoich dworzan, poddawał rozmaitym próbom, nierzadko popychając ich ku niezwykłym przygodom.

Lubiłem te historie, bo były wesołe, wciągające, a niektóre dość pieprzne, ale ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, by uznać je za autentyczne. Istniało między nimi zbyt wiele zasadniczych różnic i nieścisłości – nie dawało się na przykład ustalić, jak liczny był ów Dwór i gdzie właściwie mieszkał. Niektórzy utrzymywali, że Leśny Król był elfem, inni twierdzili, że tak naprawdę ów król to królowa, a jeszcze inni wierzyli, że w skład Dworu wchodzi ostatni prawdziwi czarodzieje Doliny. Dla mnie wiarygodność historii o Leśnym Królu ostatecznie grzebały kwestie pogodowe – nie umiałem sobie wyobrazić, by banda rozchełstanych ochlapusów, pochłonięta poezją, śpiewem i igraszkami na mchu, potrafiła się przygotować na zimy, które w Dolinie bywały naprawdę srogie.

Droździk jednakże nie dość, że w istnienie Dworu Leśnego Króla święcie wierzył, to jeszcze usiłował mnie przekonać, że sam do niego niegdyś należał. Obrął przy tym osobliwą taktykę – przywoływał najbardziej znane opowieści, w tym również takie, które opowiadałem własnym dzieciakom, i drwił z nich bez litości, utrzymując, że w rzeczywistości wszystko wyglądało inaczej.

– Co za dyrdymały! – gadał i śmiał się do siebie. – I ludzie naprawdę w to wierzą? Przecież Rycerz Dębu i Rycerz Brzozy mają swój honor i na pewno nie pozwoliliby, by lżył ich byle kapłan Doli! Dorwaliby darmozjada i spuściliby mu lanie! I to nie byle jakie, bo Rycerz Brzozy ma ciężkie łapsko, oj, ciężkie! W historii o Jarmarku Szczurów też nie ma ani słowa prawdy! Ani słowa, Kociołek. Po pierwsze Leśny Król nigdy sam by nie poszedł na targowisko, bo świadomie skazał się na życie w kniei i nie ma zamiaru...

W innej sytuacji zapewne słuchałbym go z ochotą, bo przepadałem za opowieściami z dawnych czasów, ale teraz za bardzo dokuczał mi głód, bym mógł się na nich skupić. Brzęczący monolog Droździka, przerywany co rusz jego dzikim chichotem, sprawił, że zaczęła mnie boleć głowa, z każdą chwilą dokuczała mi coraz bardziej. Czas, wbrew zapewnieniom starego minstrela, wcale nie płynął szybciej. Wręcz przeciwnie – miałem wrażenie, że każda minuta rozciąga się w nieskończoność, a wkrótce walczyłem z ochotą, by zacisnąć łapska na szyi starego dziada i potrząsnąć nim ze wszystkich sił.

Oby się tylko zamknął.

Tuż przed tym, jak wprowadziłem ten plan w życie, rozległ się szczeł klucza w zamku. Droździk przerwał opowieść o pewnej damie z Dworu Leśnego Króla, ze zignorowanych przeze mnie powodów nazywanej Forsycją, i obejrzał się z zaciekawieniem.

– Już kolacja? – mruknął. – Trochę za wcześnie, a poza tym ci zawsze rzą i porykują jak...

Do lochu wpadł chłodny podmuch jesiennego powietrza, boleśnie kojarzący się z wolnością. Zamykane drzwi trzasnęły, a potem rozległy się ciche,

pospieszne kroki na kamiennych stopniach.

– Co u diaska... – Stary minstrel podniósł się szybko, aż coś mu chrupnęło w kolanach.

Na korytarzu stała szczupła, niepozorna postać, całkowicie bezkształtna w obszernym płaszczu z kapturem. Było zbyt ciemno, bym mógł zauważyć jakikolwiek szczegół, ale dłonie, które zacisnęła na kratkach, ewidentnie należały do szczupłej kobiety, a głos, choć cichy, rozpoznałem niemalże natychmiast.

– Nie mam wiele czasu, więc będę się streszczać – wyszeptała Matylda z osobliwą mieszaniną niechęci, zniecierpliwienia i błagania. – Wypuszczę cię, przybłądo, pod warunkiem że wyjedziesz z Sokolnika i nigdy, przenigdy tu nie wrócisz.

– Nie ma sprawy – oznajmił z entuzjazmem Droździk. – W sumie to nawet czekałem na tę propozycję, bo parę kupletów na rynku nie oznacza od razu, że tak naprawdę polityczny, ale...

– Zamknij się, dziadu! – syknęła księżniczka. – Nie do ciebie mówię. Kociołek, słyszysz mnie? Wypuszczę cię, ba, nawet wyprowadzę, ale wyłącznie pod tym jednym warunkiem! Słyszysz mnie, kurwa, czy nie?

Słyszałem. Niestety, mój udręczony umysł, miał wrzasnąć z radością i potulnie zgodzić się na propozycję, natychmiast zaczął ją analizować, a potem podsunął mi najgorszą możliwą odpowiedź.

– A jak się nie zgodzę? – wycedziłem.

– O, to może wtedy ja się zabiorę? – zaproponował nieśmiało Droździk.

Matylda zmrużyła oczy, tak że przypominały teraz dwie tchnące lodem szparki. Miałem wrażenie, że wciska twarz między zardzewiałe pręty.

– Naprawdę tego chcesz? – wysyczała. – Masz ochotę posiedzieć w tym lochu jeszcze parę dni w chłodzie i głodzie, za jedyne go towarzysza mając tego dziada parchatego...

– Ej! – jęknął urażony minstrel.

– ...a w perspektywie spotkanie z moimi rodzicami?

– Porozmawiajmy, księżniczko, o tym, czego ty chcesz, lub raczej o tym, czego nie chcesz. A coś mi mówi, że Quelian Korneliusz już podzielił się z tobą moimi odkryciami.

W mroku widziałem, że Matylda wytrzeszczyła oczy, co oznaczało, że trafiłem w sedno.

– Ktoś już wie o łączącej was więzi – powiedziałem powoli. – Czyli trzeba by się go pozbyć, prawda? Bo jeszcze ze strachu wypapla prawdę rodzicom, a ci wtedy naprawdę się wściekną, co?

Dziewczyna odsunęła się od krat i przełknęła ślinę.

– A jeśli nawet, to co? – Jej głos stał się na chwilę bardziej piskliwy, ale zapanowała nad nim umiejętnie. – Chcesz mnie szantażować?

– Skądże – powiedziałem miękko. – To ostatnia rzecz, która przysłaby mi do głowy, po prostu lubię wiedzieć, co powoduje ludzi, którzy przychodzą mi z pomocą. Być może łatwiej nam teraz będzie rozmawiać.

– Ale ja nie mam ochoty na rozmowy z tobą! – Matylda prychnęła z typową dla siebie niechęcią.

– Ale będziesz musiała, dziecko. Ktoś dybie na twoje życie, a twoi rodzice najwyraźniej niewiele sobie z tego robią.

Matylda milczała przez dwie, może trzy sekundy, ale zareagowała z opanowaniem godnym przyszłej władczyni.

– Pogadamy na zewnątrz – syknęła, wsuwając klucz do zamka. Rozległ się zgrzyt.

Chciałem wyjść, ale dziewczyna wślizgnęła się do środka, stopą rozgarnęła słomę i uklękła. W jej dłoni pojawiło się coś białego, czym zaczęła kreślić jakieś kształty na podłodze.

– A to co? – spytałem z niedowierzaniem.

– Magiczny pentagram – sapnęła księżniczka, skupiona na swym dziele. – Chyba magiczny. Jakoś trzeba będzie wytłumaczyć twoje zniknięcie, no nie? A słyszałam, że ponoć gdzieś cię już za czary ścigali. W Dymie chyba. Po mojemu historia trzyma się kupy.

Westchnąłem ciężko. W istocie, tylko tego jeszcze mi brakowało.

– Nie trzyma się – oświadczyłem. – Bo Droździk jakoś nie ma interesu w tym, by nas kryć. Musimy go zabrać ze sobą.

– No, tuś mi brat, Garneczek! – Dziadek klepnął mnie w plecy. – A ten... – Zawahał się. – Nie dałoby rady czmychnąć dopiero po kolacji?

*

Nie ma chyba miejsc, które budziły we mnie większą nostalgię niż ogród późną jesienią. Księżyc w trzeciej kwadrze, wyglądający co chwila zza postrzępionych chmur, oświetlał podłużne rabatki, tu i ówdzie okolone wianuszkami zeschniętych liści. Parę roślin nadal trzymało się życia, kołysząc się wraz podmuchami wiatru, ale nawet najbardziej wygłodniały człowiek znalazłby tu jedynie wspomnienia minionego lata. Z kopiastego kompostownika dolatywał słodkawy zapach gnicia, co o tak chłodnej porze nie powinno już w zasadzie mieć miejsca, ale w tej akurat chwili zagadki ogrodnictwa były mi obojętne. Trzęsąc się z zimna, biegłem między grządkami w ślad za Matyldą, która co rusz

oglądała się nerwowo za siebie. Wreszcie znaleźliśmy się między kołyszącymi się niespokojnie nagimi gałęziami jabłonek.

– Gdzie jest ten dupek? – wymamrotała księżniczka. Kaptur zasłaniał jej większość twarzy.

W pierwszej chwili pomyślałem, że chodziło jej o Droździka, który ze swobodą typową dla ludzi szlaku i ulicy zmył się, gdy tylko wybiegliśmy przez niewielką furtkę na ulicę okalającego twierdzę miasta, zaraz jednak usłyszałem rżenie konia i zza drzew wyłonił się młody Rosomak, prowadząc osiodłanego wierzchowca. Matylda fuknęła wściekle i podbiegła bliżej.

– Akurat tego musiałeś wziąć? – rzuciła z pretensją, wyrywając mu wodze z ręki.

– Ze stajni służbowej brałem – bąknął młodzieniec, cofając się o krok. – Kto tam zauważy?

– Zauważy, bo to oficcerski, jełopie – prychnęła Matylda. – Ja nie mogę, tobie kazać coś załatwić...

Quelian Korneliusz uniósł ramiona, jakby chciał się dalej tłumaczyć, ale księżniczka złapała go za poły płaszcza, przyciągnęła do siebie, ucałowała w usta i odepchnęła, a potem odwróciła się do mnie.

Przeszło mi przez myśl, że jeśli ta dwójka kiedyś dopnie swego i zwiąże się węzłem małżeńskim, chłopak być może pożałuje swoich młodzieńczych uniesień, ale podobnie jak tajemnice kompostu, nie było to w żadnym wypadku moje zmartwienie. Przejmowałem się teraz innymi rzeczami, jak choćby tym, że było mi paskudnie zimno, miałem pusty żołądek, a w każdym momencie mogłem zostać zatrzymany przez nadgorliwego lub ciekawskiego strażnika. Leżący za murami fortecy książęcy ogród, do którego zaprowadziła mnie dziewczyna, wydawał się bezludny, ale miałem wrażenie, że straż Sokolnika została postawiona w stan gotowości. Moja ucieczka mogła się więc zaraz zakończyć kolejnym laniem, ale nie miałem zamiaru uciekać, dopóki nie zrobię wszystkiego, by pomóc tej dziewczynie.

– Ten pajac zabrał oficcerskiego – rzuciła gniewnie Matylda, wciskając mi wodze do rąk. – Zostaw go w karczmie Pod Lipą i powiedz gospodarzowi, że ktoś po niego przybędzie. Quelian odprowadzi cię do bram i nakłoni strażników, by cię wypuścili.

– Da sobie radę? – Spojrzałem na chłopaka pochłoniętego próbami nasadzenia sobie kapelusza na głowę.

– Niech się uczy. Mamy jeszcze chwilę. – Matylda nabrała tchu i popatrzyła na mnie ostro. – Mów, co masz do powiedzenia.

– Nastaje na ciebie Złe – powiedziałem, ściskając mocniej wodze. – Nie znam powodu, ale nie mam co do tego wątpliwości.

Matylda się wyprostowała. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale ją ubiegłem.

– Nie chcę słyszeć żadnych prychnięć ani zapewnień, że to niemożliwe. Mam niemalże całkowitą pewność, że to Złe stało za twoim porwaniem na wiosnę, a nie dalej jak wczoraj na własne oczy widziałem, jak agent Złego wyciągał z ludzi sir Valdana informacje o miejscu twojego pobytu. Posłużył się magią, więc żaden z nich niczego nie zapamiętał, ale wiem, co widziałem. Posłałem twojego... Queliana, by ostrzegł sir Valdana. Skoro rozmawiamy, chyba się udało.

Matylda milczała przez chwilę, najwyraźniej trawiając informacje i szukając w nich luki.

– Znalazł nas, zanim wyjechaliśmy z karczmy – odezwała się w końcu niechętnie. – I gadał o czymś z sir Valdaniem na stronie. Ten z początku nie chciał go słuchać, potem nań nawrzeszczał, a na końcu... Ruszył do Sokolnika jakimiś bocznymi drogami. Jakby...

Urwała i odwróciła głowę. Nagły podmuch wiatru targnął jej płaszczem, a mnie przeszło zimno. Gdy znów na mnie spojrzała, w jej oczach błysnęła dawny chłód.

– Nie mam pojęcia, czemu chcesz mnie teraz nastraszyć – syknęła. – Ja tam żadnego Złego nie widziałam!

– Ale kręci się przy tobie! – upierałem się. – Węszy. Czyha. Po mojemu to szykuje się do kolejnego porwania. Nie opuszczaj już zamku! Podaruj sobie schadzki, polowania i bale, zawsze miej przy sobie jakąś straż!

– Chcesz mnie więzić? – prychnęła wzgardliwie księżniczka.

– Chcę cię ocalić! – rzuciłem ze złością. – I pozostaje mi żałować, że okazujesz się równie odporna na perswazję jak twoi starzy! Cóż, zrobiłem, co mogłem. Bywaj, księżniczko.

Nadal miałem na sobie tylko zwykły kaftan i każdy kolejny podmuch wiatru przeszywał mnie lodowatym zimnem. Z niewysłowioną ulgą odkryłem, że do siodła kradzionego konia przytroczono koc. Wyrwałem go zgrabiętymi palcami i otuliłem się nim szczelnie, próbując powstrzymać drżenie na całym ciele.

– Co za kobieta, no nie? – Quelian Korneliusz westchnął z zachwytem, ocierając rękawem kurty ciekący nos. – Ech, zawsze otaczałem się ostrymi babkami, ale ta to przechodzi ludzkie pojęcie!

Obróciłem się, by spojrzeć na Matyldę, która szła szybkim krokiem w kierunku furtki prowadzącej do zamku. Wiatr co rusz wydymał jej płaszcz, przez co wyglądała jak nocny ptak szykujący się do lotu.

– Pilnuj jej – rzuciłem, szcękając zębami. – Jest zbyt dumna, by ktoś zdołał przemówić jej do rozumu, co nie wpływa na postać rzeczy. Grozi jej

niebezpieczeństwo.

Przytrzymując brodą koc okrywający mi ramiona, wsunąłem stopę w strzemie i zacisnąłem dłonie na siodle.

– Będę jej strzegł dzień i noc! – oświadczył dumnym tonem chłopak. – Ze wszystkich sił i... Ty, co to jest?

Już miałem się odbić od ziemi i wskoczyć na grzbiet wierzchowca, gdy uświadomiłem sobie, że głos Queliana przeszedł w dobrze mi znany pisk. Odwróciłem się i...

I zamarłem.

Z kompostownika wystawało bowiem coś, co odruchowo wziąłem za dwie nagie gałęzie kołyszące się na wietrze. Ze swego błędu zdałem sobie sprawę uderzenie serca później, gdy oba niby-badyle przełamały się w połowie i naparły na stos odpadków, by wydzwignąć z niego obłe cielsko na cienkich, patykowatych nogach. Niezgrabnie, ale cicho niczym polujący pajak istota rzuciła się naprzód, otrzepując się z gnijących resztek.

Podążyła w ślad za Matyldą, która nadal twardym, dumnym krokiem zmierzała ku furcie.

Z tego, że biegnę ku księżniczce, zdałem sobie sprawę dopiero wtedy, gdy pokonałem już połowę drogi, a w moich rękach nagle znalazły się zapomniane grabie. Złapałem je przy końcu, szykując się do zamaszystego uderzenia, wycelowanego w jedno z patykowatych odnóży istoty, gdy ta nagle przyspieszyła. W kilku susach przypadła do księżniczki, która wrzasnęła przeraźliwie, czując, jak niespodziewanie oplatają ją mocne ramiona. Na moich oczach potwór oderwał dziewczynę od ziemi i nie zwalniając, uniósł ją w mrok.

Matylda, cokolwiek by o niej powiedzieć, wcale porwania nie ułatwiała. Kopała, miotała się i szarpała, parokrotnie o mało nie zdołała się wyrwać porywaczowi. Usiłowała też wrzeszczeć, ale potwór zablokował jej usta. Próby utrzymania szalejącej księżniczki na szczęście pochłonęły jego uwagę na tyle, bym, wciąż biegnąc, zdołał się zbliżyć z uniesionymi grabiami gotowymi do uderzenia.

Rąbnąłem ze wszystkich sił.

Żaden ze mnie wojownik, przyznaję. Urgo z Grammem udzielili mi paru ważnych lekcji, ale nigdy nie miałem czasu ani serca, by się wprawiać w sztuce robienia orężem, czego nieraz w życiu żałowałem. Teraz, wykonując zamaszyste uderzenie zardzewiałymi grabiami, obiecałem sobie, że naprawdę się wezmę do nauki. Że będę do upadłego ćwiczył walkę mieczem, toporem, włócznią i sztyletem, bo przecież, skoro brałem na siebie odpowiedzialność za losy Doliny, po prostu nie mogłem dalej pozostawać amatorem.

Nie mogłem chybiać w najważniejszych momentach walki.

Bo skądś wiedziałem, że chybię. Potwór oddalał się zbyt szybko, grabie nie nadawały się do walki, a ja tak czy owak nie miałem wprawy. Musiałem chybić. Nie było innej możliwości.

Ale trafiłem.

Nadgarstki przeszył mi ostry ból, bo odnóża uciekającej istoty, choć wydawały się cienkie i wiotkie, okazały się twarde niczym dębowe gałęzie. Unoszący dziewczynę potwór zachwiał się jednak i o mało nie upadł, a ja uświadomiłem sobie, że stalowe zęby grabi haczą o jego łydkę.

Szarpnąłem ze wszystkich sił i stwór przewrócił się na grządkę z kilkoma wąłymi źdźbłami szczypiorku, przygniatając sobą Matyldę. Chyba cofnął przy tym któreś ze swoich ramion, bo księżniczka nagle zaczęła się wydzierać.

Ogarnął mnie szal. Złapałem grabie, przypadłem do bestii i drąc się jak opętany, tłukłem ją ze wszystkich sił. Potwór piszczał przeraźliwie, próbując się podnieść, przygnieciona Matylda wrzeszczała i przeklinała, gdzieś piszczał Quelian, rżał skradziony koń, aż w końcu w czyniony przez nas harmider wdarł się tupot żołnierskich butów i zgrzyt mieczy wyciąganych z pochew.

Cofnąłem się, zdyszany. Potwór zdołał się podnieść, ale wtedy na jego ramię padł pierwszy cios, a na tułów kolejny. Żołnierze książęcy o oczach lśniących strachem i obrzydzeniem osaczyli potwora i dosłownie zarąbali go na kawałki. Pisk bestii rychło ucichł, a ona sama znieruchomiała. Któryś ze zbrojnych odtrącił ją kopniakiem i pomógł się wydostać Matyldzie.

Zapadła pełna niedowierzania cisza. Księżniczka, sponiewierana, powalana ziemią i zbryzgana krwią, stała niepewnie, walcząc z drzeniem kolan. Desperacko usiłowała przybrać minę pełną dumy i dystansu, ale poddała się i wsparła na ramieniu śmiertelnie bladego Queliana. Obok nich wyrósł sir Valdan z mieczem w dłoni, blady i oszołomiony. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w zewłok bestii, a potem przeniósł wzrok na mnie i zamrugał parokrotnie.

– Ty... – wychrypiał. – Kociołek, ochlapusie jeden, co ty tu robisz?

– Odwałam za ciebie robotę – powiedziałem z trudem. Emocje powoli mnie opuszczały. Musiałem się wesprzeć na umazanym krwią trzonku grabi. – Przyłóż się, Valdan, do obowiązków, co? O mało co się nie spóźniłeś.

Rycerz oblizał spierzchnięte wargi. Na jego brutalnej, nalanej gębie próżno byłoby szukać typowej dla niego arogancji.

– A co to właściwie było? – spytał.

– Przyłgwa – odpowiedziałem zmęczonym głosem. – Wedle dawnych kronik takie jak ona posyłano szarżującym oddziałom kawalerii. Były obdarzone niezłym refleksem i potrafiły uskoczyć przed ostrzem włóczni lub w porę za nie złapać. Umiały przemknąć pod nim i pochwycić konia za pęciny. Potrafiły wreszcie zerwać jeźdźca z siodła i unieść go daleko, a po drodze przegryźć mu

gardło. Ten, choć porwał Matyldę, krzywdy jej nie zrobił. Resztę wniosków wyciągnij sobie sam.

– Czyli... – Rycerz dochodził już do siebie. Minę miał mocno nietęgą. – Czyli to Złe?

– Bardzo Złe. I lepiej miej, rycerzu, oczy szeroko otwarte. Nie zawsze będziesz miał pod ręką kucharza z grabiami. Wybaczcie, muszę już jechać.

Sir Valdan oprzytomniał do końca i nagle zmarszczył brwi. Miałem wrażenie, że unosi miecz, by mnie powstrzymać, ale wtedy napotkał spojrzenie Matyldy i jego ramię raptownie zwiotczało. Księżniczka uwolniła się od Queliana i podeszła do mnie. Miała włosy lepkie od krwi przyłgwy, lecz w jej oczach znów jaśniała duma, a na usta powrócił znajomy mi grymas.

– Jeśli myślisz, że zapomnę, jak kazałeś mi przez kilka dni nosić poszczaną kieckę – wycodziła, dźgając mnie palcem w pierś – a potem oddałeś mnie pod opiekę tego pojebanego elfa, to jesteś w błędzie.

Zrozumiałem, że niczego bardziej przypominającego podziękowania już od niej nie usłyszę.

– Uważaj na siebie, młoda – powiedziałem i ruszyłem na poszukiwania spłoszonego konia.

7

Nie miałem pojęcia, ile czasu minie, nim Rupert zrozumie, że wyślizguje mu się z rąk więzień polityczny. Na szczęście odnalezienie i ubicie bestii Złego w książęcych ogrodach zadziało na moją korzyść, a Quelian dotrzymał słowa, dzięki czemu niedługo później usłyszałem łomot zamykanej bramy i pomknąłem traktem na wschód.

W stronę domu.

Dokuczliwy jesienny wiatr przenikał przez moje liche odzienie i nawet koc, którym się opatuliłem, nie stanowił już ochrony przed zimnem. Wkrótce, po jakiejś godzinie od wyjazdu z zamku, chłód stał się dla mnie zmartwieniem o wiele poważniejszym od ewentualnego pościgu, a niedługo później nie myślałem już w zasadzie o niczym innym. Zatrzymałem się więc w pierwszej mijanej wiosce, odnalazłem karcznię i zamachałem zamykającemu już interes gospodarzowi sakiewką otrzymaną od młodego Rosomaka. Już po chwili siedziałem przy palenisku i zajadałem cienką polewkę.

Nie przeszkadzało mi nic a nic. Ani to, że takiej kolacji nie podałyby nawet wrogowi. Ani to, że podłoga nie była zamiatana od tygodni, a ławy aż się lepiły od brudu. Nie przeszkadzały mi pajęczyny na belkach, kiepski cug w wentylacji czy to, że paleniska należały do minionej epoki, a teraz budowało się karczmy z kominkami. Wyrwałem się z niewoli, było mi ciepło i jadłem swój pierwszy posiłek od doby, a jutro skoro świt miałem wyruszyć do Gryfa. Po przybyciu na miejsce planowałem paść Sarze do stóp i wszystko jej wyznać.

No, prawie wszystko. Tyle, ile mogłem.

Bo z wydarzeń w Sokolniku wypływała przynajmniej jedna korzyść – książę Rupert i księżna Marianna zyskali materialny dowód na to, że w ich obejściu szwenda się Złe, a wszelkie wątpliwości powinny rozwiać zeznania kilku ludzi ze straży zamkowej, sir Valdana oraz samej Matyldy. Innymi słowy, moja misja była

już częściowo zakończona, choć dopomógł mi oczywiście łut szczęścia. Troje z pięciorga książąt władających Doliną zdawało sobie sprawę z przebudzenia Złego, a to oznaczało, że mogą się wreszcie zająć własnymi sprawami.

Staw rybny, postanowiłem. Nie, najpierw sauna. Wybudujemy saunę. Może zdążymy jeszcze przed zimą...

Na myśl o chwilach, które mógłbym spędzać tam z Sarą, miałem ochotę od razu wskoczyć na konia i pognać do Gryfa, ale jakoś zdołałem ostudzić emocje i skupić się na innym, znacznie ważniejszym temacie. Nie miałem bowiem pojęcia, gdzie się podziały chłopaki, i mocno liczyłem, że nie wpadły na żaden głupi pomysł.

Moi kompani mogli się na przykład dowiedzieć, że zabrano mnie do Sokolnika, i udać się w ślad za mną do miasta. Być może gdzieś się zadekowali i czekają na okazję, by wyciągnąć mnie z lochu. Miałem nadzieję, że nie są aż takimi durniami, bo przecież rzucali się w oczy jak zdechła mysz w pościeli. Któryś z ludzi sir Valdana na pewno by ich przyuważył, a tego byśmy nie chcieli.

Położyłem się na ławie i przykryłem kocem. Przybierająca na sile senność udaremniła mi snucie kolejnych domysłów. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem równie mocno.

*

Pierzchał był jedną z ostatnich osad, które mijano się w drodze ku granicy Sokolnika z Wichrowinami, a przy tym jedyną mi znaną, której nie opasywały mury obronne. Kiedyś się temu dziwiłem, bo przecież leżała stosunkowo blisko terenów, na których toczyły się działania wojenne w trakcie Waśni, ale doszedłem do wniosku, że być może nazwa osady w jakiś sposób nawiązuje do strategii jej mieszkańców. Zamiast zatrzaskać bramy i mężnie bronić dobytku, prawdopodobnie woleli złapać, co się da, i wiać do pobliskich lasów. Porzucali wówczas domy na pastwę ewentualnego wroga, ale te przypuszczalnie i tak zostałyby zniszczone podczas oblężenia, a w ten sposób ludzie zyskiwali większą szansę na ujście z życiem.

Zbliżając się do osady, co chwila znajdowałem kolejne dowody na słuszność mojej teorii. Pastwiska ciągnęły się od północy, skąd było bliżej do lasu, a ponad dach wznoszącej się pośród zabudowań świątyni Doli wyrastała wysoka wieża, ani chybi obserwacyjna. Podczas Waśni słyszałem plotki, że mieszkańcy Pierzchału ukryli wśród zabudowań wiele pułapek, a pod mostem na rzece, która odgradzała osadę od wschodu, przymocowano kilka beczek ze smołą. Wystarczyłaby jedna pochodnia, by most stanął w płomieniach.

Przypuszczałem, że w owych plotkach kryje się sporo prawdy, bo z jakichś powodów ostatnimi czasy Pierzchał cieszył się coraz większym zainteresowaniem inwestorów. Słyszałem, że ksiązę Rupert w odpowiedzi na prośbę miejscowych hodowców powołał tam do istnienia targ owczy, wokół którego natychmiast wyrosło kilka innych interesów, między innym spora gospoda, kuźnia oraz przynajmniej dwie serownie, a także, co budziło największe zaskoczenie, filia sokołnickiego banku. Bardzo mnie to cieszyło, bo Dolina długo się podnosiła po zniszczeniach spowodowanych przez Waśń, ale moje odkrycia dowodziły, że spokój to nierzadko jedynie iluzja, ci zaś, którzy zanadto w niego wierzą, mogą niebawem gorzko tego pożałować.

Sam zresztą, co przyznawałem z niechęcią, zaliczałem się do tego grona.

Wstrzymałem konia. Poranne słońce przebiło się już przez szare kłęby chmur, dzięki czemu wilgotne od rosy, czerwone dachy domów zapłonęły blaskiem. Na ulicach doskonale prosperującej wsi panowała wrzawa.

Niemalże zazdrościłem zwykłym ludziom ich beztroski.

Oficerski rumak aż się rwał do dalszej drogi i nie było co go powstrzymać. Dotknięty lekko piętami, skoczył naprzód, w stronę rzekomo zaminowanego mostu. Z tego, co pamiętałem, kilka mil dalej ciągnęło się już jezioro, nad którym stała karczma Pod Lipą, gdzie spodziewałem się znaleźć resztę drużyny.

Zapewne zalali pałę, myślałem. Albo wrócili do Gryfa, by sprawdzić, czy ja też już wróciłem. To do nich podobne. Możliwe też, że...

Żołnierzy, którzy zagrodzili mi drogę, ujrzałem dosłownie w ostatniej chwili.

– Stać! – krzyknął jeden z nich, mierząc we mnie włócznią. – Stać, w imię księcia!

Wystraszony, ściągnąłem wodze, a potem przyjrzałem im się uważnie. Było ich dwóch i obaj nosili płaszcze identyczne z tymi, które widziałem u ludzi sir Valdana. Spoglądali na mnie podejrzliwie spod hełmów, mrużąc oczy. Aż wyczuwałem napięcie, z jakim ściskali włócznie.

– Spokojnie – powiedziałem, unosząc dłonie. – Nie mam broni.

Moje słowa nie zrobiły jednak na żołnierzach żadnego wrażenia, a za ich plecami dostrzegłem dwóch kolejnych. Byli uzbrojeni w łuki i najwyraźniej pilnowali mostu, po którym właśnie chciałem przejechać. Droga do domu nagle niebezpiecznie się wydłużyła.

– Coś ty za jeden? – warknął jeden ze zbrojnych.

Przełknąłem ślinę.

– Ja... ja kucharzem jestem. Garneczek mnie zowią – wybełkotałem. – Jadę... No, do roboty jadę?

Drugi żołnierz podszedł bliżej.

– To, że masz obitą mordę, w sumie nie dziwi – mruknął. – Może dupa jesteś, a nie kucharz, i ci się należało. Ale to, że jedziesz na oficerskim koniku, wydaje mi się mocno podejrzanym, mości Garneczek.

Zrobiło mi się zimno. Otworzyłem usta, po czym natychmiast je zamknąłem, nie mając pojęcia, co mogę powiedzieć.

– To nie jeden z nich – zauważył jego kolega. – Jechał od Sokolnika.

– Nie szkodzi – odrzekł pierwszy z żołnierzy. – Księżę kazał zatrzymywać każdego podejrzanego człowieka, a ten tu wygląda mi na złodzieja. No, mości Garneczek, złaż z kobyły. Księżę zajęty naradą w karczmie, ale chętnie cię przyjmie. Idziesz czy chcesz zacząć dzień od kolejnego łomotu?

*

Oczekiwałem, że księżę Rupert zgotuje mi gwałtowne powitanie, bo w końcu widziałem go głównie, gdy syczał, parskął, przewracał oczami lub się wydierał i wymachiwał pięściami. Tymczasem milczał, co od razu obudziło we mnie niepokój.

Siedział przy ławie, wspierając na niej łokcie, lekko zgarbiony, jakby szykował się do skoku. Opierał ogromne dłonie na parującym kuflu, ale patrzył gdzieś w bok, jakby oddawał się zadumie. Uniósł wzrok dopiero, gdy strażnicy, roztrącając zgromadzony w izbie tłum, przywlekli mnie przed jego oblicze.

– Mości księżę! – wysapał pierwszy z żołnierzy. – Ten tu łachmyta patrzy mi na złodzieja! Garneczek go wołają, ale...

W oczach Ruperta ujrzałem bezgraniczne znużenie przemieszane z drwiną.

– Kociołek – poprawił podwładnego. – Nie Garneczek, ale Kociołek. I nie przeczę, łachmyta to i złodziej. Z przyjemnością zamienię z nim jednak słowo. Won stąd. Wszyscy.

Stojący za nim rycerz w lśniącym półpancerzu zmarszczył z niedowierzaniem brwi i już otwierał usta, by się sprzeciwić, ale zacisnął je, jakby coś sobie przypominał. Ukłonił się władcy i ruszył ku wyjściu, a wtedy w izbie, pełnej oficerów, ochroniarzy, doradców i zwykłych przydupasów, zawrzało. Ludzie wstawali i wychodzili, jedni z wyuczoną karnością, inni z ledwie zamaskowanym oburzeniem. Niektórzy przed wyjściem obrzucali mnie zaciekawionymi spojrzzeniami.

– Ty zostań. – Rupert położył dłoń na rękę otyłego dostojnika w płaszczu podbitym skórkami kun.

Mężczyzna skrzywił się z niechęcią i sapiąc, podniósł się z miejsca.

Wnet izba była już pusta, a ostatni z wyproszonych przez księcia ludzi ostrożnie zamknął drzwi. Stałem przed księżęcą ławą, dziękując w duchu Doli, że

straż przynajmniej nie zdążyła mi związać rąk. Bezwiednie omiotłem wnętrze wzrokiem w poszukiwaniu ucieczki, ale próba czmychnięcia równałaby się samobójstwu. Za głównymi drzwiami zapewne zgromadzili się bowiem ludzie księcia, a tylne, prowadzące do kuchni, znajdowały się za plecami Ruperta oraz jego opasłego towarzysza.

Pęki ziół na ścianie, zarejestrowałem bezwiednie. Parapety nawoskowane, zgrabne szybki w oknach, czysto i nie śmierdzi. Niezły przybytek. Gdyby tylko położył podłogę w miejsce tej polepy...

Rupert wpatrywał się we mnie. Ironia w jego spojrzeniu powoli wypierała znużenie.

– Wygląda na to, że spuściłem ci większy łomot, niż sądziłem, Kociołek – powiedział w końcu. – Chyba że przyłożył ci ktoś jeszcze?

– Niestety nie – powiedziałem. – Chętnych nie brakuje, ale nie ma komu się równać z kunsztem waszej książęcej mości.

– Niewykluczone, że się jeszcze z moim kunsztem zapoznasz – Rupert przechylił lekko głowę – bo poprzednio wpieprzyłem ci z gniewu, co było błędem. Ciebie, Kociołek, trzeba bić powoli i z rozmysłem.

– To w istocie musi sprawiać przyjemność – przytaknąłem. – Zwłaszcza gdy dzięki licznej, dobrze uzbrojonej obstawie owo bicie staje się zajęciem bezpiecznym.

Rupert zaśmiał się bez wesołości i upił łyk grzanego piwa, a potem odstawił kufel z trzaskiem. Otarł usta i zwrócił się do sąsiada.

– Widziałeś go, Hugo? – prychnął, po czym znów skupił wzrok na mnie. W jego spojrzeniu nie było już ani śladu zmęczenia, dostrzegłem za to narastający gniew. – Przypominasz mi, Kociołek, kaczkę, która wleci przez okno do izby, rozwali doniczki, przewróci talerz z zupą, stłucze garnek, ściągnie obrus, obsra, co się da, a na końcu nakwacze na tego, kto ją chce wygonić.

Nie miałem pojęcia, skąd się brały emocje, które podyktowały mi kolejne zdanie:

– Ta rozmowa ma do czegoś prowadzić czy masz jedynie, zacny książę, ochotę pomajtać jęzorem?

Opasły towarzysz księcia wyglądał na wstrząśniętego, ale Rupert jedynie prychnął pod nosem i znów upił łyk piwa.

– Nie załapałeś jedynie tego, Kociołek, że kaczkę, która się naprzykrza, można pochwyć i ubić – powiedział. – Co naprawdę nie przysparza wielu trudów. Bierzesz ptaka za szyję i trzepiesz łbem o kant.

Zademonstrował ów ruch z prawdziwą pasją, mnie zaś przeszył dreszcz.

– Nic trudnego – powtórzył. – A ile satysfakcji przy tym? Ho, ho! I, bacz, Kociołek, da się sprawę bez obstawy załatwić.

W kilku łykach dopił zawartość kufła i nagle cisnął nim o ścianę. Drewniane naczynie roztrzaskało się na drzazgi.

– Konkretów się domagasz, tak? – ciągnął tym samym tonem. – Dobrze. Proszę bardzo. Oto konkrety, Kociołek. Złodziej z ciebie jak z koziej pipy durszlak.

Zaskoczyło mnie to.

– Trudno się nie zgodzić – bąknąłem. – Głównie dlatego, że jeszcze nigdy niczego nikomu nie ukradłem.

– Zgadza się. – Rupert przytaknął nader entuzjastycznie. – Nie ukradłeś i nie ukradniesz, choć plan przygotowałeś naprawdę niezły.

Na to nie odpowiedziałem. Moje myśli, napędzane strachem i napięciem, wirowały w poszukiwaniu jakiegokolwiek sensu książących słów, niczego jednak nie odkryły.

– Proszę o wybaczenie, ale... Cóż, chyba nie kapuję.

– To ja ci przybliżę szczegóły. – Rupert splótł palce. – Zakładam, że masz w Sokolniku informatora, który zarówno opowiedział ci o miłostkach Matyldy, jak i umożliwił wydostanie się z więzienia. Nieźle to zorganizowałeś. Poza tym, przyznaję, zawadiaka z ciebie! Mało kto oddałby się dobrowolnie w nasze ręce i skupił na sobie całą naszą uwagę, by zapewnić reszcie twej ekipy udany skok. Szkoda tylko, że w drodze powrotnej musiałeś pokonać moje ziemie, co zadecydowało o twojej porażce. Na przyszłość proponuję, byś kradł mniej wyróżniające się konie.

Zmrużyłem powieki.

– Zaraz... – powiedziałem z niedowierzaniem. – Czyli... Czyli twoim zdaniem, można książę, zaaranżować skandal obyczajowy, by odwrócić uwagę od jakiegoś... skoku?

Coś zaczynało mi świtać. Ktoś wspominał coś przy mnie o jakichś napadach. Nie księżna Marianna aby?

Rupert uśmiechnął się szyderczo.

– Bystry to ty nie jesteś, Kociołek.

– Fakt, nie jestem – przyznałem. – Na to bym nie wpadł. Raczej... Cóż, gdybym rzeczywiście obmyślił sobie jakąś akcję, to spróbowałbym ją przeprowadzić najciszej, jak to możliwe, i na pewno nie ściągałbym na siebie niczyjej uwagi.

– Gad! – zasyczał nagle książący towarzysz i rąbnął pięścią w ławę. – Podstępny, złośliwy gad! Gadaj w tej chwili, gdzie jest złoto!

Byłem przekonany, że nie zniosę już ani odrobiny absurdu więcej.

– Nie wiem nawet, o jakie złoto chodzi – powiedziałem cicho, ze znużeniem. – Nie mogę więc odpowiedzieć na żadne inne pytanie.

Wtem w mojej głowie zabrzączał dzwonek alarmowy. Potrząsnąłem nią, próbując go zignorować, bo przecież to, co przeszło mi przez myśl, było tak niedorzeczne, że... Cóż, już bardziej niedorzeczne być nie mogło.

– Chodzi o zasoby finansowe drugiej filii banku sokołnickiego w Pierzchale – wycedził Hugo. – Filii mojego banku, kanalio! Osiemset dziewięćdziesiąt mohinów, zdeponowanych tam przez obecnego tu miłościwie nam panującego księcia Ruperta!

– Pojęcia nie mam – odparłem głośno, ze wszystkich sił próbując opanować narastające drżenie głosu. – Błędego pojęcia...

– Fatalnie – stwierdził nonszalancko Rupert – bo to może oznaczać, że kumple robią ci koło dupy.

– Co?

– Twoi kumple. Stary łysol, złamas w zardzewiałej zbroi, brodaty kurdupel, jakiś niedoruchaniec z Elfirii oraz skrzyżowanie żaby z karłem cyrkowym. Twoja ekipa, tak?

– No, opis pozostawia trochę do życzenia, ale przyjmijmy, że tak.

– A więc, Kociołek, całkiem możliwe, że cię ci twoi popisowo wydymali. Widziano ich bowiem, jak okradali miejscowy bank.

*

Tak długo kręciłem głową, rozkładałem ramiona i bełkotałem, że co jak co, ale to zupełnie niemożliwe, aż księżę Rupert stracił wreszcie resztki cierpliwości i przywalił mi w gębę, a potem poderwał mnie z podłogi i wywlókł za kapotę z karczmy, wywołując popłoch wśród podsłuchujących.

– Niemożliwe, tak? – charczał z furją. – To chodź, Kociołek. Popatrz sobie. Może widok samego banku nasunie ci trochę wspomnień, co?

Ciągnął mnie po błotnistej ulicy, aż dotarliśmy na zalany kałużami placyk, ocieniony kilkoma bezlistnymi drzewami. Słońce wyszło akurat zza chmur i zamieniało brudną wodę kałuż w połyskliwe lustra. Wokół placu wznosiło się kilka zacnych budynków, na dobrą sprawę kamieniczek, których obecność świadczyła o tym, że Pierzchał wkrótce na dobre pożegna się z wioskową przeszłością. Ich dachy pokryto dachówką, nie zaś strzechą, jak wszędzie dookoła, a na sztydach, zamiast wymalować symbol tego czy innego interesu, starannie wykaligrafowano ich nazwy. Księżę Rupert zatrzymał mnie nagłym szarpnięciem przed najokazalszym z budynków, dwupiętrowym i mającym piękne, łukowato zwieńczone okna.

– Oto, łachmyto – wycedził, nieco zdyszany – druga filia sokołnickiego banku, z której twoi kompani wynieśli zeszłej nocy osiemset dziewięćdziesiąt mohinów.

Stul pysk! – zaryczał, widząc, że otwieram usta. – Na ich, kurwa, nieszczęście księżyc świecił jasno, dzięki czemu wszystko dokładnie widziała niejaka Aldona Jarzab, wdowa po handlarzu Zającu, rezydująca akurat po drugiej stronie ryneczku...

Dłoń księcia wskazała o wiele skromniejszą parterową kamieniczkę o zdobnych okiennicach. Przed nią stały sporych rozmiarów kamienne donice z kwiatami, o tej porze roku oklapłymi i zwiędłymi.

– ...a także chędożący ją od tyłu urzędnik bankowy o imieniu Puklak i mieszkający po sąsiedzku kupiec Dojnuch, którego odgłosy rzeczonoego chędożenia wyrwały ze snu – ciągnął Rupert jadowitym głosem. – Wszyscy oni przedstawili zbliżony opis wydarzeń, z którego wynikało, że dwóch z tej waszej pożałowania godnej kompanii wspięło się po linie na dach kamieniczki, zdjęło dachówki i wlało do środka, a potem opuściło wory pozostałej trójce, po czym wszyscy się zmyli. Pomyliłem się w czymś, Kociołek? Tak to sobie zaplanowaliście czy jakiś szczegół się nie zgadza?

– Puść mnie – wycharczałem. – Puść mnie!

Książę pchnął mnie na ścianę kamieniczki. Wyrznąłem w nią z impetem, aż zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale otrząsnąłem się szybko i odskoczyłem o krok.

Tuż przede mną wisiała lina, po której rabusie wspięli się na dach, teraz trącana podmuchami wiatru. Dotknąłem jej z wahaniem i westchnąłem ciężko, gdy rozpoznałem jej delikatną fakturę.

Tak misternie splecione liny robił tylko Eliah.

Na ścianie tuż obok niej, gdzieś na wysokości ludzkiej głowy, widniała zaschnięta zielonkawa flegma.

Zwierzak.

Pozabijam ich, pomyślałem, czując narastającą wściekłość. Pozabijam tych durniów.

Odwróciłem się powoli ku Rupertowi, który zaplótł ramiona na szerokiej piersi i wpatrywał się we mnie z pogardą. Wokół niego gęstniał już tłumek rycerzy i dworzan, do którego dołączali miejscowi gapie. Od karczmy biegł z niemałym trudem Hugo, dyrektor banku. Gdzieś wysoko zakrakała wrona, a ja ze wszystkich sił odepchnąłem od siebie skojarzenia, jakie niósł ze sobą ten dźwięk.

– Gdzie. Są. Moje. Pieniądze? – wycedził Rupert.

Wtedy zrozumiałem, że jestem zmęczony. Naprawdę zmęczony.

– Każ wszystkim odejść – powiedziałem cicho, wykonując zamaszty gest w kierunku gromadzącego się tłumu. – Dla twojego dobra, mości książę, bo naprawdę nie chcesz, by twe otoczenie to wszystko usłyszało.

Książę Sokolnika uniósł szyderczo brwi i zacisnął pięść.

– Jedna obelga, Kociołek – wycharczał – a przywalę ci tak, że...

– Nie będzie obelg – odpowiedziałem cicho. – Bo straciły już sens, a poza tym lżenie kogoś takiego jak ty okazuje się zbyt proste. Nie – dodałem głośniej. – Widzisz, książę, ktoś powinien powiedzieć ci kilka słów prawdy. Skupiasz całą swą uwagę na wyskokach córki, a teraz na jakimś napadzie...

– Jakimś napadzie?! – wrzasnął czerwony na twarzy Hugo, który usłyszał moje słowa, choć pokonał dopiero połowę drogi od karczmy. – Przecież to o pieniądze chodzi, ty parszywy łotrze! O fundusze, ty ohydny...

– Do tego uparcie skupiasz się na szukaniu winowajców, a tymczasem twój prawdziwy problem kryje się gdzieś indziej! – mówiłem coraz głośniej, ignorując błyski wściekłości w spojrzeniu księcia. Kątem oka widziałem, że tłum gapiów szybko gęstnieje. Nie miałem wątpliwości, że Rupert też zdaje sobie z tego sprawę. – Chcesz, to ci opowiem, co odkryłem w twoim zamku. Co udało mi się dopaść i pokonać wczorajszego wieczoru w ogrodzie. Co łązi za twoją...

Cios pięścią wybił mi powietrze z płuc. Zgiąłem się w pół. Zaraz wyprostowałem się z trudem, rżąc i plując.

– Stul pysk – dobiegło z oddali. – Stul pysk, Kociołek, bo...

– Nie – wykrztusiłem. – Wpadłeś w koszarne bagno, Rupert, a teraz bijesz jedynego człowieka, który może cię z niego wyciągnąć.

Widziałem, jak pięść księcia twardnieje, ale tym razem się zawahał. Odchrząknąłem.

– Dopadło cię Złe, Rupert – wyszeptałem – i trzyma za jajca. Otrząśnij się. Nie chcesz, by wszyscy się o tym dowiedzieli, co?

Spojrzałem mu w oczy. Ujrzałem w nich coś, co potwierdziło mój domysł. Rzeczywiście, nie chciał.

– Pomogę ci rozwiązać twoje problemy, bo tak się dziwnie składa, że są zbieżne z moimi – ciągnąłem. – Ale zrobimy to na moich warunkach!

– Mości Rupercie! – wyrzeził Hugo, który, kołysząc cielskiem, pokonywał ostatnie kroki. Po jego krwistoczerwonej twarzy ściekały strugi potu. – W tej chwili każ spętać tego bandytę... Tego drania... Tego...

– Sir Gruanie, proszę odprowadzić dyrektora banku do karczmy – odezwał się nagle Rupert zmienionym głosem. – Nie, poprawka. Wszyscy go odprowadźcie. Ja natomiast... udam się na mały spacer z tym bandytą i draniem.

8

Jesienne słońce, które nieśmiało wyglądało zza chmur podczas rozmowy z Rupertem, w końcu w pełni zawładnęło niebem, jedynie od czasu do czasu przesłaniała je któraś z rzadkich chmur. Kałuże na trakcie odbijały jego promienie, podobnie jak widoczne z daleka jezioro, nad którym stała karczma Pod Lipą. Na widok pomostu z łodziami, bielonych ścian i masywnej strzechy serce zabiło mi szybciej.

To tu wszystko się zaczęło, i to ledwie wczoraj. Tutaj należało szukać wskazówek i rozwiązań.

Popędziłem oficera rumaka, którego zresztą miałem tu zostawić, a w myślach raz jeszcze przeanalizowałem wszystko, czego dowiedziałem się do tej pory. Przed oczami znów stanęła mi wykrzywiona gniewem twarz Ruperta, który w połowie rozmowy pochwycił mnie za ubranie, po czym targał, szarpał i pokrzykiwał: „Masz dwie doby, Kociołek! Dwie doby!”.

– Dwie doby – prychnąłem. – Co za idiota.

Nigdy nie miałem o Rupercie wysokiego mniemania, ale teraz pozbyłem się wszelkich wątpliwości, że to największy dureń spośród potomków króla Rodryka. Stefan co prawda również nie grzeszył inteligencją, lubił, gdy się go bano, i chętnie łapał za bat, ale przynajmniej potrafił zrozumieć, że popełnił błąd, i podejmował próby wyciągania wniosków. Rupert zaś, choć knuł tyle co brat, jeśli nie więcej, wyciągał kompletnie chybione wnioski, za grosz nie potrafił panować nad emocjami i najchętniej każde słowo puentowałby ciosem pięści.

Trzeba mu było jednak oddać, że rzeczywiście sporo miał na głowie. Napad na bank musiał nieźle nim wstrząsnąć, skoro natychmiast osiodłał konia, skrzyknął przybocznych i przybył do Pierzchału, gdzie się przekonał, że rzeczywiście uwolniono go od ciężaru prawie tysiąca mohinów. Do tego ta sprawa z Matyldą. Nie miałem pojęcia, czy próbował okiełznać córkę z powodu głęboko skrywanej

ojcowskiej miłości, czy też kierowała nim troska o interesy księstwa, ale nieposłuszeństwo młodej w istocie spędzało mu sen z powiek, a wieści, że dybie na nią Złe, doprowadziły do tego, że coś w nim pękło. Przysiadłem na brzegu straganu, przypuszczalnie tkwiącego tam od zakończenia ostatniego owczego targu, patrzyłem, jak okłada mieczem najbliższe drzewo, i cierpliwie czekałem, aż jego złość się wypali.

Potem, czego się spodziewałem, przypadł do mnie, złapał za ubranie i wycharczał swoje ultimatum: „Odzyskaj moje pieniądze! Masz dwie doby, Kociołek! Dwie doby!”.

A ja, wierzcie mi, zapanowałem nad sobą. Korciło mnie co prawda, by spytać, dlaczego tak łatwo wyrzekł się swojej teorii o moim udziale w rabunku lub czemu domaga się, bym zajął się pieniędzmi, a nie polowaniem na Złe, ale coś mi mówiło, że to bezcelowe. Odpowiadając wszak na pierwsze pytanie, książę musiałby się przyznać do własnej głupoty, a roztrząsanie drugiego wykazałoby pazerność i krótkowzroczność. Ja zaś nie miałem już ochoty oglądać kolejnej eksplozji wściekłości, poza tym, stojąc przed taką alternatywą, również wolałem poszukać zagrabionego skarbu.

No i naprawdę zależało mi na znalezieniu moich postrzelonych przyjaciół.

Zniknąłem na niecałą dobę, myślałem, zbliżając się do karczmy. Mogli w tym czasie zrobić wiele rzeczy. Na przykład spróbować się dowiedzieć, co się ze mną stało, i ruszyć mi na ratunek. Mogli poczekać Pod Lipą, mogli wrócić do Gryfa, mogli się schlać i założyć trupę teatralną, mogli zrobić cokolwiek! A ci, cholera, postanowili okraść książęcy bank. Niech się tylko dowiem, który z tych geniuszy wpadł na ten pomysł, a nogi z dupy mu powyrywam!

Tyle że nie pasowało mi do to żadnego z nich. Żychłóń darzył rycerzy i kapłanów szczerą nienawiścią i zaciekle im dokuczał, ale nigdy dotąd nie przejawiał ochoty, by igrać z prawem w sposób tyleż brawurowy, co bezmyślny. Gramm, mimo swej buńczuczności i braku szacunku dla zasad, nie miał w sobie zadatków na przestępcę, Urgo był moralnie czysty jak łąza, Eliah ignorował otaczający go świat, a Zwierzak... Cóż, na samą myśl, że wiecznie uśmiechnięty goblin, który nie odróżniał dni tygodnia i za największą przyjemność uważał taplanie się w błocie, mógłby wpaść na pomysł napadu na bank, chciało mi się śmiać.

A więc kto?

Wciąż pogrążony w rozmyślaniach, zatrzymałem konia na dziedzińcu karczmy Pod Lipą. Gospodarz, który akurat wynosił wiadro z odpadkami, zatrzymał się na mój widok, odstawił naczynie i zaplótł ramiona na piersi.

– Ho, ho, a więc znów się spotykamy! – powiedział z przekąsem. – Całe szczęście, bo już się zacząłem zastanawiać, co począć z tym koniem, który został

w stajni.

– Prawo każe trzymać i doglądać przez tydzień – oznajmiłem oschle, zeskakując na ziemię. – A przyzwoitość nakazywałaby potrzymać jeszcze dłużej.

– Nie będziesz mnie chyba przyzwoitości uczył, co? – obruszył się gospodarz.

– Nie – zgodziłem się. – Nie będę. – A w duchu dodałem: zweryfikuje ją rynek.

Ująłem konia za wodze i podprowadziłem go do gospodarza przybytku.

– To rumak oficerski z Sokolnika – oświadczyłem, wciskając mu wodze do rąk. – Został mi wypożyczony przez panicza Que... Korneliusza Rosomaka i przez niego zostanie odebrany. Nie mam pojęcia, kiedy to nastąpi, a więc weźcie, gospodarzu, pod rozwagę nakazy zarówno prawa, jak i przyzwoitości. Mój własny koń, jak rozumiem, nadal jest w stajni?

– Tak, tak – rzekł gospodarz z zauważalnym ożywieniem, ewidentnie rozbudzonym przez wzmiankę o jednym z najważniejszych rodów szlacheckich Sokolnika. – Stoi, oczywiście, że stoi. Nakarmiony, napojony, wyczesany, nawet kopyt mu doglądałem...

– Cieszę się – przerwałem mu. – Zajrzę do niego, a wy przygotujcie mi coś do jedzenia. Niebawem ruszam w dalszą drogę.

Książę Rupert, gdy już odzyskał panowanie nad sobą i znużył się powtarzaniem mi, że mam dwie doby na odzyskanie skradzionych pieniędzy, zaproponował, bym przeprowadził śledztwo w Pierzchale i zebrał jak najwięcej informacji na temat włamania. Mnie jednakże wystarczyło w zupełności to, co już miałem – uwierzyłem, że napadu dokonali moi przyjaciele, a poza tym pragnąłem jak najszybciej uwolnić się od towarzystwa Ruperta i księżęcej świty. Miałem ponadto wrażenie, że o wiele więcej dowiem się w karczmie Pod Lipą, gdzie przypuszczalnie cała awantura miała swój początek. Nie wydawało mi się, by moi towarzysze planowali napad na bank wcześniej – coś mi mówiło, że wpadli na ten szalony pomysł niedługo po tym, jak zgarnął mnie sir Valdan.

Istniała więc szansa, że skreślili na pożegnanie jakąś wiadomość, a tę mogli zostawić tylko przy moim koniu.

Zwierzę przywitało mnie leniwym prychnięciem i lekko musnęło chrapami moją dłoń, co oznaczało, że gospodarz Pod Lipą naprawdę dobrze się nim zajmował. Siodło z czaprakiem i ogłowiec wisiało na belce nad boksem, a juki oraz – co najważniejsze – garnek z bigosem leżały na półce po przeciwnej stronie wejścia do boksu. Odpiąłem sakwę i westchnąłem z ulgą na widok złożonej w pół kartki papieru.

Rozłożyłem ją pospiesznie, a wtedy moim oczom ukazało się kilka linijek, skreślonych koślawym pismem Żychłonia.

Kociołek,

wiemy, że Cię zgarnęli książęcy, ale zorientowaliśmy się ciut za późno, by interweniować. Jeśli jakimś cudem udało Ci się uwolnić i wrócić do karczmy, wiedz, że ruszamy do Sokolnika, gdzie będziemy próbowali jakoś Cię wyciągnąć. Na miejscu będziemy jutro rano, bo musimy jeszcze załatwić jedną rzecz po drodze. Trzymaj się!

Ż.

I tyle.

Zakląłem w myślach, wsunąłem list do kieszeni, bezwiednie poklepałem konia po pysku i udałem się do izby, gdzie gospodarz skwapliwie podsunął mi omlet z pomidorem. Całkiem zresztą smaczny.

W zasadzie niczego się nie dowiedziałem. Coś do załatwienia, tak? Czy to możliwe, że ów skok zaplanowali już wcześniej, ale nie zdradzili się z nim ani słowem, tylko czekali na dogodny moment? I co, mam teraz wracać po nich do Sokolnika?

Niemrawo nabiłem na widelec ostatni kęs omletu. Zaczynałem nabierać przekonania, że stałem się ulubieńcem Doli, która najprawdopodobniej eksperymentowała na mnie, by ustalić, ile zdoła znieść zwykły człowiek. Wyjechałem z Gryfa, by podjąć walkę ze Złym, ale pozostawiłem tam żonę z dziećmi, którzy tym samym stali się dla Złego łatwiejszym celem, a swoją decyzję okupiłem gniewem i żalem Sary. Po drodze okazało się, że moja kompania postanowiła obrobić instytucję finansową, w czym sam udziału nie wziąłem, bo trafiłem do więzienia księcia Ruperta, oskarżony o romans z jego córką. Uwięziono mnie, pobito i znieważono, podczas gdy Złe panoszyło się w najlepsze.

A Sara oraz dzieci nadal pozostawały same.

Poczułem przypływ tęsknoty za rodziną, tak gwałtowny, że oczy zaszyły mi łzami. Otarłem je wściekłym ruchem, pociągnąłem nosem i odkaslnąłem parokrotnie, by zamaskować chwilę słabości, tym bardziej że gospodarz szedł już ku mnie z kuflem piwa i miską zupy, przypuszczalnie dyniowej.

Napiszę list, pomyślałem nagle. Pewnie nadal będzie na mnie zła, ale może zrobi jej się trochę cieplej na sercu. Papier mam, atrament chyba też, ale...

– Piwko na koszt firmy – poinformował mnie karczmarz, stawiając kufel i miskę. Wziął pusty talerz. – Podać coś jeszcze?

– Nie, nie. – Pokręciłem głową. – Choć zaraz... Macie tu może jakiegoś niedrogiego kuriera? Muszę podesłać list na wieczór.

– W pobliżu nikogo nie ma – odparł gospodarz. – Ale we wsi kłobuki siedzą. Podobno się trudnią usługami pocztowymi.

– Nie, dzięki – mruknąłem i napiłem się piwa. Dokładnie tego mi brakuje, dodałem w myślach. Kłobuków i ich szemranych interesów. Rzeczywiście, bo

gorzej już być nie może.

I w tejże chwili drzwi do karczmy się otwały, a w progu stanął Rosomak senior.

Od razu stało się dla mnie jasne, że minioną doba wiele go kosztowała. Był blady i wydawał się wynędzniały. Siwe włosy miał lekko rozczochrane, pod lewym okiem rozlewał mu się paskudny siniak, czoło przecinało skaleczenie, a na prawym przedramieniu widniał brudny, nieco zakrwawiony bandaż. Tunika, którą założył na kolczugę, nosiła ślady zaschniętego błota, a tarczy z czerwonym słońcem nie widziałem.

W jego oczach, bladych ze znużenia i niewyspania, ujrzałem natomiast błysk w chwili, gdy mnie rozpoznał. Potem na surowym, nieprzystępnym obliczu pojawił się grymas zwiastujący chęć zadania mi długich i wymyślnych cierpień.

– Cóż za spotkanie – powiedział cicho, zamykając za sobą drzwi. – Witaj, mości krzakomówco. Cieszę się, że tym razem nie dzieli nas już rzeczka i możemy zamienić parę słów. Bo chyba jest o czym, prawda?

Serce waliło mi jak końskie kopyta na pylistym trakcie, ale narzuciłem sobie spokój i ostentacyjnie upiłem kolejny łyk piwa.

– Nie wiem – oświadczyłem. – A jest?

– Jest, a jakże. – Rycerz szedł powoli w moim kierunku. Lekko utykał, co nie stanowiło wielkiej pociechy, bo był ode mnie wyższy i masywniejszy, do tego z pewnością sprawniej niż ja władał orężem. – Bo, widzisz, przeszkodziłeś mi w wykonaniu misji dla księcia Ruperta. Istotnej misji o znaczeniu strategicznym.

– Doprawdy? A już myślałem, że się boczysz o coś innego. Bo rozumiem, że Jaźwiec i jego kompania dopadli cię na trakcie, odebrali należność za swe usługi i przyłożyli ci parę razy na pamiątkę?

– Gównu wiesz o tym, co się dzieje w Dolinie! – wycharczał rycerz, który nagle przyspieszył kroku, co oznaczało, że moje domysły okazały się trafne, co już, szczerze powiedziawszy, przestawało mnie cieszyć. – A wiesz czemu? Boś byle szmaciarz, którego trzeba by obić knutem!

Widziałem żądzę zemsty w jego spojrzeniu i zrozumiałem, że od bijatyki się nie wywinę.

Od bijatyki, zważcie, nie zaś od łomotu.

Bo w zwykłym starciu z mieczem w dłoni nie miałbym z Rosomakiem seniorem większych szans, ale, o czym tenże dopiero miał się przekonać, w karczemnych burdach mogłem się poszczycić wieloletnim doświadczeniem.

Otworzyłem szeroko oczy i odsunąłem się nieco, udając przerażenie, a rycerz Rosomak pochylił się groźnie nade mną, gotów złapać mnie za kaftan i cisnąć mną o podłogę. Jak wielu innych rycerzy, nawykł do tego, że samym swoim

pojawieniem się wzbudzał w innych lęk i był przekonany, że tak będzie i tym razem. Nie zwrócił uwagi, że ukradkiem zacisnąłem dłonie na brzegach miski.

– Będziesz mnie błagał o litość, bo zaraz chwycę cię za mordę i... – zaczął, ale nie zdołał już dokończyć, bo w tej samej chwili chlusnąłem mu zupą w twarz.

Rycerz ryknął z bólu i zatoczył się do tyłu, ja zaś poderwałem się i grzmotnąłem go miską prosto w gębę, a potem poprawiłem z drugiej strony. Na wpół oślepiony Rosomak wyciągnął ręce, by mnie pochwycić, wyslizgnąłem mu się jednak, zasadziłem kopa w brzuch, po czym ułapiłem go za kołnierz i z całej siły rąbnąłem jego czołem o blat ławy.

– Co tu się wyprawia?! – ryknął gospodarz, wypadając z kuchni.

– Nic takiego – stęknąłem, dźwigając rycerza i obracając go w stronę wyjścia z karczmy. – Nie bój się pan, już ja wiem, jak się bić, by nie narobić szkód!

– Ale zupę rozlał! – poskarżył się oberżysta.

– Drzwi! – ryknąłem, pchając zamroczonego rycerza przed sobą.

Nieoczekiwany rozwój sytuacji zaskoczył gospodarza, który nie zdążył w porę doskoczyć do klamki, w efekcie czego Rosomak grzmotnął łbem w deski. Nie było czego żałować, bo zaczynał już dochodzić do siebie, a tym sposobem zyskałem kolejnych kilka sekund przewagi. Cofnąłem go gwałtownym szarpnięciem, czekałem, aż oberżysta otworzy drzwi, po czym pchnąłem Rosomaka na zewnątrz.

Istniało kilka niespisanych zasad wyrzucania klientów z karczmy. Wedle pierwszej należało to zrobić tak, by niczego nie zniszczyć ani nikogo przy tym nie uszkodzić. Wedle drugiej wypadało zahaczyć po drodze klientem o coś twardego, by wzmocnić wagę gestu, trzecia nakazywała zaś, by na zakończenie zasadzić mu kopa, czyniąc ów gest ostatecznym. Niestety, w zapale zapomniałem, że nie mam do czynienia z byle pijaczkiem. Kopnięty w bok Rosomak przetoczył się po błocie, ale zaraz poderwał się z twarzą wykrzywioną wściekłością, a ja ze zgrozą przypomniałem sobie, że przecież nosi kolczugę.

– Na strzepy cię rozerwę! – ryknął i rzucił się na mnie z pięściami.

Pierwszego ciosu uniknąłem, przed drugim uskoczyłem, ale trzeci trafił mnie prosto w szczękę i posłał na białą ścianę karczmy. Grzmotnąłem w nią plecami i potylicą, aż mnie zamroczyło, a przytomność odzyskałem dopiero w chwili, gdy Rosomak złapał mnie za kurtę. Strużka krwi z rozciętego czoła ściekała mu po brudnym policzku, ale mój umysł – choć powinien skupiać się na rzeczach zupełnie innych – nagle wychwycił kilka podobieństw. Lekko garbaty nos. Nachylone ku sobie brwi, przez co twarz wydawała się wiecznie zdziwiona. Wąski podbródek. Blisko osadzone oczy.

– Twój syn... – wybełkotałem.

– Co z nim? – wycharczał Rosomak, a jego wielka, brudna, zakrwawiona pięść zastygła.

– ...też walczy jak baba! – warknąłem i z całej siły kopnąłem rycerza w kostkę. Ten zawył wściekle i mnie puścił, a ja wyrwałem się i odskoczyłem.

Przeszło mi przez myśl, że to nie jedyne podobieństwo, jakie mi się nasuwa. Rosomak był podobny do jeszcze kogoś, ale te rozważania musiałem na chwilę odłożyć.

– Myślisz, że gówno wiem o tym, co się dzieje w Dolinie? – syknąłem i kopnięciem w zad pchnąłem Rosomaka na ścianę. – Doskonale wiem, że Rupertowi marzą się dusze trolli! I wiem, że cię po nie wysłał! Wiem, że ścigasz Thuula! Czy raczej ścigałeś, bo...

Rosomak odwrócił się z dzikim rykiem i skoczył prosto na mnie. Zdążyłem się już oddalić i byłbym mu uskoczył, gdybym nie poślizgnął się na błocie. Ogromna pięść rycerza wybiła mi powietrze z płuc. Zgiąłem się odruchowo w pół, a wtedy ten kopnął mnie kolanem w żebra, i to z takim impetem, że wylądowałem na plecach.

– Twój syn... – wychrypiałem z trudem.

Brudna, zakrwawiona twarz Rosomaka przesłoniła mi błękitne niebo.

– Drugi raz się na to, szmaciarzu, nabrać nie dam – wysapał.

– ...dupczy Matylde!

– Co? – Rosomak znieruchomiał i wytrzeszczył oczy, a ja kopnąłem go prosto w klejnoty rodowe. Teraz to on zgiął się w pół z przeciągłym jękiem, a ja odczołgałem się na bezpieczną odległość i podniosłem z trudem, mimo drżących kolan.

– Tu się spotkali! – wysapałem. – W tej karczmie! W saunie! Po mordzie przez to zebrałem...

– Zaraz... – wydyszał rycerz. – Zaraz zbierzesz jeszcze raz, bo... bo to przez ciebie... Przez ciebie wszystko szlag trafił!

Staliśmy naprzeciwko siebie, ubłoceni, sponiewierani i zdyszani, zaciskając pięści i mierząc się wściekłymi spojrzeniami.

– Przeze mnie? – wysapałem. – To tyś się pchał ku mojej karczmie! Tyś na mnie z wyzwiskami skoczył!

– Nie skoczyłbym, gdybyś mnie, złamasie, przed moimi ludźmi nie ośmieszyl!

– Rosomak posłał krwawą plwocinę w błoto. – A teraz jeszcze z Korneliuszem mi wyskakujesz... Mordę ci obję, łachmyto!

– Lepsi od ciebie próbowali!

Rycerz się zamachnął, ale jego kułak szczęśliwie przemknął tuż przed moim nosem. Nie mogłem nie wykorzystać okazji, lecz nie było mnie już stać na jakąkolwiek finezję i po prostu zwałem się na niego całym ciężarem ciała. Obaj

runęliśmy w błoto, gdzie przestało się już liczyć jakiekolwiek doświadczenie, zarówno rycerskie, jak i karczemne. Tarzaliśmy się to w jedną, to w drugą stronę, aż Rosomak, jako silniejszy, zdołał wreszcie zacisnąć mi dłonie na gardle. Na jego brudnej, poparzonej od zupy gębie pojawił się wyraz dzikiego triumfu, przez co zapomniał o środkach ostrożności, a ja zdołałem mu wbić kolano w pachwinę. Przewrócił się z głuchym jękiem, ja zaś przygniotłem go ponownie i uniosłem pięść, by przyłożyć mu w szczękę.

Wtedy na skraju pola widzenia zamajaczyło mi coś, co podświadomie odebrałem jako zagrożenie. Znieruchomiałem.

– Ten tego – oznajmił karczmarz, wymachując tęgą lagą. – Może dalibyście sobie już spokój, co? Gości mam.

Rycerz skorzystał ze sposobności i strząsnął mnie z siebie. Obaj patrzyliśmy teraz na dziedziniec, gdzie zatrzymał się zacny wóz, zapewne wyładowany rozlicznymi dobrami, bo otoczony przez kilku zbrojnych. Siedzący na koźle mężczyzna, postawny i bogato odziany, przyglądał się naszej bójce z podejrzliwością i niechęcią.

– Chcecie, to przedstawię – ciągnął karczmarz z błyskiem rozbawienia w oku. – Wyście, panie, rycerz z rodu Rosomaków, a w was rozpoznaję gospodarza z Gryfa, zgadza się? Mieszkańcy Doliny to spracowany ród i przyda im się nieco rozrywki, a bijatyka między dwoma takimi prominentami na pewno ich zainteresuje!

*

Skuszony dodatkową opłatą, gospodarz Pod Lipą zrezygnował z rozreklamowania widowiska, za to uznał, że zada sobie nieco trudu i przygotuje nam kąpiel, a potem wpuści nas do sauny, pod warunkiem że nie zaczniemy się znowu tłuc po gębach. Na to zarówno ja, jak i Rosomak zgodziliśmy się bez wahania i potulnie, bowiem bójka, nie mówiąc już o wcześniejszych doświadczeniach, wyczerpała wszelkie nasze siły.

Wypaliła w nas również wrogość do siebie wraz ze wszystkimi innymi emocjami, dzięki czemu bez protestów zasiedliśmy na drewnianych ławeczkach naprzeciwko siebie, pośród kłębów pary. Pomieszczenie wypełniła pełna niechęci cisza, którą przerwał, o dziwo, Rosomak.

– Prawda to o Korneliuszu? – spytał chrapliwie.

– Prawda – przytaknąłem, wiercąc się na ławce, koszmarnej twardej i niewygodnej. Miejsce, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę, pulsowało wściekłym bólem i nie umiałem znaleźć dla siebie wygodnej pozycji. – Zdobyłem na to dowód... cóż, niemalże namacalny.

– Książę wie?

– Nie. – Pokręciłem głową, opierając łokcie na kolanach. W tej pozycji dolegliwość okazała się nieco słabsza. – Oboje podejrzewają, że się z kimś spotyka, ale nie mają pewności. W każdym razie są blisko.

– Jak blisko? – Twarde oblicze Rosomaka akurat przesłoniła para, mimo to czułem na sobie jego twarde, przenikliwy wzrok.

– Namacalnie blisko, że tak powiem. Twój młody i Matyllda umówili się tu, w tej saunie. Valdan z obstawą zjawił się na miejscu dosłownie kwadrans później.

– Dureń – jęknął ochryple Rosomak. Para się rozwiła i ujrzałem, że opiera głowę o drewnianą ścianę, a na jego twarzy maluje się udręka. – Ledwie smarkać w rękaw przestał, a już zaczął wywijać kutasem. Rupert osobiście mu go wyrwie i wypali dziurę pochodnią.

– W rękaw, z tego co zauważyłem, dalej smarka, ale ta część z kutasem raczej się zgadza – powiedziałem. – Chociaż księżna Marianna podejrzewa na razie młodego Szczupaka lub młodego Jemiołę. Podkreślam: na razie. Kazałem młodemu się nie wychylać, ale myślę, że Matyldę i tak będą przez jakiś czas trzymać pod kluczem. Po tym, co się wydarzyło w książęcych ogrodach, Valdan i księżna nie będą się patyczkować.

– Powoli. – Rycerz pochylił się ku mnie. Odruchowo napiął mięśnie i nabrał tchu, przez co wydawał się teraz potężniejszy, jakby szykował się do walki. – O czym ty gadasz?

Westchnąłem i opowiedziałem mu o wszystkim, co się wydarzyło, i to od samego początku. Rosomak słuchał mojej historii pozornie beznamiętnie, ale ani przez chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku, widziałem też, że co chwila zaciska pięści. Gdy skończyłem, milczał przez jakiś czas, masując się po szczęce.

– Mogłeś wydać Korneliusza – powiedział w końcu. – Choćby tylko po to, by skupić uwagę księżnej na czymś innym.

– Naprawdę mogłem? – odezwałem się nie bez trudu, bo teraz, gdy udało mi się zapanować nad bólem dolnych części ciała, doszły do głosu inne dolegliwości. Coś kłuło mnie w boku, a czaszka zaczęła pulsować wściekłym bólem. – Nie wiem, co siedzi ci w głowie, Rosomak, ale dla mnie chwila, kiedy zasłonię się dzieckiem dla własnego bezpieczeństwa, będzie największą porażką w życiu.

Rycerz mruknął coś, co mogłem odczytać jako wyraz aprobaty, a potem, ku mojej satysfakcji, ze skurczem bóleści pomasaował się po boku.

– Książę Rupert wie o Złym – powiedział niespodziewanie. – Valdan opowiedział mu o jakichś dziwnych ludziach, co przybyli pod chatę, w której porywacze trzymali Matyldę. Od tego czasu doszło do dwóch innych prób

porwania księżniczki, które na szczęście udało się udaremnić, ale w obu przypadkach porywacze uciekli, zanim zdołaliśmy któregoś pochwycić.

Mówił szybko, jakby wiedział, że zdradza tajemnicę państwową, a jednocześnie czuł, że nie może postąpić inaczej.

– W obu przypadkach okoliczności były jednak mocno podejrzane i trudne do uzasadnienia, do tego pojawiły się doniesienia o dziwnych istotach w lasach i na bagnach na południu. Rupert... cóż, może i nie jest najbystrzejszym z książąt Doliny, ale w zagrożenie uwierzył. Sęk w tym, że wybrał kretyński sposób na walkę z nim.

– Niech no zgadnę. – Westchnąłem, aż mnie w płucach zakłuło. – Postanowił zgromadzić zapas trollich dusz, które uczynią jego wojowników niepokonanymi?

– Nie inaczej – wymamrotał ponuro Rosomak. – Za forszę, którą przeznaczył na ten cel, można by wyszkolić i wyposażać kilkuset zbrojnych, a może nawet nająć krasnoludzkich najemników. Księstwo stałoby się bezpieczne, a z taką armią mógłby sobie nawet pozwolić na zajęcie nowych ziem, ale wiara w bajki okazała się dla niego ważniejsza od strategicznych rozważań i tak oto wędruję od tygodni obrzeżami przeklętej Głodnej Puszczy, targuję się z durnymi kłobukami, gonię trolle i cierpię wszelkie możliwe niewygody, a mój syn idiota w tym czasie macha fiutem tam, gdzie nie powinien!

Zacisnął pięści, aż zachrzęściło, i spojrzał na mnie ponuro.

– Uratowałeś tego matołka przed straszliwym losem, a więc nie wolno mi mieć do ciebie pretensji, ale też mi, Kociołek, nie pomogłeś – wychrypiał, znów masując się po szczęce. – To ty podsunąłeś im pomysł, że zwiąłem, by nikomu nie płacić?

– Ja – przyznałem. – Ale nie dziw mi się. Znam co nieco Ruperta i wiem, że on sam byłby do tego zdolny, uznałem więc, że mógł ci przekazać nieco swoich nauk. Poza tym prysnąłeś z pola walki i wniosek sam się nasunął.

– Nie zwiąłem, tylko się wycofałem! – wycedził Rosomak, trąc masywne, pobliznione ramiona. – A zrobiłem to dopiero, gdy pojawiło się Złe. Wypełniałem przy tym rozkaz Ruperta, który surowo przykazał, bym w każdej niebezpiecznej sytuacji przede wszystkim chronił dusze! Miałem ich zaś w sakiewce cały tuzin! A co do pieniędzy... Mówiłem ci już, że książę wyłożył sporą kwotę na swoją operację, prawda?

– No, mówiłeś – bąknąłem z nieco mniejszą pewnością siebie.

– Mój pech polegał na tym, że większość pieniędzy wydałem, płacąc cholernym kłobukom z Głodnej Puszczy. W chwili, gdy opadli mnie ci pieprzeni najemnicy, domagając się zapłaty za swe usługi, miałem w sakiewce zaledwie kilka mohinów. Próbowałem ich przekonać, że otrzymają swoją forszę, gdy

dotrzemy do banku, ale najwidoczniej okazałeś się przekonujący, bo Jaźwiec roześmiał mi się w twarz i zażądał rękojmi.

– Do... banku? – wymamrotałem.

Rosomak wpatrywał się we mnie z jawną wrogością.

– Tak, mam otwarte konto w banku w Pierzchale – powiedział, z trudem nad sobą panując. – Chciałem namówić tych nienażartych, cuchnących kozich synów, by udali się ze mną do Pierzchału, gdzie mógłbym im wypłacić wynagrodzenie, ale wyśmiali mnie, odebrali worek z duszami i dali mi pięć dni na powrót z pieniędzmi.

– Pięć dni – powiedziałem słabym głosem.

– Tak, dokładnie tyle. Z dumnego wysłannika księcia Ruperta stałem się więc chłopcem na posyłki i... Hej, Kociołek, wszystko w porządku? Poblądłeś, chłopie. Chcesz stąd wyjść?

– Nie, nie – wymamrotałem. – Wszystko dobrze. Znaczy, wszystko będzie dobrze. Chyba. Bardzo kochasz syna, co?

– O co ci chodzi? – Rycerz nabrał podejrzliwości.

– Wiesz, jest coś, co musisz wiedzieć o tym banku.

*

Właściwie nie wiem, co wywołało tak gwałtowną reakcję sir Rosomaka. Uratowałem jego syna przed książęcą zemstą i dopomogłem księstwu, co w zasadzie dawało mi już jakąś przewagę moralną, a do tego moi przyjaciele, sprawcy napadu na bank, podjęli działanie samowolnie, bez mojej wiedzy, mimo to rycerz w swej udręce najwidoczniej przekroczył jakąś granicę, za którą przestawał myśleć trzeźwo. W tym stanie aż nader łatwo było mu uznać mnie, człowieka powiązanego ze wszystkimi jego problemami, za tego, który powinien ponieść karę. Zrozumiałem to jednakże nieco za późno.

Nie wińcie mnie – w jednej chwili Rosomak siedział nieruchomo i oddychał chrapliwie, nie reagując na próby nawiązania rozmowy, a w następnej zerwał się z rykiem ranionego żubra i rzucił się prosto na mnie. Zdołałem wykonać rozpaczliwy unik, po czym pchnąłem drzwi i wypadłem na zewnątrz.

Bieg na golasa po błocie dziedzińca byłby mało przyjemnym przeżyciem, nawet gdybym nie czuł wściekłego, przybierającego na sile bólu w boku, a za mną nie gnał potężny rycerz owładnięty furią. Ślizgając się co kilka kroków i zaciskając z bólu zęby, wyminąłem kupiecki wóz, którego eskorta powitała mnie wiwatami oraz nieudolną próbą klepnięcia w pośladek, i popędziłem w stronę stajni, gdzie czekał mój koń.

Wrota właśnie się zamykały.

Wyobraźnia podsunęła mi obraz gospodarza, który rygluje drzwi, przyspieszyłem więc, zwalczając ostre ukłucia bólu. Przypadłem do wrót i ze wszystkich sił szarpnąłem za uchwyt, a te – ku mojej bezbrzeżnej uldze – uchyliły się na tyle, bym zdołał się wślizgnąć do środka. Wpadłem do stajni, szarpnąłem za zasuwę i oparłem się o szorstkie drewno nagimi plecami, oddychając z ulgą. Jeszcze nigdy zapach końskiego nawozu nie wydał mi się tak miły.

Spodziewałem się, że lada chwila we wrota uderzy rozpędzony, dyszący żądzą zemsty Rosomak, tak się jednak nie stało. Otworzyłem więc oczy i...

Ujrzałem Żychłonia.

Guślarz, który najwidoczniej wkradł się do stajni tuż przede mną, zamarł w bezruchu przy boksie mego konia. Byłem zaskoczony jak chyba nigdy w życiu, mimo to od razu zauważyłem, że Żychłoń zaciska dłonie na uchach garnka z bigosem.

– Eee... – wymamrotał, prostując się. – O, Kociołek. To ty... ty... eee... przez cały ten czas w saunie siedziałeś? Chłopie, myśmy się już martwili, bo...

– Żychłoń – odezwałem się, nie poznając własnego głosu. Nie miałem pojęcia, że umiem przemawiać z takim chłodem. – Miło, że wróciłeś. Rozumiem, że rabunek okazał się przyjemnym zajęciem i po opróżnieniu książecego banku postanowiłeś podpieprzyć bigos?

– Myśmy... eee... – Guślarz się wyprostował, ale nadal unikał mego wzroku. – Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteś i... Znaczy się, zgodnie z tym, co napisałem w liście, mieliśmy cię szukać w Sokolniku, ale...

Mój koń prychnął z radości, rozpoznając Żychłonia, i próbował go musnąć chrapami, co wystarczyło, by guślarz stracił wątek. Odruchowo odepchnął koński łeb, lecz gdy otworzył usta, nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Ale? – spytałem ochryple, robiąc krok ku niemu.

– Ale... Wiesz, parę spraw poszło nie tak i chłopacy są głodni.

– Biedactwa. – Zrobiłem kolejny krok. – Słusznie. Dobrze jest więc podpierdolić trochę bigosu kompanowi, który powinien być więziony w Sokolniku.

– Nie, to nie tak... – Żychłoń potrząsnął głową. – Kociołek, czy ty możesz się ubrać? Nie mogę się skupić na rozmowie, jak mi tu majtasz...

Podszedłem do juków na półce i wyciągnąłem z nich koc, którym się przewiązałem w talii.

– Żychłoń, ja cię miałem za najmądrzejszego w tej bandzie – powiedziałem cicho. – A teraz będę cię musiał rozerwać na strzępy.

– Ty nic nie rozumiesz...

– To ty niczego nie rozumiesz. – Westchnąłem i podszedłem do wrót, zza których wciąż dobiegały dzikie ryki, ale także salwy śmiechu. Zerknąłem przez szparę między deskami i ujrzałem Rosomaka, wciąż nagiego jak go matka na świat wypchnęła, który oszalały z wściekłości uganiał się za parobkami kupca. Wystarczyło jednak, by skupił uwagę na którymś, by inny przypadł do niego od tyłu i klepnął go w pośladek. Rosomak odwracał się wówczas ku nowemu prześladowcy, co błyskawicznie wykorzystywał jeszcze inny.

Przyglądałem się zabawie przez chwilę. W innej sytuacji ubawiłaby mnie do łez, ale teraz czułem tylko narastające znużenie.

– Gdzie reszta? – spytałem.

– W lesie. W sumie niedaleko stąd, ale trochę się krygowali i...

– Nie chcę tego słuchać. Weź jakąś tęgą lagę i chodź.

– Dokąd?

– Zrobić jedyną rzecz, którą jeszcze zrobić możesz.

– Czyli?

– Spuścić komuś łomot.

9

Droga do miejsca, w którym ukrywała się reszta drużyny, miała zdaniem Żychłonia zabrać niecałą godzinę, miałem więc aż nadto czasu, by dokładnie przemyśleć wszystko to, co chciałem im przekazać. Ułożyłem w myślach przemówienie, które moim zdaniem było kwintesencją jadu i szyderstwa, a przy tym zawierało odpowiednią porcję konstruktywnej krytyki, wciąż jednak wydawało się nieadekwatne do poziomu głupoty moich przyjaciół.

– Opowiedz mi o wszystkim ze szczegółami – zażądałem, gdy jechaliśmy wąską ścieżką, wijącą się wzdłuż leśnej rzeki, szeroko rozlanej po niedawnych opadach. – By mi się to jakoś we łbie pomieściło.

– Usłyszeliśmy zamieszanie przed sauną, gdy moczyliśmy się w jeziorze – zaczął niechętnie Żychłoń. – Widzieliśmy, jak cię łapią i wywożą. Chcieliśmy skoczyć ci na pomoc, ale Gramm powiedział, że jak świat światem nikt nikogo nie dogonił na golasa, no więc popędziliśmy po ubrania i do stajni. Już szykowaliśmy się do pościgu, gdy pojawił się pewien kłobuk...

– Kłobuk. – Zacisnąłem powieki.

Jadący za mną sir Rosomak burknął złowrogo pod nosem, co było pierwszym odgłosem, jaki wydał z siebie od chwili opuszczenia błotnego dziedzińca karczmy Pod Lipą. Kontratak, który wraz z Żychłoniem wyprowadziliśmy ze stajni, odwrócił uwagę kupieckich parobków na tyle, by Rosomak zdołał pochwycić pierwszego i dokonać zemsty. W tym czasie my spuściliśmy łomot dwóch pozostałym, co pomogło wszystkim w rozładowaniu napięcia i doprowadziło do niechętnego rozejmu. Rosomak ostatecznie zgodził się nam towarzyszyć i pomóc nam spróbować odzyskać skradzione pieniądze, ale wzrok, którym – co czułem wyraźnie – przewiercał moje plecy, przyprowadził mnie o ciarki.

– No, wygadany taki, pewny siebie – podjął Żychłóń. – Kuklik kazał się zwać. Mordy w kubek, woła, bo was ichni rycerz przyuważy! Każdy z nas znalazł szparę w ścianie i wyjrzał na zewnątrz, a wtedy się okazało, że na podwórku miota się sir Valdan, wydiera na Matyldę, a dookoła niego czeka garść wojska. Zmieniliśmy więc plany i cichaczem wyprowadziliśmy wierzchowce ze stajni, w czym się przydał ów Kuklik, bo znał miejscowe ścieżki. Wnet żeśmy się oddalili od karczmy i już się zbierali w drogę, by dopaść furgon na trakcie, a ten zaczyna gadać, że pewnie cię wiozą do Sokolnika, a oni, kłobuki znaczy się, wszędzie mają wtyki i bez trudu cię mogą wyciągnąć. Nie ma więc potrzeby, byście po nocy za onym furgonem gnali, przekonywał, bo tylko sprawy pogorszycie. Jeszcze Rupertowi ściągną posiłki i więzienia pilniej strzec zaczną, a tego nikt by nie chciał, no nie?

– I nie zaniepokoiło cię, że kłobuk chce cię wplątać w interes? – wycodziłem.

– Ani nie zdziwiło, że coś sporo wie o sytuacji?

– Nooo, nie zdziwiło – bąknął Żychłóń. – Bośmy mu to i owo powiedzieli. Znaczy się, Urgo powiedział, bo mu się paliło do drogi.

– Aha. Wypapłaliście kłobukom wszystko, co się dało wypaplać. Świetnie. A potem wkręcił was w ten nieszczęsny napad?

– Protestowaliśmy! – sprzeciwił się żywo Żychłóń. – Ile się dało! Tłumaczymy kanalii, że my nie rabusie ani przestępcy, tylko drużyna do zadań specjalnych, a ten...

– ...wyjaśnił, że furgon pokonał połowę drogi do Sokolnika i cichaczem się go już nie opadnie – podjąłem. – Za to oni, kłobuki, z chęcią wyciągną mnie z więzienia, jeśli wykonacie dla nich małą robotę.

– Skąd wiesz?

– Bo handlowałem z kłobukami przez całą Waśń. I, w przeciwieństwie do was, dobrze je poznałem.

Sir Rosomak znów burknął wściekle pod nosem, co mi przypomniało, że w ramach zadań przydzielonych mu przez księcia Ruperta handlował z kłobukami na obrzeżach Głodnej Puszczy, a więc mógł już nosić w sobie zaczątki traumy.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Konie miękko stąpały po leśnej ścieżce, a pomiędzy drzew co rusz prześwitywała szara tafla rzeki.

– Trochę żeśmy się wahali – przyznał guślarz. – Ale wtedy Kuklik obiecał nam piętnaście procent tego, co wyniesiemy i...

– I wtedy sprzeciwy umilkły, tak? – warknął niespodziewanie Rosomak. – Daj mi jeden powód, Kociołek, bym nie rozerwał tego drania na strzępy!

– Podam ci dwa. Po pierwsze, sam to zrobię. Po drugie, Dola uczy, by okazywać litość słabującym na rozumie.

– Hej, to nie w porządku! – zaprotestował Żychłóń. – Naprawdę masz nas za głupków?

Wpatrywałem się przez chwilę w stalowe niebo, pocięte czarnymi konarami.

– Niech no pomyślę – powiedziałem lodowato. – W chwili, gdy przekazywaliście kłobukom zrabowane złoto, złapali was w sieć? A potem znikli bez śladu?

Milczenie Żychłonia było wystarczającą odpowiedzią.

– Już niedługo dotrzemy na miejsce – bąknął po chwili.

Widoczna między pniami rzeka zakręcała i wnet ujrzałem resztę drużyny, która skupiła się na brzegu przy tłącym się niemrawo ognisku. W myślach raz jeszcze powtórzyłem treść przemówienia, ale gdy podjechaliśmy bliżej i wreszcie mogłem się przyjrzeć swoim nieszczęsnym druhom, słowa gdzieś wyparowały. Urgo siedział z pochyloną głową, którą uniósł tylko po to, by odwrócić wzrok. Jego pancerz jeszcze nigdy nie wydawał się tak zardzewiały. Gramm mamrotał coś cichutko, jakby próbował sam siebie podnieść na duchu, a Zwierzak co rusz pociągał nosem. Najlepiej oczywiście radził sobie Eliah, który siedział pod drzewem i udawał, że pozostaje odporny na panującą atmosferę upokorzenia. Z zapamiętaniem wyplatał jakiś powróż, ale nie uszło mojej uwadze, że nawet na mnie nie spojrział.

Zeskoczyłem z konia i przywiązałem go obok innych wierzchowców, które, nie licząc obojętnego na wszystko jelonka, powitały go beztruskimi prychnięciami. Wolnym krokiem podszedłem do ognia i usiadłem na pniaku obok Urgo, który aż się skulił.

– Żychłóń, chodź tu. Eliah, ty też.

O dziwo, posłuchali. Guślarz stanął za goblinem, a elf ukucnął obok Gramma, pochłoniętego wierceniem piętą dziury w ziemi. Wilgotne drewno syczało w ognisku, a dym szedł ku rzece, sunącej majestatycznie na północ.

– Kto z was za tym stoi? – spytałem w końcu, czując na sobie ciężki wzrok Rosomaka, który, niezaproszony do rozmowy, nadal siedział w siodle i miazdżył mnie spojrzeniem. – Odpowiadacie za napad wspólnie, ale chcę wiedzieć, kto zgodził się jako pierwszy. Albo kto przekonał resztę.

Zwierzak chlipnął po raz ostatni, a potem uniósł głowę, zastrzygł uszami i powiedział:

– Ja.

Na chwilę zapomniałem o oddychaniu. Wpatrywałem się w goblina szeroko otwartymi oczami, niezdolny do wykonania ruchu czy wypowiedzenia słowa.

– Ty? – wykrztusiłem w końcu.

Nikt z drużyny nie pasował mi na przestępcę. Gdybym musiał komuś przypisać taki czyn, mógłbym ewentualnie rozważyć kandydaturę Żychłonia,

darzącego awersją wyższe warstwy społeczne, Gramma, który miewał najróżniejsze pomysły i wprowadzał je w życie tylko dla hecy, lub Eliaha, którego obojętność wobec obowiązujących norm nierzadko mnie przerażała. Ale Zwierzak? Dobroduszny, roztrzepany goblin, którego największą przywarą było plucie zieloną flegmą? Dzielny towarzysz, świetny zwiadowca, najlepszy kumpel moich dzieciaków?

– Będiesz mi to musiał jakoś... wytłumaczyć – wybełkotałem.

– Pomyślałem, że wszyscy na tym skorzystamy! – odezwał się Zwierzak. – Wszyscy! Urgo odda coś sierocińcowi, Żychłóń zemści się na świecie, Gramm będzie miał kolejną historię do opowiadania, a Eliahowi i tak wszystko wisi!

– A ja? – wychrypiałem.

Zwierzak zamrugał.

– Chodziło mi przede wszystkim o ciebie! I o Gryfa! O dzieciaki! By wszyscy byli bezpieczni! Byśmy...

– A ja? – Sir Rosomak zeskoczył z konia, aż ziemia zadrżała. Szedł ku nam nieco pochylony i oddychał ciężko, jakby znów ogarniała go furia. – A jak ja miałem na tym skorzystać?

– To sir Rosomak. – Machnąłem niezobowiązująco ręką. – Rycerz książęcy, który miał wyłączny dostęp do zrabowanych przez was funduszy. Szły one, co was pewnie zaskoczy, na finansowanie poszukiwań trollich dusz, co stanowi główny cel księcia Ruperta. Usiądźże z nami, Rosomaku, a...

– Nie będę się bratał z bandą złodziei i rozbójników! – ryknął rycerz, aż z nagich koron drzew wzbiło się spłoszone ptactwo. Ciężka dłoń Rosomaka opadła na rękojeść miecza. – Powinienem was do więzienia zawlec i w ten sposób...

– ...straciłbyś minimum dwa dni na odnalezienie pieniędzy! – zaproponowałem, zrywając się. – Musimy razem ustalić plan ich odzyskania, a nie drzeć się...

– Z drogi! – huknął Rosomak. – Wycisnę życie z tej zielonej poczwary!

Odepchnął mnie i ruszył naprzód, rozdeptując ognisko. Dłonie w ciężkich rycerskich rękawicach wyciągnęły się ku Zwierzakowi, który poderwał się z przerażeniem w oczach, ale wtedy na nadgarstku Rosomaka zacisnęła się inna dłoń, równie silna jak jego własna, i mocnym szarpnięciem odciągnęła go do tyłu.

– Popelniliśmy błąd – oświadczył niskim, dobitnym głosem Urgo. – I każdy będzie go nosił na sumieniu. To jednak nie powód, by obrzucać się wyzwiskami czy sięgać po broń.

Rosomak wyszarpnął rękę i cofnął się o dwa kroki. Wpatrywał się w Urgo intensywnym spojrzeniem, a jego oblicze łagodniało, w miarę jak uchodziła

z niego wściekłość. Spoglądał na Rycerza Doli z rosnącym zaskoczeniem, jakby dopiero teraz zwrócił na niego uwagę.

– Odnajdziemy pieniądze, których potrzebujesz – rzekł Urgo ze spokojem. – A jeśli Dola okaże nam łaskę, odnajdziemy jeszcze więcej. Na przykład...

Z niedowierzaniem patrzyłem, jak rycerz wpatruje się w Rosomaka z mieszaniną wzruszenia i zażenowania.

– Na przykład utracone lata.

Widząc nasze zbaraniałe miny, Urgo odwrócił się ku nam, odetchnął ciężko i rzekł:

– Poznajcie mego brata. Oto Orgo.

*

Nigdy nie byłem szczególnie religijny, a przywiązanie do głównego bóstwa Doliny objawiałem tylko podczas świąt rodzinnych oraz, rzecz jasna, obsługiwania goszczących w karczmie kapłanów. Miałem oczywiście uzasadnione powody, by nie darzyć kasty kapłańskiej szczególnym szacunkiem, ale o mojej obojętności wobec Doli zadecydowały raczej długie lata spędzone najpierw na wojnie, a potem na rozbudowie interesu. Nauczyłem się bowiem, że wymodlić sobie mogę co najwyżej spokój ducha, a na całą resztę należy po prostu uczciwie, sumiennie zapracować.

Nie mogłem się jednak pozbyć przekonania, że Dola w ten czy inny sposób mi się przyglądała i na najrozmaitsze sposoby ingerowała w moje życie. Bywało – jak choćby przez ostatnią dobę – że doświadczała srogo zarówno mnie, jak i wszystkich, z którymi się stykałem, by później zaskoczyć nas czymś, czego nie umiałem ogarnąć umysłem. Patrzyłem teraz na dwóch rycerzy – jednego, który oddał się Doli, i drugiego, który przysiągł posłuszeństwo księciu Rupertowi – i ze zdumieniem odkrywałem, że przynajmniej dwa elementy układanki wreszcie się dopasowały.

Nareszcie odkryłem, do kogo podobny był młody Korneliusz.

Mianowicie przypominał swego wujka, Urgo.

Obaj rycerze, ten zardzewiały i ten ubłocony, wpatrywali się w siebie nawzajem. Urgo był spokojny, ale miałem wrażenie, że trochę żałuje swej jakże koniecznej interwencji. Rosomak zaś wydawał się całkowicie wytracony z równowagi. Nie ulegało wątpliwości, że obaj mają za sobą trudną przeszłość, ale nie bardzo będą umieli o niej rozmawiać.

Patrząc na nich, uświadomiłem sobie, że moja złość na drużynę gdzieś ulatuje. Podeszedłem do Zwierzaka i pomogłem mu wstać, za co goblin podziękował mi skinieniem głowy, a potem odwróciłem się ku reszcie.

– Jak wyglądał ten cały Kuklik? – spytałem.

Moje pytanie zabrzmiało ostro jak uderzenie z bicia. Uwaga wszystkich obecnych skupiła się na mnie.

– Jaja sobie robisz, Kociołek? – bąknął Gramm. – Przecież każdy z tych pieprzonych kłobuków wygląda tak samo.

– Nie, to nieprawda. Różnią się od siebie jak, nie przymierzając, krasnoludy. Było w nim coś charakterystycznego? Śmierdział czymś? Miał jakąś skazę? Mówił z akcentem? Na Dołę, przecież coś musiało zwrócić waszą uwagę.

Gramm pokręcił bezradnie głową, Żychłoń wzruszył ramionami, Urgo stał nieruchomo, zerkając to na mnie, to na swego brata, a Zwierzak, który z czujnością wpatrywał się teraz w Rosomaka, chyba nawet nie usłyszał pytania.

– Skupcie się! Kłobuki na ogół trzymają się swoich i mało który zapuszcza się między ludzi – przypomniałem. – Nie tak trudno jest tych drani odnaleźć, o ile się wie, kogo szukać.

– Ciemno było – burknął Gramm, a jego mina sugerowała, że najchętniej zapomnieliby o całej sprawie.

– Do chaty nas zaciągnął – odezwał się niespodziewanie Eliah i odwrócił głowę, jakby czuł się niekomfortowo z tym, że nagle wszyscy na niego spojrzeli. – Nie chciał na dworze gadać, wśród drzew. Koniecznie pod dachem. Mówił, że na deszcz się ma, a jego ciągiem choróbska łapią.

– Tak, to dziwne było – zgodził się Żychłoń. – Zimno było jak cholera, ale przecież na deszcz nie szło.

– Ano nie szło – powiedziałem, zamyślony. – I tak nie mamy niczego ważniejszego do roboty, a więc może odwiedzimy tę chatę, co? Dacie radę ją znaleźć?

W drużynie, po raz pierwszy od naszego ponownego spotkania, zapanowało ożywienie. Każdy podniósł się, poprawił broń, zebrał to, co zostawił na ziemi, a potem ruszył ku swojemu wierzchowcowi. Gramm na odchodnym rozkopał ognisko. Ja zaś odczekałem, aż Urgo się oddali, a potem zwróciłem się ku sir Rosomakowi, który nadal chyba nie doszedł do siebie.

– Jedziesz z nami? – spytałem cicho.

Rycerz zamrugął.

– Tak, chyba tak – mruknął po chwili. – Nie mam nic innego do roboty. Nie mam też z czym wracać ani do Jaźwca, ani do księcia Ruperta.

– Dobrze – powiedziałem. – Witaj więc w kompanii, ale lepiej uważaj na to, co robisz i mówisz.

Rosomak ściągnął siwawe krzaczaste brwi.

– Jak mam to rozumieć? – spytał groźnym tonem, ale zareagowałem głośnym prychnięciem.

– Wiem, że jesteś bratem mego przyjaciela, ale minie sporo czasu, zanim się do tego przyzwyczaję. Ty chyba również. Będę cię więc na razie traktować jako człowieka księcia Ruperta, a to oznacza, Orgo, że masz się pilnować. Wystarczy, że spojrzysz krzywo na któregoś z moich przyjaciół, a urządzę ci powtórkę łomotu spod karczmy – odparłem i ruszyłem w stronę swojego wierzchowca.

Chwilę później jechaliśmy już przez jesienny las w kierunku, który wybrał dla nas Eliah.

*

Po drodze przypomniało mi się, że gospodarz Pod Lipą wspomniał coś o kłobukach, które w okolicy zajmowały się rozwożeniem poczty, co rzecz jasna nie wzbudziło we mnie zaufania. Podczas wyprawy do Głodnej Puszczy przekonałem się bowiem, że listy powierzone kłobukom raczej nie docierają do adresata, co jednak niespecjalnie mnie wtedy zaskoczyło. Jak wspomniałem, poznałem naturę tego plemienia podczas Waśni i wiedziałem, że w zasadzie każda prowadzona przez nie działalność gospodarcza wymaga daleko posuniętej ostrożności. Kłobuki zajmujące się handlem potrafiły sprowadzić rzadko spotykane towary, ale umiały też zniknąć jak kamfora, jeśli uznały sytuację za niewygodną. Bywały ponadto całkowicie nieprzewidywalne podczas pertraktacji i bardzo luźno traktowały dawane komuś słowo, a do tego przejawiały niespotykaną wprost podstępność i mściwość. Nie było kanciarza, którego nie wyprowadziłyby w pole, i nie było negocjacji, w których nie umiałyby zaskoczyć drugiej strony. Nawet proste, zdawałoby się, usługi, jak balwierstwo, krawiectwo czy rymarstwo, w wydaniu kłobuków okazywały się nierzadko finansowymi pułapkami, a inne ich domeny, jak choćby obrót lekami i używkami, hazard czy pożyczki pieniężne, były nimi z całą pewnością. Z tych właśnie powodów większość ludzi wolała trzymać się od kłobuków z daleka, a na kontakty z nimi decydowali się tylko naiwniacy, desperaci lub też osoby, na których kłobuki już się poznały, a w związku z czym stosowały wobec nich uproszczone procedury.

Nie zdziwiło mnie więc, że przy chacie, do której doprowadził nas Eliah, znalazłem leżący w błocie szyld z napisem „Usługi pocztowe, różdżkarstwo i leczenie zwierząt”. Kłobuki chętnie ogłaszały się jako specjaliści w przynajmniej trzech fachach, ale zgodnie z tradycją jeden z nich był kompletną ściemą, drugi właśnie rozgryzali, a trzeci stanowił ich specjalizację, czytaj: pole do przekrętów i nadużyć. Wszystko mi się zgadzało – z wyjątkiem najważniejszego.

Kłobuki były szachrajami, przemytnikami i fałszerzami, a do tego organizowały jaskinie gry i wymijały wszelkie przepisy podatkowe, z jakimi się

zetknęły. Nigdy jednakże nie słyszałem, by parały się choćby kradzieżą koni, o napadach na banki nie wspominając.

Podniosłem leżący w błocie szyld, obejrzałem dokładnie i wypuściłem. Z plaśnięciem upadł w błoto, a ja przeniosłem wzrok na chatę. Jeżeli cokolwiek się wyróżniała na tle innych we wsi, to tym, że stała bardziej na uboczu, między drzewami, i nie otaczał jej płotek ani ogródek warzywny. Ot, zwykła chałupa kryta strzechą, o ścianach z bielonych bali i starannie odmalowanych ramach okiennych oraz masywnych, lekko uchylonych drzwiach. Gdyby nie ów szyld, zapewne nigdy nie powiązałbym jej z jakąkolwiek działalnością przestępczą.

I zapewne o to chodziło tym przeklętym kłobukom.

– To tu? – upewniłem się.

Odpowiedziały mi niemrawe pomruki moich przyjaciół.

Żychłoń zeskoczył z konia, po nim Urgo i Eliah. Gramm, choć złorzeczył pod nosem, nadal siedział na grzbiecie swego jelonka, boleśnie świadom, że jeśli zdecyduje się zejść na ziemię, wkrótce będzie musiał z powrotem wdrapać się na jego grzbiet, czego nie cierpiał. Na skraju polany czuwał Rosomak, który również pozostawał w siodle, czujnie się nam przyglądając. Ku mojemu zdziwieniu nie zsiadł również Zwierzak.

– Pora się rozejrzeć – powiedziałem i ruszyłem ku drzwiom.

Po drodze rzuciłem okiem na goblina, który wiercił się niespokojnie i strzelał spojrzeniem na wszystkie strony, ewidentnie zmagając się z jakimiś emocjami. Postanowiłem zagadnąć go o to kiedy indziej.

Teraz liczyły się wyłącznie kłobuki.

Pochylając głowę, wszedłem do środka, gdzie moim oczom ukazała się... cóż, najzwyklejsza na świecie izba. Ujrzałem ławę pod oknem, na której wciąż spoczywała owcza skóra, spory piec w rogu, stół z krzesłem przy największym oknie i jeszcze jedno krzesło w przeciwległym rogu, niedaleko wielkiej, okutej skrzyni. Na półce nad piecem piętrzyły się cynowe i gliniane naczynia, na stole stały dwie wypalone do połowy świece, a obok nich pusty kufel. Z oparcie krzesła zwisały proste makatki, inna, o wiele okazalsza, wisiła na ścianie. Przestrzeń między pociągniętymi białym wapnem belkami sufitu wypełniały rzędy surowych desek.

– To na pewno tu? – spytałem, nieco rozczarowany.

– Tu – odezwał się Eliah z zewnątrz.

– Tu – potwierdził Żychłoń, który który wlaźł do środka w ślad za mną.

Po nim weszli Urgo oraz Gramm, który najwyraźniej postanowił zleźć z jelonka.

– Popatrz, Urgo – mówił guślarz. – Ciebie ten przeklęty kłobuk posadził tu – wskazał krzesło w kącie – a mnie tam. Tu siedział Eliah, a tam Zwierzak i Gramm. Na tym stole Kuklik wyliczył naszą dolę, a tam, na parapecie, leżał pergamin z rozkładem pomieszczeń bankowych.

– Myślisz, że to nam teraz w czymś pomoże? – burknął niechętnie Gramm, który obchodził izbę i rozglądał się dookoła z niezadowoleniem.

– Każdy szczegół może się okazać istotny – powiedziałem z zadumą. Zerknąłem w głąb pustego kufla, zajrzałem do zimnego już pieca, uniosłem wieko równie pustej skrzyni. – To Kuklik zasugerował wam, jak macie się dostać do banku?

– Onże – przyznał Urgo i pokręcił głową, jakby sam nie wierzył w to, co mówi. – Powiedział, że znajomek jego zajmował się ciesielką i nie odeskował dachu. Wystarczyło zdjąć kilka dachówek, by wskoczyć do środka.

– Znajomek – prychnął Gramm. – Założę się, że sam ten dach robił i wszystko sobie zaplanował. Żeby pod dachówki desek nie dać? Kto odważa takie fuszerki?

– Coś podobnego. – Uniosłem brew, odwracając się ku krasnoludowi. – Szkoda tylko, że dopiero teraz ci to przyszło do głowy.

Gramm burknął coś niezrozumiałego i odwrócił się, nachmurzony.

– No tak. – Żychłoń przysiadł na brzegu stołu. – Nikt z nas o tym nie pomyślał. Całkiem nas pieprzony kłobuk zagadał.

Patrzyłem na guślarza przez dłuższą chwilę. Znałem go od wielu lat i miałem go za cynicznego, przebiegłego człowieka, którego mądrość już nieraz wybawiła nas z tarapatów. Równie mocno wierzyłem w inteligencję Gramma, choć bywało, że ten maskował ją ze wszystkich sił, oraz w czystość moralną Urgo. Wierzyłem w nieustającą prostolinijność Zwierzaka i niemożliwy do skruszenia dystans Eliaha. Zbudowałem na tej wierze cały swój świat i teraz, gdy stałem w samym środku tej niewyróżniającej się niczym izby, nie mogłem sobie wyobrazić, by zwykły kłobucki krętacz mógł namieszać w głowie całej piątce, nawet jeśli w pewnym momencie poparł go Zwierzak.

– Nie pojmuję tego, Żychłoń – powiedziałem, nie spuszczać z niego wzroku. – Jak to możliwe, byście się tak dali przerobić?

– Kociołek, jeśli domagasz się przeprosin... – zaczął zirytowany guślarz, ale urwał, gdy pokręciłem głową.

– Ja się po prostu zastanawiam, jak do tego doszło. – Westchnąłem ciężko. – Znam kłobuki, przecież wiesz. Handlowałem z nimi, targowałem się, kłóciłem i znów handlowałem. To podstępne, kłamliwe dranie, które zdołają owcę namówić, by mlekiem przez nos strzykała, ale... Na Dolę, czego trzeba, żeby was oszukać?

Żychłoń pokręcił głową, jakby sam nie do końca w to wierzył.

– A to, mogę się założyć, właśnie te deski – mamrotał w kącie Gramm. – Pieprzony sukinsyn. Zamiast odeskować dach, sufit sobie zrobili. Od tej pory każdego spotkanego kłobuka będę tłukł aż...

Coś mnie tknęło i odwróciłem się ku zrzędliwemu krasnoludowi. Stał w rozkroku i wpatrywał się w sufit.

W deski między belkami stropu.

– O ja pieprzę... – westchnął niespodziewanie Żychłoń, który pomyślał dokładnie to samo co ja. – Majster, skocz no do tego swojego jelonka i przynieś skrzynkę z narzędziami, co?

Chwilę później wewnątrz izby wypełniły łomot narzędzi, trzask pękającego drewna i siarczyste przekleństwa. Zasapany Gramm, który przycupnął na szczycie drabiny trzymanej przez Urgo i Eliaha, wyrywał deskę za deską, a ja i Orgo rozbieraliśmy blat stołu. SERTA wyszarpniętych desek rosła, a w powietrzu unosiły się kłęby kurzu, ale nie przesłaniały one obrazu, który powoli ukazywał się naszym oczom na suficie.

Oszołomiony Żychłoń przyglądał mu się z rozdziawioną gębą i z niedowierzaniem kręcił głową.

– To chyba mamy odpowiedź na nasze dylematy, co? – powiedziałem, gdy na polepę padła ostatnia deska.

– A także początek kilku innych – odparł cicho Żychłoń.

– Co przez to rozumiesz?

– Bo czegoś takiego to nigdy na oczy nie widziałem.

Z góry spoglądały na nas rzędy zagadkowych symboli, starannie wyrytych w drewnie i wypełnionych farbą. Nie znałem się na tajemnej sztuce, którą Żychłoń uprawiał od czasu pierwszej wyprawy do Głodnej Puszczy, a sam guślarz zazdrośnie skrywał przed nami jej sekrety, ale odniosłem wrażenie, że znaki nad naszymi głowami tchną obcą, nieprzyjazną mocą. Po plecach niespodziewanie spłynął mi zimny dreszcz.

– Nigdy? – spytałem, odruchowo zniżając głos do szeptu. – Nawet Człekoń ci czegoś podobnego nie pokazywał?

Człekoń, pół człowiek, pół koń, był tajemniczym przybyszem z Elfirii, który za swój cel życiowy uznał dzielenie się prastarą wiedzą. Żychłoń zaś stał się jego wiernym uczniem.

– Nie. Ale za to wspominał, że kiedyś istniało wiele rodzajów glifangu – odparł Żychłoń, krzywiąc się z niechęcią. – Ja korzystam z odmiany znanej w Głodnej Puszczy, bo ten, który rozpowszechnił się wśród ludzi, zaniknął, a jeśli istnieje gdzieś dalej, uważany jest za rodzaj ornamentu. – Prychnął przy tych słowach. – To natomiast wygląda mi na glifang używany przez Złe – powiedział z adziornym tonem, biorąc się pod boki.

– Czy ktoś mógłby mi to jakoś wytłumaczyć? – odezwał się chrapliwym głosem Rosomak.

– W tych znakach – guślarz zwrócił się do rycerza – zaklęta jest dawna moc, tak potężna, że nawet zasłonięcie jej deskami w niczym nie zmniejszyło jej skuteczności. Ten, kto je wykonał, mógł zapewne do woli tą mocą dysponować. Na przykład po to, by wpłynąć na czyjś umysł.

Gramm splunął z wściekłością na polepę. Urgo zacisnął powieki i poruszał ustami, jakby się modlił, a Zwierzak, który kucnął w kącie za stertą desek, bawił się zardzewiałym gwoździem. Za drzwiami ujrzałem cień Eliaha, uważnie przysłuchującego się naszej rozmowie. Rosomak spoglądał to na mnie, to na Żychłonia, to znów na rzędy znaków.

– Kto? – wycedził. – Kto je wykonał?

– Tego nie wiemy – odparł guślarz, nabierając tchu. – Wiemy natomiast, że wykorzystał je Kuklik, by skłonić nas do napadu. To zaś oznacza – przeniósł spojrzenie na pobladłego rycerza – że twój księżę ma bardziej przerąbane, niż się nam wydawało.

– Złe zacieśnia pętlę – dodałem. – Próbuje porwać mu córkę, a jednocześnie pozbawiło go pieniędzy na sfinansowanie zakupu trollich dusz. Ciekawe, gdzie jeszcze działa.

Orgo odetchnął chrapliwie, oparł się plecami o framugę i przeczesał dłońmi rzedniejące siwe włosy. Kątem oka widziałem Urgo i odniosłem wrażenie, że wielki rycerz chciał podejść do brata, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Znajdźmy tego skurwiela – oznajmił Rosomak. – Tego... Jak mu tam było? Kuklika?

– Znajdziemy go – powiedziałem z poważną miną. – Nie wiem jeszcze jak, ale znajdziemy. Nie chodzi tu tylko o pieniądze, ale również o to, co planuje... Na Dole, kłobuk agentem Złego? Poza tym – znów coś mnie tknęło – jeśli ktoś obserwuje to miejsce, to już wie, że my wiemy.

Odwróciłem się ku drzwiom, ale zatrzymał mnie Gramm.

– Poczekaj – oznajmił z dziwną miną. – Chcecie powiedzieć, że te... – machnął ręką w stronę sufitu – no, te pierdzielstwa pozwalają wpływać na czyjś umysł, tak?

– Mniej więcej – odparł guślarz. – Ale...

– W porządku – burknął krasnolud. – Tylko tyle chciałem wiedzieć.

Stanął przede mną w rozkroku, zmarszczył brwi i uniósł dłonie.

– Kociołku! – oznajmił głośno i donośnie. – Spójrz mi prosto w oczy! Wcale się już na nas nie gniewasz i tylko marzysz o tym, by wreszcie upichcić nam coś porządnego!

*

Upichciłem im coś, a jakże.

Wziąłem się jednak do tego dopiero pod wieczór, bo zależało mi na sprawdzeniu jeszcze kilku tropów. Odnaleźliśmy miejsce, w którym moja drużyna wpadła w zastawioną przez Kuklika sieć, a tam dokładnie zbadaliśmy wszystkie ślady. Zwierzak był dziwnie rozkojarzony i nie zdołał odkryć niczego istotnego, ale milczący, pochmurny Eliah zajrzał dosłownie pod każdy krzak.

– Kłobuk miał dwóch towarzyszy – zameldował po powrocie. – Obu ludzi. Czekali tam i tam. – Wskazał najpierw kępę gęstych jałowców, a potem ogromny wykrot. – Po tym, jak nas... – Przełknął ślinę i urwał.

– Złapano? – odpowiedziałem.

Elf źle reagował na wszelkie próby ograniczenia przestrzeni i nawet wspomnienie niedawnej niewoli źle na niego działało. Milczał przez chwilę, zanim znalazł w sobie siłę, by mówić dalej.

– Potem dotarli do traktu – dodał niechętnie. – Wiem tylko tyle, że załadowali zdobycz na wóz.

No tak. Późną jesienią nawet najpopularniejsze trakty zamieniały się w błotniste pułapki i próba wytropienia kogokolwiek lub czegokolwiek po upływie kilku godzin musiała się skończyć niepowodzeniem. Chwilę później pojawili się Urgo i Orgo, których zadaniem było przepytanie okolicznych mieszkańców.

– Niczego się nie dowiedzieliśmy – oświadczył Urgo z kwaśną miną. – Nikt nie widział żadnego kłobuka.

– Albo udawali, że go nie widzą – uzupełniłem.

– Śledztwo utknęło w miejscu – powiedział ze złością Rosomak, na co Urgo pokiwał głową.

Spojrzałem na nich z zainteresowaniem. Stali stosunkowo blisko siebie, nie jak ludzie, którzy dobrze się znają i czują się swobodnie we własnym towarzystwie, ale też nie tak daleko jak obcy. Miałem co prawda tysiące spraw na głowie, ale ciekawiło mnie, czy udało im się nawiązać jakąś więź podczas rozmów z okolicznymi gospodarzami. Niestety obserwacje przerwał Gramm, który podszedł do nas z wielce zadowoloną miną, trzymając pełniutką sakwę.

– Mam wszystko, co chciałeś! – oświadczył z dumą. – Worek ziemniaków, czosnek, tymianek, trochę oleju...

– Świetnie. To zabieraj się do obierania.

– Ja? – Krasnolud otworzył szeroko usta.

– Weź sobie Zwierzaka do pomocy, bo szwenda się bez zajęcia. Rozpalcie też ognisko, a ja pójdę po Żychłonia i zrobimy coś do żarcia.

– Teraz? – Rosomak spojrzał na mnie z gniewną miną. – A nie mamy ważniejszych spraw na głowie?

– Mamy – przyznałem. – Ale nie wiemy, jak je ugryźć, bo Kuklik najwyraźniej przepadł bez śladu. Być może podczas posiłku przyjdzie nam coś do głowy, a jeśli nie, to przynajmniej napełnimy żołądki.

W innych okolicznościach można by sporo zarzucić temu podejściu, ale byliśmy wszyscy naprawdę zmęczeni, skołowani i głodni. Poszedłem więc po Żychłonia i wyciągnąłem go z chaty, w której nadal studiował glify na suficie, a gdy wróciliśmy do towarzystwa, ognisko paliło się już w najlepsze. Urgo podtoczył bliżej kilka kamieni, na których ułożył przyniesione z chaty deski, dzięki czemu powstały prowizoryczne ławki. Na jednej z nich ułożyłem miskę, w której zrobiłem marynatę, a na sąsiedniej Żychłoń kroił ziemniaki.

Odwróciłem się, by sięgnąć po patelnię. Mimowolnie ujrzałem, że obaj rycerze siadają obok siebie, nadal zachowując wobec siebie niezręczny dystans, który jednak szybko przestał być zauważalny, gdy w pobliżu Rosomaka pojawił się Gramm. Krasnolud nigdy nie chował długo urazy, tym bardziej że od zawsze brał na siebie obowiązek przełamywania lodów w towarzystwie. Mówiąc coś do zaskoczonego gościa, wyciągnął korek z manierki, pociągnął tęgi łyk i bezceremonialnie wręczył ją Urgo, na co siedzący obok brat wywrócił oczami. Zwierzak, który usiadł nieco dalej, nadal wydawał się osobliwie wytrącony z równowagi, ale wy dobył już fujarkę z sakwy z zamiarem gry. Za jego plecami zamajaczył Elich niczym jesienny duch.

Ognisko płonęło rażno, śląc ku ciemniejącemu niebu garście iskier. Rosomak również pociągnął spory łyk i się rozkaszał, co Gramm skwitował oklaskami, a Zwierzak uczcił krótką melodyjką na fujarce. Wyciągnąłem patelnię i po okolicy wnet rozszedł się wonny zapach smażonych ziemniaków. Mglista, smętna szarówka czająca się wszędzie dookoła cofała się coraz dalej.

Było jak dawniej.

– Nie mogę przestać o nim myśleć – mruknął do mnie Żychłoń, gdy goblin znów zaczął wygrywać melodię, a Gramm zaintonował mało przyzwoitą śpiewkę.

– O Urgo? Przepracują to jakoś – odpowiedziałem cicho. – Nie poróżniło ich chyba nic wielkiego, bo od razu skoczyliby sobie do gardeł.

Zerknąłem przy tym na Urgo, który krzywił się w reakcji na piosenkę Gramma, ale nieświadomie lekko przytupywał do rytmu.

– Miałem na myśli Zwierzaka.

Spojrzałem na guślarza. Miał poważną, zadumaną minę.

– Nie mogę przestać o nim myśleć – powtórzył szeptem, jakby w nadziei, że muzyka, trzask ognia i rechot Gramma, do którego niespodziewanie dołączył

również Rosomak, zagłuszą jego słowa.

– Dlaczego? – Spojrzałem na guślarza. – Fakt, wydaje się mocno rozkojarzony i jakby nie w sosie, ale być może trochę mu głupio po tym wyskoku z bankiem.

Żychłóń milczał przez dłuższy czas, co zaniepokoiło mnie jeszcze bardziej.

– O co chodzi? – spytałem cicho, potrząsając patelnią.

– Zwierzak jest w znacznym stopniu odporny na oddziaływanie Złego – mruknął guślarz, który spoglądał przez płomienie na goblina. Ten nadal wygrywał skoczną melodię, kołysząc się to w jedną, to w drugą stronę, ale w jego oczach, z reguły pełnych radości, widziałem teraz jedynie mgłę. – Pamiętasz?

Nagle sobie przypomniałem. Byłem świadkiem przynajmniej jednej sytuacji, w której Zwierzak bez trudu strząsnął z siebie magiczne oddziaływanie paralizujące całą resztę drużyny. To jednak oznaczało...

– Mam podejrzenia, że owe glify w chacie kłobuka podziałały na niego słabiej niż na pozostałych – ciągnął Żychłóń. – Zresztą, wiesz, jaki jest Zwierzak. Gdy dzieje się coś, co go nie obchodzi, czyli prawie zawsze, kiwa tylko głową i uśmiecha się szeroko, a w tej chacie... Kociołek, on gadał jak opętany! To chyba przekonało nas bardziej od kłobuckiej magii!

– Chcesz powiedzieć, że Zwierzakowi zależało na tym napadzie? – syknąłem z niedowierzaniem.

– Chcę powiedzieć, że coraz mniej rozumiem.

Obiecałem sobie, że porozmawiam na poważnie ze Zwierzakiem, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja, a na razie skupiłem się na smażeniu.

– Podstawiać michy! – zawołałem po kilku minutach, po czym złapałem za drewnianą łyżkę i zacząłem spychać smażone ziemniaki do naczyń moich przyjaciół.

Przez dłuższą chwilę wokół ogniska słyhać było tylko ciamkanie i pomruki uznania. Kątem oka widziałem, że Rosomak, który skończył jako pierwszy, z trudem powstrzymuje się od wylizania miski. Uśmiechnąłem się lekko.

– Jest tego więcej – oświadczyłem, wrzucając resztę pokrojonych ziemniaków do marynaty.

– I całe szczęście – stęknął Gramm i pociągnął tęgi łyk ze swojej manierki. – Ej, rycerz! Chcesz sobie golnąć?

Słowa skierowane były do Orgo, który skwapliwie skorzystał z okazji, tym razem bardziej umiejętnie, bo obyło się bez kaszlu. Oddał manierkę krasnoludowi, który z uznaniem pokiwał głową, a potem spojrzał na mnie. Na jego oblicze powróciła surowa mina.

– Podjedliśmy i dobrze – rzekł. – Potrafisz, Kociołek, zadbać o nastrój.

W jego języku to chyba najbliższy odpowiednik słowa „dziękuję”, pomyślałem z przekąsem, wpatrzony w patelnię. Wiedziałem bowiem, co zaraz usłyszę.

– Teraz zajmijmy się planowaniem dalszych kroków – rzekł Rosomak.

– Może chłapiesz sobie jeszcze? – Gramm podsunął mu manierkę, ale rycerz odepchnął jego dłoń. Nie spuszczał ze mnie wzroku, co też stanowiło czytelny sygnał.

– O ile się nie mylę, w tłumaczeniu na język zwykłych ludzi oznacza to: „Zajmij się, Kociołek, planowaniem dalszych kroków” – powiedziałem, potrząsając patelnią.

Rosomak nie odpowiedział, co też mnie nie zaskoczyło.

– Trzy rzeczy wiemy na pewno – oznajmiłem. – Po pierwsze, Kuklik reprezentuje Złe. Po drugie, skoro służy Złemu, napad na bank, który przeprowadził rękami moich przyjaciół, nie jest zwykłym napadem, ale atakiem politycznym. To zaś oznacza, że dobrze wiedział, gdzie i po co uderza.

Potrząsnąłem skwiercząca patelnią, z której buchał dym o zapachu smażonego czosnku z tymiankiem, i przeniósłem spojrzenie na rycerza. Ten wciąż wpatrywał się we mnie z ponurą miną.

– Innymi słowy, był świadom, że książę Rupert poluje na dusze trolli. Wiedział, w jaki sposób owo polowanie jest finansowane i jak je udaremnić. Podobno miałeś kontakty z kłobukami z Głodnej Puszczy, co?

Rosomak otworzył szeroko oczy.

– Że co? – burknął gniewnie, zaciskając pięści. – Chyba się przesłyszałem, Kociołek. Sugerujesz, że zdradzam własne księstwo dla kłobuków?

Mimowolnie ujrzałem, jak siedzący obok Urgo unosi brwi, jakby był zażenowany jego słowami. Nietrudno mi było sobie wyobrazić, który z braci był tym spokojniejszym, a który bardziej krewkim. Raz jeszcze potrząsnąłem ziemniakami na patelni.

– Nie da się zdradzić księstwa dla kłobuków, bo te nie tworzą żadnej państwowości – powiedziałem cierpliwie. – Mogłeś natomiast powiedzieć za dużo w trakcie misji na obrzeżach Głodnej Puszczy, przed negocjacjami z kłobukami lub po nich, na przykład w trakcie rozmowy z Jaźwcem.

Surowe oblicze rycerza naraz złagodniało, a złość ustąpiła miejsca niedowierzaniu.

– Chcesz powiedzieć, że te pokurcze podsłuchują?

– Pasjami – odparłem. – A bezszelestne poruszanie się doprowadziły do perfekcji. Łatwiej się o takiego przewrócić niż go wypatrzeć.

Ciche prychnięcie Eliaha dało mi do zrozumienia, że nie mam pojęcia o skradaniu się po lesie, ale ten temat akurat mało mnie teraz interesował. Przekładając kolejną porcję ziemniaków z czosnkiem i tymiankiem do skwapliwie podstawionych misek, przyglądałem się twarzy Orgo, który wydawał

się coraz bardziej nachmurzony. Skubnął ziemniaka, potem ugryzł kolejnego, aż w końcu zapomniał o trzymanej na kolanach misce i zapatrzył się w płomienie.

– No dobra – bąknął. – Spędziłem w tej przeklętej puszczy sporo czasu. Być może rzeczywiście przegadywałem tam sprawę forsy z Jaźwcem i padła przy tym nazwa banku.

– A nie wysyłałeś może stamtąd jakiegoś listu? – spytał podchwytliwie Żychłóń.

– Parokrotnie – odparł Rosomak i powrócił do jedzenia, ale chyba wyczuł nasze spojrzenia, bo znów uniósł głowę. – A co? – warknął. – Reklamowali usługi kurierskie... O co wam chodzi? Poczcie też czytają?

Ukryłem twarz w dłoniach, Eliah zachichotał, a Żychłóń gwizdnał cicho.

– Wszystko się ułożyło w logiczną całość, na Dolę – skonstatował Urgo. – Kuklik przejął twój list, co dało mu sporo czasu na przygotowanie się do przejścia pieniędzy.

– Szlag by go trafił – skonstatował rycerz ponurym głosem. – Szlag by trafił całe to podstępne plemię!

– Mogłoby być gorzej – pocieszyłem go, zeskrobując z patelni ostatniego ziemniaka. – Kuklik zapewne wymyślił sobie, że to ty na czele chłopaków Jaźwca obrabujesz dla niego bank w Pierzchale. Dziękuj więc losowi, że skłóciłem cię z twoimi najemnikami, bo tylko dzięki temu zadanie to przypadło moim baranom.

Zwierzak, posłuszny staremu odruchowi, poderwał fujarkę i podsumował moje słowa wesołą melodią, a Urgo, Żychłóń i Eliah roześmiali się krótko, acz serdecznie. Rosomak z rezygnacją potrząsnął głową.

– Przerasta mnie to – przyznał bezradnie i trącił Gramma. – Mości krasnoludzie, dajże jeszcze łyka.

Gramm nawet nie drgnął. Siedział nieporuszony, jak wykuty z kamienia, i wpatrywał się w ogień szeroko otwartymi, osobliwie szklistymi oczami. W jego niewidzących źrenicach przeglądały się skaczące płomienie.

Kiedyś, dawno temu, widziałem go już w takim stanie i nagle przeszył mnie nieprzyjemny dreszcz.

– Gramm? – odezwałem się cicho. – Hej, Majster! – zawołałem. – Pobudka!

Zwierzak przestał grać, a wesołość wokół ognia raptownie stąpiła miejsca pełnemu napięcia wyczekiwaniu. Słysząc tylko suchy trzask ogniska i odległe wycie wilków. Wszyscy wpatrywali się w zastygłego krasnoluda.

– Gramm! – zawołałem głośno, podrywając się z miejsca. – Nie! – zatrzymałem Zwierzaka, który już się zamierzał, by klepnąć go w plecy. – Nie, to chyba niepotrzebne.

– Co się z nim dzieje? – zawołał poruszony Urgo.

– Wygląda, jakby... – zaczął Żychłóń, ale nie dokończył, bo Gramm nagle się otrząsnął, zamrugał jak człowiek przebudzony z głębokiego snu i rozejrzał się niepewnie.

– Trochę żem się... No, tego... – wymamrotał. – Jakoś tak... Eee...

– Majster, wszystko w porządku?

– Wszystko – przyznał krasnolud, ale niepewnie, jakby sam się dziwił swoim słowom. – Chyba. Słuchajcie... – Zawahał się. – Bo tak mnie naszło... Czy ktoś z was widział może kiedyś taki dworek z drewna? Spory, strzechą kryty, z wieżyczką? W środku lasu?

– Dworek z wieżyczką? – spytał zaintrygowany Orgo. – Z podcieniami?

– I masywną werandą. Niedaleko mostu przy rzece. – Gramm drapał się po plecach i błądził wokół zaniepokojonym spojrzeniem. – To miejsce... Eee... Istnieje czy mi się tylko... No...

– Gdybym miał to wziąć na poważnie, zapewne powiedziałbym, że masz na myśli dworek myśliwski księcia Ruperta – powiedział Rosomak. – Byłem tam kilkakrotnie podczas wielkich polowań.

– Polowań – bezwiednie powtórzył Gramm. – Właśnie, pewnie o polowanie chodzi. Wielkie polowanie. Bo sporo koni tam jest... Sporo koni i ludzi! I dymy z komina...

– Chyba zaszkodziły mu te ziemniaczki – odezwał się niepewnie Urgo.

– Prędeż wódka. – Żychłóń wyciągnął rękę, by odebrać krasnoludowi butelkę.

– No, Majster, bądź grzeczny. Oddaj flaszkę wujciowi!

– On tak często? – Rosomak wpatrywał się we mnie badawczo, a potem przeniósł wzrok na Gramma. – Uspokój się, mości krasnoludzie, i może rzeczywiście oddaj flaszkę łysemu. W letnim dworku księcia, jeśli rzeczywiście o nim nam opowiadasz, na pewno nic się nie dzieje i długo nie będzie się działo, bo trwał tam ostatnio remont i...

Poczułem, jak krew w moich żyłach zamienia się w lód.

– Remont – wyszeptalem. – Na Dolę, tylko nie to. Rosomak, daleko jest ten dworek?

– Będzie z dziesięć mil, ale...

– Trafisz tam?

– Trafię. Tylko że...

– Na koń!

10

Tajemnicę Gramma poznałem wiele lat temu, jeszcze podczas Waśni, a zaskoczenie moich przyjaciół świadczyło o tym, że nigdy później się nią z nikim nie podzielił. Poniekąd go rozumiałem, bo nie było właściwie o czym mówić. Gramm był bowiem pierwszym z długiej linii krasnoludów, który nie odziedziczył ani odrobiny talentu do przewidywania przyszłości, z którego słynął cały jego ród. Długo próbował znaleźć dla siebie jakieś miejsce w ojczystym thanacie, ale rozczarowanie ojca ciążyło mu coraz bardziej, zdecydował się więc opuścić Gwizdzące Góry, po czym Dola doprowadziła do naszego spotkania.

I wtedy jego talent objawił się po raz pierwszy. Gramm nieoczekiwanie przedstawił mi mocno enigmatyczną przepowiednię co do mojej przyszłości, lecz ta spełniła się co do joty. Nie wątpiłem więc w prawdziwość kolejnej wizji, tym bardziej że nie miałem żadnego innego punktu zaczepienia. Bez wahania zdeptałem ognisko i skoczyłem w siodło, by powieść drużynę przez mrok w kierunku wskazanym przez sir Rosomaka.

Dopiero wtedy zacząłem się zastanawiać nad sensownością tej decyzji.

Bo tak po prawdzie Gramm nie powiedział nam niczego konkretnego. Ujrzał jedynie dworek myśliwski, przypuszczalnie należący do księcia Ruperta, oraz tłum nieznanymi jeźdźców. Nie potrafił powiedzieć na ten temat nic więcej, nie wiedział nawet, czy wizja pokazuje mu przyszłość, czy też przeszłość, a gdy go spytałem, dlaczego jego zdaniem doświadczył jej właśnie teraz, obrzucił mnie wiązką przekleństw, zdradzając tym samym, że jego szczątkowy talent profetyczny nadal jest dlań słabym punktem. Więcej pytań już nie zadawałem.

Gnaliśmy więc przez noc jak siedmiu jeźdźców z legend. Prowadził Rosomak na swym potężnym, rycerskim ogierze, ja pędziłem jako drugi, obok mnie Gramm na jelonku, a dalej Urgo, Żychłoń i Zwierzak. Eliaha skrywał mrok, ale byłem przekonany, że mknie kilkanaście kroków za kucem goblina, jak zwykle

milczący i czujny. Uśmiechnąłem się pod nosem, bo jedyną rzeczą, z której mogłem się teraz cieszyć, była świadomość, że nasza drużyna wcale nie popadła w obłęd ani też nie zeszła na ścieżkę przestępstwa. Wręcz przeciwnie, znów się połączyliśmy i bez względu na to, z czym przyjdzie nam się zmierzyć, wspólnie stawimy temu czoła.

Gnaliśmy. Ziemia dudniła pod kopytami, podmuchy wiatru unosiły poły płaszczy. Nad naszymi głowami przemykały konary bezlistnych drzew, które później, gdy bardziej zagłębiliśmy się w las, ustąpiły miejsca miękkim, gęstym łąpom świerków. Rosnący księżyc co chwila wyłaniał się zza chmur i przydawał iglastym gałęziom srebrnego blasku. Znów uśmiechnąłem się do siebie, bo takie noce tworzyły idealną scenerię pod baśnie, które opowiadałem dzieciom, zaraz jednak spoważniałem, gdy przypomniałem sobie, że ta baśń dzieje się naprawdę i być może źle się skończy.

Zrób wszystko, by pokonać Złe, i wracaj do domu, pomyślałem pochylony nad końskim karkiem, a w moim sercu rozlała się gorąca odwaga.

Dobrze, że mogłem liczyć przynajmniej na tyle. Bo pomysłów, jak pokonać Złe, nadal nie miałem.

Rosomak zwolnił i odwrócił się ku mnie. Dałem znać reszcie, by się zatrzymali, a sam podjechałem do rycerza.

– Jesteśmy nieopodal dworku – powiedział. W blasku księżyca widać było jego błyszczące zapalem oczy. – Słyszysz?

W istocie, ciszę nocy zakłócały odległe pokrzykiwania oraz rżenie koni.

– Rzeczywiście coś tam się dzieje – mruknąłem. – Da się jakoś podejść bliżej?

– Da się. Chodź.

Ścieżka, którą dotąd zdążaliśmy, łączyła się kawałek dalej z szerokim traktem. Chwilę po tym, jak zeskoczyliśmy z sodeł i zagłębiliśmy się w las, owym traktem przemknął zbrojny orszak. W blasku księżyca widziałem hełmy i tarcze żołnierzy eskorty, wydawało mi się również, że dostrzegam w ich gronie przynajmniej jedną postać kobiecą, ale nie zdążyłem się przyjrzeć na tyle dobrze, by mieć pewność.

– Co to za jedni? – szepnąłem do Rosomaka, który również zwrócił uwagę na nowo przybyłych.

– Gdyby nie było to niemożliwe, uznałbym, że to księżna Marianna – powiedział z wahaniem rycerz. – I chyba też Matylda.

Powstrzymałem się od uwagi, że ze słowem „niemożliwe” musimy się pożegnać już chyba na zawsze, i klepnąłem rycerza w ramię. Pochyleni, ruszyliśmy w kierunku widocznej już rzeki, starając się nie hałasować, choć okrzyki dobiegające od strony dworku sugerowały, że przybycie nowej grupy całkiem zajęło oczekujących. Co więcej, księżyc na chwilę skrył się za

drzewami, przez co cienie stały się gęstsze i ciemniejsze. Przekradliśmy się niespostrzeżenie na skraj lasu i przykucnęliśmy za gęstymi szuwarami, by przyjrzeć się dworcowi.

Każdy z budynków znajdujących się po drugiej stronie rzeki opromieniały liczne pochodnie. Widzieliśmy zeskakujących na ziemię jeźdźców, głównie zbrojnych, którzy mieszały się z innymi, podobnie uzbrojonymi, ale przypuszczalnie noszącymi inne barwy. Było za ciemno, by dostrzec takie szczegóły, poza tym moją uwagę całkowicie przykuła scena rozgrywająca się przed szerokimi schodami prowadzącymi do dworku. Między kolumnami wspierającymi daszek czekał postawny mężczyzna w długim płaszczu. Na widok nowo przybyłych zszedł po stopniach, by przywitać kobietę, która zsiadła z konia.

– To Rupert – szepnął Rosomak. – A ta kobieta to księżna Marianna! Co tu się, zaraza, dzieje?

– Może nic – mruknąłem bez przekonania. – Hej, popatrz tylko! – Wskazałem ręką kolejną postać, gibką i zakutaną w płaszcz, która zeskoczyła na ziemię zaraz po księżnej. – Miałeś rację, Matyllda.

– Tak, to ona – potwierdził Rosomak z niepokojem. – Czego tu szuka cała trójka? Sprawa robi się coraz bardziej podejrzana.

– Nie panikuj. To, że nie wiedziałeś o tym spotkaniu, jeszcze niczego nie oznacza. Nasi książęta już nieraz spotkali się w tajemnicy przed poddanymi.

– Tak czy owak, byłbym o wiele spokojniejszy, gdybym wiedział, z kim się spotykają.

– A ja nie wiem, czy mam ochotę to wiedzieć – mruknąłem.

W tejże bowiem chwili wrota do dworku rozchyliły się i z rozświetlonego pochodniami wnętrza wychynęła jeszcze jedna postać. Niemalże natychmiast usunęła się w cień i nie zdążyłem przyjrzeć się jej twarzy ani nawet sylwetce. Odniosłem tylko wrażenie, że to kobieta, a żołnierze, którzy wyszli na ganek w ślad za Rupertem, chyba woleli trzymać się od niej z daleka.

– Widziałeś ją? – szepnąłem do Rosomaka.

– Widziałem – mruknął rycerz. – I nie mam pojęcia, kto to taki...

Przez chwilę wpatrywałem się jeszcze w ciemny kąt, w którym stała trudna do wypatrzenia postać. Wydawała mi się złowieszcza niczym przyczajony w półmroku pająk, tym bardziej że jej uwaga najwyraźniej skupiona była na księciu witającym rodzinę. Rupert właśnie brał w ramiona Matylldę, ale jego ruchom brakowało energii i spontaniczności.

Przeszły mnie ciarki.

– Wizja Gramma okazała się prawdziwym ostrzeżeniem – powiedziałem cicho. – Tam naprawdę coś się dzieje.

– Musimy się tam dostać! – Rosomak uderzył pięścią w otwartą dłoń. – I to tak, żeby nie wzbudzić niczyjej uwagi.

– Mariannie i Matyldzie towarzyszyło przynajmniej ośmiu zbrojnych – powiedziałem szeptem. – Na miejscu widzieliśmy dziesięciu, ale pewnie jeszcze są jacyś w środku. To będzie trudne, jeśli nie niemożliwe.

Poczułem, jak moja nadzieja przygasa. Zgadzałem się z Rosomakiem, że musimy się dowiedzieć, co tam się odbywa, ale jak niby mieliśmy tego dokonać? Musielibyśmy się najpierw przeprawić przez lodowatą rzekę, następnie podkraść pod dobrze strzeżony, leżący na otwartej przestrzeni budynek, a na końcu wślizgnąć się do środka.

Zacisnąłem powieki. Przed oczyma ujrzałem gromadkę moich dzieciaków. I już wiedziałem, że dam radę.

– Wezmę Zwierzaka – zdecydowałem. Goblin najlepiej z nas wszystkich pływał i nie przeszkadzało mu zimno, a do tego był świetnym zwiadowcą. – Zostawimy broń, a zwinięte ubrania będziemy nieść nad głową. Jakoś to przetrzymamy, a wy miejcie oczy i uszy...

– Nie – rozległ się czyjś głos.

Drgnąłem. I zobaczyłem, że Rosomak wysuwa miecz z pochwy.

– Szlag by cię trafił – wychrypiął, zwracając się do elfa. – Mało brakowało, a bym cię rozpołowił!

Eliah, którego kroków nie usłyszał żaden z nas, spojrzał na rycerza z mieszaniną rozbawienia i pogardy, po czym znów skupił uwagę na dworku. Jego oczy lśniły osobliwym blaskiem, przez co wydawał się niematerialną, jesienną zmorą, niosącą zagładę wszystkim na swej drodze.

– Nie – powtórzył. – Udamy się tam wszyscy.

– Bzdury gadasz – warknąłem, udając, że jego nagłe pojawienie się wcale nie wytrąciło mnie z równowagi. – Już widzę, jak Gramm daje się namówić na zejście do rzeki! A Żychłoń? Przecież to nie jest młody człowiek, Eliah. Jeszcze się przeziębi i...

Elf znów pokręcił głową.

– Nie o to mi chodzi. Bo ja też nie wleżę do wody.

W jego głosie pojawiła się złowroga nuta, nietypowa dla kogoś, kto doprowadził wypieranie rzeczywistości do absolutnej perfekcji. Zrozumiałem, że jest wściekły. Naprawdę wściekły. Od chwili ponownego spotkania jak zwykle trzymał się na uboczu, przez co nie udało mi się tego zauważyć, ale intryga Kuklika upokorzyła go i doprowadziła do stanu wrzenia. Teraz szykował się do zemsty.

Znów przeszył mnie dreszcz, gdy przypomniałem sobie, kim Eliah naprawdę był, a potem pospiesznie podziękowałem Doli, że mam go po swojej stronie.

– Rozumiem, że chcesz się podzielić z nami pomysłem? – spytałem.

Elijah wpatrywał się w mostek nad rzeką, którego strzegło czterech strażników, a potem skrzywił się paskudnie.

– To jakiś walny zjazd – wycedził, wskazując dworek ruchem głowy. – Czeka ich sporo gadania. Nie sądzisz, Kociołek – obrócił ku mnie swe zimne, jaśniejące oczy – że mogą zgłodnieć?

*

Szedłem szybkim krokiem w stronę mostu, co chwila oglądając się za siebie.

– Szybciej, szybciej, wy patałachy! – wołałem. – Ile można was poganiać! Gdybym wiedział, zabrałbym kogoś, kto zna się na tej robocie! Wy durnie, niemoty, memeje gnojówką pasione! Szybciej, przecież księżę czeka!

Księżyc wyłonił się zza chmur i opromienił naszą przedziwną procesję. Tuż za mną maszerował Urgo, którego nadludzkim wysiłkiem namówiliśmy do ściągnięcia zbroi i przywdziania mojego ulubionego fartucha. Rycerz miał więc skrajnie nieszczęśliwą minę, przez co jeszcze bardziej pasował do przydzielonej mu roli. Niemalże opiekuńczym gestem tulił do szerokiej piersi garnek z bigosem i co rusz zerkał na Gramma, który szedł obok niego.

Krasnolud również pozbył się broni, ale zachował krótki toporek, który mógł od biedy uchodzić za tasak rzeźnicki. Dla poprawy wizerunku przewiązałem mu brodę czerwoną wstążką, niewiele to jednak dało, tym bardziej że Gramm wiódł na postronku swego rozsiodłanego jelonka, którego co rusz obrzucał żarłocznymi spojrzeniami.

Za nim dreptał Żychłóń z mocno nieszczęśliwą miną, bo kazałem mu taszczyć na ramieniu wszystkie deski runiczne, oraz Zwierzak, który prowadził kuca obładowanego wszystkim, co choćby przelotnie mogło się kojarzyć z gotowaniem. Elijah, a więc jedyny, który w żaden sposób nie umiałby się do naszej szopki dopasować, tradycyjnie zniknął bez śladu.

– No, raz, dwa, trzy! – komenderowałem, wymachując chochlą. – Moźni państwo czekają na wieczerzę, a wy się lenicie? Gównu mnie obchodzi, że jest wieczór! Wyciągajcie nogi, obiboki!

Odwracając raz po raz głowę ku przyjaciółom, udawałem, że nie widzę strażników na moście, coraz bardziej zaalarmowanych osobliwą i całkowicie nieoczekiwaną procesją. Dwóch pierwszych pochylało już ku nam włócznie.

– Stać! – warknął ciemnobrody osiłek w hełmie z nosalem. – Droga zamknięta!

– Kiepski czas i miejsce na występy cyrkowe – dodał drugi, o wiele starszy, który zamiast hełmu miał na głowie wełnianą czapkę. – Wynoście się stąd.

Udałem zaskoczenie na widok celujących we mnie włóczni, ale natychmiast zmarszczyłem brwi i wziąłem się pod boki.

– Weźże stąd ten ostry przedmiot, mój dobry człowieku! – poleciłem z najlepszą imitacją oburzenia, na jaką było mnie stać. – A ty bądź łaskaw nie wyzywać nas od trupy cyrkowej – zwróciłem się do jego towarzysza. – Bo w przeciwieństwie do byle muzykantów uprawiamy prawdziwą sztukę. Kulinar-ną! – wyrecytowałem, rozkładając szeroko ramiona. – Czy moglibyście nas zaprowadzić do kuchni?

Obaj strażnicy wymienili spojrzenia, a ich towarzysze podeszli bliżej. Na kolczugach nosili kaftany z fioletowym pucharem, który stanowił herb Krzemyka.

Zaraz: Krzemyka?! Na Dolę, czyżby Rupert z rodziną miał tu tajne spotkanie z wysłannikiem rodzzonego brata Fryderyka? Sprawa robiła się coraz bardziej zagmatwana...

Podczas długich lat prowadzenia karczmy usłyszałem wiele dziwacznych zamówień i równie dziwnych wyznań, dzięki czemu sztukę ukrywania zaskoczenia doprowadziłem do perfekcji. Zamiast tego obrzuciłem czterech zbrojnych wyczekującym spojrzeniem i z emfazą oparłem dłonie na biodrach.

– Czyli kucharze jesteście? – upewnił się starszawy żołnierz w czapce.

– Najlepsi w Sokolniku! – Nagrodziłem go ukłonem, który w moim odczuciu mógł uchodzić za dworski. – Obsługujemy uczyty książęce, święta religijne, negocjacje handlowe, urodziny oraz stypy! Działamy generalnie na terenie księstwa, ale okazyjnie przygotowujemy również posiłki podczas uroczystości w Dymie i Wichrze. Dwadzieścia lat na rynku gastronomicznym pozwoliło nam dostosować...

– Dość już! – oświadczył czarnobrody żołnierz i dla dodania wagi swym słowom uderzył włócznią o ziemię. – Książę Rupert nic nam nie mówił. A wy? – spojrzał na Fryderykowych. – Wy coś wiecie?

Fryderykowi skwitowali jego słowa burknięciami i wzruszeniem ramion, na co ja, nie chcąc stracić inicjatywy, wywróciłem oczami i popisowo załamałem ręce.

– Nic dziwnego, że książę wam nic nie mówił! – oświadczyłem głośno. – Bo to przecież księżna Marianna zajmuje się takimi rzeczami. Słyszeliście, by Rupert kiedykolwiek organizował uczyty? Co? No właśnie. – Zrobiłem dramatyczną przerwę i dodałem ciszej: – A poza tym czy to nie oczywiste? Książę Rupert z rodziną urządza tajne spotkanie z delegacją sąsiedniego księstwa i co? Suchy chleb będą pogryzać i wodą zapijać? Tam – wycelowałem palec w oświetlony pochodniami dworek – zapadają decyzje dotyczące całej Doliny. Wasi władcy tylko czekają, aż im comber jeleni podamy, a czas leci! Dlaczego?

Ano dlatego, że czterech służbistów podaje w wątpliwość uświęcony tradycją porządek negocjacji politycznych!

Ostatnie słowo niemalże wykrzyczałem, co chyba odniosło skutek, bo jeden z żołnierzy przestąpił z nogi na nogę, a drugi opuścił włócznię. Pokręciłem głową z niedowierzaniem i demonstracyjnie głośno westchnąłem.

– Zresztą, jak tam sobie chcecie! – Wzniosłem wzrok ku księżycowi. – Pewnie macie swoje rozkazy i tak dalej, jasne. Szanuję to. Idźcie więc do księżnej i powiedzcie jej, że nie macie pewności, czy wpuścić do dworku zamówionych przez nią kucharzy. No, dalej! Który z was zdobędzie się na odwagę? Chłopaki, przecież księżna nie gryzie!

Strażnicy wydzieleni przez Ruperta wydawali się z każdą chwilą coraz bardziej zafrasowani, ale ci Fryderykowi, którzy nie poznali jeszcze księżnej Marianny i nie mieli powodów, by się jej obawiać, podeszli bliżej.

– A od kiedy to potrzeba aż tylu kuchcików, by obsłużyć możnych państwa, co? – odezwał się jeden z nich, jednooki weteran, i uśmiechnął się kpiąco.

– Kuchcików? – zapiałem z oburzenia, wymachując ramionami. – Ja chyba oszaleję... Jak ty mnie nazwałś? Ja jestem kuchmistrem! Jedynym mistrzem sztuki kulinarnej w całym Sokolniku godnym tego miana! I nie osiągnąłbym tej pozycji bez dywersyfikacji zadań! Ja zajmuję się koncepcją uczt oraz przygotowaniem zup oraz przystawek! Mój osobisty rzeźnik – wskazałem Gramma – przyrządza dania mięsne, łysy jest od ciast i wypieków, a ten wielki pomaga w pracach fizycznych. Przecież, na Dołę, sam nie będę w piecu rozpalał ani podłogi zamiatał!

– A goblin? – Jednooki wydał wargi.

– To nie jest goblin – odparłem z całkowitą powagą. – Zwykły człowiek. Kiedyś nawet przystojny z niego chłopak był, ale testuję na nim świeżość składników i trochę jakby... No, zużywa się.

Zwierzak obdarzył czwórkę strażników najszczerzym ze swoich uśmiechów. Rupertowi ludzie sprawiali wrażenie, jakby marzyli już tylko o końcu tej rozmowy, ale Fryderykowi nadal nie wydawali się przekonani.

– Zapytam porucznika – odezwał się jednooki. – A ty pilnuj tych cudaków, bo dziwnie im z oczu patrzy.

– Liczy się czas! – wyjęczałem błagalnie. – Przecież przygotowanie combra trwa, a nasz jeszcze chodzi o własnych siłach! Zniszczycie mi interes!

Ostatnie słowa znów niemalże wykrzyczałem, ale nie mogłem inaczej, gdyż były umówionym sygnałem. Strażnik nie zdołał odejść na dwa kroki, gdy w ciemnościach za naszymi plecami rozległ się tętent kopyt i z mroku wyłonił się Rosomak. Towarzyszył mu Eliah, również konno. Elf, zgodnie z ustaleniami, nawet na nas nie spojrzał. Owca

Rycerz wrył konia przed mostem i popatrzył na nas, a potem, gniewnie, na strażników. Ci zaś posłusznie pochylili głowy.

– Co tu się dzieje? – warknął Rosomak. – Drzecie gęby jak na wiejskim jarmarku!

– To nie my, panie rycerzu! – zaproponował żołnierz w czapce. – To te cudaki się tak wydzierają!

– A czego się po garnkotłukach spodziewać? – syknął rycerz, mierząc nas wzgardliwym spojrzeniem, a jego rumak, jakby chcąc podkreślić słowa jeźdźca, zarżał głośno i zadudnił kopytami o ziemię. – Spójrzcie tylko na tę hołotę. Do garów, baranie łby! Moźni państwo czekają!

Tubalny głos rycerza oraz otaczający go autorytet skruszyły nawet niechęć ludzi Fryderyka.

– No już! – huknął czarnobrody żołnierz i wzniósł włócznię, jakby chciał uderzyć któregoś z nas w siedzenie. – Szybciej, kuchty!

– Ja protestuję! – zapiałem. – Nie pozwolę się tak nazywać! Jestem licencjonowanym kuchmistrem z koneksjami...

– Zaprowadzicie ich do kuchni, chłopaki, czy sam mam to zrobić? – wysyczał Rosomak.

*

Plan, który przedstawił nam Eliah, a ja z zapalem wcieliłem w życie, był do dupy z przynajmniej dwóch względów.

Po pierwsze, z konieczności oparłem go na założeniu, że na dworek księcia Ruperta nie dotarła jeszcze żadna ściągnięta zawczasu służba, która zajmowała się przygotowaniem uczy. Nie umiałem sobie wyobrazić tarapatów, w jakie byśmy wówczas wpadli.

Po drugie, na opracowanie wielu szczegółów zwyczajnie zabrakło czasu, a jednym z tych, o których nie zająknąłem się słowem, był plan ucieczki. Przecież jakoś się trzeba było później z dworku wydostać, prawda? Ja tymczasem nie miałem bladego pojęcia, co zastaniemy na miejscu, a więc nie mogłem opracować żadnej drogi ewakuacji. Logika podpowiadała więc, że musimy po prostu odegrać swoje role tak dyskretnie, jak się da, i liczyć, że nikt nie zwróci na nas uwagi.

Czarnobrody żołnierz Ruperta, nie szczędząc nam drwin, zaprowadził nas na tył dworku, gdzie otworzył niewielkie drzwi.

– Proszę, proszę, panowie kuchmistrze – szydził. – Ty, łysy, zamawiam kanapkę ze smalcem ze skwarkami! Tylko umyj łapy, zanim się weźmiesz do pracy, bo dobrze widzę, gdzie się drapiesz!

Wślizgnąłem się do ciemnego pomieszczenia, a za mną Zwierzak, Urgo i Gramm. Brzdękneły stawiane na stole naczynia, stuknął garnek z bigosem. Z sąsiedniej sali dobiegały odgłosy poważnej rozmowy.

– Do roboty! – syknąłem i odwróciłem się ku wciąż otwartym drzwiom. – Żychłóń, a ty co?

Guślarz zajrzał do środka.

– Moment – mruknął, po czym się odwrócił. – Hej, ty! – zawołał po cichu za odchodzącym strażnikiem. – Uważaj, bo ciemno jest! Jeszcze w coś przypieprzysz.

Doskonale znałem tę subtelną, ostrzegawczą nutę w jego głosie i uśmiechnąłem się lekko, gdy usłyszałem stłumione, nieprzyjemne plaśnięcie, przywodzące na myśl tylko upadek twarzą w błoto, a po nim serię wściekłych przekleństw.

– Ale sobie moment znalazł – mruknąłem. – Urgo, rozpal w piecu. Zwierzak, wyciągaj miski. Gramm, dawaj patelnię. I do roboty.

– Już jestem – mruknął Żychłóń, zamykając za sobą drzwi. – Musiałem tylko... No, nieważne.

– Cieszę się. Wyciągaj zioła i bierz się do roboty – szepnąłem i podkradłem się do drzwi prowadzących do głównej izby dworku.

Przez dziurkę od klucza widziałem masywny murowany kominek, gdzie huczał ogień. Jego blask padał na ściany z bali zdobione porożami i wypchanymi łbami zwierząt oraz na biegnącą górą galeryjkę. Widziałem też paru strażników z obu księstw, którzy trwali nieruchomo w kątach sali, i kilku na galeryjce oświetlonej przez świece zatknięte na okrągłym żyrandolu.

Przez środek izby biegła szeroka ława, przy której zapewne swego czasu bawiły się orszaki myśliwskie, tak długa, że zasiadająca przy niej rodzina książęca wydawała się drobna i zagubiona. Jakby tego było mało, siedzieli niemalże nieruchomo i to obudziło mój niepokój – zapamiętałem całą trójkę jako ludzi zdecydowanych, głośnych i zawsze gotowych do awantury, a teraz sprawiali wrażenie spłoszonych, niemalże otumanionych. Rupert trzymał w ręku jakiś dokument i próbował go rozczytać, ale co chwila unosił znad niego głowę i rozglądał się trwożliwie. Kobieta, która musiała być księżną Marianną – jak dotąd widziałem wszak jedynie jej buty – siedziała nieruchomo i wpatrywała się w przeciwległą ścianę, a Matylda uśmiechała się blado, zupełnie bez wyrazu i – co zaniepokoiło mnie najbardziej – w całkowicie losowych momentach.

Najgorsze jednak było to, że nie mogłem się przyjrzeć osobie, która z nimi rozmawiała, choć w zasadzie rozmową się tego nazwać nie dało. Siedziała nieruchomo, zwrócona do mnie plecami, i nieustannie mówiła niskim, nieprzyjemnym głosem, pasującym bardziej do mężczyzny niż do kobiety. Rupert

zaś kiwał głową, Matylda uśmiechała się głupekowato, a Marianna zastygła w stuporze.

Podobnie wyglądała księżna Yanna w chwili, gdy zorganizowaliśmy jej porwanie.

Spojrzałem wyżej. Płomienie świec na drewnianym żyrandolu wydobywały z półmroku świeże deski, ciągnące się między grubymi, poczerniałymi ze starości belkami stropu. W tej jednej chwili wszystko pojąłem.

To była pieprzona pułapka.

Obok mnie przyklęknął Gramm, który spojrzał przez szczelinę między drzwiami i framugą, a potem pokiwał głową, najwyraźniej doszedłszy do podobnych wniosków.

– Naprawdę chcemy coś dla nich ugotować? – szepnął.

– A jak inaczej chcesz uzasadnić nasz pobyt tutaj, co? – syknąłem. Podniosłem się i odwróciłem się w stronę stołu, na którym spoczywały już worek z mąką oraz słój z masłem. – Nie wiadomo, ile czasu przyjdzie nam tu spędzić. Jak ludzie Fryderyka nas przyłapią, powiemy, że ściągnął nas tu Rupert. Jeśli to jemu wydamy się podejrzani, wcisnę mu, że to Matylda nas wynajęła, a ona nie sypnie.

– Nie?

– Gwarantuję, że nie.

– Aha! – Gramm, również wstając, zrobił znaczącą minę i mrugnął do mnie. – Jasne. Matylda. Cholera, Kociołek, jak tak dalej pójdzie, skończą ci się szlachetnie urodzone panny do miętolenia, a wtedy...

– Niemożliwe, Majster. – Przewróciłem oczami. – Po prostu niemożliwe, że w takiej chwili masz jeszcze ochotę świntuszyć. Poza tym ja wcale...

– Byłeś z nią w saunie. Na golasa. Sam widziałem. Fakt, że krótko, ale ty akurat nigdy specjalnie...

– Przymknij się. Po prostu się przymknij – warknąłem wściekle, choć bez przekonania. Zaniepokojony wzrok krasnoluda nijak nie pasował do jego szerokiego uśmiechu, co oznaczało tylko tyle, że dla niego wygadywanie sprośnych głupot to sposób na walkę ze stresem. Tak jak dla mnie gotowanie.

– Żychłóń, postaw bigos na ogniu – poleciłem. – Zwierzak, zostało jeszcze coś sztokfiszka?

– Zostało.

– Świetnie. Mam trochę rosółu w słoiku z czarnym wieczkiem... Podamy zupę rybną i bigos, a ja jeszcze na szybko zrobię tartę z pieczarkami... Światło! Zapalcie jeszcze parę świec!

Kuchnia, ciemna, zimna i zapomniana, ożywała w blasku płomieni. Wiedziony kucharskim instynktem, otwierałem szafki i wyciągałem brakujące utensylia, które lądowały na długim stole. Zwierzak, w przerwach od doglądania zupy

rybnej, wycierał miski i sztućce, po czym układał je na tacach. Bigos już pyrkął, Żychłoń w pocie czoła kroił suszone grzyby i tarł ser, ja ugniatałem ciasto na tartę. Skrzypnęły drzwi i do środka wszedł Urgo z wiadrem wody.

– Ktoś się nami interesuje? – spytałem, ocierając czoło umączoną dłonią.

– Nie – mruknął Urgo i postawił wiadro. Bez zbroi wydawał się dziwnie nagi.
– Straż włóczy się dookoła dworku.

– Świetnie. Pokrój trochę cebuli i daj ją na patelnię.

– Ja? – zdziwił się rycerz. – Przecież ja nie umiem gotować!

– Nie chodzi o to, byś ją gotował, ale by się trochę przypaliła – wyjaśniłem, układając ciasto w formie. – Śmierdzi jak cholera, ale kojarzy się z porą obiadową i wszyscy się ucieszą, że zaraz dostaną coś do jedzenia. Nawet nie będą się zastanawiać, skąd się ono wzięło.

A przynajmniej taką miałem nadzieję.

– Żychłoń, zdejmij już ten bigos z ognia – poleciłem. – Zaraza, chleb by się przydał. I świeży ser...

– Kociołek – mruknął Gramm, który nadal czuwał przy drzwiach, prowadzących do głównej izby dworku. – Czy ty się aby za mocno nie wczuwasz?

– Nie. Może trochę. Zwierzak, zamieszaj już. Zupę, nie bigos! Żychłoń, pokroisz te cholerne grzyby czy sam mam wszystko robić?

– A daj mi ty, Kociołek, chwilę wytchnienia! – burknął guślarz, pochylony nad czymś z rylcem. – Zajęty jestem!

Nie miałem pojęcia, co robi, ale doświadczenie nauczyło mnie, że gdy na czymś tak się skupia, nigdy, pod żadnym pozorem, nie wolno mu przeszkadzać. Mój wzrok padł na Urgo, który rzucił przekrojoną na pół cebulę na patelnię i umknął pod drzwi wyjściowe, by uniknąć wciągnięcia do dalszych prac.

– Pokroisz grzyby! – syknąłem. – Na o wiele mniejsze kawałki! Na plasterki, Urgo!

– Ale ja nie...

– Wyobraź sobie, że to wrogowie, których musisz posiekać! Zwierzak...

– No nieźle... – mruknął niespodziewanie Gramm. – Kociołek, chyba powinienes to zobaczyć!

Otrzeptałem ręce z ciasta i nachyliłem się do dziurki od klucza. Tajemnicza rozmówczyni rodziny książęcej nie przestawała perorować, ale teraz do potakiwania dołączyła również – dotąd nieruchoma – księżna Marianna. Na ławie pojawiły się również kałamarz oraz kilka gęsich piór. Miałem wrażenie, że osobliwie jednostronne negocjacje docierają do punktu kulminacyjnego. Należało działać, natychmiast. Tylko co właściwie mielibyśmy zrobić, skoro nie mieliśmy pojęcia, co się tam dzieje...?

– Widzisz drania? – W głosie Gramma wyczuwałem absolutny zachwyty. – Ale się urządził.

– Nie, nic nie widzę.

– Na galeryjce!

Pochyliłem się ku dziurce od klucza, by spojrzeć na górne partie sali myśliwskiej, a wtedy zauważyłem kolejną postać. Nowo przybyły szedł spokojnym krokiem za plecami obojętnych strażników, wspartych w większości na balustradzie, i pozdrawiał któregoś niedbałym salutem. Trzymał się blisko ściany, przez co jego twarz nikła w cieniu, ale podobnie jak Gramm niemalże natychmiast rozpoznałem zarówno sylwetkę, jak i sposób poruszania się.

To był Eliah. Co więcej, z tego, co mogłem dostrzec, miał na sobie tunikę któregoś z ludzi Fryderyka.

Niespodziewanie zrobiło mi się raźniej. Nabrałem tchu i odwróciłem się ku kuchni.

– Kociołek, rosół się gotuje! – odezwał się Zwierzak.

– Weź inny garnek – syknąłem. – Włóż do niego sztokfisz z włoszczyzną, posyp pieprzem...

– Ile pieprzu?

– Na Dole, trochę! – Znów wywróciłem oczami. – Tak dla smaku!

Tego, co wydarzyło się zaraz potem, gdy na powrót przytknąłem oko do dziurki od klucza, nie potrafię wytłumaczyć. Być może zanadto podniosłem głos, być może zapach smażącej się cebuli obrócił się jednak przeciwko nam, a być może stało się coś jeszcze innego. W każdym razie ujrzałem, jak kobieta perorująca przed rodziną książęcą płynnym ruchem unosi dłoń, wyciąga szpilę przytrzymującą jej włosy i zarzuca nimi, wykonując zamaszysty ruch głową. Był to gest zupełnie niepasujący do jakichkolwiek pertraktacji, ale ja błyskawicznie zrozumiałem jego znaczenie.

Tym bardziej że uderzenie serca później pomiędzy długimi kosmykami na potylicy wysłanniczki księcia Fryderyka zamrugało trzecie oko.

Z księciem Rupertem i jego rodziną rozmawiała Trójjoka Grzesznica.

Wydawało mi się, że coś zrobiła – chyba podniosła dłoń, by pstryknąć palcami – ale pewności nie mam, bo w tej samej chwili głowę rozsadził mi potworny ból. Nie umiałem się opanować – z głuchym jękiem, przyciskając dłonie do skroni, runąłem na polepę i zacząłem się zwijać w konwulsjach.

Świat zniknął, rozproszony paroksyzmem bólu. Widziałem jedynie wściekłą, pulsującą czerwień, ale moje pozostałe zmysły w zasadzie przestały funkcjonować. Miałem wrażenie, że głowa uwięzła mi w imadle, a przez oczodoły wwiercają się rozżarzone pręty. Ból, który dopadł mnie wcześniej,

podczas spotkania z Rosomakiem i Jaźwcem, wydał mi się błahostką w porównaniu z cierpieniem, którego doświadczałem teraz.

Coś tam do mnie docierało. Wyczułem, że ktoś nade mną przeskakuje, usłyszałem łoskot przewracanego drewna, ktoś zaklął z furją, coś uderzyło z hukiem. Miałem też wrażenie, że ktoś mnie wlecze po podłodze, na co zareagowałem serią konwulsyjnych wierzgnięć, bo każdy ruch, nawet najśłabszy, potęgował moje cierpienie.

A potem wszystko nagle ustało.

Łapczywie zassałem powietrze i odruchowo poderwałem się z miejsca. Ciało miałem lepkie od potu, a wzrok mętny i niewyraźny, ale instynkt nakazywał mi się rzucić do walki. I to natychmiast.

Tyle właśnie pozostawił po sobie ów pierwotny, rozdzierający ból – stłumił i zdusił wszystkie myśli i uczucia, oszczędzając jedynie żądzę zemsty. W mojej głowie, gdzie wciąż rozbrzmiewało echo cierpień, pulsowały wyłącznie dwa słowa.

Trójjaka Grzesznica.

Drzwi rozwarły się gwałtownie, a ja odzyskałem ostrość widzenia. Do ciemnej kuchni wpadło dwóch uzbrojonych strażników, za nimi kłębili się kolejni, wszyscy we Fryderykowych tunikach. Wzniesione miecze odbiły blask płomieni buchających z pieca, ja jednak zauważyłem coś innego.

Coś było nie tak z ich oczami.

Emanowały złowrogim, nieludzkim fioletem.

– Nie zabijać! – wychrypiałem, ale moje słowa zagłuszyły wrzawa i łoskot.

Pierwszy z napastników przewrócił się bowiem nagle, jakby zawadził stopą o niewidzialną przeszkodę, i rymnął na polepę, a Urgo natychmiast grzmotnął go ciężką ławą. Inny, który również się potknął, dosłownie owinął się wokół kolana Gramma. Krasnolud złapał go za kubrak i posłał na spotkanie z blatem stołu z taką siłą, że ciężki garnek z bigosem aż się zakołysał.

Do ciasnej kuchni pchali się następni. Pierwszemu zastąpił drogę Zwierzak i wybił mu powietrze z płuc celnym uderzeniem końca miotły w splot słoneczny. Fioletowooki żołnierz wychrypiał coś i runął na ziemię, a Żychłóń cisnął zza głowy zydlem i dosłownie zmiotł kolejnego. Dzięki temu zdołałem przelotnie zobaczyć Grzesznicę.

W pierwszej chwili uznałem ją za kobietę, ale nie miałem już tej pewności, bo fioletowa poświata bijąca z jej oczu uniemożliwiła dostrzeżenie rysów twarzy. Widziałem, jak wysłanniczka Złego powoli unosi ręce, a wtedy blask o identycznej barwie budził się w oczach pozostałych żołnierzy, w tym również Rupertowych. Jak na komendę dobyli broni i ruszyli w stronę kuchni. Walki wybuchły też na galeryjce, gdzie szalał Eliah. Jedynym stałym punktem pośród

obłąkańczego zamieszania wydawała się rodzina książęca, która nadal siedziała przy ławie, jakby jakaś moc nie pozwalała jej się podnieść.

– Naprzód! – krzyknąłem, wyciągając krótki miecz spomiędzy kuchennych utensyliów. – Musimy...

– Nie! – syknął Żychłóń, zaciskając dłoń na moim ramieniu. – Chcesz, by zrobiła z tobą to, co z nimi?

Przed oczyma stanęły mi rzędy magicznych znaków, przesłoniętych deskami na suficie wiejskiej chaty, ale wizja rozviała się pod wpływem dzikich wrzasków. Natarcie na kuchnię bowiem nie ustawało – kolejny ze szturmujących przeciął mieczem powietrze, chybiając Gramma o włos, ale rechoczący krasnolud odsunął się tylko i poczęstował przewracającego się strażnika ciosem w skroń. Urgo złapał innego, grzmotnął czołem o jego czaszkę i cisnął go w kąt, gdzie skopał go Zwierzak, już z łukiem w ręku. Znów na chwilę powstała luka wśród atakujących, a ja ponownie ujrzałem Grzesznicę.

Wciąż nie widziałem jej oczu, przesłoniętych fioletową poświatą, ale nie miałem wątpliwości, że się we mnie wpatruje.

I chyba się przy tym uśmiecha.

– To co mamy zrobić?! – zawołałem. – Uciekać?

Za klamkę drzwi wyjściowych ktoś szarpnęła, a potem rozległy się ochryple okrzyki. Poruszane od zewnątrz drzwi dygotały w futrynie.

A zatem byliśmy otoczeni.

– Musimy atakować! – zarządziłem. – I to szybko, póki Eliah wiąże walką straż na galeryjce, a drzwi trzymają!

– Jak chcesz to zrobić? – krzyknął guślarz.

Powiedziałem im. Rozejrzałem się i zobaczyłem, jak każdy z moich towarzyszy skinął głową. Wszyscy rozumieli, że nadszedł czas na desperacki krok.

Drzwi za nami znów zadygotały, a któraś z desek trzasnęła z jękiem, ani chybi uderzona toporem. Na kuchnię nacierało kolejnych trzech fioletowookich, wymachujących orężem i napędzanych cudzym gniewem, a gdzieś z tyłu górowała nad nimi Grzesznica. Nienaturalna intensywność jej poświaty tłumiła blask płomieni.

Miała wszystko. Dzięki swej mocy oraz potędze magicznych znaków ukrytych na suficie najpierw zdusiła wolę rodziny książęcej z Sokolnika, a teraz bezgłośnie rozkazywała dwóm tuzinom doświadczonych zbrojnych z orszaków obu księstw. Przed chwilą niemalże sparaliżowała mnie koszmarnym bólem głowy i bałem się nawet pomyśleć, jakie jeszcze okropności miała w zanadrzu.

Nie miała natomiast Zwierzaka.

– Pędź! – huknąłem.

Gramm poderwał deskę Żychłonia, która leżała na progu, a goblin wypadł z kuchni jak pocisk wystrzelony z katapulty. Drobny i zwinny, przemknął między nadbiegającymi żołnierzami, po czym, choć zakrawało to na istny cud, podniósł łuk i w biegu wypuścił strzałę. Odległość była niewielka i grot po prostu nie mógł chybić. Czas zwolnił, chyba tylko po to, bym ujrzał, jak grot trafia we wzniesione ramię Grzesznicy. Z rany buchnął fioletowy dym, a poświata zasłaniająca jej twarz niespodziewanie pociemniała. Któryś z żołnierzy rzucił się w ślad za goblinem, który cisnął już łuk na bok i toczył się teraz po podłodze, unikając gorączkowych pchnięć włóczni.

No i nie miała Żychłonia.

Guślarz wyskoczył z kuchni natychmiast po Zwierzaku. W jednej dłoni ścisnął sztylet, a w drugiej deskę do krojenia, na której chwilę temu wyrył kilka znaków. Żołnierz, któremu podsunął ją pod twarz, zwolnił nagle, bez reszty skupiając uwagę na treści, a gdy guślarz ostrym szarpnięciem przesunął deskę w bok, zbrojny bezwiednie podążył w ślad za nią i wpadł na rozpędzonego towarzysza. Obaj runęli na ziemię, a guślarz rzucił się na nich i zaczął okładać ich deską po głębach.

Nie miała też Urgo i Gramma.

Rycerz bez swej zbroi wcale nie wydawał się taki potężny jak zazwyczaj, a broda Gramma wciąż była przewiązana czerwoną kokardą, co być może odbierało im nieco charyzmy, ale na pewno nie wpływało na ich umiejętności. Urgo, choć trzymał jedynie zwykłą tarczę i krótki miecz, biegł do boju okolony jaśniejącą poświatą, jak zwykle w przypadku starć ze Złym, a krasnoluda, wznoszącego do ciosu rzeźnicki topór, spowijała aura wściekłych przekleństw. Obaj natarli na żołnierzy zbierających się po obu stronach Trójokiej Grzesznicy, co stworzyło dla mnie unikalną wprost okazję.

Ta szarża nie mogła się nie udać.

Wydarzenia rozgrywały się tak szybko, że agentka Złego zdała sobie sprawę z zagrożenia dopiero w chwili, gdy dzieliło nas najwyżej dziesięć kroków. Jej poświata zaczęła błyskawicznie ciemnieć, co oznaczało, że zdaje sobie sprawę, iż chwilowo nie może liczyć na pomoc żadnego z opętanych przez siebie zbrojnych. Wiedziałem, że sięga po jakąś naprawdę koszmarną sztuczkę ze swego arsenału, ale szczęśliwie nie zdążyła jej użyć.

Przyczyną był wrzący rosół, którym chlusnąłem jej w twarz.

Fioletowa poświata zgasła natychmiast, a kobieta padła na plecy. Jej przenikliwy wrzask niósł się po całej izbie, a walczący odrzucali broń, cofali się i zasłaniali sobie uszy. Z fascynacją patrzyłem, jak się miota i drapie po poparzonej, dymiącej twarzy, aż w moim polu widzenia pojawił się ktoś inny.

Błysnął opadający miecz, który rozrząbał szyję Trójkokiej Grzesznicy i wbił się w blat ławy. Bezgłowym ciałem targnęły konwulsje, po czym znieruchomiało.

– Sucza mać – wycharczał oszołomiony książe Rupert i wyszarpnął ostrze z drewnianej powierzchni.

Rozejrzałem się pospiesznie. Zwierzak wyczołgiwał się spod ławy, nieco poturbowany, ale uśmiechnięty jak zawsze. Żychłóń, który siedział na nieprzytomnym żołnierzu, z uznaniem przyglądał się desce do krojenia. Urgo pozdrowił mnie uniesieniem miecza, a Gramm splunął siarczyście. Eliah, który nonszalancko opierał się o balustradę, odwrócony plecami do leżących bezwładnie przeciwników, udawał, że mnie nie widzi.

Odetchnąłem. A potem znowu.

Udało się. To było zbyt piękne, by mogło być prawdziwe, ale...

Drzwi otwarły się z hukiem, a do środka wpadł Orgo Rosomak z mieczem w rękę. Nie miałem pojęcia, co robił w trakcie starcia z Grzesznicą, ale w duchu cieszyłem się z tego, że mnie posłuchał i nie wszedł w obszar działania jej magicznych znaków. Z powaleniem go byłoby o wiele więcej trudności niż z pokonaniem zwykłego żołnierza.

– Książę! – wykrzyknął i przypadł do Ruperta, ale ten potrzęsnał wściekle głową i go odepchnął.

Warknął coś, uniósł miecz i wbił go w zwłoki Grzesznicy raz jeszcze. A potem ponownie.

Matylda, całkiem już rozbudzona, krzyknęła, na co matka zasłoniła jej oczy. Rosomak zaś, upewniwszy się, że nic im nie jest, skupił uwagę na mnie.

– Kociołek! – syknął. – Coś się dzieje za rzeką!

– Co...? – Potrzęsnałem głową, dochodząc do siebie. – Co ty gadasz?

– Coś ciągnie ku nam! Ryczy i wyje! Nie chcę psuć ci humoru, ale to chyba to samo paskudztwo, które przerwało nam pierwsze spotkanie! – zawołał i machnął mieczem.

Naraz rozległ się przenikliwy gwizd, który przebił się przez mgłę w mojej głowie. Odwróciłem się i wypatrzyłem Eliaha. Elf wskazywał coś na przeciwną ścianę.

Minęła cenna chwila, nim zrozumiałem, że zwraca moją uwagę na jakiś worek, teraz przebity strzałą. Podeszedłem niepewnie i go rozsuptałem, po czym odskoczyłem z ochryplym okrzykiem. W środku ujrzałem bowiem nieforemny kształt pokryty szarym puchem, lepiącym się teraz od mazi, która wyciekała z rany po strzale. Kształt drgnął lekko i się uniósł, jakby wbrew cierpieniu chciał jeszcze na mnie spojrzeć.

Szyszałak.

Poczułem tępy ból głowy, który minął natychmiast, gdy zamierzyłem się mieczem i przebiłem stworzenie na wylot. Odwróciłem się i uniosłem rękę w geście podziękowania. Eliah skinął mi ledwie dostrzegalnie, a ja zaczerpnąłem tchu.

Wydawało mi się, że słyszę już dzikie wycie Bóložerców, które teraz, gdy zabiłem Szyszłaka, najwyraźniej przyspieszyły, jakby się bały, że nie odnajdą tropu. Cóż, czekało nas jeszcze jedno starcie, ale na szczęście wiedziałem, co należy zrobić.

– Rosomak – wychrypiał książę Rupert, wycierając miecz w płaszcz Grzesznicy. – Raport! I to w tej chwili! Z tobą, Kociołek, pogadam zaraz! Gdy... Gdy...

Urwał, kiedy Żychłoń zamachał mu przed oczami wygrawerowaną deską do krojenia.

– Gdy już uda się przeżyć – mruknąłem. – Święta racja, wasza książęca mość. Hej, słuchajcie mnie wszyscy! Mam plan!

11

Oczywiście najtrudniej było wszystkich nakłonić, by zostawić otwarte drzwi. Najgłośniejszemu protestował książę Rupert, który chyba jednak podświadomie zdawał sobie sprawę, że jego autorytet znacznie ucierpiał na skutek rozmowy z Grzesznicą. Darł się na mnie bez opamiętania, by jakoś odzyskać przewagę moralną, niemniej pewność, że od śmierci, jeśli nic nie zrobimy, dzieli nas zaledwie sekundy, uczyniła mnie nieustraszonym.

– Stul pysk i słuchaj mądrzejszych od siebie! – ryknąłem na księcia, a ten aż wybałuszył oczy. Nabrał tchu, by znów wrzasnąć, ale ja już wyrwałem deskę do krojenia z rąk Żychłonia i się nią zasłoniłem, a potem odwróciłem się ku reszcie.

– Gramm, Urgo! Przewróćcie tę cholerną ławę! Żychłoń, gdzie te twoje dechy? Hej, ty tam, nie stój beczynnemu, durniu jeden! Pomóż im pchać!

Przez krótki, króciutki moment czułem coś na kształt satysfakcji, gdy patrzyłem, jak wskutek moich poleceń wewnątrz izby dworku myśliwskiego pospiesznie zamienia się w śmiertelną pułapkę dla zgrai wysłanników Złego. Ogromna ława, przewrócona i przepchnięta kilkoma parami krzepkich ramion, zasłoniła wejście do kuchni, gdzie Rosomak chwilę wcześniej wprowadził księżną i księżniczkę. Dwie grupki najprzytomniejszych wojowników, zarówno spod znaku Krzemyka, jak i Sokolnika, zgromadziły się już pod ścianami, a łucznicy w pośpiechu zajmowali pozycje za przewróconą ławą. Żychłoń pieczołowicie ułożył dwie runiczne deski na progu izby, po czym spojrzał na mnie.

– Uważaj na siebie – rzucił cicho.

– Ty też – odpowiedziałem. – No, już. Chowaj się.

Nie miałem wątpliwości, że Bóložercy szukali przede wszystkim mnie. Nie był to czas, by wnikać w przyczyny, dla których tak się działo – teraz należało to wykorzystać.

Stałem na środku izby, gdzieś w połowie drogi między przewróconą ławą a otwartymi jak na oścież drzwiami. W prawej dłoni ścisnąłem miecz, w lewej pochodnię. Byłem doskonale widoczny.

Z łomoczącym sercem wpatrywałem się w ciemność za drzwiami, z której dobiegało ochryple, przerażające posapywanie z wielu gardzieli, przerywane co rusz triumfalnym skowytym. Wataha nadciągała, spragniona krwi.

– Tu jest jakieś bydło! – Zza drzwi kuchni dobiegł pisk Matyldy. – Jakiś kozioł czy coś!

– Jelonek, nie kozioł! – huknął Gramm. – Kłobukowy, czyli mój! Paskudne bydło, fakt, ale przecież na dworze nie zostawię!

– On mnie bodzieeeee!

– Cisza! – ryknąłem. – Są blisko! Gotuj się!

Któryś z naszych modlił się drżącym głosem, inny śmiał się histerycznie, konie w pobliskiej stajni rżały i miotały się dziko. Skowyty i pochrapywania nadciągającej watahy przybierały na sile niczym wściekły wicher, zmierzający prosto w nasze otwarte i dobrze oświetlone wrota. Miałem wrażenie, że słyszę już chrobot pazurów na drewnianych deskach mostu... i wtedy ogarnęły mnie zdradzieckie wątpliwości.

Czy dobrze to obmyśliłem? Nie okazałem nadmiernej pychy? Nie skazałem aby wszystkich na śmierć?

Cóż, jeśli popełniłem błąd, to przekonam się o tym jako pierwszy, pomyślałem, ścisnąjąc spoconą dłonią rękojeść miecza, i uniosłem pochodnię jeszcze wyżej.

– No, chodźcie, sukinsyny! – zawołałem w skowyczącą, warczącą ciemność. – Czekam na was!

Ciemność odpowiedziała wyciem z kilkunastu gardzieli, a potem do dworku runęła nawała kłów, pazurów i kolców. Pisałem ze strachu, cisnąłem pochodnię w sam środek wściekłej hordy i rzuciłem się do ucieczki.

– Strzelać! – wrzeszczałem, biegnąc ku przewróconej ławie. Skoczyłem na przechylony blat i przepęźnąłem na drugą stronę, zyskując złudne poczucie bezpieczeństwa, po czym, nie mogąc opanować chorobliwej ciekawości, wyjrzałem na zewnątrz.

Zwierzak wyłonił się zza przewróconej ławy jako pierwszy, dając tym sygnał łucznikom, a z galeryjki wsparł ich Eliah. Kilkanaście śmiertelnych grotów pomknęło prosto ku zbitej gromadzie pędzących ogarów, a uderzenie serca później rozległy się rozdzierające piski bólu. W ślad za pierwszymi strzałami śmignęły następne, wydzierając kolejne krwawe szczyby w nadciągającej watasze, jednak najgorsze było dopiero przed nią.

Bo żaden z rozjuszonych, pijanych furją Bóložerców nie zwrócił uwagi na najmocniejszą z lin Eliaha, rozciągniętą tuż nad ziemią między kolumnami

ganku.

Oczywiście należało założyć, że większość ogarów przemknie ponad nią, ale przecież któryś musiał się przewrócić, a wtedy jakiś inny – potknąć się o jego cielsko, a potem kolejny i jeszcze jeden. Dola okazała się łaskawa dla naszych pragnień i tak oto jeden z pierwszych ogarów wywrócił się i trzasnął zębatym pyskiem o stopnień, a za nim wyłożył się następny. W watasze nagle się zakotłowało – ogary zderzały się ze sobą, wiły się i wierzgały, jak w obłędzie kłapały szczękami i rozdzierały ciała pobratymców kolcami wyrastającymi wzdłuż grzbietów. W niektóre ciała wbijały się już strzały, posyłane w rozpaczliwym pośpiechu przez naszych łuczników, jednakże inne ogary, czy to kierując się sprytem, czy też dzięki łutowi szczęścia, wymijały szaleńczy ścisk i gnały ku drzwiom.

Tam jednakże czekała na nie inna pułapka.

Z całego arsenału magicznych klepek Żychłonia mieliśmy przy sobie jedynie dwie, bo tylko te udało się ukryć przed oczami pilnujących mostu strażników i przemycić do dworku. Jedna okazała się nieoceniona podczas obrony kuchni, a teraz ułożyliśmy na progu aż dwie.

I, szczerze wam przyznam, nie sądziłem, że pomysł sprawdzi się aż tak dobrze.

Magiczne znaki, w pocie czoła ryte w drewnie przez naszego guślarza, przewracały każdego, kto próbował nad nimi przestąpić. Istotę, która wpadała na nie w pełnym pędzie, po prostu wyrzucały w powietrze.

Dla kogoś, kto nigdy wcześniej nie miał z tymi stworzeniami do czynienia, widok miotanych magią ogarów stanowił jeszcze większy szok niż samo pojawienie się watahy. Potrzeba więc było dać obrońcom dobry przykład, a w tej roli Gramm i Urgo sprawdzali się doskonale.

– Nie strzelać! – zawołałem. – Nie strzelać!

Skoczyłem na któregoś z łuczników, ewidentnie odurzonego hukiem własnej krwi w skroniach, i wyszarpnąłem mu łuk z ręki. Straciłem przez to pierwszą szarżę Gramma, który, sądząc po rozbryzgach krwi, przemknął pod zakreślającym łuk w powietrzu ogarem, rozpruł mu grzbiet ciosem znad głowy, wykonał piruet i wbił ostrze w czaszkę innego, który przetoczył się po podłodze. Kolejnego, który padł na bok, ale zdołał się poderwać, ryjąc pazurami podłogę, dosłownie zmiotł jaśniejący Urgo. Jeszcze inny, najwidoczniej najbardziej rozpędzony od innych, grzmotnął bokiem w ławę, i to z takim impetem, że ogromny mebel aż się przesunął. Nim zdołałem zareagować, Zwierzak już przełaził na drugą stronę z długim nożem w garści i paskudnym uśmiechem na gębie.

Tymczasem natarcie trwało w najlepsze. Następnego ogara, którego cisnęła w powietrze magia Żychłonia, w najwyższym punkcie lotu przeszła strzała

Eliaha, a potem na wpadające do środka bestie rzucili się pozostali obrońcy. Widziałem Orgo Rosomaka, który odważnie rąbał usiłującego się podnieść ogara, dostrzegłem walczącego Ruperta, mignął mi Zwierzak, zewsząd ruszali do walki strażnicy z obu księstw. Kilka ostatnich Bóložerców wyplątywało się właśnie z kłębowiska poranionych, poszarpanych ciał towarzyszy i rzucało ku drzwiom, mimo to miałem wrażenie, że osiągnęliśmy przewagę.

I wtedy, jak to zwykle bywało w takich sytuacjach, Dola okrutnie z nas zakpiła.

Donośny młodzieńczy falset przedziwnym sposobem stłumił ryki ginących ogarów i okrzyki walczących. Przełaziłem właśnie przez ławę, by dołączyć do obrońców z mieczem w ręku, gdy nad ich głowami ujrzałem Queliana Korneliusza Rosomaka, który na gniadym rumaku, z mieczem wzniesionym nad głową, pędził prosto w stronę dworku.

Oraz ku ostatnim ogarom, które zamiast próbować się wdrzeć do środka, odwracały teraz łby ku niemu.

– Matyldo! – darł się rycerzyk. – Miłości moja! Przybywam ci z odsieczą! Nie pozwolę, byś...

Rumak młodziana zarżał, najpewniej wyczuwszy, że grozi mu śmiertelne niebezpieczeństwo. Stanął dęba raz i drugi, a gdy dostrzegł ogary, wybijające się ze schodów prosto ku niemu, wierzgnął ponownie, strącił jeźdźca i rzucił się do ucieczki.

– Kornel! – ryknął zboczony krwią Orgo Rosomak i pognał z odsieczą.

Na jego szczęście w pobliżu czuwał Żychłoń, który w porę odkopnął deskę. Rycerz przesadził zwały trupów na schodach, z chrzęstem zbroi wylądował na ziemi i nie przestając ryczeć, pomknął w ślad za ogarami. Ostatniego, który obejrzał się z głuchym, ochryplym syknięciem, zmiotł ciosem miecza w pysk. Kolejnego przebiła strzała Eliaha, ale ostatnie trzy biegły prosto na chłopaka, który już chyba zrozumiał bezmiar swej głupoty.

Czy raczej pecha. Bo dla Sary zrobiłbym dokładnie to samo.

Młody Rosomak dźwignął się z ziemi, niezdarnie złapał miecz i wycelował nim w nadciągające potwory, nie mogąc się zdecydować, w którego uderzyć najpierw. Ogary, jak przeczuwałem, podobnych dylematów nie miały.

Na twarzy chłopaka pojawiła się bezbrzeżna groza, a czubek jego miecza opadł, gdy młodzian zrozumiał, że jest bez szans. Że nie zdoła odeprzeć ataku bestii.

– Kornel! – krzyczał biegnący Rosomak. W jego głosie pobrzmiwała rozpacz. Zacisnąłem powieki. Nie mogłem na to patrzeć.

I wtedy wydarzyło się coś, co sprawiło, że odruchowo, niejako wbrew sobie, otwarłem oczy.

Nie mam pojęcia, jak Urgo tego dokonał, bo do najlepszych biegaczy nie należał, a nawet gdyby tak było, i tak miałby do pokonania znacznie większy dystans niż jego brat. Niemniej niespodziewanie wyrósł u boku przerażonego Korneliusza, jak zwykle nieustraszony, jak zwykle potężny, opromieniony jeszcze gęstsza aurą niż zazwyczaj. Odniosłem wrażenie, że ogary się zawahały, gdy dojrzały blask otaczający rycerza, a Urgo, jak to on, dał istny popis swej waleczności.

Najbliższego z napastników odrzucił kopnięciem w zębaty pysk, jednocześnie wyprowadzając straszliwe uderzenie w bok i niemalże rozpoławiając innego, który szarżował z prawej.

– Pchaj! – huknął głosem, który przebiłby się przez najgłośniejszą wrzawę bitewną.

I młody Rosomak posłuchał.

Na oczach nas wszystkich, w tym ciężko dyszącego księcia Ruperta i swego ojca, który właśnie rozciął gardziel przeciwnikowi odkopniętemu przez Urgo, młodzieniec pchnął mieczem. Uczynił to z rozpaczą, nieporadnie, ba, byłem niemalże pewien, że zamknał przy tym oczy, ale jakimś cudem trafił. Czubek miecza wniknął w rozchyloną paszczę skaczącej bestii i zagłębił się w jej gardziel. Ciało Bóložercy przeszył spazm agonii, z pyska buchnął ochryply jęk bólu, a młodzieniec nagle znalazł w sobie nowe siły. Zamachnął się, strząsnął potwora z klingi i zaczął go zaciekle rąbać.

Chwilę później wpadł w ramiona roztrzęsionego ojca, a bitwa, co uświadomiłem sobie z niebywałą ulgą, dobiegła końca.

Rozejrzałem się. Żychłóń dyskretnie zbierał swoje dechy, świadom, że uniesienie bitewne szybko ustępuje miejsca krzykliwej świętobliwości, Zwierzak klęczał przy jednym z ubitych ogarów i z zaintrygowaniem grzebał paluchem w jego ranie. Gramm zmagął się z rygłem drzwi kuchennych, a Eliah stanął u mego boku, jak zwykle bezszelestnie.

Oparłem dłoń na jego ramieniu.

– I znowu się udało – westchnąłem.

Elf spojrział na moją rękę z odrazą, więc cofnąłem ją bez wahania. Życie, ku mej radości, wracało do normy.

*

Staliśmy z księciem Rupertem na dworze, kilkanaście kroków od schodów, które okazały się śmiertelną pułapką dla sfory Bóložerców. Bez słowa patrzyliśmy na wojowników z obu księstw, którzy z ponurymi minami podnosili trupy i ciągnęli je ku rzece, a tam rzucali w rozpalone przez Żychłonia ognisko. Płomienie na

chwilę ustępowały pod naporem kolejnego cielska, ale wnet ogarniały je i znów buchały żywo, odrobinę czerwiejsze niż przed momentem.

– Dobrześ to wykombinował – wymamrotał w końcu książę, nie patrząc na mnie. – Masz, gnojku jeden, dryg do takich rzeczy.

– Ba! – prychnąłem z udawaną obojętnością. – Byś ty, książę, moich racuszków spróbował.

– Nawet mi nie przypominaj tej twojej obmierzłej speluny – burknął Rupert.

– Nie będę – oznajmiłem. – Bez koronowanych głów prezentuje się o wiele lepiej.

Książę wydał z siebie parsknięcie, które mogło oznaczać zarówno wzgardę, jak i rozbawienie, ale w żaden inny sposób nie skomentował mojej uwagi. Był człowiekiem ograniczonym i wybuchowym, ale siedział w polityce na tyle długo, by umieć wyczuwać nastroje, i doświadczenie z pewnością podpowiadało mu, że przewaga moralna na razie jest po mojej stronie.

Czułem, że tej nocy mogę powiedzieć mu wszystko, co zamierzałem, co więcej, przypuszczalnie uzyskam odpowiedzi na swoje pytania. Najpierw musiałem jednak poukładać sobie w głowie kilka spraw, a po tym, przez co właśnie przeszliśmy, nie było to wcale łatwe. Kolana mi dygotały, nie wiadomo, czy na skutek emocji, czy też zimna, a przez mój skołatany umysł wciąż śmigały wspomnienia zacieklego starcia.

Otuliłem się więc kocem. Nadal milczałem.

– Dobrze żeś to wykombinował – powtórzył Rupert, który w przeciwieństwie do mnie odreagowywał stres paplaniną. – Ja bym kazał zatrzaskać wrota i razić sukinsynów z okien. Pewnie byśmy parę załatwili, ale Dola jedna raczy wiedzieć, czy nie zaczęłyby się na nas i nie dopadły w chwili wyjazdu. A tak wszystkie usieczone. I do tego w zasadzie bez strat!

Kilku ludzi Ruperta odniosło rany, w tym dwóch poważniejsze, ale Żychłon zapewniał, że dojdą do siebie.

– Ten łysy – książę spojrzał na mnie bacznie – to nie czarownik jakiś? Patrzy mi na guślarza czy inszego zamawiacza.

– Nie – wychrypiałem ciężko, przenosząc wzrok na Ruperta. – Nie.

– Pewien jesteś, Kociołek? Bo te deski to, kurwa, jakoś mi się źle kojarzą i...

– Nie – powtórzyłem, nie spuszcając z niego wzroku. – Jestem twoim sojusznikiem, książę. Nie mam na to wielkiej ochoty, a ty, zważywszy na twoje podejście, chyba również nie masz, ale połączył nas kaprys Doli. Dlatego będziemy rozmawiać wyłącznie o tym, co mamy teraz wspólnie do zrobienia.

– Jestem władcą Sokolnika – Rupert uniósł dumnie brodę – i muszę myśleć o wielu rzeczach naraz. Na przykład o tym, co powiem, gdy rozejdą się plotki o tej bitwie i kapłani zaczną mi zadawać pytania.

– Wówczas przypomnisz sobie, że już czwarty raz przyszedłem ci z pomocą – powiedziałem chłodno. – Na wiosnę wyrwałem Matyldę z rąk porywaczy. Nie dalej jak wczoraj usiekłem przyłgwę, która próbowała ją uprowadzić, a tej nocy pokonaliśmy najpierw Trójką Grzesznicę, a potem watahę Bóložerców. Bez strat, mości księżę. I bez, jak na pewno wiesz, opłat.

Spojrzałem w ciemne niebo, a potem na Korneliusza i Matyldę. Młodzi, nakryci jednym kocem, stali wtuleni w siebie nieopodal ogromnego stosu i wpatrywali się w płomienie pożerające ciała ogarów Złego.

– Tak – odezwałem się po chwili. – Przypomnisz sobie o tym wszystkim i na pewno coś wymyślisz. Możesz na przykład powiedzieć klechom, że podczas bitwy z siłami Złego doszło do manifestacji Doli.

Wzrokiem odnalazłem Urgo oraz Orgo, którzy stali po drugiej stronie ognia i toczyli półgłosem rozmowę.

– Tyle że – przeniosłem wzrok na księcia – coś mi mówi, że przez następne tygodnie kapłani Doli będą twoim najmniejszym zmartwieniem.

– A czemuż to niby? – spytał oschle Rupert.

Westchnąłem w duchu. Nigdy nie zdołałem pojąć, jak to się dzieje, że władzę na ogół sprawują ludzie, którzy kompletnie nie są do tego stworzeni, choćby przez wzgląd na swe deficyty intelektualne.

– Ponieważ Sokolnik, którego władcą się mienisz, został przeżarty przez Złe – powiedziałem cierpliwie. – Ponieważ przez ostatnie miesiące zdobyłem aż nadto dowodów na to, że Złe zmieniło swoją strategię. Zamiast przypuszczać na Dolinę inwazje, które prędzej czy później i tak zostają powstrzymane, zaczęło przeżerać księstwa od środka. Na pewno słyszeliście o uzurpatorze Gwidonie, który zbałamucił księżną Yannę?

Rupert skwitował me słowa obleśnym chichotem. No tak, czegóż innego mógłbym oczekiwać?

– Pokonaliśmy go, a potem doprowadziliśmy do jego zguby w Głodnej Puszczy – ciągnąłem, wpatrzony w ognisko. – Tuż zanim sprowokował wyprawę wojenną trolli, na której ci, księżę, osobliwie zależało. Twojego brata Stefana również omotał agent Złego, który został jego doradcą. Pamiętasz może niejakiego Kunę?

Zerknąłem na oblicze Ruperta. Nagły grymas dał mi do zrozumienia, że owszem, pamięta, a być może nawet zadał sobie pytanie, co zadecydowało o jego zniknięciu.

– Dym, Wichrowiny, Sokolnik, a teraz również Krzemik – wyliczyłem. – Ta agentka Złego przybyła przecież pod znakiem księcia Fryderyka. Innymi słowy, Złe próbowało zapuścić macki w przynajmniej czterech z pięciu księstw Doliny

i mnie, zwykłego kucharza i karczmarza, zaprzęta to bardziej niż ciebie, książę! Ciebie bowiem interesuje głównie to, za kim ugania się Matyllda!

Nie, nigdy nie sądziłem, że będę kiedyś się wydzierał na najbardziej krewkiego z pięciorga książąt Doliny, a już na pewno nie przyszłoby mi do głowy, że ten zupełnie na to nie zareaguje. Rupert wpatrywał się bowiem w Matylldę i Korneliusza, a jego wzrok zdradzał skrajne emocje.

– Myślałem – odezwał się w końcu chrapliwym głosem – że ugania się za tym pipkiem od Jemiołów. Dopiero wstyd by był...

– O wiele lepiej byśmy wyszli na ślubie Matylldy z tym pryszczatym chujkogniotem czy nawet z tym obesrańcem starego Szczupaka niż... niż na tym – odezwał się kobiecy głos.

Drgnąłem, nieco zaskoczony. Księżna Marianna opanowała bowiem do perfekcji właściwą wielu zamężnym kobietom umiejętność bezszelestnego przemieszczania się oraz dołączania do rozmowy w kluczowych momentach. Dotychczas nie miałem okazji dobrze się jej przyjrzeć, a teraz, gdy blask ognia padał na jej twarz, doszedłem do wniosku, że jest kobietą niebezpiecznie piękną. Ba, byłaby wręcz czarująca, gdyby nie zaciśnięte usta i włosy spięte w ciasny kok.

– Spójrz tylko! – syknęła, podając mężowi dwa pergaminy. Jej ruchy, gwałtowne i ostre, znamionowały burzę emocji.

Rupert ujął oba rulony i zgniótł je bez słowa.

– Wiem, co tam było napisane – wychrypiął.

– Nie skomentujesz tego? – prychnęła żona. – Śmiało, nie krępuj się. Opowiedz mi o swej śmiałej wizji politycznej, Rupert. Opowiedz, dlaczego postanowiłeś się spotkać z wysłanniczką Fryderyka w środku nocy i podpisać to... to plugastwo! Wyjaśnij również, dlaczego uznałeś, że twoja żona i córka muszą w tym wiekopomnym wydarzeniu uczestniczyć! No, mów!

Uderzyła męża w pierś, nie bacząc na groźny grymas, który przemknął przez jego oblicze. Zamierzyła się po raz drugi, ale wtedy Rupert złapał ją za nadgarstek.

– Uspokój się – warknął. – Nie przy ludziach.

Księżna, szarpiąc się i usiłując uwolnić rękę, spojrzała na mnie z bezbrzeżną wzgardą.

– Ach, rozumiem – rzuciła. – Nie mogę ci już powiedzieć do słuchu w obecności jakiegoś parszywego kuchcika, tak?

Rozumiałem jej reakcję – każdy z nas próbował wszak przepracować wydarzenia tej nocy na swój sposób, a księżnej najłatwiej było skupić się na zrzucaniu winy na innych – ale nie miałem na to wszystko ochoty. Nie w chwili, gdy należało podjąć naprawdę ważne decyzje.

– Niech wasza książęca mość się nie krępuje i lży małżonka na zdrowie. – Rozłożyłem ramiona. – Mam z waszym mężem do pomówienia, jednak potulnie odsunę się i poczekam, nie będę przeszkadzał. Możliwe, że od nadmiaru wygadywanych przez was bzdur podejdzie mi żółć, ale potrafię się wyrzygać naprawdę dyskretnie.

Marianna poczerwieniła i zgromiła mnie wzrokiem, a w jej oczach płonęła najczystsza furia. Uwolniła rękę, odwróciła się z furkotem peleryny i odeszła. Książę Rupert patrzył za nią z nieodgadnionym spojrzeniem, a w kącikach jego ust błąkał się uśmieszek.

Gdzieś pohukiwała sowa. Trzaskały płomienie. Z dworku dobiegało stukanie młotków, raz po raz przerywane łoskotem desek spadających z sufitu i kolejnymi przekleństwami Żychłonia. Kolana nadal mi się trzęsły, chyba bardziej niż przed chwilą.

– Zyskałeś śmiertelnego wroga – powiedział w końcu książę.

Pomyślałem o Trójkiej Grzesznicy, o Szyszłakach oraz o sforze Bóložerców i z trudem powstrzymałem prychnięcie. Lista robiła się długa.

– Od początku mnie nie lubiła – mruknąłem.

– Ona nie lubi nikogo – przyznał z oporami książę. – Te papiery – w nagłym przypływie szczeroci pokazał mi zgniecione pergaminy – to legalne dokumenty, które podsunęła mi ta... ta baba, która gadała jak facet. Miały podpisy Fryderyka i jego pieczęcie – mówił dalej. – Mało brakowało, a złożyłbym na nich własny, poświadczając w ten sposób, że zgadzam się na połączenie Krzemyku i Sokolnika w jedno księstwo, którym wspólnie mieliby rządzić Matylda oraz Ignacy, syn Fryderyka.

– Co takiego? – Spojrzałem na niego ze zgrozą. – To kuzynostwo w pierwszej linii!

– Zgodę na ich małżeństwo również miałem podpisać – powiedział martwym głosem książę. – O tym mówił drugi dokument. Ba, miałem się również zgodzić na to, by Matylda natychmiast udała się do Krzemyka.

– Przecież nikt by tego nie uznał! Kapłani Doli by zaprotestowali i...

– Albo i nie! – warknął ostro Rupert. – Wkurzasz mnie tak, że aż mi się w czerepie gorąco robi, Kociołek, ale zgodzę się z tobą. Złe wgrzyło się w Dolinę. Wiem, co się działo w Dymie, słyszałem to i owo o wydarzeniach w otoczeniu Stefana. Sytuacja w Krzemyku mnie zaskoczyła, nie powiem, ale o tym, że Złe działa w Sokolniku, wiem od dawna i na różne sposoby próbuję temu przeciwdziałać. Nie mam pojęcia, jak głęboko te cholery wniknęły w moje księstwo, ale pomyśl no tylko: skoro Złe potrafiło się zaangażować w dyplomację, to być może też steruje kapłanami?

– Możliwe – przyznałem. – A już na pewno nadgryzło ci bankowość.

Po czym opowiedziałem mu o napadzie na bank, do którego Zł, w całkiem zresztą zbliżonych okolicznościach, przekonało piątkę moich przyjaciół. Księżę Rupert słuchał z uwagą, ale zauważyłem, że lekko pobałdł, a gdy skończyłem, westchnął ciężko.

– A więc jest gorzej, niż myślałem – stwierdził. – Dobra, Kociołek. Posłuchaj no mnie. Uważam cię za parszywego łachmytę i najbardziej irytującego dupka na świecie. Tak też cię będę traktował, bo nie umiem inaczej. Powinieneś jednak poznać pewną historię, która być może wszystko odmieni.

I zaczął mówić, a ja słuchałem i słuchałem, a pewne do tej pory niezwiązane ze sobą elementy zaczęły mi się składać w logiczną całość. Co dziwne, księżę Rupert, którego dotąd uważałem za bodaj najmniej rozgarniętego członka rodziny rządzącej, nagle przestał mi się wydawać aż tak głupi. Całkiem niespodziewanie uzyskałem też odpowiedź na jedno nurtujące mnie od dawna pytanie, a gdy księżę skończył, owładnęło mną osobliwe połączenie niepokoju i gotowości do działania. Byłem koszmarnie zmęczony, ale zrozumiałem, że tej nocy prędko nie zasnę, a świt następnego dnia powitam z przekonaniem, że jeszcze długo nie zobaczę rodziny.

Bo, niestety, naprawdę byłem tym, który musiał się zatroszczyć o całą Dolinę.

– Mogę posłać swoich rycerzy – powiedział niepewnie Rupert, który usiłował zrozumieć, co oznaczają emocje kłębiące się na moim obliczu.

Pokręciłem głową.

– Nie, księżę. Chyba jakoś damy radę.

– To co teraz? – spytał.

– Teraz... – Podrapałem się po łepetynie. – Teraz to ja sobie muszę parę spraw przemyśleć, a myślenie wychodzi najlepiej podczas gotowania. Zrobiłem ciasto na tartę i chyba jeszcze mamy bigos. Głodny?

12

Ukochana!

Piszę do Ciebie z tysiąca powodów.

Przede wszystkim wyznam Ci, że nie mogę przestać myśleć o naszej ostatniej rozmowie. Cóż, szczerze powiedziawszy, nie wiem, czy można to było nazwać rozmową, zważywszy na to, że głównie milczałem i nie odpowiedziałem na żadne z Twoich pytań, nie rozwiązałem żadnej z Twoich wątpliwości. Masz wszelkie prawo domagać się ode mnie odpowiedzi, a ja mam obowiązek szanować i traktować poważnie Twe troski i rozterki. Doskonale o tym wiem, ale wciąż zadaję sobie pytanie, co uczyni Twoje życie łatwiejszym. Czy będzie Ci łatwiej, jeśli pozostaniesz w niepewności, czy może jeśli poznasz skalę problemu?

Nie wiem i przykro mi, że mój dylemat odbija się na Twoim samopoczuciu. Naprawdę mi przykro, tym bardziej że nie wiem, kiedy będę Ci mógł wyznać całą prawdę. Nie wiem nawet, czy zechcesz jej wysłuchać. Mam nadzieję, że na razie wystarczy Ci świadomość, że w Dolinie dzieją się złe rzeczy, a ja jestem jednym z nielicznych, którzy zdają sobie z tego sprawę. Robię, co w mojej mocy, by powiadomić tych, którzy mają realne możliwości, by bronić swych poddanych. Z tego właśnie powodu udałem się do Sokolnika, by przemówić do rozumu księciu Rupertowi. Nie sądziłem, że to się uda, ale jakimś cudem przeciągnąłem cholernika na naszą stronę.

To już sukces, bo podczas wcześniejszych wypraw zdołaliśmy wywrzeć pewien wpływ na księżnej Dymu i księciu Wichrowin, przez co zaczynam mieć nadzieję, że niedługo moja misja dobiegnie końca i będę mógł się zwrócić ku temu, co kocham. Oddam wiele, by wreszcie przestać się wikłać w kolejne intrygi. Oddam wiele za spokój, zarówno mój, jak i Twój.

Nie gniewaj się na mnie. I wybacz mi tę przeklętą tajemniczość, bo przeszkadza mi ona tak samo jak Tobie.

A z innych wieści. Cóż, chłopaki zeszłej nocy udowodniły, że raczej nie warto zostawiać ich na dłużej samych. Jeśli będziesz przyjmować jakichś gości z Sokolnika i usłyszysz o skoku na bank, lepiej zachowaj dystans, bo to skomplikowana historia. Nie wierz też we wszystko, co Ci opowiedzą o życiu miłosnym księżniczki Matyldy, zwłaszcza jeśli będzie o tym gadał Gramm. A już zupełnie nie przejmuj się plotkami o wielkiej bitwie w obronie dworku myśliwskiego Ruperta, bo wcale nie była taka wielka. Nawet nie nazwałbym jej bitwą, najwyżej bijatyką. Plotki to plaga tego świata, wierz mi. Oczywiście nikomu nic się nie stało, a jedyną ofiarą była księżniczka Matylda, której jelonek Gramma obzarł rękaw sukni.

Chłopakom humory dopisują, zwłaszcza Urgo, który – w co wciąż trudno mi uwierzyć – odnalazł swojego brata, również rycerza, i to pochodzącego z całkiem zacnego rodu. Cieszy mnie to, choć jednocześnie dało mi sporo do myślenia. Mieszkamy wraz z nimi od lat i znamy się doskonale, ale jednocześnie tak mało o nich wiemy. Zdałem sobie sprawę, że żaden z moich przyjaciół, no, nie licząc Gramma i Żychłonia, nigdy nie opowiadał nic o swej przeszłości. Zapewne mają ku temu jakieś powody, ale szczerze powiedziawszy, zaczęło mnie to ciekawić. Skąd się wywodzi Eliah i jaką ma rodzinę? Albo Zwierzak?

To jednakże tematy na inną okazję, bo na razie czeka nas jeszcze jedno zlecenie, tym razem na szczęście za konkretną sumę. Prosta robota, zapewniam Cię. Musimy tylko znaleźć i przywieźć do Sokolnika pewien przedmiot. Nic prostszego.

Tymczasem martwię się głównie tym, czy otrzymasz mój list na czas. Niegdyś kłobuki próbowały zmonopolizować usługi pocztowe, ale wygląda na to, że straciły zainteresowanie tuż po tym, jak wyeliminowały konkurencję, przez co trudno teraz znaleźć jakiegoś posłańca. Sam zamierzam wrócić do domu jeszcze przed niedzielą, a więc jest spora szansa, że wyprzedzę list.

Czego chyba bym nie chciał.

Mam nadzieję, że wszystko u Was w najlepszym porządku i przemogłaś swą złość na tyle, by choć zacząć o mnie myśleć.

Uściskaj dzieciaki. Kocham Cię,

Edmund

P.S. Gastronomia w Sokolniku to jakiś koszmar. Tutejsze karczmy szczycą się paleniskami zamiast kominków, a co druga nie ma nawet podłogi. Chodzi za mną pomysł, żeby napisać przewodnik po karczmach w Dolinie. Nie sądzisz, że byłyby to pomysł na niezły interes? Może byśmy wreszcie sfinansowali ten przeklęty staw rybny albo choćby saunę. Nie, nie choćby. Przede wszystkim saunę.

*

Pamiętnik Mata z Kurzu przeczytałem tyle razy, że znałem go właściwie na pamięć, mimo to otworzyłem go ponownie i zacząłem dokładnie studiować, strona po stronie. Znów zagłębiłem się w opisy okrutnych, przerażających swoim ogromem starc, których miałem nadzieję nigdy nie oglądać, aż całkiem zapomniałem o otaczającym nas świecie.

Co gorsza, o kielbaskach z pieczarkami też zapomniałem.

– Hej, Kociołek! – dobiegło z oddali.

Zamrugałem i ujrzałem zafrasowane oblicze Gramma. Krasnolud wskazywał zawieszoną na trójnogu patelnię, na której skwierczała nasza kolacja.

– Zaraz się przypali! – burknął.

– No to weź drewniany widelec i przewróć! – Prychnąłem niecierpliwie, bo marzyłem tylko o tym, by wrócić do lektury.

– A potem na mnie nawrzeszczysz, że coś nie tak zrobiłem! – zaprotestował Gramm.

Zatrzasnąłem księgę, aż buchnął z niej kurz.

– Co ty wygadujesz za głupoty? – Rozeźliłem się nie na żarty. – Czy w ogóle można źle obrócić kielbasę?

– Nie wiem! – rozdarł się krasnolud. – Kiedyś powiedziałbym, że nie, ale wydzierasz się na nas przez cały dzień i zaczynam już wątpić.

Zacisnąłem ze złością usta, odłożyłem książkę i pochyliłem się nad ogniskiem, by demonstracyjnie powoli i starannie obrócić każdą z kielbasek. Gdy uniosłem wzrok, ujrzałem, że wszyscy się we mnie wpatrują. Urgo przechylał lekko głowę z mieszaniną współczucia i wyrozumiałości, Żychłoń zerkał znad kolejnej rytej deseczki, Gramm wpatrywał się we mnie prowokacyjnie, a Zwierzak, który od chwili opuszczenia dworku znów wydawał się spłoszony i roztargniony, posyłał mi ukradkowe spojrzenia. Nawet Eliah, który tradycyjnie usiadł kilka kroków za plecami wszystkich obecnych, wydawał się mną zainteresowany.

– No czego? – warknąłem. – Co się tak gapicie?

– Gramm ma rację – burknął Żychłoń. – Cały dzień pryhasz i parszasz. Przed chwilą opieprzyłeś Zwierzaka, że pluje.

– Bo pluje.

– Zgadza się. Od pięciu lat. – Guślarz odłożył rylec i oparł łokcie na kolanach.

– Jeśli coś cię gryzie, Kociołek, to po prostu wyrzuć to z siebie, bo psujesz nastrój jak sraczka w sobotnią noc.

Westchnąłem ciężko i przesunąłem wzrok po gałęziach drzew nad głowami moich towarzyszy. Obozowaliśmy dziś wśród majestatycznych świerków i mokrych od wilgoci głązów, które otaczały nas niczym magiczny krąg. Dym

z naszego ogniska, ciągnący się nisko przy ziemi, stąpił się z otaczającymi obozowisko mgłami. Wśród drzew pokrzykiwał leniwie jakiś ptak, skubiące mech konie prychały cicho. Szarzało.

– Rupert dał nam robotę – mruknąłem. – Nawet zapłacić obiecał i tym razem zapłaci – dodałem szybko, słysząc pogardliwe prychnięcia chłopaków. – Nie przejmujcie się, nie poskąpi forsy, bo gra się toczy o wysoką stawkę.

Pogrzebałem w żarze, aż skwierczące kiełbaski niemal zniknęły w nowych kłębach dymu. Gramm mruknął coś niezrozumiale.

– Okazuje się, że Rupert wcale nie jest takim durniem, za jakiego go miałem – podjąłem. – Znaczy się, jest głupi jak but, ale w przeciwieństwie do reszty rodzeństwa ma plan. Kiepskawy, ale plan.

– Chodzi o te dusze trolli, tak? – Urgo splótł ogromne dłonie.

– Tak – przytaknąłem. – Skupuje je od pewnego czasu w tajemnicy przed resztą rodzeństwa, i to chyba nawet z niezłym skutkiem, ale dopiero teraz, po łomocie, jakie trolle Thuula zebrały w Głodnej Puszczy, zyskał okazję do zakupu większej liczby. Wysłał tam Rosomaka, który nabył cenny towar tamtejszych kłobuków, a potem ruszył w pościg za samym Thuulem. Daleko nie dotarł, jak sami pamiętacie, bo przez przypadek sprowokowałem przywódcę Rosomakowych najemników do buntu, w efekcie czego ci odebrali mu zdobyte dusze i zwiali. Rosomak udał się więc do Pierzchału, by podjąć forszę i spłacić najemników, czego jednak nie zrobił, bo...

– Bo ta znikła – burknął Gramm. – I o tym gadać nie będziemy.

– Nie będziemy. – Pokręciłem głową z roztargnieniem. – Okoliczności... cóż, zniknięcia owej forsy to bowiem jeden z dowodów na to, że Złe doskonale wie o inicjatywie Ruperta i próbuje go zaszachować. Obaj przypuszczamy, że temu miały służyć próby porwania Matyldy. Złe być może chciało wymienić pannę na dusze, a kiedy to nie zadziało, za naszą zresztą sprawą, przejęło finanse przeznaczone na ów cel. Mogę się założyć, że Kuklik dotarł już do Głodnej Puszczy ze zrabowanym przez was skarbem i skupuje od innych kłobuków wszystko to, czego nie kupili wcześniej inni. Obawiam się też tego, że równocześnie inny agent Złego dopadł już Jaźwca i w ten czy inny sposób przekonał go do sprzedaży zapasu zgromadzonego przez Rosomaka. Innymi słowy, Złe całkiem nas ograło.

– Kiepska sprawa – rzekł zafrasowany Urgo i zatarł ogromne dłonie, po czym spojrzał na mnie bystro. – Przypomnij mi, Kociołek, bom zapomniał... do czego te dusze miałyby służyć?

Wbiłem wzrok w płomień i znów zabrałem się do odwracania kiełbasek.

– W duszy trolla skupia się ponoć cała jego natura – odpowiedziałem. – Jego dzikość, waleczność, żywotność, siła oraz przedsiębiorczość. Ten, kto... eee...

no, zje taką duszę, przejmuje wszystkie cechy trolla. Innymi słowy, staje się niezwyciężonym wojownikiem.

– Rupert chciał stworzyć armię nie do pokonania – mruknął Żychłoń. – Ani chybi po to, by podporządkować sobie resztę rodzeństwa. Co za pieprzony, chciwy drań. Po raz pierwszy w życiu kibicuję Złemu.

– Motywami Ruperta zajmiesz się, Żychłoń, gdy nie będziesz miał innych zmartwień na głowie – powiedziałem sucho. – Teraz masz, bo w naszym interesie leży to, by Złe nie zdołało przejąć większości dusz. Wedle słów Matta z Kurzu – pokazałem im księgę – Złe zawsze przewyższało nas liczebnie, a gdy jego wojownicy zażyją to paskudztwo, nie będziemy mieć już żadnych szans.

Przez chwilę dało się słyszeć jedynie trzask płomieni i skwierczenie kiełbasek. Były właściwie gotowe, ale chciałem jeszcze podsmażyć grzyby.

– I co teraz? – spytał Gramm, marszcząc brwi. – Jedziemy na wschód, a więc zapewne do Głodnej Puszczy. Dogadałeś się z księciem, by odnaleźć Kuklika i odebrać mu forszę?

– Nie sądzę, byśmy zdążyli – odparłem powoli. – Ale księżę Rupert ma jeszcze jeden pomysł. Nieco szalony. Ba, nawet bardzo szalony, ale... Cóż, głupio wręcz nie sprawdzić.

Wbiłem wzrok w Gramma.

– Bitwa pod Chremięgą, zakończona rozbiciem Vahana zwanego Biczyskiem, pociągnęła za sobą śmierć wielu setek trolli – mówiłem. – Z całkowitą pewnością zarówno król Rotgier, jak i twój ojciec, Majster, dowodzący krasnoludzkim kontyngentem posiłkowym, zebrali wszystkie dusze i podzielili się nimi wedle umowy. I co dalej? Co się później z nimi stało?

Krasnolud przygryzł wargę i pokiwał parokrotnie głową.

– Intryguje mnie to od dawna – ciągnąłem. – Matt z Kurzu, który bardzo dokładnie opisuje wszystkie inwazje Złego, ani słowem się nie zająknął, by armia króla Rotgiera korzystała z owych dusz. A przecież kiedy miałyby to zrobić, jeśli nie wówczas, w godzinie największej próby? Nigdy nie słyszałem też, by wykorzystano je podczas wojny z Godfrydem, królem Topierzysk, ani tym bardziej podczas Waśni. – Urwałem i znów spojrzałem na Gramma. – Czy wiesz może, co się stało z duszami, które twoi pobratymcy zabrali w góry po zwycięstwie pod Chremięgą?

Krasnolud splótł dłonie i przez chwilę wpatrywał się w płomienie. Marszczył przy tym czoło, jakby usiłował coś sobie przypomnieć, ale w końcu jedynie z rezygnacją pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia – rzekł. – Król Erig był roztroprnym władcą. Wiele myślał o przyszłości i próbował chronić nasz lud. Chyba z tego względu wyniósł moją rodzinę tak wysoko. – Skrzywił się lekko przy tych słowach. – Ale o trollich

duszach nie wiem nic – dodał, wzruszając ramionami. – Pewnie leżą gdzieś w skarbcu i czekają na czarną godzinę. Te kiełbaski nie będą już dobre?

– Zaraz będą – powiedziałem z roztargnieniem. – A jaki los spotkał dusze, które zabrał król Rotgier?

– Znając was, pewnie je zgubiliście – stwierdził z przekąsem Gramm. – Albo przehandlowaliście za garść podpłomyków.

Nie chciałem głośno przyznać, że to bardzo prawdopodobna teza, więc po chwili milczenia spytałem:

– Czy nikt z was nic o nich nie słyszał? Nie było żadnych legend, opowieści czy chociaż plotek? Żychłoń, może się czegoś dowiedziałeś od Człekonia? Eliah, Zwierzak, nie słyszeliście może legend o ludzkim skarbie? Urgo, a ty? Podczas swoich rycerskich wypraw pewnie natrafiłeś na niejedną historię, co?

Każdy z moich towarzyszy pokręcił głową, czego się w sumie spodziewałem. Westchnąłem ciężko, znów nachylony nad dymiącą patelnią. Otaczała nas senna, jesienna cisza, przerywana jedynie odległym krakaniem wron.

– Otóż księżę Rupert mocno wierzy, że zdobyte wówczas dusze wciąż istnieją – powiedziałem. – Że ktoś zamknął je w jakiejś skrzyni i gdzieś ukrył. Ba, jest wręcz co do tego przekonany i spędził ostatnie lata na jej poszukiwaniu. Problem, rzecz jasna, tkwi w tym, że nie ma pojęcia, gdzie jej należy szukać, bo wszystkie prawdopodobne miejsca już przetrząsnął. Ba, jego szpiedzy sprawdzili nawet zamek Krzemyk, gdzie kiedyś rezydowali królowie Doliny, a teraz mieszka księżę Fryderyk. Skrzyni nigdzie nie ma, a sprawa zrobiła się pilna, zwłaszcza teraz, gdy Złe pewnie też jej szuka. Zdaniem Ruperta może tam być kilkaset dusz. Na polu bitwy to potęga.

– I to niby my mamy ją odnaleźć? – Żychłoń założył ramiona na piersi. – Gdzie księżę nie może, tam Kociołka pośle?

– A w ogóle czemu ciągle my? – spytał płacząco Zwierzak. – Nie możemy po prostu wrócić do domu?

– Jak ty się dałeś w to wmanewrować? – Gramm patrzył na mnie ze złością. – Rupert ma pieniądze, ludzi i kontakty, a nie dał rady. Jakim więc cudem my mamy tego dokonać?

– Powoli. – Uniosłem rękę. – Ja mam plan.

– Gówno masz, a nie plan! – rozzłościł się Żychłoń, jak zwykle wściekły, że jego życiem kieruje kaprys władców. – Gdybyś miał plan, Kociołek, nie wypytywałbyś nas o legendy o pieprzonej skrzyni!

Nigdy dotąd nie wisiało nade mną widmo buntu. Gramm jednakże marszczył pochmurnie brwi, Żychłoń ze złości aż poczerwieniał, a Zwierzak był bliski płaczu. Eliah odwrócił głowę i spoglądał na kołyszące się na wietrze czubki

świerków, co mogło oznaczać dosłownie wszystko, jedynie Urgo patrzył na mnie z powagą i wyrozumiałością.

Świetnie. Ułożyłem plan, który przypadł do gustu jedynie błędnemu rycerzowi. To sporo mówi.

– Podejmiemy próbę odnalezienia tej cholernej skrzyni – powiedziałem dobitnie. – Nie mogę wrócić do Gryfa i udawać, że wszystko jest w porządku, skoro nie jest! Skoro sytuacja w Dolinie z tygodnia na tydzień staje się groźniejsza. Złe zaległo się wśród nas, a książęta, którzy niby mają nas bronić, miotają się jak owieczki podczas wichury, z wyjątkiem tych, którzy otwarcie służą Złemu, jak choćby przeklęty Fryderyk!

Uświadomiłem sobie, że w moim głosie znów pojawiły się emocje. Nie chciałem tego, bo zależało mi na spokojnej, wyważonej rozmowie. Nie mogłem zmuszać nikogo do niczego wrzaskiem. Odetchnąłem więc głęboko i spojrzałem na przyjaciół przez kłęby dymu.

– Dobra, mam nie jeden plan, ale kilka – powiedziałem cicho. – Chcę zajrzeć do Głodnej Puszczy, gdzie może uda nam się pokrzyżować plany Kuklikowi. Wypada też porozmawiać z Aianą, bo przyszło mi do głowy, że może trolle jakimś sposobem odzyskały dusze swych poległych pobratymców lub, co bardziej prawdopodobne, ludzie dali się jakoś im oszukać. Kto wie? Może przywódcy niedobitków wcisnęli zwycięzcom zwykłe węgielki zamiast dusz?

Osiągnąłem tyle, że przynajmniej zaczęli mnie słuchać.

– Pewne jest to, że ludzie Ruperta nie rozmawiali z trollami – ciągnąłem. – Dotarli natomiast do biblioteki w Dymie i przeszukali ją, ale warto zrobić to raz jeszcze. Księżna Yanna na pewno znajdzie sposób, by zapędzić Werlana do roboty. Niewykluczone, że odnajdziemy tam jakieś wskazówki.

Urgo spojrzał wymownie na pamiętniki Matta z Kurzu.

– Rozumiem, że planujesz oddać książkę do biblioteki.

– Eee... tak. Oczywiście. Przecież mnie znasz. Planuję również wrócić do domu w niedzielę, chyba że znajdziemy trop nie do przeoczenia. W drodze powrotnej zahaczmy o Sokolnik, by pobrać wynagrodzenie. Wytargowałem po dziesięć mohinów na głowę za wyprawę, po piętnaście za obronę dworku i jeszcze premię za ponowne ocalenie Matyldy. Tę akurat sam zgarnę, bo kiedy ją ratowałem, wy rabowaliście bank.

– To żaden plan, Kociołek. – Żychłóń nadal wpatrywał się we mnie oskarżycielsko. – Przedstawiłeś jedynie listę miejsc, gdzie będziesz się starał czegoś dowiedzieć.

– Jak zwał, tak zwał – burknąłem. – To co? Po kiełbasce?

Zduśliłem bunt w zarodku, przynajmniej na razie. Plan był wąty, ale wiedziałem, że chłopaki w głębi serc chcą stanąć w obronie Doliny i są gotowe

walczyć o pokój, nie bez znaczenia okazały się też wieść o niemałych zarobkach, wizja rychłego powrotu do Gryfa oraz całkiem nieźle wysmażone kiełbaski. Sam, przyznam szczerze, zjadłem ze smakiem, jednakże przez cały czas towarzyszyła mi pewna niepokojąca świadomość, która pod koniec wieczery rozwinęła się w pewność.

Ktoś mnie obserwował.

*

Wrażenie zelżało późnym wieczorem, kiedy to, tęgo podjadłszy, uraczyliśmy się okowitą zabraną przez Gramma z piwniczki dworku myśliwskiego, zapewne bez wiedzy księcia Ruperta. Powróciło jednak o świcie, wilgotnym i zasnutym mgłami, kiedy zwijaliśmy obozowisko, i nie opuszczało mnie przez cały dzień. Co rusz obracałem się w siodle i próbowałem wypatrzyć domniemanego szpiega między drzewami, ale las, posepny, nagi i ponury, wydawał się zupełnie opustoszały. Dolina powoli szykowała się do zimowego snu, a ja w głębi serca pragnąłem zasnąć wraz z nią.

Najlepiej przed kominkiem, z Sarą w ramionach, wsłuchując się w oddechy śpiących dzieci i trzask płomieni, rozmyślając o obowiązkach nadchodzącego dnia.

Wizja rozrzewniła mnie do tego stopnia, że musiałem parokrotnie zamrugać, by odzyskać ostrość widzenia. Spojrzałem za siebie, chcąc odnaleźć wzrokiem Eliaha, jak zwykle snującego się daleko za resztą z nas i udającego, że tylko przypadek sprawił, że wędruje w tym samym kierunku, co my. Sceneria zmieniła się od wczoraj – nasza ścieżka nadal wiła się wśród wyniosłych, omszałych skał, ale gęsty las świerkowy zastąpiły strzeliste pnie buków, dzięki czemu wypatrzyłem elfa niemalże od razu.

– Muszę coś przegadać z Eliahem – powiedziałem do Gramma, gdy niemrawo uniósł powiekę.

Wciąż nadąsany Zwierzak, najprawdopodobniej jedyny, którego nie przekonały moje argumenty, niemalże demonstracyjnie odwrócił głowę, zadumany Urgo spoglądał w las, a Żychłoń, który nawet w siodle nie przestawał ryc w drewnie, nie zaszczycił mnie spojrzeniem.

Raz jeszcze omiotłem wzrokiem konary i pnie drzew oraz omszałe skały, wyrastające to tu, to tam między pniami. Słońce przebiło wreszcie przez gęsto zbite chmury i zalało las złocistym blaskiem, pogrążając go równocześnie w mirażu szeroko rozlanych cieni, które tylko pogłębiły mój niepokój. Popędziłem więc konia w stronę samotnego elfa, który drgnął na mój widok,

jakby chciał zawrócić rumaka i czmychnąć, ale powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Eliah – powiedziałem cicho, gdy się z nim zrównałem. – Nie masz wrażenia, że coś nas śledzi?

Elf obrzucił mnie spojrzeniem, w którym wzgarda łączyła się z zainteresowaniem. Każdy, kto go nie znał, poczułby się śmiertelnie urażony, ale ja zdążyłem się przyzwyczaić.

– Gdyby tak było, powiedziałbym ci – odrzekł wyniośle.

– Chyba że byś uznał, że to nic ważnego – stwierdziłem. – Wtedy byś nie powiedział.

– Fakt – przyznał elf. – Nie powiedziałbym. Nie cierpię gadania po próżnicy.

W tym ostatnim zdaniu kryło się coś na kształt towarzyskiego ostrzeżenia. Lubilem tego kapryśnego, milczącego drania i szanowałem jego dziwactwa, ale zdarzało się, że nie miałem na nie czasu.

– Posłuchaj – powiedziałem cicho, rozglądając się wokoło. – Od wczorajszego wieczora mam wrażenie, że coś za nami idzie. Może nawet nie tyle za nami, ile za mną. Znasz mnie, Eliah, wiesz, że nie wymyślam bzdur, a to wrażenie nie daje mi spokoju. Masz jakieś podejrzenia? Wiesz, co to mogłoby być?

– Nie wiem – odpowiedział elf.

Patrzyłem na jego oblicze, przystojne i szlachetne, a jednocześnie niemalże wyprane z uczuć, nieruchome i obojętne. Byłem pewien, że zaraz odwróci głowę i pogrzeży się w kolejnej fazie wielogodzinnego milczenia, on jednak niespodziewanie powtórzył:

– Nie wiem.

– To dobrze, bo...

– Ja rozumiem las. Słyszę go – podjął elf ku memu zdumieniu. – Każdy las śpiewa, a w swej pieśni zawiera to, co może zainteresować wędrowca, który umie ów śpiew zrozumieć.

Kiedyś słyszałem, że żeglarze potrafią wyciągnąć sporo informacji z kierunku i siły wiatru oraz zachowania morza, ale talent Eliaha, co stwierdziłem już nieraz, wydawał się wykraczać poza te umiejętności. Ani myślałem jednakże dzielić się z nim tym odkryciem, bo rzadko się zdarzało, by Eliah odzywał się sam z siebie, nie zamierzałem więc mu w tym przeszkadzać.

– Złe słyhać w tej pieśni dość wyraźnie – ciągnął elf. – Choć trzeba się znaleźć naprawdę blisko, by je usłyszeć. Złe doskonale potrafi się chować. – Przez chwilę milczał, jakby nasłuchiwał, wreszcie uśmiechnął się krzywo i dodał: – Pieśń tego lasu jest spokojna. Nie wyczuwam w niej agresji, rozpaczki ani szaleństwa, co najwyżej odrobinę rozkojarzenia. Jest trochę marzeń, jest sporo pożądlności, nieco krotochwil. To dobry las.

– Przyjazny? – spytałem niepewnie.

– Nie ma czegoś takiego jak przyjazny las – zachnął się elf. – Najlepszym, czego się możesz spodziewać po lesie, jest obojętność. Cóż, ten jest obojętny. Pochłonięty własnymi sprawami. Odwrócony od nas.

– Teraz już wiem, dlaczego wolisz jechać za nami niż wśród nas – powiedziałem. – Słuchasz lasu.

– Tak – odparł elf z zadumą. – Słucham lasu.

– Fajna sprawa.

– Fajna – przytaknął Eliah i byłem już całkowicie pewien, że zakończył rozmowę, gdy niespodziewanie rzekł: – Nie wiem, skąd się bierze to twoje przeświadczenie. Nie wyczuwam w lesie niczego złowrogiego, ale być może podąża za nami coś na tyle drobnego i niepozornego, że nie wpisuje się w pieśń. Tego nie umiem stwierdzić. Ba, nikt tego nie potrafi. Inne wytłumaczenie brzmi tak, że oberwałeś w łeb i coś ci się w nim poprzestawiało.

– Wcale nie oberwałem w łeb. Wiedziałbym o tym – zaprotestowałem, na co elf skrzywił się wzgardliwie.

– Użyłem przenośni. Miałem na myśli to, że za dużo przeszedłeś i przestajesz sobie z tym radzić.

Po lesie poniosł się echem przeraźliwy wrzask jakiegoś ptaka.

– Och, dziękuję – burknąłem. – Ale od takich analiz mam już Gramma.

– Skoro dwie osoby mówią ci to samo, może warto się nad tym zastanowić? – Elf uśmiechnął się złośliwie.

– Odwal się. Zastanawiałeś się nad tym, o co pytałem przy kiełbaskach?

– Mówisz o skrzyni pełnej dusz? Nie. Słucham lasu. Nie da się wtedy myśleć.

Wrzask się powtórzył, nieco bliższy, ale tym razem odniosłem wrażenie, że przypomina ludzki. Ściągnąłem brwi i spojrzałem na elfa, nadal nieporuszonego i obojętnego.

– Słyszałeś to? – spytałem cicho.

– Tak.

– Pasuje do pieśni?

– Nie, zdecydowanie nie. – Eliah się skrzywił. – Trochę ją psuje. Mam nadzieję, że umilknie.

Daleko, między drzewami i skałami, dojrzałem jakiś ruch. Ktoś pędził co siłą, ale nieporadnie, raz po raz oglądając się za siebie. Echo przyniosło kolejny wrzask i tym razem nie miałem wątpliwości, że wydał go z siebie człowiek.

A konkretnie kobieta.

– Co tam się dzieje? – spytałem zaniepokojony.

– Gdybym miał zgadywać, postawiłbym na fauny.

– Na... fauny? Są tutaj?

– Nie słyszałeś, co mówiłem o pieśni tego lasu? – Eliah spoglądał na mnie wzrokiem przeznaczonym dla totalnego imbecyla.

Marzenia, przypomniało mi się. Krotochwile. Pożądliwość. Ech, zaraza!

– Dzień, w którym przestaniesz mówić zagadkami, będzie najwspanialszym dniem mego życia – warknąłem i popędziłem konia, nie czekając na niechybną ripostę elfa.

Do tej pory nigdy nie natknąłem się na przedstawicieli tego stosunkowo rzadkiego plemienia, ale słyszałem o nich to i owo i nie miałbym ochoty na spotkanie z nimi, nawet gdyby tylko połowa z tego, co o nich mówiono, okazała się prawdziwa. Otóż fauny bez dwóch zdań zaliczały się do stworzeń rozumnych, ale jakoś nie zależało im, by przekonać do tego resztę świata. Nie przypominałem sobie, bo cokolwiek budowały lub wytwarzały, a ich język, choć wywodził się z naszego, zdegenerował się i zwęził do pomruków i stęknień. Zasadniczo jedynym, co czyniło fauny bardziej podobnymi do ludzi niż do zwierząt, było ich zamiłowanie do tańców i śpiewów, stosunkowo prymitywnych, za to niesłychanie absorbujących. Bez względu na pogodę i porę roku fauny potrafiły całymi godzinami grać na piszczalkach, walić w bębny i podrygiwać całym stadem, resztę czasu przeznaczały zaś na spanie i poszukiwanie żywności. To w zasadzie wyjaśniało, dlaczego plemię to nie miało żadnych osiągnięć.

Nie oznaczało to jednak, że fauny są nieszkodliwe. Bytowały co prawda głęboko w lasach i latem czy wiosną rzeczywiście nie stanowiły zagrożenia dla wędrowców, wyjąwszy okazjonalne kradzieże piwa lub cydru. Prawdziwie niebezpieczne stawały się dopiero jesienią, kiedy to z wolna uświadamiały sobie, że przetańczowały całe lato i nie są w żaden sposób przygotowane na zimę. Wówczas ich napady stawały się naprawdę groźne. Fauny kradły koce, przyodziewek oraz jedzenie, a każdy, kto próbował je zatrzymać, przekonywał się na własnej skórze, że zdeterminowany faun jest przeciwnikiem szybkim, dzikim i naprawdę zabójczym.

A mamy szczyt jesieni, przemknęło mi przez głowę, gdy gnałem naprzód. Przeklęty Eliah...

Kobieta biegła, co rusz oglądając się za siebie, i nie przestawała wrzeszczeć. Jej biały strój odcinał się od ciemnej czerwieni bukowych liści i zahaczał o obłamane konary. Na moich oczach przewróciła się, wzbijając tuman liści. Wstała pospiesznie, zerwała do biegu, zaraz jednak poślizgnęła się na ściółce i znów runęła na ziemię. Z jej gardła dobył się zduszony okrzyk przerażenia.

W tej samej chwili dostrzegłem dwa cienie przemykające przez las. Mawiano o faunach, że biegają rączo niczym sarny, a przy tym równie cicho jak ludzie, przez co nie sposób ich zauważyć, jeśli same tego nie zechcą. Na moich oczach legenda stawała się prawdą, bo fauny mknęły niemalże bezszelestnie, szybko

i rączo przesadzając konary i skały. Jeden z nich wybił się w powietrze, odbił od skały i wykonał potężny sus w stronę kobiety. Wyciągnął rękę, by ją złapać, a ta wyrwała się w ostatniej chwili, zostawiając w łapsku fauna strzęp materiału.

W tym czasie drugi faun rozpędzał się już po pniu drzewa, ani chybi również szykując się do skoku, ale nagle się zawahał.

Bo w sytuację wmieszał się ktoś nowy.

– Ani kroku dalej, na Dole! – zakrzyknął Uργο, dobywając broni. Wzniesiony wysoko miecz odbił zimne światło jesiennego słońca, a ja byłem już na tyle blisko, by ujrzeć, że oba fauna przytomnieją i pospiesznie oceniają swoje szanse.

Wydawały się nieco niższe od przeciętnego człowieka i dość chude, ale krępe i muskularne. Ich torsy i ramiona pokrywał rzadki meszek, który gęstniał w okolicach pępka, a na wysokości łędźwi zamieniał się w zbite, ciemne futro, nie na tyle jednak gęste, by zasłonić potężne, napęczniałe przyrodzenie. Na obliczach faunów, dość prymitywnych i tępych, malowała się złość. Jeden zaciskał pięści i syczał wściekle na Uργο, a drugi złapał tęgą lagę i tłukł nią w podłoże, przeskakując z nogi na nogę. Ich kopyta były ostro zakończone, podobnie jak rogi, sterczące spośród kołtunów porastających czaszki. Wierzyłem w umiejętności Uργο i uważałem go za jednego z najlepszych wojowników, z jakimi miałem do czynienia, ale nie wiem, czy wyszedłby cało z takiego starcia.

– Won! – zaryczał mój przyjaciel i obrócił rumaka ku faunom. – Won, pókim dobry!

– Nasza! Nasza! – syczał jeden, a drugi pluł zawzięcie i nadal tłukł kijem naokoło siebie. – Idź! Idź!

Powściągnąłem konia tuż przy zdyszanej kobiecie w białej sukni, która właśnie podnosiła się z ziemi. Wydawała się oszołomiona, ale przestach w jej spojrzeniu wnet ustąpił miejsca złości.

– Nasza?! – wrzasnęła, ujmując się pod boki. – Niedoczekanie twoje, ty cuchnący, obleśny capie! Sarny ci chędożyć, a nie do mnie sobie rościć pretensje, piździelcu ty! Najpierw łajno sobie z futra wyczesz, a potem się zbliżaj do ludzi!

Ich ostry piźmowy zapach rzeczywiście do przyjemnych nie należał, ale oba fauna zareagowały na obelgi istną furią. Jeden z tych, do którego kobieta ewidentnie kierowała swe słowa, zawarczał wściekle i zatupał, co było dla Uργο wystarczającym sygnałem do działania.

– Dola mi świadkiem, żem ci okazał cierpliwość! – huknął i spiął rumaka.

Jego koń targnął niechętnie łbem, najwyraźniej wystraszony dzikim tańcem fauna i jego nieprzyjemnym zapachem, ale uległ woli jeźdźca i ruszył do szarży. Wystraszony faun uskoczył rączo w tył, a jego kompan w bok. Wylądował na niskim konarze buku i zakołysał się na nim, uginając nogi w kolanach, a ja zrozumiałem, że szykuje się do ataku na Uργο.

– Hej! – krzyknąłem. – Ani się waż, koziołku!

Faun był tak skupiony na Urgo, szarżującym prosto na jego kompana, że zauważył mnie dopiero w ostatniej chwili. W jego szeroko otwartych ślepiach błysnął strach, gdy ujrzał mój miecz, zakreślający teraz łuk, by chlasnąć go po kolanach. Odbił się i wylądował na ziemi gdzieś w połowie drogi między moim wierzchowcem i koniem Urgo, a wtedy zauważył Zwierzaka, Gramma i Żychłonia, którzy pędzili nam na pomoc.

– Baaaaba! – zabeczał, wyciągając brudne łapska ku kobiecie w bieli. – Nasza baaaba!

– Ja ci dam babę! – warknąłem i ściągnąłem wodze.

Wyhamowałem rozpędzonego konia, obróciłem go i uniosłem miecz, by ciąć z siodła, ale wtedy nad głową fauna bzyknęła strzała Zwierzaka, co skruszyło resztki jego odwagi. Zabeczał raz jeszcze i czmychnął szybciej, niż wydawało się to możliwe, a za nim jego kompan, ścigany już przez Urgo.

Rycerz nie oddalił się przesadnie daleko – jego rumak był wszak najcięższy z tych, którymi dysponowaliśmy, i kiepsko się nadawał do dzikich pościgów przez las. Po chwili Urgo zawrócił, wsuwając miecz do pochwy, i wkrótce zrównał się ze mną.

– Oburzające – stwierdził. – Nie cierpię, gdy takie bydłeta prześladują niewinne kobiety.

Zerknął przy tym na ocaloną przez nas niewiastę, która niecierpliwym gestem wygładziła fałdy białej sukni, a potem poprawiła rozczochrane podczas upadku włosy, długie, kasztanowe, ale przetkane już zauważalną siwizną. Była niemłoda, acz piękną kobietą, co z pewnością doceniłbym bardziej, gdyby miała czystą twarz i schludną suknię. Jej strój, przybrudzony, podarty i wielokrotnie pocerowany, zdecydowanie widział już lepsze czasy. Kobieta jednakże, za nic mając takie drobiazgi, ujęła rąbki sukni i wykonała dworski ukłon.

– Dola cię zesłała, cny rycerzu – powiedziała, spuszczać skromnie wzrok. – Do końca życia będę nosić w sercu wdzięczność za twój dzielny czyn.

Z całej naszej gromady Urgo najbardziej nadawał się do bohaterskich czynów, do jakich bez wątplenia należało ratowanie dam z opresji, ale rozmawianie z nimi szło mu zdecydowanie gorzej. Słyszac słowa ocalonej kobiety, wybełkotał coś nieskładnie, a policzki zalał mu rumieniec. Postanowiłem więc przyjść mu z pomocą.

– To prawdziwe szczęście, pani, że przejeżdżaliśmy w pobliżu – odezwałem się. – Wyglądało to dosyć groźnie. Co tu robisz sama, bez eskorty?

Kobieta przewróciła oczami.

– Powiedzmy, że miałam coś do załatwienia w okolicy, ale te fauny, a właściwie jeden z nich... Cóż, całkiem mi pokrzyżował plany.

Znów skromnie poprawiła sukienkę. Na palcu miała pierścionek, a na dekolcie, imponującym, żeby nie powiedzieć: przytłaczającym, migotał naszyjnik. Gdybym nie wiedział, że to całkowicie niemożliwe, pomyślałbym chyba, że umówiła się na schadzkę.

– Czy podobne ataki zdarzają się częściej w tych okolicach? – bąknąłem. Byłem prawie tak skonfundowany jak Urgo, a do tego czułem, jak na policzki wypływa mi zdradziecki rumieniec.

– Nie, dobry panie. – Kobieta uśmiechnęła się czarująco i lekko przekrzywiła głowę. – Na szczęście nie. Mieszka ich tu gromadka i na ogół się dogadujemy, a już na pewno sobie nie wadzimy. Ten z tym kijem był... jak by to powiedzieć... częściowo oswojony.

Rumieniec wypłynął na policzki kobiety. Skrzywiła się, jakby chciała w ten sposób zatuszować chwilę słabości, po czym warknęła:

– Ale oczywiście musiał się pochwalić znajomością ze mną i ściągnąć tego drugiego, cuchnącego... Rogaty sukinsyn!

Odkaszlnąłem, chcąc jak najszybciej odegnać obrazy podsyłane przez wyobraźnię, i spytałem:

– My? Powiedziałaś, pani: „dogadujemy”.

– Ach, tak. – Kobieta machnęła upierścienioną dłonią. – Całkiem zapomniałam. Mam na imię Jarzębina i jestem damą dworu.

– Dworu? – Wybałuszyłem oczy.

– Dworu Leśnego Króla – wyjaśniła pobłażliwym tonem. – Gdzie bez wątpienia zostaniecie serdecznie powitani.

– Ale my...

– Nie ma dyskusji! – Jarzębina obdarzyła nas naprawdę pięknym uśmiechem. – Uratowaliście mnie przed pohańbieniem, zacni wędrowcy! Koniecznie musicie uklęknąć przed majestatem Leśnego Króla i przyjąć jego błogosławieństwo. Proszę za mną!

13

– W sumie to muszę cię pochwalić, Uργο – gadał Gramm. – Nie za szarżę na te dwunożne koziołki, skądże. To akurat każdy głupi dałby radę zrobić. Pochwalić cię chcę za to, że wytrzymałeś psychicznie widok faunich dyszli. Przecież każdy miał narząd rozmiaru porządnej maczugi.

Krasnolud gadał jak najęty, bynajmniej nie przejmując się tym, że nikt go w zasadzie nie słucha; najwidoczniej w ten właśnie sposób odreagowywał emocje. Reszta z nas po prostu rozglądała się dookoła z szeroko rozwartymi gębami.

Bo naprawdę było na co patrzeć.

Zmierzchało już i dwór Leśnego Króla powitał nas lampionami rozwieszonymi na najniższych gałęziach buków, przydającymi jesiennej szarówce magicznej otoczki. Spomiędzy drzew dobiegała romantyczna melodia wygrywana na mandolinie, a dalej migotało ognisko, nad którym obracało się pieczone. Spomiędzy pni wyszedł brodaty rycerz w powgniatanym napierśniku i z powagą skłonił się zdębiałemu Uργο. Z naprzeciwka wyłoniły się dwie kobiety w czepcach, które z chichotem pomachały do Eliaha, z niejasnych powodów jadącego teraz bliżej nas.

– Dobry wieczór, Jarzębinko! – zawołała tęga dama w zielonej sukni, równie sfatygowanej jak biała kiecka naszej podopiecznej. Ujęła się pod boki i przyjrzała nam uważnie, wydymając pełne usta. – A kogóż to nam sprowadzasz na ten wieczór?

– Zacych gości, zacych, droga Lawendziu! – zaszcebiotała ocalona przez nas dama z siodła wierzchowca prowadzonego przez Uργο. – Wyobraź sobie, że ocalili mnie od wielkich tarapatów!

– Oho! – Lawenda pogroziła jej palcem. – Mówiłam ci, żebyś uważała z tymi faunami...

– Przestań, kochanie, wygadywać! – Jarzębina machnęła dłonią. – Sama kiedyś spróbuj, a w pełni mnie zrozumiesz. Wystarczy umyć takiego, by nagle stał się przydatny!

– Po co mam sobie tyle trudu zadawać, skoro dookoła tylu młodzieńców niewymagających szczególnych zabiegów! – oznajmiła Lawenda i klasnęła w dłonie, a potem zawirowała z ujmującą gracją. – Ech, będziemy dziś tańczyć i śpiewać na dworze Leśnego Króla!

– Tańczyć i śpiewać! – zawołała Jarzębina, unosząc ręce ku niebu.

Człowiek w ciemnej szacie oraz szpiczastej czapce, który wpatrywał się w gwiazdy przez długą lunetę, pomachał do nas przyjaźnie. Z dziupli mijanego drzewa dobiegło wściekłe parsknięcie, które po chwili zastąpił wesoły chichot. Gdzieś między pniami mignęły dworskie namioty rozstawione wokół innego ogniska, gdzie ktoś śpiewał niskim głosem, wywołując co rusz salwy śmiechu. Brzdękanie na mandolinie zastąpiła melodia grana na dwa flety, a z gęstniejących ciemności dobiegało radosne rżenie koni.

Nie przestawałem się rozglądać, przekonany, że oto niespodziewanie znaleźliśmy się w świecie baśni.

– Urgo, a może cię te kozie pytki zainteresowały, co? – ciągnął Gramm. – Bo wiesz...

– Zamknij się już, Majster – warknąłem. – Trafiliśmy w dość osobliwe miejsce i obiecuję, że zrobię wszystko, by nas stąd jak najszybciej wyciągnąć. Na razie, Żychłoń, żadnych złościwości, Zwierzak, daj sobie spokój z pluciem i dłubaniem w nosie, a ty, Eliah, lepiej się trzymaj blisko nas. Urgo, przełam się. Z nas wszystkich odnajdziesz się tu chyba najlepiej.

– Nie mam pewności, czy podołam... – wymamrotał rycerz, który na przemian bladł i czerwieniał.

– Ależ oczywiście, że dasz sobie radę! – Jarzębina roześmiała się i pochyliła, by poklepać go po naramienniku, a przy okazji wyeksponować przepastny dekolt. Następnie wyprostowała się i zdjęła buty. Stopy miała kształtne, choć niemiłosiernie brudne. – Dwór Leśnego Króla w pierwszej chwili onieśmiela każdego, ale nie obawiajcie się! Szybko zapomnicie o wszystkim, czego się lękacie i co was krępuje. Być może uda się nawet znaleźć coś, co zaskoczy mości krasnoluda!

Odwróciła się i figlarnie mrugnęła do Gramma, który niespodziewanie stracił rezon, poczerwieniał i się rozkaszał.

I wtedy coś we mnie pękło.

– Ale przecież to miejsce... – wyjąkałem. – Nie ma dworu Leśnego Króla! To tylko bajka dla dzieci!

Jarzębina znów się roześmiała, zadzierając głowę ku niebu. Zawtórowała jej inna kobieta, przypuszczalnie w podobnym wieku, ale całkiem siwowłosa. Jej sukni brakowało rękawa, co maskowała szalem, który z wdziękiem narzuciła na ramiona.

– Owszem, bajka – oświadczyła. – Ale bynajmniej nie dla dzieci! Jak było na faunach, Jarzębinko?

– Stanowczo powinniśmy je odławiać i tresować tu, na dworze, Konwalijko, moja złociutka – oświadczyła nasza znajoma.

– I wzbudzić tym samym zazdrość naszych dzielnych rycerzy? – Konwalia zachichotała. – Co to, to nie!

Uniosła ramię, z którego zsunął się szal, i pomachała dwóm tęgim, kudłatym i zarośniętym drabom o roześmianych gębach i błyszczących oczach. Nosili przeszywanice z niezgrabnie wyhaftowanymi wizerunkami drzew. Jeden miał na głowie koronę z dębowych liści, a drugi starą czapkę białą; obaj w dłoniach trzymali kufle, którymi pozdrowili najpierw Konwalię, a potem nas, po czym pociągnęli tęgie łyki.

– To bajka – powtórzyłem cichutko. – Znaleźliśmy się w bajce.

– Kociołek! – rozległ się nagle znajomy głos i zza pleców obu rycerzy wystrzelił nie kto inny jak Droździk. Nadal był bosi, niemiłosiernie rozczochrany i koszmarnie chudy, ale zamiast więziennych łachmanów miał teraz zacny kubrak, choć bez guzików, spodnie z obszarpanymi nogawkami i całkiem porządne buty nie do pary. Na plecach podskakiwała mu mandolina. – Toż to Kociołek! Chłopie! Jak ja się cieszę, że cię widzę! Z nie lada opresji żeś mnie wyciągnął!

Rzucił mi się w ramiona i wyściskał z werwą. Chcąc nie chcąc, odwzajemniłem uścisk.

– Miałem wrażenie, że nie do końca wierzysz w to, co ci opowiadam o Leśnym Dworze. – Minstrel się roześmiał, po czym puścił mnie i podskoczył wesoło. – Teraz możesz się przekonać na własne oczy, że wszystko to prawda! Przyjaciele i przyjaciółki! – zawołał, odwracając się. Złożył dworski ukłon gromadzącym się wokół damom i rycerzom. – Oto Kociołek, przyjaciel mój serdeczny, dzięki któremu zdołałem się wyrwać z niewoli u księcia Ruperta, gdzie, jak wiecie, organizowałem dla was wino.

Rozległy się chichoty i oklaski.

– Niech żyje! – krzykali dworzanie, nie wiedząc, czy pod adresem minstrela, czy też moim. Droździk, nie zawracając sobie głowy podobnymi dylematami, kłaniał się w każdym kierunku, po czym zerwał z pleców mandolinę i uderzył w struny.

– Takem mu wdzięczny, że piosenkę nawet ułożyłem! Posłuchajcie:

Druh mój Kociołek,
choć z twarzy matolek,
w sercu nosi fiołek!

Wielki zeń wesołek
i tańczy jak koziołek,
gdy z dupska wyjmie kołek!

– A w niedzielę warzy rosówek! – zawołał zachwycony Gramm, co wywołało salwy śmiechu i kolejne oklaski.

Minstrel uderzył w struny, złożył przed Grammem dworski ukłon i zawołał:

– Niech żyje nasz przyjaciel Jelonkowy Brodacz!

– Niech żyje! – zakrzyknął dwór, a Gramm z roziskrzonym spojrzeniem odwrócił się ku mnie.

– Kociołek, zostańmy tu chwilę! Czuję, jak budzi się we mnie dusza poety! Posłuchaj tylko tego: „Znacie Żychłonia, starego dziada? Co deski ryje i głupstwa gada?”.

W innej sytuacji zapewne bardzo chciałbym się dowiedzieć, co o wszystkim sądzi sam guślarz, ale nagle zdałem sobie sprawę, że wokół nas zapada cisza. Krasnolud otworzył usta, przypuszczalnie po to, by dorzucić kolejne dwa pospiesznie sklecone wersy, ale Jarzębina z wprawą strzeliła go w ucho, a potem zsunęła się z konia.

Przez rozstępujący się tłum szedł ktoś, kto miał na głowie wieniec z połączanych liści i twarz przesłoniętą maską z drewna. Westchnąłem w duchu – bardzo często opowiadałem bajki dzieciom i dobrze wiedziałem, że każdą z nich trzeba traktować poważnie, a co dopiero taką, do której trafiło się samemu.

– Z koni – syknąłem.

Każdy z nas uklęknął na mchu – Urgo z powagą, Żychłoń z niechęcią, Gramm z oszołomieniem, Zwierzak z zachwytem, a Eliah z gracją.

Wszyscy oddaliśmy cześć Leśnemu Królowi.

*

Ognisko trzaskało żywo, a jego płomienie wraz z wesołą, skoczną muzyką, wygrywaną przez gromadkę odzianych w pstrokate łachmany grajków, odpędzały mrok jesiennej nocy. Niektóre instrumenty wydawały się rozstrojone, a sami muzykanci nie potrafili nadrobić braku umiejętności zapałem, ale tańczącym wokół ognia ludziom w niczym to nie przeszkadzało. Biesiadnicy to płąsali wesoło, to łapali się za ręce i tworzyli wijący się korowód, który po chwili rozpadał się na pomniejszych grupki, potem na powrót skupione wokół ognia. Ku niebu buchały radosne okrzyki, raz po raz układające się w chóralne śpiewy,

a muzyka urywała się tylko po to, by któryś z biesiadników, rozpromieniony i zdyszany, mógł ogłosić konkurs stanowiący wierną kopię zabaw dworskich. Wśród salw śmiechu uczestnicy okładali się drewnianymi mieczami, wymyślali naprędce pieprzne kuplety lub ścigali się z piszczącymi niewiastami na barkach, a reszta raczyła się w tym czasie mięsiwem pieczonym nad sąsiednim ogniskiem lub czerpała piwo z beczek.

Widziałem w życiu wiele zabaw i jeszcze więcej biesiad, ale nigdy dotąd nie byłem świadkiem hulanki, która łączyłaby ze sobą dworskie igry, wiejską żywotność i baśniową otoczkę. Nie mogłem oderwać wzroku od jej uczestników.

– Wy tak codziennie? – spytałem Leśnego Króla.

Przez otwory w drewnianej masce zerkały na mnie bystre, błękitne oczy, okolone siateczką zmarszczek.

– Gdzie tam! – odpowiedział ze śmiechem. – Jedynie we wtorki i piątki. Wiesz, lata już nie te.

Dłoń, którą machnął z lekceważeniem, była twarda, ale spracowana i żylasta, a przedramię, niknące w rękawie postrzępionej dworskiej tuniki, nosiło niejedną bliznę. Leśny Król był wysoki i postawny, przemawiał donośnym głosem, ale pobrzmiwała w nim zapowiedź nadciągającej starości. Jej nadejście zwiastowała również jasna, niemalże biała broda.

– Na ogół siedzimy wokół ognisk, śpiewamy i opowiadamy sobie historie – dodał. – Kobiety haftują, mężczyźni pucują broń. Rozmawiamy o tym, czym trzeba się zająć nazajutrz, ale raczej nie tańczymy. W dni powszednie każdemu najbardziej zależy na tym, by się wcześniej położyć.

Pokiwałem głową. Wielu biesiadników już dawno przekroczyło wiek średni, a niejeden z pozostałych trzymał się go desperacko jedynie dzięki własnej żywotności. Tym bardziej zdumiewała mnie dzika spontaniczność zabawy. Podczas biesiad w Gryfie zazwyczaj zajmowałem się kuchnią i wypracowałem w sobie obojętność na skoczną muzykę, ale teraz czułem, że serce bije mi szybciej i bardzo chętnie dołączyłbym do korowodu.

Leśny Król, jakby wyczuwał moje pragnienie, podał mi kubek z gęstym, obłędnie pachnącym miodem. Ewidentnie zależało mu, bym jeszcze przy nim posiedział, a ja uznałem, że mogę to zrobić. W końcu Sara i tak była niezadowolona z mojego wyjazdu. Co by sobie pomyślała na wieść, że dałem się porwać dzikim harcom w środku lasu?

– Myślałem, że to wszystko tylko bajka – bąknąłem wbrew sobie.

Pospiesznie zerknąłem na Leśnego Króla, ale ten nie dał po sobie poznać, że moje słowa go uraziły.

– Bo to jest bajka – odparł i pokiwał głową. – Do pewnego momentu, rzecz jasna. Bajki nie mówią wiele o przemarzniętych stopach, obolałych plecach czy

problemach ze wzrokiem.

– I tak zachowujecie sporo optymizmu – zauważyłem. – Nadciąga zima. Mrozy w Dolinie potrafią dotkliwie kąsać, a wy... cóż, taniec wokół ogniska z całą pewnością pozwoli wam się rozgrzać, ale chyba tylko na chwilę.

– Znamy miejsca w głębi lasu, gdzie bywa cieplej – powiedział ostrożnie Leśny Król. – Miejsca błogosławione przez bóstwa, które władały Doliną, zanim nadeszła Dola. Bóstwa, które cieszą się, że są jeszcze tacy, co pragną oddać im cześć, i z wdzięczności obsypują nas darami. Twój przyjaciel guślarz z pewnością mógłby ci coś o nich opowiedzieć.

Odnalazłem wzrokiem Żychłonia, który, wyzbywszy się niechęci do wyższych klas, z wigorem dzikiego kozła marzącego o powiększeniu stada obtańcowywał właśnie pewną korpulentną, czarująco roześmianą damę z rozwianymi włosami i nagimi ramionami.

Spojrzałem bystro na Leśnego Króla.

– Skąd wiesz, że to guślarz? – spytałem. – Żychłóń robi wszystko, by zamaskować swą profesję.

– Od lat żyję w zgodzie z Prawem Puszczy – odrzekł Leśny Król. – Takie rzeczy są dla mnie oczywiste.

Spoglądał na mnie przenikliwie, a ja, by uniknąć jego wzroku, znów zerknąłem na roztańczony tłum.

– Co jeszcze jest dla ciebie oczywiste? – spytałem, wypatrzywszy Gramma, który stał przy beczkach ze wzniesionym kuflem i opowiadał coś zgromadzonym wokół niego mężczyznom pokładającym się ze śmiechu.

– To, że nie jesteście zwykłymi wędrowcami. Widać po was, że nie dacie sobie w kaszę dmuchać, ale jednocześnie nie czuję, że powinienem się was bać. To z kolei oznacza, że jesteście poszukiwaczami.

Bystry jest jak na człowieka, który mieszka w środku puszczy, pomyślałem, wciąż na niego nie patrząc. Przez chwilę wodziłem spojrzeniem za Urgo, sztywno i z wyraźnym zażenowaniem naśladowującym ruchy roześmianej Jarzębiny, która uparła się nauczyć go tańczyć.

Nagle przypomniało mi się osobliwe doznanie, które skłoniło mnie do rozmowy z Eliahem.

– Śledziliście nas? – spytałem, choć wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, znikło w chwili, gdy dotarliśmy na dwór Leśnego Króla. Pytanie zabrzmiało ostrzej, niż zamierzałem, ale mego rozmówcę niełatwo było wytrącić z równowagi, bo parsknął głośnym śmiechem.

– Ależ skąd – odparł rozbawiony. – Widzisz wśród nas kogoś, kto mógłby się tego podjąć? Jednemu coś strzyka w kolanach, inny narzeka na korzonki, jeszcze inny nazbyt ceni sobie popołudniową drzemkę. Komu by się chciało, Edmundzie

drogi. Nawet polowania urządzamy już tylko od wielkiego dzwonu i wolimy kupować mięsiwo od kłobuków.

– Od kłobuków?

– Pewnie. To pokrętne skurczybyki, ale bardzo cenią sobie nasze hafty i koronki.

– A nie... – Przełknąłem ślinę. – A nie zlecaliście im może ostatnio jakichś remontów?

– W namiotach? – zachichotał Leśny Król. – Nie, nie zlecaliśmy.

Przez chwilę milczałem. W tłumie biesiadników wypatrzyłem Zwierzaka, który siedział na barkach brodatego rycerza i grał na fujarce. Wyglądało na to, że porzucił swój markotny, jakże dla niego nietypowy nastrój. Raz jeszcze w duchu podziękowałem Doli, że skierowała nas w to miejsce.

– Opowiesz mi coś o sobie, Edmundzie? – spytał mój rozmówca. – Opowiesz mi o tym, czego szukasz?

– Będziesz się śmiać – powiedziałem niechętnie.

– Od początku rozmowy nie robię niczego innego.

– Tak, ale... Gdybym udzielił ci szczerzej odpowiedzi, Leśny Królu, zrobiłbym z siebie głupca. Bowiem szukam czegoś, o czym mówią jedynie baśnie i legendy.

– Cóż. – Leśny Król rozejrzał się wymownie. – Zdaje się, że to idealnie miejsce na takie wyznania.

Wypatrzyłem Eliaha, który tańczył z Konwalią i śmiał się z czegoś, co ta właśnie mu opowiedziała. Nie miał koszuli, a poziom rozchełstania tańczącej z nim Konwalii sugerował, że i jej przydzwiewek zaczął mocno przeszkadzać.

To chyba rzeczywiście noc baśni i cudów, przeszło mi przez myśl. Co mi tam.

– Szukam skrzyni pełnej dusz – oświadczyłem. – Dusz trolli.

Wbrew moim obawom Leśny Król nie parsknął śmiechem. Milczał przez długą chwilę, aż wreszcie westchnął.

– Dusze trolli – powiedział cicho, niewyraźnie. – A po co ci one?

– Po nic – Wzruszyłem ramionami. – Mnie osobiście nie są do niczego potrzebne, moim towarzyszom zresztą również, lecz nagle stały się bardzo pożądanym towarem w Dolinie. Interesuje się nimi książę Rupert, obecny władca Sokolnika, ale także Złe. Nie zależy mi na tym, by wpadły w ręce Ruperta, bo Dola jedna wie, do czego je wykorzysta, ale naprawdę nie chcę, by przejęło je Złe. Tymczasem wiele wskazuje na to, że jeden z agentów Złego już położył łapsko na przynajmniej kilkunastu duszach i podejmuje wysiłki, by zgromadzić ich jeszcze więcej.

Uniesienie, które mimowolnie rozbudziła we mnie żywiołowa zabawa, natychmiast przygasło. Zajrzałem do wnętrza kubka, zakręciłem jego zawartością i wychyliłem jednym łykiem.

– Mam żonę i trójkę dzieci – dodałem cicho. – I fajną karczmę. Lubię gotować, grzebać w ogródku i słuchać opowieści przy kominku. Nie chcę, by Doliną znów wstrząsnęła wojna.

– Nikt tego nie chce – przyznał Leśny Król. – Nawet my, choć świat na szczęście dawno o nas zapomniał. Powiedz mi, Edmundzie... – zaczął, ale zawahał się i urwał.

Spodziewałem się, że będzie chciał wiedzieć, co zrobię ze skrzynią, jeśli ją znajdę, ale po chwili usłyszałem inne, całkiem zaskakujące pytanie:

– Skąd bierze się w tobie pewność, że skrzynia z duszami trolli to bajka?

– Jeszcze pół roku temu nawet nie przyszłoby mi do głowy, by potraktować tego typu historię poważnie – odpowiedziałem. – Opowieść o trollich duszach miałem za bajkę i chętnie opowiadałem ją dzieciakom, podobnie zresztą jak tę o Leśnym Królu. – Uśmiechnąłem się przy tych słowach. – Wszystko się zmieniło jakieś dwa miesiące temu, gdy w Głodnej Puszczy natknąłem się na trolle. Nagle się okazało, że ich dusze to coś realnego, co więcej, groźnego i pożądanego.

– Nie pytałem o same dusze, ale o ową skrzynię. – Leśny Król wpatrywał się we mnie przenikliwie.

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Bitwa pod Chremięgą rozegrała się trzydzieści lat temu, kiedy ludzie wiedzieli więcej. Jestem przekonany, że król Rotgier skwapliwie rozpruł ciała wszystkich pokonanych wrogów i wydłubał z nich dusze, nie mam też wątpliwości, że zapłata w duszach była jedynym powodem, dla którego krasnoludy zgodziły się go poprzeć w boju. Nikt jednakże nie wie, co się z owymi duszami stało. Nie ma wzmianki o ich użyciu podczas bitwy pod Wyrzyskiem ani później, podczas Waśni. Muszą więc gdzieś być, co spędza sen z powiek księciu Rupertowi, a od dwóch dni również mnie.

– Ale masz tę historię za bajkę?

– Raczej za niebezpieczną plotkę. – Pokręciłem głową. – Bo tak naprawdę wydaje się mało prawdopodobna. Rzekomo ten, kto połknie taką duszę, przejmuje siłę, dzikość i umiejętności zmarłego trolla. Skoro tak, to czemu trolle same ich nie zjadały przed walką? Czemu władcy ludzi i krasnoludów nie sięgali po nie w godzinie próby? Czemu opowieści o trollich duszach mają status bajki dla dzieci, a zdobycz spod Chremięgi została zgubiona i zapomniana? I, co najważniejsze, dlaczego nagle sprawą zainteresowało się Złe?

– Plotka z baśnią wiele mają wspólnego – powiedział w zadumie Leśny Król. – Historia o skrzyni pełnej dusz jednakże nie jest ani jednym, ani drugim. To czysta prawda, drogi Edmundzie, a do tego ponura i bardzo, bardzo przerażająca.

Po czym, wpatrzony w płomień oraz tańczących ludzi, w kilku prostych zdaniach opowiedział mi o skrzyni pełnej dusz, którą król Rotgier wywiózł spod

Chremięgi. Wnet poznałem odpowiedzi na wszystkie swoje pytania, ale te jedynie spotęgowały moją trwogę. Milczałem bardzo długo, nieświadom nawet tego, że trzymam w dłoniach nowy kubek z miodem.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytałem cicho.

– Niech ci wystarczy, że wiem.

– A czy... – Zawahałem się. – A czy wiesz może, gdzie należy tej skrzyni szukać?

– Wiem – odparł, a potem opisał mi drogę.

Pozostało mi jeszcze jedno pytanie.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

Leśny Król gładził się po bujnej jasnej brodzie.

– Bo wcale nie służysz księciu Rupertowi. Tak się jedynie składa, że obu zależy wam teraz na tym samym, a gdy przyjdzie co do czego, podejmiesz właściwą decyzję. Właściwą nie dla księcia czy dla siebie, ale dla Doliny, prawda?

– Prawda – przyznałem i upiłem łyk miodu, który z każdą chwilą wydawał mi się lepszy. – Muszę się naradzić z chłopakami, zanim się schlają do końca.

– Nie. – Leśny Król uśmiechnął się za swą maską i położył mi rękę na dłoni. – Dajże spokój, Edmundzie. I tak już za późno, by cokolwiek z kimkolwiek ustalić. Masz jeszcze jutro. Jutro będziesz myślał i rozmawiał, dziś zaś pohopsasz sobie na dworze Leśnego Króla.

Chciał się podnieść, jednak stęknął ciężko.

– Ale pomóż mi wstać – poprosił. – Ścierpłem jak jasna cholera.

*

Gdy Leśny Król, ignorując moje protesty, zawlókł mnie w sam środek roztańczonego korowodu, szczegóły zaczęły mi się zacierać, aż rozmyły się całkiem. Pamiętam, że tańczyłem, śmiałem się, klaskałem, piłem i jadłem. Pamiętam, że wpadłem w objęcia jakiegoś tęgiego mężczyzny, który kazał się zwać Rycerzem Jesionu i z wyraźnym żalem przyjął wyjaśnienie, że jestem żonaty. Wzięła mnie wówczas w obroty drobniutka, rozchichotana dama z uroczymi zmarszczkami wokół oczu, która nazywała się Róża i na żadne wyjaśnienia nie chciała zwracać uwagi. Zrobiło się groźnie, na szczęście dla mnie Drożdżik, odgrywający rolę mistrza ceremonii, zarządził zabawę w chowanego. Wykorzystałem sposobność, by dać drapaka, ale to również nie było łatwe, bo okoliczne zarośla były już pozajmowane i aktywnie wykorzystywane przez uczestników całkiem innej zabawy. Gdzieś mignął mi Gramm, kompletnie zahipnotyzowany rozkołysanymi biodrami ciągnącej go za brodę damy,

przelotnie dojrzałem Urgo, z przerażeniem w oczach wyglądającego zza drzewa, i prawie potknąłem się o Żychłonia, który miał bardzo, ale to bardzo zadowoloną minę. Nie widziałem nigdzie Zwierzaka ani Eliaha, ale jakoś się tym nie przejmowałem.

Bo nie przejmowałem się już zupełnie niczym. Nikt mnie nie obserwował. Nie musiałem z nikim walczyć. Nie musiałem podejmować żadnych decyzji.

Tańczyłem, śpiewałem i piłem. Wciągnięto mnie do turnieju na drewniane miecze, gdzie oberwałem po gębie, a potem siłowałem się na rękę z Rycerzem Lipy i też przegrałem. Na chwilę udało mi się zainteresować część dworu opowieścią o sposobach zwalczania zgagi, ale zwróciłem tym na siebie uwagę Róży i znów musiałem się salwować ucieczką. Miałem już spore problemy z koordynacją ruchów i wpadłem na jakąś roznegliżowaną parę, która natychmiast postanowiła mnie wciągnąć do swoich igraszek. Jakimś cudem wymknąłem się i powróciłem do tańcowania, co z każdą chwilą szło mi coraz gorzej, aż...

Cóż, aż się skończyło.

Przebudziło mnie przeraźliwe zimno. Podniosłem się z trudem, szczękając zębami, i odkryłem, że zabawa zakończyła się dla mnie wśród korzeni rozłożystego buku, a jej konsekwencje byłyby znacznie poważniejsze, gdyby jakaś litościwa dusza nie nakryła mnie wystrzępionym kocem.

Miałem wrażenie, że usta wypchano mi popiołem, do żołądka wtłoczono mydliny, a czaszkę przebito w co najmniej kilku miejscach. Wypiłem w życiu swoje, ale nigdy dotąd kac nie okazał się aż tak dotkliwy. Cóż, dwór Leśnego Króla był najwidoczniej zaprawiony w tego typu imprezach, ja w najlepszym razie mogłem uchodzić za ambitnego nowicjusza.

Rozejrzałem się uważnie i z niemałą satysfakcją przekonałem się, że zabawa zmoęła nie tylko mnie. Złocisty blask lampionów i ognisk znikł bez śladu, a władzę nad dworem Leśnego Króla przejął lepki, wilgotny, szary brzask. Wśród namiotów snuły się bezkształtne kłęby mgły, zewsząd dobiegało pijackie pochrapywanie. Po przeciwnej stronie polany kilku najtwardszych rycerzy oraz jedna dama wciąż podawali sobie bukłaczek i ochrypłymi głosami toczyli jakąś dysputę, za nimi ktoś odlewał się w krzakach, ktoś rzeźił pijacką piosenkę.

Baśniowy czar dworu ustąpił miejsca prozie siermiężnego poranka następującego po każdej solidnej libacji.

Ostrożnie wlałem w krzaki, by załatwić najbardziej palące potrzeby, a potem rozpocząłem poszukiwania moich kompanów w namiotach, szałasach i stertach nakrytych kocami, pochrapujących ciał. Żychłonia odnalazłem przy wygasłym ognisku z ogryzionym niemalże do kości pieczystym, Zwierzaka wyciągnąłem za nogi z dekoltu jakiejś damy, a Gramma, noszącego kobiecy czepiec na głowie,

wywlokłem z jednego z namiotów. Potem dostrzegłem Uργο, który przypinał sobie pancerz z niemalże żalnym wyrzutem sumienia na surowym obliczu, oraz Eliaha, beztrąsko czeszącego swego konia. Na twarzy elfa nie widać było ani śladu jakichkolwiek cierpień. Obiecałem sobie, że jeśli usłyszę choć jedną uwagę o słabych głowach ludzi, utłukę drania albo uduszę go jego własną liną.

Żychłóń wypił duszkiem kubek wody, a potem oddał go Zwierzakowi, który po raz pierwszy, odkąd go znałem, wydawał się bardziej żółty niż zielony.

– Trzeba rumianku – wychrypiał. – Rumianku i mięty. Albo piołunu.

– Dobrze wiem, co się pije na kaca – wyrzuciłem w odpowiedzi. – Zaparzę go na postoj, a teraz ruszajmy w drogę.

– Słusznie – odezwał się udręczonym głosem Uργο. – Wynośmy się stąd.

– Ale ja nie chcę – wymamrotał Gramm. – Ja nie chcę stąd wyjeżdżać! Chcę zostać rycerzem Leśnego Króla i co wieczór tańczyć z Konwalią...

Z sąsiedniego namiotu, nad którym wisiał ongiś dumny proporzec, dobiegł potężny pierd, któremu odpowiedział inny, cichszy, za to bardziej melodyjny.

– Kolejna impreza dopiero w piątek – odparłem. – A teraz mamy robotę, chłopaki. Już znam drogę do skrzyni pełnej dusz.

14

Przeświadczenie, że ktoś mi się przygląda, było tego poranka wyjątkowo silne, ale postanowiłem nie zwracać na nie uwagi i w pełni poświęciłem się reanimacji drużyny. Napar z mięty i rumianku, do którego dodałem kapkę miodu, w istocie nieco rozjaśnił wszystkim w głowach i przywrócił ochotę do jedzenia. Nauczony karczemnym doświadczeniem, uwarzyłem dla chłopaków owsiankę z suszonymi owocami, która jeszcze bardziej poprawiła nastroje, a potem przez szare chmury przebiły się długie palce promieni słonecznych. W takich chwilach rozmowa przychodziła z łatwością, nawet jeśli miała dotyczyć spraw cokolwiek trudnych.

– Czy mi się wydawało – Żychłóń wpatrywał się we mnie ze znużeniem, ale i z ciekawością – czy ty powiedziałaś, że znasz drogę do skrzyni pełnej dusz?

– Znam – odparłem i zajrzałem do garnka, w którym przygotowywałem napar. Miałem wrażenie, że druga porcja nikomu by nie zaszkodziła. – Leśny Król wszystko mi o niej opowiedział, gdyście obtańcowywali damy dworu i zalewali pałę.

Przez poorane zmarszczkami oblicze guślarza przemknął ból na wspomnienie wypitego miodu, ale potrząsnął głową i tylko lekko się skrzywił.

– Jak to możliwe, że chojraki księcia Ruperta szukają jej od lat, a tobie udało się ją zlokalizować w jeden dzień?

Wzruszyłem ramionami.

– Być może ludzie Ruperta nigdy nie dotarli na dwór Leśnego Króla. Albo dotarli tam, ale jakoś nie ujeli władcy za serce i ten nie podzielił się z nimi swoją wiedzą. Być może Leśny Król po prostu uwierzył w moje szczerze intencje.

– A może sprzedał ci jakąś wierutną bzdurę – podsunął Żychłóń.

– Nie wykluczam niczego, ale historia, którą usłyszałem, wydaje się mocno prawdopodobna.

– To opowiadaj. – Gramm siorbnął z kubka. – Bo ciekawe się to wszystko robi.

Słońce znów wyjrzało zza chmur i opromieniło blade, nieco wynędzniałe twarze moich przyjaciół. Urgo od rana milczał jak zaklęty i ewidentnie przeżywał jakieś wewnętrzne rozterki. Zwierzak znów zapadł się w siebie, Eliah rozsiadł się przy koniach, kilkanaście kroków od nas, a Gramm i Żychłoń co chwilę udowadniali, jak bardzo kac potrafi spotęgować wrodzoną zgryźliwość.

– Mówi się, że król Rotgier założył bazę wojskową u stóp Gór Modrych – zacząłem. – Podobno na rządzeniu nie znał się tak bardzo jak na wojowaniu, ale to drugie przynajmniej lubił. Zamek zwał się Złamany Róg od skały, na której się wspierał, i ponoć trafiała tam każda grupa poborowych. Sierzanci przepuszczali młode wojsko przez istne sito: zmuszali ich do biegania i podnoszenia ciężarów, uczyli musztry i taktyki, szkolili we władaniu mieczem i tarczą i tak dalej.

– Fajno – ocenił Żychłoń i odstawił kubek. – Tyle że nigdy o takim miejscu nie słyszałem.

– Ani ja – wtrącił nieoczekiwanie Urgo.

– Ani ja – przyznałem dobitnie – a w przeciwieństwie do każdego z was służyłem w regularnej armii. To samo powiedziałem Leśnemu Królowi, który najpierw zwrócił moją uwagę na to, że ludzie króla Rotgiera bardzo skutecznie walczyli pod Chremięgą. Równie walecznie stawili czoła Złemu pod Wyrzyskiem ledwie piętnaście lat później. W znacznej mierze byli to ci sami ludzie, przeszkoleni w Złamanym Rogu, choć zapewne bogatsi o wiele doświadczeń.

– I takie wyjaśnienie cię zadowolilo? – zdziwił się Gramm.

– Nie. Naciskałem dalej i dowiedziałem się, że Złamany Róg to odosobnione miejsce. Zamek wzniesiono w dawnych czasach, jeszcze przed przybyciem Doli, a prowadziła do niego kamienna grobla wytyczona wśród bagien. Rotgier logistyką nie przejmował się tak bardzo jak szkoleniem, mimo licznych apelów kasztelana zamku, aż którejś nocy podczas szczególnie gwałtownej burzy część grobli uległa całkowitemu zniszczeniu i Złamany Róg został odcięty od świata. Rotgier spoczywał już wówczas na łożu śmierci, Rodryk szykował się do przejęcia władzy i nikt się nie przejmował grupą szkolących się tam ludzi. Ci, jeśli wierzyć plotkom, wrócili do stolicy dopiero po kilku tygodniach, nieliczni, zniechęceni i wściekli na cały świat. Mało kto o nich później słyszał, choć gdybym miał ich szukać, zacząłbym wśród zbójców, najemników i piratów.

– Czyli gdzieś stoi dawno zapomniany zamek królów Doli? – spytał Urgo, wyraźnie zaintrygowany historią.

– Nie tylko zamek – odparłem. – Leśny Król nazywał go bazą i twierdził, że król Rotgier lubił spędzać tam czas, a im był starszy, tym chętniej uciekał tam od dworskiej polityki. Przyglądał się szkoleniu wojsk, spotykał z doradcami, planował kolejne kampanie i, jeśli wierzyć Leśnemu Królowi, sporo rozmyślał.

Tam też ponoć ukrył skrzynię z duszami, którą uważał za swój największy, ale też najniebezpieczniejszy skarb. Zdaniem Leśnego Króla to jedyne miejsce w Dolinie, gdzie należałoby jej szukać.

– Trochę nie chce mi się w to wierzyć – oświadczył Gramm. – Chcesz powiedzieć, że wiedza o tym zamku naprawdę zaginęła? Że nie wiedział o nim nawet Rupert, jeden z wnuków Rotgiera?

– Może i wiedział – odparłem. – Ale zapewne nikt z jego wysłanników nie zdołał tam dotrzeć, bo po tym, jak grobla zniknęła wśród bagien, dotarcie do zamku stało się nie lada wyzwaniem. Wiadomo tylko, że droga zaczynała się przy grupie skałek zwanych Pokrusznikiem, a dalej trzeba było sobie radzić samemu, co łatwe nie jest, bo na bagnach rozpleniło się wszelkie paskudztwo i... No, sami wiecie.

– Taaa... – mruknął krasnolud. – Wiemy. Komu miałyby się to udać, jeśli nie nam, co? – zapytał zgryźliwie.

– Mamy Zwierzaka, który na bagnach nigdy nie błądzi – oświadczyłem, na co goblin nagle uniósł głowę, zaskoczony moimi słowami. – Mamy Eliaha, który rozumie las, Urgo, który jest za pan brat z Dołą, Żychłonia, który opanował moc sprzed wieków, oraz ciebie, Gramm, krasnoluda, który zawsze znajdzie energię do marudzenia. Mamy też, o czym jeszcze wam nie mówiłem, słoik z miodem i worek mąki, a więc dziś wieczór upiekę trochę ciastek.

Humory nieco się poprawiły, a Żychłoń, mile polechtany pochwałą, skwapliwie pokiwał łysą łepetyną.

– Pozostaje jeszcze jedna kwestia – odezwał się niespodziewanie Eliah, który wstał, podszedł bliżej i kucnął kilka metrów za plecami Zwierzaka.

– Jaka? – Spojrzałem elfowi w ciemne oczy.

– Skąd masz pewność, Kociołek, że ów Leśny Król nie bredzi?

– Nie mam – przyznałem. – Ale coś mi mówi, że nie kłamie. Ba – uśmiechnąłem się – jeśli jest tym, za kogo go mam, na pewno mówi prawdę.

– A za kogo go masz? – zainteresował się Urgo.

– Pozwólcie, że pogadamy o tym na kolejnym postoju. No, a teraz w drogę!

*

Skęciliśmy ku północy, gdzie wedle mapy, wyrysowanej palcem przez Leśnego Króla, ciągnął się łańcuch Gór Modrych.

Droga biegła teraz po zboczach łagodnych wzgórz, porośniętych borami. Słońce, które zaszczyciło nas swoimi promieniami podczas śniadania, dotrzymywało nam teraz towarzystwa, wydobywając tu i ówdzie zapomniane już przez nas barwy jesieni: rdzawą czerwień i płonące złoto. Jego blask odbijał się

również od jasnych ścian wapiennych skałek, które wyrastały to tu, to tam niczym skamieniałe duchy, i migotał w taflach przekraczanych strumieni.

Najwidoczniej ogrzał również serca moich przyjaciół, bo oprócz Eliaha, który jechał daleko za nami, wszyscy zaczęli gadać. Prym wiódł, rzecz jasna, Gramm:

– A jak już było po wszystkim, patrzy na mnie i pyta: „Zobaczymy się jeszcze kiedyś?”. Zatkąło mnie, przyznam się wam. Wiecie, mnie tam do trwałych związków niespieszno i już zacząłem coś gadać, że my ciągle wędrujemy i walczymy i tak dalej. Piwonia patrzy tedy mi w oczy. „A więc dajesz dyla, Jelonkowy Brodaczu? Dobra, nie ma sprawy, bywa i tak, ale w takiej sytuacji to musimy jeszcze raz!”. Myślałem, chłopaki, że ducha wyzionę!

– Piwonia? – spytał Żychłoń, gdy ucichły śmiechy. – Pewien jesteś? Dałbym się pokrzywać wychłostać, że tak się nazywała ta, co mnie dopadła.

– Chyba Piwonia – odrzekł krasnolud z wahaniem. – A może Petunia jej było? Albo Pigwa?

– Pigwa nie – bąknął Zwierzak, ale na tyle cicho, że nikt nie podjął tematu.

Krasnolud i guślarz kłócili się przez chwilę, aż Gramm machnął ręką i klepnął w plecy jadącego obok Urgo.

– A ty, blaszaku? – spytał. – Który kwiatuszek oplótl te twoje zardzewiałe łapska, co?

– Nie twoja sprawa – odparł hardo Urgo, spoglądając przed siebie z udawaną obojętnością, choć na jego policzkach pojawił się rumieniec.

– Jarzębina! – zawołał jadący z tyłu Eliah, co wywołało kolejne salwy śmiechu. Rzadko się bowiem zdarzało, by elf brał udział w naszych podróży krotochwilach. Zabawa na dworze Leśnego Króla zbliżyła nas wszystkich bardziej, niż sądziłem.

– Jeśli myślicie, że uległem grzesznym pokusom, jesteście w błędzie! – warknął Urgo. – Pani Jarzębina w istocie zaszczyciła mnie swą uwagą! Otworzyła przede mną swe serce i...

– Serce! – Gramm śmiał się tak, że o mało nie zsunął się z jelonka. – Ja pieprzę, słyszeliście to? Serce przed nim otworzyła... Ha, ha, ha, ha!

Zdrowy rozsądek nakazywał podróżować w ciszy – nie znałem tych okolic i nie wiedziałem, kogo ani co nasze hałasy mogłyby wywabić – ale z ulgą przyjąłem powrót dobrego nastroju. Ba, parokrotnie sam otworzyłem usta, by dołączyć do przekomarzań, ale za każdym razem rezygnowałem. Moje dylematy, od których na chwilę uwolniła mnie zabawa na dworze Leśnego Króla, powróciły bowiem z siłą tarana. Wierzyłem Leśnemu Królowi, chyba nawet bardziej, niż przyznawałem to przed resztą, ale plan, który opracowałem na podstawie jego słów, a potem przedstawiłem chłopakom, był mocno ryzykowny. Martwiło mnie to, podobnie jak świadomość, że Złe zapewne zapuściło korzenie w Dolinie

znacznie głębiej, niż nam się wydawało, przez co mogliśmy się spodziewać nieprzyjemnych niespodzianek niemalże na każdym kroku.

A do tego wrażenie, że ktoś się we mnie wpatruje, choć po śniadaniu zniknęło na kilka godzin, znów powróciło.

Pograżyłem się w rozmyślaniach do tego stopnia, że dopiero po dłuższej chwili spostrzegłem, że jedzie obok mnie Żychłoń. Patrzył przed siebie i słuchał Gramma, który teraz nabijał się ze Zwierzaka, ale raz po raz zerkał na mnie.

– Uwierzysz, że zbałamuciła mnie niewiasta, która wcześniej zaciągnęła w zarośla Gramma? – mruknął cicho. – Kiepsko się, widać, sprawił. Tylko nic mu nie mów, bo jeszcze popadnie w kompleksy.

– Albo zacnie nam na każdym kroku udowadniać swoją tężyznę – powiedziałem. – A to byłoby jeszcze gorsze. Ty, Żychłoń! Wiesz, że Leśny Król odgadł twoją profesję?

Guślarz milczał przez chwilę, kręcąc łysą głową.

– Bystry z niego jegomość – przyznał. – Dobrze jest mieć kogoś takiego po swojej stronie. O czym myślisz?

– O wielu rzeczach. Przede wszystkim o tej drugiej stronie.

– To dobrze – powiedział Żychłoń i obrócił twarz ku życzliwym promieniom słońca, jakby chciał w ten sposób przegnać własne złe myśli. – Ani na chwilę o niej nie zapominaj, przyjacielu. Mamy przeciwko sobie wielką przewagę. Szczerze tęsknię za czasami, gdy naszym jedynym wrogiem był Gwidon.

– Tak nam się tylko wydawało.

– Nie wolno nam tego błędu popełnić ponownie – mówił z naciskiem guślarz. – Kuklik przypuszczalnie uciekł do Głodnej Puszczy, a tę Trójoką Grzesznicę z Krzemyka ukatrupił Rupert, ale to przecież dopiero początek. Zastanawiałeś się na przykład, kto wyrysował te wszystkie znaki na sufitach?

– Nie.

– A myślisz może o tym, dlaczego Złe zaatakowało ciebie za pośrednictwem Szyszłaka pod Gryfem?

– Nie – odparłem hardo, choć po plecach przebiegł mi lodowaty dreszcz.

– To nie myśl. – Żychłoń zacisnął mocno usta. – Od tego masz mnie. Ale gwarantuję ci, że gdy wrócimy do Gryfa, dokładnie przetrzасnę okolicę.

– Przestań o tym mówić! – uniosłem się. – Bo mam ochotę zawrócić jeszcze w tej chwili.

– Zwierzak też, o dziwo, o niczym innym nie gada. Słuchaj, Eliah wspominał, że podobno wydaje ci się, że coś się na ciebie gapi...

– Ciszej – mruknąłem i rozejrzałem się odruchowo. – Ciszej, bo...

Wtedy rozległo się przenikliwe gwizdnięcie Eliaha.

Błyskawicznie zawróciłem konia. Żychłóń zrobił to samo i ujrzeliśmy elfa, który gnał ku nam i wskazywał coś za swoimi plecami. Zdało mi się, że słyszę narastające dudnienie, jakby zmierzał ku nam rozpedzony oddział kawalerii.

– Co się dzieje?! – krzyknąłem.

W odpowiedzi Eliah wyciągnął łuk z sajdaka i sprawnie nałożył strzałę na cięgiwę. Celował w kierunku, z którego nadjechaliśmy.

– Urgo! Gramm! Zwierzak! – huknąłem. – Coś się święci!

Po obu stronach traktu wznosiły się jasne wapienne skałki, tworzące naturalne wrota. Z zaskoczeniem i narastającą grozą patrzyłem, jak wypada spoza nich chmara faunów.

– Baaaba! – zaryczał pierwszy z nich, a kolejne bełkotliwie podjęły okrzyk bojowy.

Pędziły ku nam z ogromną prędkością – niektóre gnały jak szalone jelenie, inne sadziły naprzód wielkimi susami, a najdziksze wyskakiwały nad głowy innych i odbijały się od skałek. Ich ostre kopyta odłupywały fragmenty wapieni.

Było ich czterdzieści, może więcej. W tej sytuacji pozostawało nam właściwie tylko jedno.

Nigdy tego nie ćwiczyliśmy, przysięgam, i gdy później myślałem o tym starciu, zrozumiałem, że do głosu najprawdopodobniej doszło szczególne, trudne do sprecyzowania poczucie wspólnoty, które zrodzić może jedynie wieloletnia, burzliwa, ale niezniszczalna przyjaźń. Nie było czasu na wydanie rozkazów czy przemyślenie strategii. Trzeba było po prostu działać, a każdy z nas nagle wiedział, co robić.

Strzała Eliaha wbiła się prosto w gardziel fauna, który przewodził atakowi, inna, wypuszczona przez Zwierzaka, powaliła kolejnego. Żychłóń zacisnął powieki, a gdy je uniósł, kolejny faun ześlizgnął się ze skały, od której właśnie chciał się odbić, i z przeraźliwym beczeniem runął na towarzyszy. Między skałkami powstało zamieszanie, które pogłębił następny celny strzał Zwierzaka. Elf wsunął już swój łuk do sajdaka, a w jego lewej dłoni wirował bolas.

Uderzenie serca później rzuciliśmy się do spontanicznej szarży.

Nawet nie wiem, kto skoczył jako pierwszy. Niewykluczone, że był to Eliah, który dostrzegł niebezpieczeństwo jako pierwszy i miał najwięcej czasu na reakcję. Bolas, którego kilkoma ruchami nadgarstka rozpedził do dzikiego warkotu, smyrznął tuż nad ziemią, oplótł kilka kosmatych odnóży i wyszarpnął sporą wyrwę w masie atakujących.

My zaś wykorzystaliśmy to bez wahania.

Któryś z faunów, koszmarnie wprost cuchnący, skoczył w moją stronę, oplótł mnie ramionami w pasie i spróbował ściągnąć z siodła, ale się zachwiał, gdy rąbnąłem go głowicą miecza w czaszkę. Ciąłem go po barku, a potem chlasnąłem

innego, który uwiesił się na ogłowie. Kolejny uchwycił się mojej tarczy, ale osunął się na ziemię, cięty ostrzem Urgo. Odwróciłem się, by dźgnąć jeszcze innego, ale nie umknęło mojej uwadze to, że rycerza opromieniła delikatna aura.

A więc Złe.

To, paradoksalnie, dodało mi energii. Ryknąłem dziko i popędziłem konia, a ten, odurzony smrodem i zaciekłością starcia, zarżał przeraźliwie i skoczył naprzód, tratując fauna, który pędził na Urgo. Przez huk krwi w skroniach i wrzaski ranionych napastników przebijały się wściekłe klątwy Gramma. Ogarnęła mnie zgroza, gdy zobaczyłem kuca Zwierzaka, umykającego z pola walki bez jeźdźca, zaraz jednak ujrzałem, jak goblin, wczepiony w plecy fauna, dźga go raz za razem sztyletem.

– Bab wam się zachciewa?! – huknął gdzieś przy mnie Żychłoń, wznosząc maczugę do ciosu. – To trzeba grzecznie poprosić!

– Uciekają, na Dole! – zagrział Urgo.

Faun, który szykował się do skoku na mnie, nagle się rozejrzał, dostrzegł umykających towarzyszy, po czym odwrócił się i czmychnął w ślad za nimi. Chwilę później ocalałe fauny, becząc z bólu i ze strachu, umykały ile sił, aż znikły wśród drzew i skałek.

Udało się! Znowu.

Fauny były groźnymi przeciwnikami i z pewnością zdołałyby osaczyć i nawet pokonać niewielki oddział wojska. Nie były jednakże przygotowane na zaciekły kontratak, jaki im zaserwowaliśmy, bo lęk przed śmiercią okazał się silniejszy od rozkazów, którymi spętało je Złe. Rzuciły się do ucieczki, pozostawiając za sobą kilkanaście zabitych i konających pobratymców.

– Wszyscy cali? – wychrypiałem, bo w gardle całkiem mi zaschło.

– Wszyscy! – zagrział Urgo. – Ścigamy ich?

– Nie – rzuciłem, zawracając już konia. – To może być zasadzka.

– Coś ty, Kociołek! – Zbryzgany krwią Gramm omiatał las wściekłym wzrokiem. – Rozbiliśmy tych skurwieli! Wróć!

– A co zrobisz, jak oprzytomnieją w środku lasu? – warknąłem. – Albo, co gorsza, doczekają się posiłków? – Pokręciłem głową. – Wynosimy się stąd. I to jak najszybciej!

Spojrzałem na słońce, tak niedawno ciepłe i kojące. Teraz wydawało się wisieć niebezpiecznie nisko nad czubkami drzew, a coś mi mówiło, że po nadejściu ciemności fauny mogą przypuścić drugie uderzenie. A jeśli nie one, to ktoś inny, równie niebezpieczny.

Poczucie, że jestem obserwowany, stawało się coraz wyraźniejsze.

Pędziliśmy coraz węższymi i słabiej przejezdnymi traktami. Istotniejsze ścieżki, najwyraźniej częściej uczęszczane, skręcały na wschód bądź na zachód – najwyraźniej bagien rozciągających się u stóp Gór Modrych w istocie od dawna nikt nie odwiedzał. Na czoło wysunął się teraz Zwierzak, który utrzymywał, że wyczuwa już zapach mokradeł, ale w żaden sposób nie potrafił nam powiedzieć, ile drogi jeszcze zostało. Leśny Król nie rozwodził się na temat odległości, ale coś mi mówiło, że przed zapadnięciem zmroku i tak nie zdołamy dotrzeć do skraju bagien, a tym bardziej do Złamanego Rogu.

Pozostawało więc mieć nadzieję, że uda nam się znaleźć bezpieczne schronienie. Leśny Król wspominał coś o wieży, w której nocowali podróżni przed wędrownką po bagnach, ale nie raczył napomknąć, gdzie należy jej szukać. Poczucie, że ktoś mnie obserwuje, nie słabło ani na chwilę, co gorsza, wiatr raz po raz przynosił z oddali słabe echo paskudnych wrzasków. Niewykluczone, że to fauny darły się na siebie nawzajem, wściekłe z powodu zebranego łomotu, ale wolałem założyć, że skrzykują się do obławy.

My zaś poruszaliśmy się coraz wolniej. Z początku opóźniał nas jelonek Gramma, który nie przepadał za rozwijaniem większych prędkości, zwłaszcza z krasnoludem na grzbiecie, ale pozostałe wierzchowce również słabły. Z bólem serca zauważyłem, że oberwały w starciu z faunami bardziej od nas: rumak Urgo miał na piersi skaleczenie od ciosu rogiem, mój został boleśnie ugryziony w zad, a koń Eliaha utykał, najwyraźniej kopnięty tuż nad pęciną.

A słońce nieubłaganie zachodziło.

Wzgórza dawno zostawiliśmy za sobą; trakt, będący już zaledwie wąziutką ścieżyną, wił się teraz między czarnymi jeziorami. Te zaś co kilkaset kroków ustępowały miejsca zbitym, kolczastym chaszczom, nad którymi górowały sędziwe drzewa, bezlistne i upiorne. W chłodnym powietrzu rozchodził się stęchły zapach bagnisk.

Z oddali nadal dobiegały dzikie porykiwania faunów. Nie miałem pojęcia, czy nadal się skrzykują, czy ruszyły już w pościg, ale obie perspektywy wydawały się równie nieprzyjemne, tym bardziej że ze ścieżki, którą podążaliśmy, trudno było zboczyć.

Koń Eliaha wciąż zauważalnie utykał. Jelonek Gramma, wyczerpany, również zwolnił i zarzucił teraz łebkiem, jakby po raz pierwszy w życiu zebrało mu się na protesty. Czerwień zachodzącego słońca migotała między konarami, z obojętnością przypominając każdemu z nas, jak zdradliwie krótkie są jesienne dni. Wrażenie, że ktoś mnie obserwuje, osłabło, ale nie wiedziałem, czy to przypadkiem również nie jest zły znak.

Przeklinałem w myślach, spoglądałem na słońce i ze wszystkich sił powstrzymywałem odruch zerknięcia za siebie.

– Daleko jeszcze? – spytał Żychłóń, który najwyraźniej myślał o tym samym.
– Jeszcze kawałek! – zawołałem, bo brzmiało to o wiele lepiej od: „Nie mam pojęcia”. Ale guślarza nie dało się zbyć ogólnikami.

– Kawałek do czego?! – odkrzyknął. – Bo nam trzeba jakiegoś schronienia!

– Wiem! – rzuciłem przez zaciśnięte zęby.

– Kosmate capy chyba nam nie odpuszczą tej Jarzębiny! – wołał guślarz. – Masz jakiś pomysł, gdzie moglibyśmy się schować na noc?

Przerazała mnie perspektywa nocy spędzonej pod gołym niebem, na nieznanym bagnach, wśród sfory rozwrzeszczanych, śmiertelnie niebezpiecznych faunów. Nagle pożałowałem pomysłu tej wyprawy. Bardzo, bardzo pożałowałem.

– Jesteśmy już blisko skraju bagien! – odkrzyknąłem, starając się, by mój głos brzmiał pewnie i zdecydowanie. – Tam jest taka wieża, która... No, na pewno ją znajdziemy!

– A w którym miejscu dokładnie? – Chciał wiedzieć guślarz. W jego głosie pobrzmiwało rozdrażnienie. – I czy aby na pewno? A może chcesz, byśmy nocowali wśród tych kamerdoców, które nazwałeś Pokrusznikiem? Albo na zalanej grobli, która prowadzi donikąd?

– Na Dole, Żychłóń, nie wymyślę ci karczmy z rusztem! – krzyknąłem z frustracją. – A więc zamknij gębę i...

– Uwaga! – zawołał nagle Gramm.

Gwałtownie ściągnął wodze jelonka, obracając go w stronę porośniętego zmarniałym sitowiem brzegu jeziora. Zwierzę zatoczyło się, fukając gniewnie, ale utrzymało równowagę, a krasnolud zdołał wyszarpnąć topór. Na jego obliczu, zazwyczaj rumianym, a teraz nagle pobladłym, malowała się zgroza.

– Dopadły nas, takie syny! – warknął.

Mój koń uskoczył odruchowo, by nie wpaść na jelonka, ale również ściągnąłem wodze, by go zatrzymać. Dłoń zacisnąłem na rękojeści miecza.

– A to co? – syknąłem.

Nad czarną tonią przesuwał się ku nam białawy kształt, który przypominał kłęb mgły, ale wydawał się od niego gęstszy, wręcz namacalny. Poruszał się powoli i najwyraźniej unosił się nad wodą, mimo to marszczył nieco jej powierzchnię, jakby muskał ją nieznacznie. Jednocześnie z jego ciała wyłoniły się dwie wypustki przypominające kończyny, co przez chwilę wyglądało tak, jakby stworzenie szykowało się, by nas objąć.

– Zwierzak! Elich! – rzucił drżącym głosem krasnolud. – Strzałą w niego! Strzałą, póki jest daleko! Tam jest jeszcze jeden! I jeszcze!

Rzeczywiście, z oddali napłynęły dwa kolejne kształty, niemalże białe na tle czarnego jeziora. Nie miałem pojęcia, z czym mamy do czynienia, ale coś mi

mówiło, że przerażenie krasnoluda jest nieco przesadzone. Białe kształty nie wydawały się groźne, a do tego poruszały się powoli, w przeciwieństwie do faunów, które mogły już nadrabiać straconą odległość. Już miałem dać znak, byśmy ruszali w dalszą drogę, gdy rozległ się śmiech Zwierzaka.

– Chechłaki! – rechotał goblin i machał wesoło. – To Chechłaki!

– Co? – Spojrzałem na niego z zaskoczeniem. Przy okazji dostrzegłem, że Żychłoń, który zatrzymał się za nami, uśmiechnął się lekko pod nosem.

– Chechłaki! – powtórzył goblin. – Albo Bagienniki! Pełno ich na Skri’i! Dzieci je łapią, żeby się nimi bawić. Można je fajnie ugniatać! I podrzucać! A byście tylko widzieli, jak się mienia od światła!

– Czyli to nic groźnego? – Gramm wydawał się jednocześnie zawstydzony i rozczarowany.

– Nic. – Zwierzak sprawiał wrażenie, jakby miał ochotę wskoczyć do wody i objąć Chechłaka, który zresztą już do końca wysunął długie, niemalże ludzkie ramiona. – To najlepsze, co może cię spotkać na bagnach – dodał z tęsknotą w głosie.

– Jak się uspokoi – obróciłem konia – wrócisz tu i nałapiesz ich sobie, a potem wypuścisz u nas. Na Dole, sam się z tobą zabiorę. A teraz w drogę! Szkoda dnia!

I znów pędziliśmy, ścigając zachodzące słońce. Wrzaski faunów wydawały się coraz głośniejsze.

*

Wieżę, która wyrosła przed nami, naprawdę sobie wymodliłem.

Nie uważałem się nigdy za człowieka szczególnie religijnego, ale godzina, która upłynęła od spotkania z Chechłakami, była dla mnie najbardziej wyczerpującym czasem w życiu. Wąska ścieżynka miejscami zupełnie zniknęła w gąszczu i parokrotnie musieliśmy zeskakiwać z koni, by przeprowadzić je przez szczególnie grząski fragment. Przez cały czas widziałem oczyma wyobraźni, jak fauny bez wysiłku przesadzają go susami i opadają nas ze wszystkich stron. Gdy z kolei na powrót dosiadaliśmy koni, powracały dawne lęki.

Przecież nadal nie wiedzieliśmy, dokąd właściwie zmierzamy. Słońce skryło się już za drzewami, intensywny zapach bagien zniechęcał do zboczenia ze szlaku, a wrzaski faunów przybliżały się nieubłagane. Koń Eliaha i jelonek Gramma kulały, mój wierzchowiec również zauważalnie zwolnił, podobnie jak kuc Zwierzaka, zupełnie nienawykły do wysiłku.

Modliłem się więc, a co. Nieświadomie i ze strachu, ale z każdą chwilą coraz żarliwiej.

I wtedy naszym oczom ukazała się wieża, o której wspominał Leśny Król.

Dolina nie była szczególnie rozległą krainą, ale przetoczyło się przez nią wiele wojen. Nieraz się zdarzało, że ludzie musieli się wynosić z niektórych jej zakątków, a pewnie były jeszcze i takie, do których nigdy nie dotarli. Masywna, przysadzista, wręcz prymitywna wieża stanowiła więc idealne świadectwo burzliwych dziejów naszej ojczyzny. Dla Leśnego Króla była częścią legendy, dla nas zaś okazała się wybawieniem.

Przypadliśmy do niej na krótko przed zachodem słońca. Urgo i Żychłoń, którzy dotarli do wrót jako pierwsi, rozchylili je szeroko. Guślarz zapędził tam oba ich wierzchowce, a Urgo złapał wycieńczonego kuca Zwierzaka. Sam goblin zeskoczył na ziemię i przykucnął, po czym wymierzył z łuku w ciemność. Po chwili znieruchomiał przy nim Eliah, również gotów do strzału. Dzięki temu ja i Gramm także zdołaliśmy dotrzeć pod wrota.

– Musimy... – rzuciłem, ale przerwał mi okrzyk Urgo.

– Idą!

Bzyknęła strzała elfa, zaraz potem Zwierzak zwolnił swoją. Z ciemności dobiegły bełkotliwe ryki bólu, ale ziemia drżała już pod kopytami nadciągających faunów.

– Do środka! – rzuciłem.

Nasi łucznicy wślizgnęli się do wieży w chwili, gdy wraz z Urgo i Grammem zamykaliśmy już wrota. Oba skrzydła, wykonane z grubego drewna i okute przerdzewiałym żelazem, zwały się z łoskotem, przez co we wnętrzu, wypełnionym stłoczonymi, przerażonymi wierzchowcami, zrobiło się zupełnie ciemno.

– Z drogi! – syknął z wysiłkiem Gramm, który zbliżał się do nas, dźwigając wielką kłodę. Urgo złapał drewno z drugiej strony i obaj wsunęli je w żelazne uchwyty. W samą porę, bo dosłownie dwa oddechy później wrota zadygotały wściekle, gdy któryś z faunów uderzył w nie z impetem. Potem rąbnął w nie inny, a po nim kolejny.

Zarówno na zewnątrz, jak i w środku wieży wybuchło istne pandemonium. Potworne ryki faunów wzbudzały bowiem paniczny lęk naszych wyczerpanych ucieczką, głodnych i poranionych koni. Jeden z nich tupał z przerażeniem, inny stanął dęba i o mało nie stratował Urgo, a kuc Zwierzaka cofał się i napierał na ścianę, bliski wpadnięcia w panikę.

– Żychłoń! – rozdarłem się. – Uspokój konie! Eliah, Zwierzak, do okien!

Okienka na parterze wieży, wąskie i wysokie, świetnie nadawały się do ostrzału skłębionego tłumu napastników. Elf przypadł do tego po prawej od wejścia i zaczął szyć strzałami, a Zwierzak stanął przy tym po lewej. Fauny tłoczyły się jak szalone i napierały na wrota, jakby wierzyły, że mogą przebić się

przez nie samym swoim ciężarem. Nie myliły się do końca – jedna z drewnianych desek, wystawiona od wielu lat na bagienną wilgoć, ustąpiła z trzaskiem i któryś z faunów zdołał wepchnąć do wnętrza rogaty łeb. Urgo wziął zamach zza głowy i rozrąbał mu czaszkę, a ja, nie bacząc na strugi krwi, doskoczyłem i pchnąłem mieczem tego, który się pchał jako następny.

– Gramm! – krzyknąłem przez ramię. – Rozpal ogień! Zagrzej wodę z bukłaków!

Krasnolud, który przy swoim wzroście nie mógł nam zbyt pomóc, złapał garnek po bigosie oraz największy z bukłaków, po czym pognął po drabinie na górę. Zaciśnąłem zęby z wściekłością – wiedziałem, że zagotowanie wody zabierze sporo czasu, tymczasem napór faunów wcale nie słabł. Któryś doskoczył do okna, z którego strzelał Elich, i odpadł, becząc przeraźliwie, dźgnięty przez elfa sztyłem w oko, inny wyszarpnął kamień z muru przy oknie strzeżonym przez Zwierzaka, ale odskoczył z wrzaskiem, gdy goblin splunął mu w ślepię – mimo to główne natarcie szło na wrota. Fauny uderzały w nie barkami, wprawiając oba skrzydła w drzenie. Żelazne zawiasy jeszcze jakoś trzymały, ale zardzewiałe obejmują, w których spoczywała kłoda, zaczynały się już wyginać. Sama kłoda również podskakiwała podczas tego szturm, a raz o mało nie wyskoczyła. Chwilę później któryś faun, ewidentnie bystrzejszy od reszty, wpakował do środka obie łapy i usiłował zdjąć kłodę, ale Urgo na szczęście w porę chlasnął go mieczem.

– Nie wytrzymamy tak przez całą noc! – zawołał, spoglądając na mnie rozognionym wzrokiem.

Przypadłem do juków Żychłoniowego konia.

Zerknąłem na guślarza, który stał wśród wierzchowców, na przemian dotykając ich czół i chrapów. Zwierzęta z wolna uspokajały się i obojętniały na szalejącą dookoła wrzawę. Westchnąłem w duchu z ulgą i wysypałem na polepę deski z runicznymi rytami. Nie rozróżniałem ich, a guślarzowi przerywać nie chciałem – wybrałem więc pierwszą z brzegu.

– Majster! – zawołałem. – Chodź no tu!

– Nie mogę! – odkrzyknął krasnolud. – Robotę mam!

– Jaką znowu robotę?!

– Patrz!

W wyszarpnętej przez fauny szczelinie ujrzałem kolejnego, który postanowił poszerzyć otwór wściekłą szarżą. Pochylił w biegu łeb, lecz w tej chwili trafił w niego ciśnięty z góry kamień.

– Ha! – zawołał Gramm. – Wykłady w królewskiej akademii wojskowej zawałiłem, ale ćwiczenia poszły wybornie! A masz, ty cuchnący piżmem koźle!

Kolejny pocisk okazał się mniej celny, ale fauny, becząc z przerażenia, odskoczyły na boki. Wykorzystałem więc okazję, by pognać po drabinie do komnaty na górze, kiedyś zapewne służącej jako sypialnia i jadalnia dla podróżnych, a tam ujrzałem Gramma, który wydłubywał ostrzem topora kamienie ze ściany i ciskał nimi przez okno. W niewielkim kominku palił się ogień, a z wiszącego nad nim garnka buchały kłęby pary.

– Na dół! – huknąłem. – Łap za młotek i zabij dziurę we wrotach deskami Żychłonia! Runami na zewnątrz!

– Że co? – Krasnolud się otrząsnął. – Taaa, robi się!

Popędził na parter, a ja wyjrzałem przez okno. W rzedniejącym świetle ujrzałem kilkanaście faunich ciał leżących wokół wejścia, nieruchomych bądź wciąż drgających w agonii, a z ciemności dobiegało beczenie ich towarzyszy. Uniosłem wzrok.

Wędrując po bagnistych lasach, nie miałem świadomości, że Góry Modre są już tak blisko. Nie imponowały wcale rozmiarami – w porównaniu z monumentalnymi Górami Gwiżdżącymi zdawały się zaledwie łańcuchem ostrych skał – ale zachwycały swym dzikim pięknem. Kładące się między nimi cienie zdawały się mieć ciemnoniebieski odcień, skąd zapewne wzięła się ich nazwa. W samym środku zaś, hen za zamglonymi połączeniami bagien, wznosił się zameczek z pojedynczą wieżą.

Złamany Róg.

Stukot młotka dodał faenom odwagi – najwidoczniej uznały, że desperacko próbujemy zasłonić wyszarpniętą z takim trudem lukę. Rzuciły się zewsząd do ataku, becząc i skamłąc, ale na kilka kroków przed wrotami każdy jeden zwalniał, a potem osuwał się na kosmate kolana, zupełnie jakby widok runicznej inskrypcji Żychłonia odbierał mu siły vitalne.

O lepszej sytuacji nie mieliśmy co marzyć. Złapałem garnek przez szal, zdjąłem go z haka, podbiegłem do okna i chlusnąłem na ogarnięte marazmem fauny. Wrzaski pełne bólu i tętent kopyt stanowiły jasny sygnał, że rzuciły się do ucieczki.

Pierwsze starcie wygraliśmy.

*

Zapadł zmrok, ponury i złowieszczy.

Na razie sytuacja była pod kontrolą. Udało nam się zabezpieczyć wyrwę magiczną deską Żychłonia, a potem podparliśmy, czym tylko się dało. Guślarz uśmierzył niepokój naszych rumaków, a potem opatrzył ich skaleczenia.

Napoiiliśmy je, nakarmiliśmy, wyznacziliśmy warty i rozsiedliśmy się na piętrze, by się naradzić.

– No to się porobiło – mruknąłem, stojąc przy oknie.

Ciszę nocy nadal przerywały to wściekłe wrzaski i beczenia, to rozdzierające jęki. Nie było wątpliwości, że nasi prześladowcy wciąż kręcą się wokół wieży – najwyraźniej nie mogli zdecydować, czy chcą zaatakować ponownie. Wydawało mi się, że widzę, jak przemykają wśród drzew i wygrażają nam kosmatymi pięściami. Za nimi, na pobliskich bagnach, snuły się zaintrygowane Chechłaki.

Odwróciłem się od okna. Na ściany padał migotliwy, złocisty blask ognia w kominku, ale twarze moich towarzyszy niknęły w półmroku. Uργο, poważny jak zwykle, czyścił klingę miecza, Zwierzak oglądał uważnie groty kilkunastu pozostałych mu strzał, a Gramm siedział w kącie, obejmując ramionami kolana, i poruszał wąsiskami, jakby toczył jakieś wewnętrzne dysputy.

– Oberwali, i to zdrowo – oświadczyłem, siadając na łóżku. – Ale chyba nie na tyle, by dać za wygraną.

– Możemy się tu jakiś czas bronić – oświadczył Uργο.

Pokiwałem głową, bo rycerz częściowo miał rację. Wieżę zapewne wzniósł król Rotgier lub któryś z jego poprzedników, by stanowiła schronienie dla wędrujących w stronę Złamanego Rogu. Parter przeznaczony był na stajnię, a piętro przygotowano dla ludzi – wciąż stały tu łóżka oraz stół z krzesłami, choć koce i sienniki dawno rozpadły się ze starości. Wrota były mocne, ściany grube, a okienka wąskie, do tego można było się wspiąć na najwyższy poziom i stamtąd prowadzić ostrzał zza blank.

Problemem były woda – większością chlusnęliśmy na łby faunów, a resztą napoiiliśmy zdrożone wierzchowce – oraz czas.

– Możemy i nie możemy – odparłem ponuro. – To, że Złemu również zależy na trollich duszach, jest oczywistością, ale teraz jestem praktycznie pewien, że Złe nas śledzi. I że zna nasze zamiary.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – Gramm uniósł głowę.

Jakby w odpowiedzi na moje wątpliwości znów rozbrzmiały ryki i beczenia faunów.

– Od chwili rozstania z księciem Rupertem towarzyszy mi przeświadczenie, że ktoś mnie obserwuje – powiedziałem. – Zniknęło jedynie na dworze Leśnego Króla, a potem dopadło mnie na powrót i już nie opuściło, choć przez większość dnia jechaliśmy znacznym tempem.

Potarłem skronie.

– Czyli Złe podąża naszym tropem? – Uργο zmarszczył krzaczaste brwi.

– Albo nas wyprzedziło – przyznałem. – My utknęliśmy w tej przeklętej wieży, a agenci Złego są już w drodze do skrzyni pełnej dusz.

– Niekoniecznie. – Zwierzak zdecydowanym gestem wepchnął strzały do kołczanu, a potem spojrzał na mnie, mrugając. – Przecież Żychłoń nas chroni. Te deski. No wiecie!

Goblin miał rację – pierwszą i zarazem najważniejszą kombinacją magicznych znaków w kolekcji guślarza była ta, dzięki której stawaliśmy się dla Złego w zasadzie niewidzialni. Żychłoń nigdzie się nie ruszał bez deski, na której ją wyrył, zresztą rył te symbole dosłownie wszędzie, gdzie mógł. Widziałem je na stylisku topora Gramma, na tarczy Urgo, na kilku siodłach i na kołczanie Zwierzaka. System ochronny wydawał się więc szczelny, ale miał jedną zasadniczą wadę.

– Magia Żychłonia działa na istoty Złego, ale nie na tych, którzy znaleźli się pod jego władzą – wyjaśniłem. – Owe fauny, które bez wątpienia zostały opętane przez Złe, znalazły nas bez trudu. Myślę, że na podobnej zasadzie Złe wykorzystuje owego szpiega.

– Może to ptak? – odezwał się Gramm. – Albo zając jakiś? Taki zły zając? Kiedyś przyśniło mi się coś takiego, wiecie?

– Nie wiem i nic nam z gdybania nie przyjdzie – powiedziałem. – Złe śledziło nas i zapewne też podsłuchiwało, nie po raz pierwszy zresztą. Zadaniem faunów było osaczenie nas i wymordowanie. Nie wyszło, ale utknęliśmy w tej przeklętej wieży, więc Złe zasadniczo dopięło swego. Mamy, chłopaki, przerabane.

Po minach Gramma, Zwierzaka i Urgo poznałem, że nie spodziewali się usłyszeć ode mnie tak ponurych słów. Byłem wszak ich przywódcą i przyjacielem. Miałem ich prowadzić, troszczyć się o nich i wspierać ich na duchu, ja tymczasem uprawiałem skrajny defetyzm. Po raz pierwszy, odkąd trzymaliśmy się razem, otwarcie przyznałem się do klęski.

– Nie mam pojęcia, co robić – dodałem. – Nawet nie chce mi się piec tych miodowych ciasteczek.

Wstałem, by nie musieć patrzeć im w oczy, i zacząłem się wspinać po drabinie na górę.

– Możemy się przebić! – zawołał Urgo, podrywając się z miejsca. – Już raz w nich uderzyliśmy! Rozbiliśmy ich! Zmusiliśmy do ucieczki!

– Chcesz szarżować w nocy? – spytałem, zatrzymawszy się w połowie wysokości. – W szóstkę? Na poranionych, zmęczonych wierzchowcach? – I nie czekając na odpowiedź, wspiąłem się na samą górę.

Zimne powietrze nocy, wbrew nadziejom, wcale nie uleczyło mojej zatrutej goryczą duszy. Stałem wsparty o blankę i wdychałem je łapczywie, aż zakreśliło mi się w głowie. Zamrugałem parokrotnie, by pozbyć się zdradzieckiej wilgoci, a potem obróciłem głowę ku Góróm Modrym.

Oczywiście już ich nie widziałem, bo znikły pogrążone w ciemności. Wyteżyłem jednak wzrok i wnet zacząłem wychwytywać Chechłaki, w ciemnościach niemalże człękoksztaltne, snujące się nad bagnami. Po chwili odniosłem również wrażenie, że daleko nad nimi, pewnie gdzieś na drugim krańcu bagien, dostrzegam drobniutkie, ledwie zauważalne ogniki. Gdybym miał się założyć, powiedziałbym, że to blask ognia bijący z okien Złamanego Rogu.

A więc należało się pogodzić, że Złe już dotarło na miejsce.

Uśmiechnąłem się gorzko.

Delikatnie pacnięcie w ramię sprawiło, że omal nie podskoczyłem, a serce na chwilę przestało mi bić. Odwróciłem i ujrzałem blade, nieprzyjemnie urodziwe oblicze Eliaha, który niespodziewanie wyłonił się z mroku. Całkiem zapomniałem, że elf wdrapał się na najwyższe piętro wieży przede mną, a on oczywiście skrył się w ciemności i nie omieszkał skorzystać z sytuacji, by mnie wystraszyć.

Już nabierałem tchu, by go zrugać, gdy elf położył sobie palec na ustach i wskazał coś na dole. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem, ale posłusznie wychyliłem głowę za blanki.

W pierwszej chwili nie dostrzegłem niczego. Ciemnoszara, chropowata ściana opromieniona blaskiem z izby pod nami na pierwszy rzut oka wyglądała całkiem zwyczajnie i przyszło mi do głowy, że być może elf wskazuje ciała faunów zalegające wokół wrót. Dopiero po chwili zauważyłem osobliwą wypukłość przy oknie naszej izby, zupełnie jakby któryś z kamieni nie został zlicowany ze ścianą i wystawał na dobrych kilkanaście centymetrów. Im dłużej nań spoglądałem, tym bardziej mi się wydawało, że to jednak nie kamień, lecz coś, co przywarło do ściany.

Ale co? Gniazdo jaskółcze? Kępa bujnego mchu?

Spojrzałem pytająco na Eliaha, który wzruszył ramionami i wskazał mi swój łuk. Zatrzymałem go, unosząc dłoń, a potem zerknąłem na nasze znalezisko raz jeszcze.

I wtedy drgnęło. Przez chwilę krótką jak myśl widziałem, jak rozciąga ciało, przywodzące na myśl jaszczurcze, a potem składa wzdłuż niego delikatne, błoniaste skrzydła.

Wtedy wszystko mi się ułożyło w głowie. Ścisnąłem ramię zaskoczonego elfa i gestem pokazałem mu, by przypadkiem nie ruszał owej istoty, a sam zszedłem po drabinie na dół.

Przyjaciele powitali mnie pustymi spojrzeniami.

– Co się tak gapicie? – warknąłem. – Nie mam wam nic więcej do powiedzenia. Prześpimy się tutaj, a rano wracamy do Gryfa. Nie rób, Zwierzak, tak udręczonej miny, bo wiem, że o niczym innym nie marzysz.

– Kociołek. – Urgo podniósł się z miejsca. – Nie wiem, co cię opętało, chłopie, ale gadasz jak nie ty!

– Jasne, kurwa, Żychłonia zawołajcie i egzorcyzmy nade mną odprawcie! – rzuciłem z wściekłą miną. – Dość już mam tego! Dość już mam tej pieprzonej tułaczki i bijatyk z paskudztwami w głębi puszczy! Dość już mam, że odwalam robotę za cholernych ksiąząt! Ja, cholera jasna, jestem karczmarzem!

Oparłem dłonie o wąski parapet i znów wciągnąłem w płuca wilgotne powietrze jesiennej nocy.

– Jestem karczmarzem – powtórzyłem cicho, z udręką, jakby do siebie. – Karczmarzem. Mus jabłkowy miałem robić. Grzyby suszyć. Powidła smażyć. Wracam do żony. Do dzieci. Dość już tego.

Odepchnąłem się od parapetu i usiadłem pod nim, oparłem potylicę o jego krawędź. Udawałem, że nie widzę spojrzeń mych poruszonych przyjaciół, do których dołączyli teraz Eliah i Żychłoń. Elf, zaskoczony okrzykami, wsunął głowę przez dziurę w dachu, a guślarz wyjrzał ze stajni.

– Idę spać – powiedziałem, nie patrząc na nikogo. – A rano spróbujemy się przebić. Wracamy do domu. Niech ktoś inny martwi się Złym.

W absolutnej ciszy, jaka zapadła po moich słowach, usłyszałem dochodzące zewnątrz cichutkie chrobotanie, jakby drobne pazurki przesunęły się po szorstkiej skale, a potem rozległ się cichy trzepot skrzydełek. Odczekałem chwilę i wyjrzałem przez okno. Wydawało mi się, że dostrzegam niewielki, wiotki kształt znikający w mroku, podobny nieco do nietoperza, ale nie tak śmigły. Odepchnąłem się od ściany, przypadłem do drabiny i pospiesznie wspiąłem się na górę, ściągając na siebie osłupiałe spojrzenia przyjaciół.

– Chyba, chłopaki, naszemu Kociołkowi naprawdę odwaliło – mruknął Gramm.

Najostrożniej, jak umiałem, podpełzłem do blanek i wyjrzałem na zewnątrz. Kształtu, który zauważyłem tam przed zejściem, już nie było. Nie widziałem go też nigdzie indziej. Spojrzałem na Eliaha, który przyglądał mi się wzrokiem przeznaczonym dla upośledzonych na umyśle, i wskazałem palcem zewnętrzną część muru.

– Chodzi ci o to, czy nie ma tam kolejnego szeptańca? – spytał głośno elf.

Złapałem się za głowę i z rozpaczliwą miną nakazałem mu milczenie.

– Szeptańce są stworzeniami terytorialnymi – pouczył mnie cierpliwie Eliah. – Nie licząc pory godów, toczą ze sobą zaciekle walki o przestrzeń, w której mogą podsłuchiwać. Uczą się rozmaitych sekwencji dźwięków, by za ich pomocą konkurować o Nielotne samice. Władcy Elfirii swego czasu wykorzystywali je, by przekazywać sobie wiadomości, ale szeptańce wszczynały bójkę po drodze i zbyt wiele ginęło, by miało to większy sens.

- Czyli... – Rozejrzałem się bezradnie. – Czyli poleciał sobie.
- Poleciał.

Kamień spadł mi z serca. Podniosłem się z trudem i na sztywnych nogach zszedłem na dół. Moi przyjaciele, którzy już szemrali między sobą, znieruchomieli i spojrzeli na mnie z pełnym wahania niepokojem, a ja nachyliłem się i uniosłem jeden z kamieni wydłubanych ze ściany przez Gramma. Myśli w mojej głowie pograżyły się w obłąkańczej gonitwie. Wążąc kamień w dłoni, obróciłem się ku reszcie.

- Kociołek. – Uργο odkaszlnął z przestachem. – Odlóż to może, co?
- Co? – zamrugąłem. – Nie, ja wcale... Dobra, nieważne. Gramm, ile ci to zajęło?

– Chwilę – burknął krasnolud, przyglądając mi się badawczo. – Zaprawa zmurszała, wystarczyło podważyć, by sam wyleciał.

- Czyli przy gruncie będzie jeszcze łatwiej? – upewniłem się.
- Tak, a... – Gramm się zawahał. – A o co ci chodzi?
- Poczekaj, niech no myśli pozbieram... Zwierzak! – Spojrzałem na goblina, który wyjrzał zza szerokich pleców rycerza. – Dałbyś radę zakraść się na bagna, tak by nie zaalarmować faunów?

– Nooo... No pewnie. – Tym razem to Zwierzak spojrział na mnie jak na półgłówka. – Przecież to bagna. A... A po co?

- Złapałbyś dla mnie Chechłaka?

Zawsze uważałem gobliny za najbardziej praktyczne plemię ze wszystkich zamieszkujących Dolinę. Gdybym zadał to pytanie komukolwiek innemu, usłyszałbym dziesiątki pytań w stylu: a po co ci to? Czemu akurat Chechłak? Co ci znów strzeliło do głowy? Zwierzak tymczasem przechylił lekko głowę i spytał:

- W co?
- Może być garnek po bigosie?
- Może.
- Świetnie.

Wciągnąłem głęboko powietrze w płuca, drząc na całym ciele. W oczach moich towarzyszy malowała się teraz skrajna konsternacja.

– Jak zaraz powiesz, że później nam wszystko wytłumaczysz – wyrzekł powoli Gramm – to ci pizgnę.

- Ja też – dodał Żychłoń, który wystawił łysy łeb z dziury w podłodze.
- Wyjaśnię wam to teraz – rzuciłem. – Ale przy robocie. Tak się składa, że znam się trochę na murarce, pomogę więc Grammowi. Wy też się przydacie, tylko najpierw przygotujcie wierzchowce do drogi. Zwierzak, uwiniesz się w pół godziny?

– Uwinę się! – zapewnił goblin, szczerząc się radośnie na samą myśl o taplaniu się w błocie.

– Czyli zaraz... – zaczął niepewnie Uργο. – Wynosimy się stąd?

– Wynosimy się – potwierdziłem i obdarzyłem rycerza wariackim uśmiechem.

– I to w wielkim stylu. Chyba nie uwierzyłeś, że się poddałem i wracam do domu, co?

15

Zwierzak, ociekający wodą i cuchnący błotem, ale szczęśliwy jak rzadko, powrócił, gdy fauny rozpoczęły kolejny wściekły koncert. Wrzeszczały aż do zachrypnięcia i skakały, aż ziemia drżała, a nasze wierzchowce znów się zaczęły niepokoić. Nabrałem obaw, że szykują się do kolejnego natarcia na wieżę, ale Eliah, który czuwał z łukiem przy oknie na piętrze, zameldował, że w lesie wciąż nie widać żadnych ruchów. Mimo to zwiększyliśmy tempo prac, z czasem dołączyli też do nas Urgo i Żychłóń.

Zaprawa była naprawdę zmurszała i nie trzeba była wielkiej siły, by wyciągać kolejne kamienie. Obawiałem się, że wieża może nam się zwalić na głowy, na szczęście Gramm mądrze wybrał miejsce – od góry i po bokach konstrukcję wzmocniały drewniane belki, stare i poczerniałe, ale o wiele mocniejsze od roboty murarskiej. Zlani potem, wyciągaliśmy kamień za kamieniem i odkładaliśmy je na rosnący stos, aż dziura, którą wydrążyliśmy, była na tyle wielka, że mógł się przez nią przecisnąć nawet roślina ogier Urgo.

– Partacka robota – mruknął Gramm po raz setny i wciągnął w płuca bagienne powietrze. – No dobra... Ruszamy?

– Chyba tak – szepnąłem. – Zwierzak?

Goblin zdmuchnął małą latarenkę, przy której pracowaliśmy, i w stajni zapadły niemalże całkowite ciemności. Skośne ślepiec Zwierzaka jarzyły się w niej niezdrową, drapieżną żółcią.

– Jasna cholera, nic nie widzę – jęknął Urgo. – Kompletnie nic.

– Dlatego właśnie powiązaliśmy się wszyscy linami! – syknąłem, próbując zamaskować własne zwątpienie. – Zwierzak, przestań na mnie łytać. Jesteś pewien, że... no, że znajdziesz drogę?

– Ehe! – mruknął goblin.

W ciemnościach widziałem jakieś gwałtowniejsze ruchy, dzięki czemu wiedziałem, że sam również obwiązuje się liną. Potem charknął po swojemu i wybiegł z wieży przez naszą wyrwę, a ja poczułem szarpnięcie.

– No dalej! – syknął Zwierzak w ciemnościach. – Za mną!

Znów widziałem tylko jego ślepią, zmrużone i złowieszcze, i na chwilę zrobiło mi się zimno.

– Ruszamy – szepnąłem.

I ruszyliśmy.

Zasłonięci masywem wieży przed wzrokiem szalejących w lesie faunów, jeden po drugim wychodziliśmy przez wyrwę, prowadząc nasze dzielne wierzchowce, i zagłębialiśmy się w nieznanym nam świat.

Zawsze mi się wydawało, że bagno to miejsce hałaśliwe i pełne życia, gdzie co rusz do lotu wzbija się jakiś ptak, szeleści sitowie i pluska woda. Nigdy jednak nie byłem na bagnach nocą, a tym bardziej w środku jesieni. Wystarczyło kilka kroków, byśmy znaleźli się w krainie całkowicie dla nas obcej, zimnej i mokrej, ale przede wszystkim koszmarnie ciemnej. Niemalże z tęsknotą obejrzałem się, by spojrzeć na wieżę – przez niewielkie okienka sączył się ciepły blask, co rusz przyćmiewany przez miotające się po izbie i udające nas Chechłaki – ale prowadzący nas Zwierzak znów szarpnął za linę, więc chcąc nie chcąc, podążyłem za nim.

Fortel się udał. Zdołaliśmy opuścić wieżę i z każdą chwilą znajdowaliśmy się coraz dalej od zagrożenia. Liczyłem, że fauny w końcu zmęczą się zamieszaniem i postanowią udać się na spoczynek, by do ewentualnego szturmu przystąpić nad ranem, kiedy my będziemy już naprawdę daleko. Nie miałem pojęcia, czy zdołają ruszyć za nami w pościg po bagnach, ale już wiedziałem, że znalezienie nas będzie trudne, jeśli nie niemożliwe.

Bo gdybym nie znał Zwierzaka jak zły szeląg, doszedłbym już pewnie do wniosku, że pieprzony goblin postanowił nas pozabijać.

Ścieżka, którą nas prowadził, byłaby zapewne ledwie dostrzegalna nawet za dnia, a teraz, w samym środku bezksiężycowej nocy, pozostawała kompletnie niewidoczna. Od czasu do czasu czułem, jak ziemia lekko ugina się pod moimi butami, na co serce podchodziło mi do gardła. Bywało, że szliśmy przez kałuże sięgające nam po kostki, bywało, że przedzieraliśmy się przez jakieś krzewy lub rozgarnialiśmy suche, drapiące gałęzie. Co rusz owiewały nas cuchnące wyziewy, często rozlegały się też niepokojąco głośne pluśnięcia, których przyczyn wolałem nie dociekać. Parokrotnie serce mi zamarło, gdy tuż przy nas rozdarł się jakiś ptak.

Moje ciało, rozgrzane ciężką pracą przy powiększaniu wyrwy, już dawno zdążyło ostygnąć i teraz, choć pozostawałem w ruchu, dygotałem z zimna. Noc

stawiała się coraz zimniejsza, a wokół naszych ust gromadziły się już obłoczki pary. Zaciskałem zgrabiące dłonie na linie, nie próbując sobie nawet wyobrazić, co by było, gdyby coś ją przecięło.

Nasze wierzchowce szły cierpliwie, co rusz z cicha prychnając. Zbliżyłem się do swego konia, by ogrzać się przy jego wielkim cielsku, na co ten, jakby rozumiejąc moją udrękę, trącił mnie lekko łbem. Gramm przeklinał pod nosem, Żychłóń pokasływał, a Urgo chyba się modlił. Eliaha nie słyszałem i miałem jedynie nadzieję, że nie postanowił swoim zwyczajem ruszyć własnym tempem.

Zwierzaka też nie słyszałem, ale lina od czasu do czasu napinała się w dziwny sposób, jakby... Cóż, jakby podskakiwał.

I raz czy drugi wydawało mi się, że podśpiewuje, ale tu musiałem się pomylić.

Robiło się coraz chłodniej, jakby zima obrała sobie dokładnie tę chwilę, by podjąć walkę o prymat z jesienią. Raz czy drugi usłyszałem ciche chrupnięcia pod stopami, jakby kałuże tu i wódzie zaczynały już zamarzać. Nie było wiatru, ale chłód, który ciągnął od przemoczonych butów i nogawek, rozlewał się po całym ciele i nagle, mimo bliskości konia, zorientowałem się, że szczękam zębami.

Mieliśmy wiele powodów, by się cieszyć. Wszak umknęliśmy faunom, wyprowadziliśmy w pole Złe i nadal kontynuowaliśmy misję, a poczucie, że ktoś mnie obserwuje, zniknęło z chwilą, gdy odleciał szeptaniec. Mimo to znużenie i zimno zaczynały przejmować nade mną kontrolę. Czułem, że wnet skończy się to nieciekawie.

Spojrzałem za siebie – dostrzegłem jedynie Gramma, i to bardzo niewyraźnie, ale miałem wrażenie, że niezłomny krasnolud pochyla nisko głowę.

– Zwierzak – szepnąłem, próbując powstrzymać szczekanie zębami. – Hej, goblinie zatracony!

Zatrzymał się tak nagle, że niemal na niego wpadłem.

– Zwierzak, daleko jeszcze? – szepnąłem. – Długo już nie pociągniemy.

Skośne oczy Zwierzaka zniknęły parokrotnie, co było dobrym znakiem. Goblin zawsze mrugał, gdy się nad czymś zastanawiał.

– Tam! – szepnął, rozejrzawszy się, a potem znów poczułem szarpnięcie za linę.

Wkrótce ziemia pod moimi stopami zrobiła się twardsza, a wokół siebie wyczułem gęste zarośla. Goblin, z tego, co mogłem dostrzec, odplątał od siebie linę i zawiązał ją wokół jakiegoś karłowatego, kolczastego drzewka.

– To wyspa! – szepnął, znów mrugając. – Wysepka. Mała, sucha i wspaniała. Wspaniała wysepka.

Podskoczył i chyba klasnął.

– Rozpalimy ogień – dodał, już z nożem w ręku. Usłyszałem chrzęst ścinanych gałązek. – Prześpimy się. Rankiem ruszamy dalej!

– Tu jest... – wymamrotał Gramm. – Tu jest tak jak w twojej ojczyźnie, Zwierzak?

– Gdzie tam! – odpowiedział rozradowany goblin. – Na Skri’i jest o wiele fajniej!

*

Nocne niebo zaczynało niemrawo szarzeć. Stęknąwszy, dorzuciłem nieco kolczastych gałązek do ognia, który natychmiast je pożarł. Zwierzak tłumaczył nam w nocy, że na bagnach ognisko nie przyciąga niczyjej uwagi – utrzymywał, że przypadkowy obserwator weźmie je za chechłaka, bagiennego ognika lub płonące gazy, a poza tym osłaniały nas zarośla – ale naprawdę nie chciałem ryzykować. Nie po tym, jak pokonaliśmy taki szmat drogi.

Żychłóń spał tuż przy ogniu, zawinięty w kilka koców. Twarz miał poszarzałą, a jego zmarszczki wydawały się o wiele głębsze i ciemniejsze niż jeszcze poprzedniego wieczoru. Przyszło mi do głowy, że przecież jest już wiekowym mężczyzną i w minionych dekadach doświadczył licznych niewygód, cierpiąc chłód i głód. Powinien teraz odpoczywać po trudach życia i cieszyć się ciepłem rodzinnym, a nie włóczyć po bezludnych, lodowatych bagnach.

Obok spał równie strudzony Gramm z brodą brudną od błota, a obok niego Zwierzak, uśmiechnięty nawet we śnie. Między nimi zaś wyciągnął się Eliah, który na tę noc na szczęście zapomniał o swej niechęci do towarzystwa. Niewielki ogienek to posykiwał, to trzaskał cichutko, a bagna zamilkły. Nie słyszałem już dzikich krzyków ani bulgotu wody. Zamarły wszelkie myśli, uśmierzone znużeniem. Patrzyłem w płomienie i bezwiednie wyciągnąłem dłonie i stopy, by je ogrzać.

Gdzie ja trafiłem? – zadałem sobie pytanie. I co tu właściwie robię? Zaraza, ja naprawdę jestem przecież karczmarzem. Gospodarzem. Garnkotłukiem. Tęsknię za żoną i dziećmi. Tęsknię jak cholera.

Zadygotałem. Zacisnąłem powieki, by powstrzymać łzy, a potem gwałtownie uniosłem głowę. Nie chciałem, by ktokolwiek stał się świadkiem mojej chwili słabości.

Urgo, który wraz ze mną pełnił wartę, oczywiście udał, że niczego nie widzi.

– Niebawem ruszamy – powiedziałem ochryplym szeptem. – Nie chcesz się przespać?

Rycerz oderwał wzrok od zarośli, którym przyglądał się z udawanym zainteresowaniem, i wzruszył ramionami, aż zachrzęściły naramienniki.

– Chyba nie – mruknął. – Trochę już spałem, ale... Za dużo myśli – bąknął. – Za dużo emocji.

Wpatrywałem się w jego surowe oblicze. Było zbyt ciemno, żebym mógł mieć pewność, ale odniosłem wrażenie, że w jego krótkiej brodzie dostrzegam nitki siwizny. Cóż, nic dziwnego, że się zadręczał. Uργο był dobrodusznym, prostolinijnym człowiekiem, który całe życie służył Doli i pomagał tym, o których zapomniiała, przez co wszelkie dylematy stanowiły dla niego trudną przeszkodę. Podczas wyprawy do Głodnej Puszczy nieustannie walczył z różnymi rozterkami. Najpierw zmuszony był wybrać między wiarą a drużyną, później zaś musiał zdecydować, czy przywódca religijny w istocie przemawia głosem Doli. A teraz...

– Myślisz o bracie? – spytałem wprost.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Szanowałem tajemnice moich przyjaciół i nigdy nie wypytywałem ich o przeszłość, wychodząc z założenia, że jeśli będą chcieli mi coś opowiedzieć, zrobią to tak czy owak. Wciąż nie miałem, dla przykładu, bladego pojęcia, kim wcześniej był Zwierzak i w zasadzie dlaczego dołączył do naszej kompanii. Teraz jednak złamałem tę zasadę, do czego być może popchnęło mnie poczucie osamotnienia, a być może świadomość, że Uργο jest jedynym członkiem drużyny, który ma rodzinę i darzy ją uczuciami. Niewykluczone, że zachęciła mnie też pora – nie od dziś wiedziałem, że bladym świtem człowiek staje się najwrażliwszy i najbardziej skłonny do podejmowania wyzwań.

Bąłem się, że Uργο nie odpowie. Milczał bowiem długo, wpatrzony w płomień, a na jego obliczu malowała się głęboka zaduma.

– Ja i Orgo jesteśmy niemalże bliźniakami – powiedział w końcu. – Przyszedłem na świat niecały rok po nim, ale nie jesteśmy do siebie zbyt podobni z wyglądu. Ludzie ponoć często nas ze sobą porównywali i być może to zadecydowało, że od najwcześniejszych lat podzieliła nas wielka nienawiść.

Umilkł, jakby zmęczony wyznaniem, a ja wpatrywałem się w niego w oszołomieniu. Słowo „nienawiść” było ostatnim, które spodziewałbym się od niego usłyszeć.

– Byliśmy równie silni, równie zręczni i tak samo głośni – podjął. – A walczyliśmy dosłownie o wszystko. O ostatnie jabłko w koszu, o dodatkową łyżkę miodu w owsiance, o całusa matki i chwilę uwagi ojca. Niewiele potrzebowaliśmy, by wszcząć awanturę lub rzucić się na siebie z pięściami, a w miarę jak stawaliśmy się coraz starsi, nasze starcia przybierały na sile. Orgo był ode mnie sprytniejszy i nie było tygodnia, żeby nie zrobił mi jakiegoś złośliwego dowcipu. A to nawrzucał mi zaskrońców pod kołdrę, a to napchał mi buty końskim łajnem, a to znów przywiązał mnie w nocy do łóżka i obsikał mi twarz.

Pokręcił głową z mieszaniną dezaprobaty i niedowierzania. Milczałem, nie chcąc go spłoszyć swoim komentarzem.

– Pomysły mu się nie kończyły, a ja reagowałem na nie z coraz większą furią. Kiedyś obiliśmy go tak mocno, że przez tydzień nie podniósł się z łóżka. Podczas wyścigów konnych zrzuciłem go w krzewy róży, a raz podczas kąpieli przetrzymałem mu głowę pod wodą, tak że nieomal go utopiłem. Rodzice próbowali nas pogodzić. Tłumaczyli, że nasza wrogość nie ma sensu, bo bracia powinni wspierać zarówno siebie nawzajem, jak i rodzinę, ale nie słuchaliśmy. Matka traciła wiarę i płakała całymi dniami, a ojca trafiał szlag i bił nas do krwi. Widzieliśmy ich udrękę, ale tłumaczyliśmy ją sobie na opak. Każdy z nas uważał, że to ten drugi jest jej przyczyną, więc nasze starcia tylko przybierały na sile. Próbowaliśmy się nawzajem zniszczyć z zaciekłością godną znacznie lepszej sprawy i wnet nie było dnia bez bójk czy awantury. Nie było rozmowy bez wyzwisk.

Znów przez jakiś czas wpatrywał się w płomienie.

– Nawet nie zauważyłem, kiedy przestali nas odwiedzać krewni. Nie zwróciłem uwagi, że co chwilę ucieka ktoś ze służących. Nie widziałem, że matka marnieje coraz bardziej. Nieszczęsna kobieta usychała z rozpacz i tęsknoty za normalnością, aż pewnego dnia po prostu umarła. To tylko podsyciło naszą wzajemną nienawiść, bo każdy z nas uważał, że odeszła przez tego drugiego. Po jej śmierci ojcu przestało zależeć na czymkolwiek. Spędzał sporo czasu na dworze króla Rotgiera, a potem księcia Ruperta, gdy z kolei wracał do naszego dworku, pił i nie trzeźwiał aż do wyjazdu. W dniu swej śmierci zaś... – Urgo urwał, a jego ciałem wstrząsnął dreszcz. – W dniu swej śmierci nas przeklął.

Zamilkł. Zrobiło mi się dziwnie zimno, dorzuciłem więc kilka gałązek do ognia, a płomienie buchnęły wyżej i opromieniły zasepioną twarz pogrążonego we wspomnieniach rycerza.

– Nigdy nie zapomnę jego wybałuszonych, przekrwionych oczu, gdy zdobył się na ten ostatni akt gniewu – podjął. – Nigdy też nie zapomnę jego słów. Wychrypiał: „Przez całe życie walczyliście ze sobą, by zagarnąć wszystko. Teraz przeklinam was! Przeklinam was mocą swą ojcowską! Od tej pory aż po kres waszych dni każdy z was mieć będzie jedynie połowę życia!”. Po czym umarł.

Ciarki przeszły mi po plecach. Słyszałem niejedną opowieść o mocy przedśmiertnych klątw, a wyraz twarzy Urgo pozwalał sądzić, że ta się spełniła.

– A wiesz, co jest najdziwniejsze, Edmund? – Rycerz spojrział na mnie ze smutkiem. – Otóż w chwili, gdy ojciec umarł, odeszła również nienawiść, która dzieliła mnie i Orgo. Rozsypała się w proch, jakby była jedynie kaprysem Doli, obmyślonym po to, by zadręczyć naszych rodziców. Staliśmy i wpatrywaliśmy

się to w ciało ojca, to w siebie nawzajem, wciąż zbyt sobie obcy, by paść sobie w ramiona i błagać o wybaczenie, ale na tyle bliscy, by poczuć wspólną rozpacz i pustkę. Nie zdołaliśmy już wtedy porozmawiać, a kilka dni później osiodłałem konia i wyjechałem. Nie chciałem patrzeć, jak sprawdza się ojcowska klątwa.

– A sprawdziła się? – spytałem niepewnie.

Rycerz pokiwał głową.

– Oczywiście, że tak. Każdy z nas otrzymał pół życia. Dokładnie tę połowę, która pozostała niedostępna dla tego drugiego. Orgo założył co prawda rodzinę i doczekał się syna, ale nie doświadczył miłości. Zdobył poważanie władcy i wielki majątek, nie zaznał jednak sławy rycerskiej. Stracił wiarę, nigdy nie poznał, czym jest przyjaźń, nie umie docenić szacunku prostego człowieka. A ja... – Zbroja zgrzytnęła, gdy Urgo rozłożył ramiona. – Spójrz na mnie. Nie mam domu, a mój jedyny majątek to ta przerdzewiała zbroja, miecz i koń. Zaznałem miłości, ale została mi odebrana, przez co nie mam rodziny ani dzieci. Nie służę żadnemu władcy poza Dolą, mam za to przyjaciół i... Cóż, nikt mi nigdy nie zarzuci, że uchybiłem w czymś honorowi rycerskiemu.

W jego smutnych oczach błysnęła zadziorność i mimowolnie się uśmiechnąłem.

– I tak to chyba właśnie się potoczy dalej – ciągnął, kiwając głową. – Dzięki naszej braterskiej klątwie Orgo pisana będzie długa, męcząca śmierć ze starości, a ja...

Nie chciałem tego słuchać. By zmienić temat, z desperacją uchwyciłem się tego, co rycerz powiedział wcześniej, i wyszeptąłem gorączkowo:

– Nikt ci nie zarzuci, że uchybiłeś w czymś honorowi, Urgo! A jeśli to zrobi, będzie miał ze mną do czynienia!

– To wiele dla mnie znaczy – odparł z powagą, a ja wiedziałem, że rzeczywiście tak jest.

Siedzieliśmy jeszcze przez jakiś czas w milczeniu. Robiło się coraz widniej i dało się już dostrzec sine pasma mgły snujące się nad zmarzniętymi kępami krzaków.

– Jeśli zaś chodzi o tę klątwę – podjąłem ostrożnie – to coś mi mówi, że lepiej wyszedłeś na niej od brata.

– Możliwe – przytaknął rycerz. – Ale gdy widzę, jakim wzrokiem Orgo spogląda na Korneliusza, ogarnia mnie smutek, że sam tego nigdy nie doświadczę. Poza tym ta klątwa...

Urwał, zupełnie jakby nie chciał zdradzić za dużo. Jakby pragnął mnie ostrzec, że klątwa nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa. We mnie zaś wezbrała nagła ochota, by go zapewnić, że mój dom jest jednocześnie jego domem, a moja rodzina nie wyobraża sobie świata bez wujka Urgo, ale przerwał mi Żychłóń.

Guślarz podniósł się nagle, oparł na łokciu i rozkaszał, a potem przetarł nos i wymamrotał:

– Niech mnie szlag, jeśli to nie była najgorsza noc w moim życiu.

Inni też zaczęli się podnosić, klnąc i rozcierając dłonie, co oznaczało, że magiczna chwila szczerości dobiegła końca. Uśmiechnąłem się więc do Urgo, by dodać mu otuchy, i rozpocząłem poranną krzątanię.

*

Na śniadanie mieliśmy tylko garść podpłomyków, które zabraliśmy z dworku myśliwskiego Ruperta, nieco zimnej szynki z jelenia podarowanej nam przez dwór Leśnego Króla oraz garść suszonych owoców, jeszcze z Gryfa. Zwierzak zaklinał, że woda z okolicznych bagien po przegotowaniu nadaje się do picia, a więc zaparzyłem nieco ziół dla wzmocnienia. Szczególnie zależało mi, by wypić je przemarznięty na wskroś Żychłoń. Guślarz prychnął i się oburzał na przejawy tej mojej troski, ale ziółka wychłptał ochoczo i zaraz zaczęły mu wracać kolory. Znalazło się też trochę piwa, które zagrzaliśmy nad ogniem, nakarmiliśmy konie resztką owsa, Gramm wyciągnął manierkę z czymś paskudnie mocnym i wnet byliśmy gotowi do drogi.

Na wszelki wypadek znów powiązaliśmy zarówno siebie, jak i konie liną Eliaha, a potem Zwierzak poprowadził nas przez bagna w kierunku zachodniego krańca Gór Modrych. Do wschodu słońca wciąż brakowało mniej więcej godziny, ale robiło się widno, dzięki czemu mogłem dostrzec majaczące w oddali szczyty osnute pasmami mgły. Wpatrywałem się w nie ze zdumieniem. Nie miałem pojęcia, że udało nam się pokonać aż taki szmat drogi.

– Za godzinę będziemy na miejscu – oświadczył zadowolony z siebie Zwierzak i okrasił swe słowa kilkoma przytupnięciami, po czym zerknął na nas. – Moglibyście... No, zdjąć te liny. Przecież was nie potopię.

– Dobra, dobra – mruknął Żychłoń i na wszelki wypadek sprawdził szarpnięciem opasującą go pętlę. Następnie przetarł rękawem zaczerwieniony nos.

– Nie chodzi o to, że ci nie ufamy, Zwierzak – zaczął Gramm, ale przerwałem mu syknieniem.

– Nie gadajcie tyle – zrugąłem przyjaciół. – Dziwnie się tu głos niesie.

– Chcesz powiedzieć, że ten cały szeptaniec znowu gdzieś tu jest? – odezwał się Urgo.

Nie miałem już poczucia, że ktoś mnie obserwuje, odkąd stworzenie odleciało do agenta Złego, któremu służyło, ale należało się liczyć z tym, że szeptaniec powróci, a wtedy... Cóż, nie miałem pojęcia, co się wtedy wydarzy.

– Nie – rzuciłem cicho. – Ale zachowajmy ostrożność, proszę was. Złe jest podstępne i lada chwila zrozumie, że zostało wyprowadzone w pole.

Zwierzak pokiwał głową i ruszył naprzód, prowadząc naszą niewielką karawanę prosto w zasnułe mgłami, zamarzniete topieliska. Ja zaś raz jeszcze spojrzałem tam, gdzie znajdował się niewidoczny już Złamany Róg, i uśmiechnąłem się do siebie ze złośliwą satysfakcją.

Bo naprawdę zagrałem Złemu na nosie.

Tego, że towarzyszące mi osobliwe wrażenie przypuszczalnie oznacza obecność szpiega, domyślałem się jeszcze przed spotkaniem Leśnego Króla, a po wysłuchaniu jego opowieści zrozumiałem, iż żadną miarą nie mogę pozwolić, by wrogowie poznali nasze sekrety. Postanowiłem więc przekazać moim towarzyszom prawdę niepełną, w nadziei, że szpieg opuści nas, by przekazać rewelacje mocodawcom.

Przez chwilę byłem niemalże przekonany, że Złe nie dało się oszukać. Agent tropiący dusze przypuszczalnie pochwycił przynętę i wyruszył przez bagna do Złamanego Rogu, by tam podjąć poszukiwania, ale zostawił swego przeklętego szeptanica, by ten nadal nas śledził. Musiałem więc wspiąć się na wyżyny aktorstwa i przekonać przyjaciół, że upadł we mnie duch walki, by ten się oddalił z nowym raportem. Dopiero gdy ukradkiem wydostaliśmy się z wieży i ruszyliśmy w drogę przez bagna, szeptem opowiedziałem reszcie o podstępie.

W Złamanym Rogu król Rotgier w istocie szkolił zbrojnych, ale dusze chował gdzieś indziej. Bo przecież co by było, gdyby któryś z poborowych zajrzał nie tam, gdzie powinien? Skrzynia spoczywała więc w zapomnianej jaskini na skraju Gór Modrych.

Tak więc udało mi się oszukać Złe, ale nie wiedziałem, na jak długo. Musiałem się wszak liczyć z tym, że szeptaniec wrócił do wieży, zauważył naszą nieobecność i być może już nas szuka po bagnach. Pokonaliśmy szmat drogi, a mgły skrywały naszą obecność, ale bywało, że Dola odwracała się od wędrowca w najmniej spodziewanym momencie.

Pogrążony w rozmyślaniach, o mało nie wpadłem na Zwierzaka, który zatrzymał się gwałtownie i gorączkowo wskazywał pobliską sadzawkę, ledwie widoczną wśród połaci zmarniałej trzciny oraz poskręcanych pni wierzb. Na ciemnej powierzchni unosiły się drobne fale.

W oczach goblina, gdy na mnie spojrzał, malowała się panika.

– Szybciej! – szepnął ledwie słyszalnie. – Wynośmy się stąd!

Nie chciałem nawet pytać, co go tak wzburzyło. Odwróciłem się do guślarza i wskazałem mu najpierw sadzawkę, a potem konie, on zaś, w lot pojawił się moje intencje, skinął głową, przetarł rękawem nos i zamknął oczy. Odruchowo położyłem dłoń na szyi mojego wierzchowca i poczułem, jak jego mięśnie się

rozluźniają. Spojrzałem na resztę, również lekko zaniepokojoną zachowaniem goblina, i przycisnąłem palec do ust.

Sadzawka okazała się o wiele większa, niż się z początku wydawało. Zachowując czujność, szliśmy powoli za zdenerwowanym goblinem. Nastrój Zwierzaka udzielił się wszystkim – ostrożnie stawialiśmy każdy krok, wymijając zamrożone kałuże, a ja raz po raz zerkałem na przytroczony do konia ekwipunek. Bardzo nie chciałem, by któryś z garnków spadł teraz na zamrożoną ziemię.

Napięcie nie opuszczało nas ani na chwilę, tym bardziej że powierzchnia sadzawki – a właściwie niewielkiego jeziora – nieustannie falowała, raz mocniej, raz słabiej, jakby bez ustanku przesuwał się pod nią jakiś ogromny kształt. Z ulgą uświadomiłem sobie, że brzeg zaczyna zakręcać, a my powoli oddalamy się od wody. Prowadzący nas Zwierzak odetchnął cichutko.

I wtedy Żychłóń donośnie kichnął.

Echo pomknęło w dal i znikło, osobiście zniekształcone przez mgłę. Serce mi zamarło. Ze zgrozą spojrzałem na Zwierzaka, który aż pożółkł z napięcia, potem na wciąż nieruchome jezioro, a na końcu na sparaliżowaną strachem resztę drużyny.

– Przepraszam – wymamrotał guślarz, ocierając zasmarkany nos. – Wydawało mi się, że... Że jakoś...

– O ja pieprzę – stęknął nagle Gramm i zacisnął dłoń na stylisku topora.

Natychmiast odgadłem, o co mu chodzi. Z ciemnej powierzchni jeziora wynurzało się coś, co mogłoby być parą ślepi, gdy nie to...

Że żadne ślepie nie są aż tak ogromne!

– W nogi! – sapnął ze zgrozą Zwierzak.

Uderzenie serca później poczułem szarpnięcie liny, którą obwiązał mnie w pasie, tak gwałtowne, że o mało nie upadłem. Pociągnąłem za sobą Gramma, który zatoczył się i wpadł na Zwierzakowego kuca. Któryś z koni zarżał, inny próbował się cofać, Urgo odwracał się, dobywając miecza...

Lina, przeszło mi przez myśl. Ta przeklęta lina nas zgubi...

Mocny powróż Eliaha, który jeszcze chwilę temu stanowił jedyną gwarancję bezpieczeństwa podczas wędrówki przez śmiertelnie groźną, rozmokłą krainę, nagle sprowadzał na nas zagrożenie życia. Nie mogliśmy się rozbiec ani uformować szyku, a do tego przeszkadzaliśmy sobie nawzajem każdym ruchem. Już otwierałem usta, by wydać rozkaz, gdy...

Gdy wydarzyło się coś, czego miałem już nigdy nie zapomnieć.

Czarna powierzchnia jeziora eksplodowała, obryzgując nas wodą. Odruchowo się cofnąłem, przetarłem oczy rękawem, potrząsnąłem głową raz i drugi, ale przerażający obraz wcale nie zniknął. Para monstrualnych szczypic

opadła na porastające brzeg jeziora sitowie, a za nią podążyło długie, pierścieniowate cielsko przemieszczające się na dziesiątkach drobnych odnóży. Nie zdołałem ocenić jego długości, bowiem wpatrywałem się w okolony wieńcem wąsów długi ryj, rozwierające się i zaciskające nierówne szczęki oraz parę ślepi na szypułkach, zaskakująco inteligentnych i bardzo, bardzo nami zainteresowanych.

– Topieluch! – rozdarł się Zwierzak i szarpnął za linę, jakby chciał sam jeden pociągnąć całą karawanę naprzód. – Topieeeluuuch!

Monstrum ruszyło ku nam, wznosząc gigantyczne szczypce, jakby chciało powbić nas nimi w ziemię. Rozległ się zgrzyt szczęk, po czym z ryjka wydobył się chrapliwy skowyt.

To mnie otrzeźwiło.

– Ciąć! – zawołałem. – Ciąć tę pieprzoną linę!

Eliah, który zamykał kolumnę, ocknął się w tej samej chwili co ja. Kątem oka wychwyciłem błysk sztyletu, gdy elf rozpoczął szaleńczy taniec. Przypadał do nas, ciął i chlastał, a kawałki liny spadały w zmarznięte błoto. Urgo wyciągnął miecz do końca, Gramm wyszarpnął topór i się odwrócił, ja również chwyciłem za broń.

– Nieee! – darł się Zwierzak. – Nieee! Nie pokonacie Topielucha! Nikt go nie pokona!

Jego krzyki chyba nie docierały do krasnoluda i rycerza, którzy stali na szeroko rozstawionych nogach i szykowali się do walki. Potwór zaś, wpatrzony w nich, wyraźnie przyspieszył, wznosząc wielkie szczypce.

Uratował ich Żychłóń.

Stary guślarz wykazał się refleksem, którego mogłem mu tylko pozazdrościć. Doskonale wiedział, że obu wojownikom zostało zaledwie kilka sekund życia. Uwolniony z więzów, przypadł więc do juków swego konia, wyszarpnął wszystkie runiczne deski i cisnął je prosto w kierunku topieluchowego ryja. Jedna czy dwie wpadły w błoto, ale większość znieruchomiła tuż przed potworem, który opuścił szczypce i uniósł nieco tułów, zadzierając ogon.

Nie miałem pojęcia, jakie właściwości mają wszystkie inskrypcje, które Żychłóń opracowywał pod okiem Człekoniam. Wiedziałem, że niektóre pozbawiają napastników równowagi, a inne odbierają im energię, ale wszystkie razem, w połączeniu z tymi, których nie znałem, wywołały całkowicie nieoczekiwany efekt. Topieluch zawahał się bowiem, uniósł odwłok jeszcze wyżej, a potem zasyczał głucho i zaczął tłuc szczypcami okoliczne zarośla, rozbryzgując kałużę.

Dokładnie tego było mi trzeba. Przypadłem do Gramma i Urgo, po czym ocuciłem ich gwałtownymi szarpnięciami.

– W nogi! – zawołałem obu do ucha. – Już!

Klepnąłem w plecy Żychłonia, który usiłował uspokoić przerażone wierzchowce, i złapałem własnego za uzdę.

– Spokój! – szepnąłem do wiernego końskiego ucha. – Spokój, już dobrze. Wujek Żychłoń przepędził paskudę.

– Mówiłem – wysapał wciąż wstrząśnięty goblin. – Mówiłem, żeby bez liny...

– Ruszaj – warknąłem. – I wyprowadź nas z tego blocka.

Pospiesznie oddaliliśmy się od topielucha, wciąż pogrążonego w szaleńczym płasie. Nasz cel znajdował się coraz bliżej.

*

Dola wreszcie się do nas uśmiechnęła, bo odnalezienie jaskini okazało się łatwiejsze, niż sądziłem. Wnet dotarliśmy do skraju bagien, wyznaczonego przez poszarpane skały, a gdy tylko znaleźliśmy się na suchszym i twardszym gruncie, ujrzałem wejście do groty na ścianie pobliskiego masywu. Kaprys natury uformował wiodącą ku niemu krętą ścieżkę, a przy niej kilka zacisznych, osłoniętych przez skałki załomów, gdzie mogliśmy zostawić wierzchowce.

Odwróciłem się ku zasnutym mgłami bagnom, skąd raz na jakiś czas dobiegał jeszcze smętny, ochrypły ryk Topielucha. Nie widziałem ani naszej wieży, ani tym bardziej Złamanego Rogu. Nie widziałem nikogo ani niczego.

A zatem chyba się udało. Nie wiedziałem jeszcze, jak stąd wrócimy, ale pierwsza część naszej misji zakończyła się powodzeniem.

Wyczuwałem wokół siebie atmosferę ostrożnego uniesienia. Nikt nic nie mówił, mogłem jednak dostrzec, jak moi przyjaciele zerkają z zaintrygowaniem to na wejście do jaskini, to znów na mnie. Wyjątkiem był Zwierzak, który stał zasłuchany w ryki topielucha, coraz bardziej przypominające żalosne stęknienia. W ślepiach goblina dostrzegłem coś, co byłbym gotów wziąć za niedowierzanie, ale nie miałem teraz czasu tego roztrząsać.

– Świetnie sobie poradziłeś na tych bagnach – mruknąłem, klepiąc go w ramię.

Goblin drgnął, jakby właśnie budził się z głębokiego snu. Spojrzał na mnie i zamrugał parokrotnie.

– Jesteśmy na miejscu? – zainteresował się.

– Chyba tak.

– Czyli niebawem wracamy do domu? – spytał cicho.

– Tak, Zwierzak – szepnąłem. – Niedługo wracamy do domu.

Zacisnąłem mu dłoń na ramieniu i ruszyliśmy pod górę kamienistą ścieżką. Dołączył do nas Urgo z obnażonym mieczem i tarczą na ramieniu, Eliah ze strzałą na cięciwie, Gramm z zawadiacką miną i toporem w garści oraz Żychłoń z ulubioną lagą, co rusz ocierający zasmarkany nos. Żaden z nas nie odzywał się

ani słowem, a jedynym towarzyszącym nam odgłosem był zgrzyt kamyków pod naszymi stopami.

Byliśmy zmęczeni, zziębnięci i ubłoceni, a do tego powoli zaczynał dokuczać nam głód, nie miało to jednak większego znaczenia. Wymknęliśmy się faunom, pokrzyżowaliśmy plany Złemu, uciekliśmy przed Topieluchem i przebyliśmy paskudne bagno, by wreszcie odnaleźć miejsce ukrycia legendarnego skarbu, pożądanego przez wszystkich walczących o prymat w Dolinie.

Wejście do jaskini znajdowało się coraz bliżej, ciemne, ponure, ale osobliwie zapraszające. Bezwiednie przyspieszyłem kroku.

– Poczekaj! – zawołał Urgo. – Wejdziemy tam razem.

– Słusznie gada – mruknął Gramm. – Jeszcze nie słyszałem o wygodnej, suchej jaskini, która nie znalazłaby sobie lokatora.

– Słusznie, słusznie. – Gdzieś przed nami rozległ się niespodziewanie drżący, starczy głos, a zaraz potem spomiędzy skał wyszedł sędziwy, przygarbiony mężczyzna z postrzępioną siwą brodą.

Miał na sobie brudną szatę, a na nią narzucił mocno wyliniały kożuszek, spod którego wyłaniał się wielki srebrny medalion w kształcie kręgu. Starzec wsparł się na lasce i wbił w nas spojrzenie mętnych, choć wciąż bystrych oczu, ledwie widocznych spod wielkiej czapy.

– Nie masz pojęcia, mości krasnoludzie, ilu się trafia chętnych do zamieszkania w tej norze – oświadczył. – Niektórych to wręcz lagą trzeba przeganiać.

– Mam nadzieję, że nas gonić nie będziesz – powiedziałem niepewnie, wpatrzony w medalion.

Jego rozmiar wskazywał, że oto stoi przed nami Głosiciel, jeden z najwyższych rangą kapłanów Doli, co w innej sytuacji zapewne obudziłoby we mnie znaczną nieufność. Mieliśmy już do czynienia z pewnym Głosicielem, po czym moja niechęć do świątynnych autorytetów jedynie wzrosła, niemniej teraz znaleźliśmy się w miejscu, w którym dążenie do jakiegokolwiek konfliktu byłoby co najmniej bezcelowe. Kim był ten mężczyzna?

– Nie, nie będę – przyznał staruszek. – Nie chce mi się. Od Leśnego Króla przybywacie?

– W zasadzie to od księcia Ruperta... – zacząłem, ale leciwy kapłan zachichotał i machnął wychudzoną, żyłastą dłonią.

– Głupot, młody, nie gadaj. Rupert to skończony dureń. Wiele by chciał, ale o tym miejscu nie ma pojęcia. Mógł was przysłać tylko Leśny Król, a więc nie wiem, po co sobie język strzępimy. – Jego mętne oczy nagle rozbłysły. – Macie coś dobrego do żarcia, na przykład sera? Albo warzyw jakichś? Na samą myśl o rybach robi mi się niedobrze.

– Przyznać się – odwróciłem się do reszty. – Zostało coś komuś?

Gramm chował kilka pasków dziczyzny, Zwierzak trochę sera, a Eliah podpłomyk. Zostało też parę łyków piwa, co sprawiło staremu ogromną radość. Staliśmy i przyglądaliśmy się, jak zajada, mlaskając i się oblizując, a mnie po głowie chodziło jakieś niewyraźne wspomnienie. Pogorzałek wspomniał kiedyś pewne imię, które...

– Vitalis! – powiedziałem nagle. – Pierwszy nad Głosicielami!

Starowina dopił piwo, otarł usta i beknął.

– Już pewnie nie – bąknął i zachichotał. – W końcu minęło trzydzieści lat! Te barany z pewnością już dawno wybrały kogoś na moje miejsce.

– Pierwszy nad Głosicielami? – spytał zaintrygowany Urgo, patrząc to na mnie, to na staruszka.

– Jeden z trzech zwycięzców bitwy pod Chremięgą – odezwał się krasnolud, wpatrzony w starca. – Jednym z nich był wasz król Rotgier. Drugim mój ojciec Trisk, wysłany przez króla Eriga Wiecznego. Trzecim byłeś ty. To wy zadbałicie, by dusze trolli zniknęły na zawsze, a ludzie zaczęli je uważać za bajki.

– Proszę, proszę. – Vitalis pokiwał głową. – A więc nie tylko sprawni fizycznie, ale i przygotowani merytorycznie. To mi się podoba. Warto było czekać.

– Czekać – powtórzyłem bezwiednie.

– Zaledwie trzydzieści lat. – Kapłan wzruszył ramionami. – Pomyśl tylko, człowieku. Trzydzieści lat z dala od polityki świątynnej, intryg, pielgrzymek i nudnych ceremonii! Tylko to żarcie... Ech.

Odwrócił się i przeszedł kilka kroków w górę jaskini, wspierając się na lasce. Zatrzymał się i obrócił ku nam głowę.

– To co? Będziecie tak stać czy może jednak interesuje was ta przeklęta skrzynia?

*

Optymizm, z jakim Pierwszy nad Głosicielami wypowiadał się na temat swojej doli, z oczywistych przyczyn wydał mi się podejrzany, a moje zastrzeżenia potwierdziły się, gdy weszliśmy do jaskini. Panował tam nieprzyjemny, wilgotny chłód, z którym stary kapłan zapewne walczył niestrudzenie. Świadczyło o tym ognisko, które tliło się nieprzerwanie, leżące wszędzie sterty chrustu oraz grube koce zawieszane w zwężeniach między skałami, zapewne po to, by zatrzymać zimno napływające z zewnątrz. Mimo palącego się ognia w grocie panował półmrok i dopiero po chwili dostrzegłem kilka starych garnków oraz niewielki

kufier, który zawierał zapewne cały dobytek starego kapłana, a dalej stertę pledów, przypuszczalnie stanowiących posłanie. Funkcję krzesel i stołu pełniły różnych rozmiarów głązy. W życiu nie widziałem izby uboższej i żałośniejszej, a już na pewno nie spodziewałbym się, że właśnie tutaj znajdę największy skarb Doliny.

Pochyliłem głowę, by nie zawadzić o stalaktyt, i rozejrzałem się bezradnie.

– Gdzie jest ta skrzynia? – spytałem.

– Tam gdzieś. – Vitalis machnął ręką. – Za tym wiadrem. Wyżej, za ziołami, barani łbie.

Moje oczy powoli dostosowywały się do ciemności i dostrzegałem coraz więcej szczegółów. W istocie, nad niewielkim cebrem przy końcu komory znajdowała się skalna półeczka, którą wypełniały pęki suszonych ziół. Podeszedłem bliżej, wymijając inne, ociekające wilgocią skalne wypustki, aż stanąłem przed półką. Powoli, ostrożnie rozsunałem szeleszczące zioła, wdychając ich ostre zapachy, i wtedy ją ujrzałem.

Płomienie buchnęły żywiej, a ich blask odbił się od mosiężnych okuć masywnej skrzyni ukrytej w głębi komory. Serce zabiło mi mocniej, gdy uświadomiłem sobie, że nasze poszukiwania naprawdę dobiegły końca.

Oto miałem przed sobą kuferek zawierający dusze trolli poległych pod Chremięgą. Potęgę, która mogłaby zapewnić zdecydowaną przewagę w każdej wojnie.

Przed kufierkiem leżał drobny kamyk, chropowaty niczym węgielek, ale lśniący jak obsydian.

Widziałem już podobny, który w formie wisiora ozdobił szyję Aiany, władczyni trolli z Głodnej Puszczy. Od razu odgadłem, że mam przed sobą duszę, mimo to wyciągnąłem dłoń i jej dotknąłem. W pierwszej chwili niczego nie wyczułem, gdy jednak ująłem kamyk w dwa palce i go potarłem, odniosłem wrażenie, że coś w nim wibruje, coś uspiętego i ledwie wyczuwalnego, ale jednocześnie bardzo potężnego.

W jaskini panowała niemalże absolutna cisza, mącona jedynie cichym trzaskiem ogniska i wzmocnionym przez echo kapaniem wody. Potem załopotał opuszczany koc i zaszurały kroki moich przyjaciół. Skrzypnęła skórzana kurta, brzęknęła stal, stuknął obcas. Ktoś westchnął, ktoś mruknął coś cicho, ktoś pociągnął nosem.

Powoli odłożyłem duszę na miejsce.

– Mamy to – powiedziałem, choć w moim głosie nie było ani śladu entuzjazmu.

– Nie słyszę, byś wrzeszczał z radości – odezwał się cicho stojący za mną kapłan. Odwróciłem się i ujrzałem jego śmiertelnie poważne oblicze. Wpatrywał

się we mnie intensywnie, jakby próbował dotrzeć do najgłębszych zakamarków mojej duszy. – A więc Leśny Król słusznie postąpił, powierzając ci ich sekret.

– Nie wiem, czy postąpił słusznie – odparłem cicho. – Ale wiem o nich wszystko. Znam ich tajemnicę.

– I co teraz poczniesz? – spytał kapłan.

Zawahałem się. Cóż, miałem kilka pomysłów, ale żaden nie wydawał mi się idealny. Odwróciłem się ku przyjaciółom, równie poważnym jak sam Vitalis.

– Musimy się wspólnie naradzić – stwierdziłem. – To zbyt ważna decyzja, żeby...

Elijah nagle drgnął, a po nim Zwierzak. Obaj odwrócili się w stronę wyjścia z jaskini.

– Coś się dzieje – mruknął elf, a po chwili i ja usłyszałem głośnie rżenie koni.

– Za mną – rzuciłem, dobywając miecza.

*

Zmianę zauważyłem natychmiast po opuszczeniu grotty. Powietrze wydawało się gęstsze, jakby skupiło się w nim nienazwane jeszcze napięcie. Wokół unosiły się pasma mgły, a przez szare chmury przebijała blada kula zimnego słońca. Nasze konie rżały z niepokojem wśród skał, zasłonięte mglistym całunem.

Odruchowo uformowaliśmy półkrąg, najeżony ostrzami i grotami.

– Rozejrzę się – szepnął Zwierzak.

– Nie – mruknąłem. – Pogubimy się w tej ćmie. Trzymamy się razem.

Ruszyliśmy naprzód, a mgła złośliwie wypaczała echo naszych kroków. Nie uszliśmy zresztą daleko, gdy gdzieś za naszymi plecami rozległo się głuchoe brzdęknięcie. Takie, które towarzyszy upadkowi deski.

Odwróciliśmy się jak jeden. Gdzieś w połowie drogi między nami a wejściem do grotty, w którym stał teraz sędziwy kapłan, leżała właśnie deska. Była ubłocona i lekko wgięta, jakby ktoś nadepnął ją z całej siły, ale poznałem ją od razu. Nie ma przecież na świecie wielu desek pokrytych rytami Żychłonia.

Spojrzałem na pobladłego guślarza, który pojął właśnie to samo co ja.

– Złe – szepnął Gramm i wciągnął powietrze w płuca. – Dopadli nas.

Urgo, spowity swą poświatą, uśmiechnął się złowieszczo. Elijah i Zwierzak mierzyli z łuków w górne partie masywu jaskini, ale tam również unosiły się już pasma mgły, przez co trudno było wypatrzeć jakiegokolwiek szczegóły.

– Nie widzę was – odezwał się głos, który mógł należeć zarówno do kobiety, jak i do mężczyzny, a zdawał się dobiegać jednocześnie zewsząd i pulsował dziwnym echem. – Wiem, że gdzieś tu jesteście, czuję zapachy, słyszę was, ale

nie widzę. Wygląda na to, że twój nadworny guślarz ma niezłą smykałkę do glifangu. Stajesz się interesujący, Kociołek.

Od dawna dopuszczałem do siebie świadomość, że Złe już o mnie wie, ale w chwili, gdy usłyszałem własny przydomek z ust któregoś z jego sługusów, przeszła mnie zimna zgroza.

– Z początku wydawało mi się, że uganianie się za tobą jest poniżej mojej godności – ciągnął głos. – Inni wszak zajmowali się książętami czy kapłanami... Myśl, że mam się uganiać za zwykłym karczmarzem, wydawała mi się upokarzająca, ale...

Echo przyniosło śmiech okrutnej satysfakcji.

– Ale okazało się, że możesz doprowadzić mnie do skrzyni pełnej dusz! Brawo, Kociołek. Świetna robota!

– Pokaż się! – ryknął Gramm, potrząsając toporem. – Pokaż się, a rozłupię ci ten zalany jadem mózg na pół!

Odpowiedzią znów był śmiech.

– Nie, nie. A w każdym razie nie od razu. Niewykluczone, że któryś z was dostąpi tego szczytu i będzie mógł mi się przyjrzeć, ale nie obiecuję. Mam do was bowiem żal o ów nieczny podstęp, który zmusił mnie do przetrząśnięcia tamtego ciasnego, wilgotnego zameczku. Posiedzę więc sobie i poczekam, aż zginiecie.

W tej samej chwili konie zaczęły rozpaczliwie rżeć i tłuc kopytami o skalne podłoże, a z dołu dobiegło znajome, chrapliwe rżenie Topielucha. Krew w moich żyłach zamieniła się w lód i przez obezwładniająco długą chwilę miałem w głowie zupełną pustkę.

Wahałem się niestety chwilę za długo.

– Cofnijcie się – powiedział spokojnym, ale donośnym i przekonującym głosem Urgo. – Weźcie skrzynię i oddajcie się pod opiekę ojca Vitalisa. Z całą pewnością zna ścieżki, którymi was stąd wyprowadzi, a jego wiara i moce Żychłonia osłonią was przed tym plugastwem.

Rycerz uniósł tarczę i ruszył swobodnym krokiem przed siebie, nie oglądając się na boki. Otaczająca go aura zdawała się wyraźniejsza niż kiedykolwiek wcześniej, a mnie nagle przypomniało się zdanie, które usłyszałem zaledwie kilka godzin temu.

„Dzięki naszej braterskiej klątwie Orgo pisana będzie długa, męcząca śmierć ze starości, a ja...”

– A ty co? – wyszeptalem z narastającym przerażeniem.

– Urgo – wychrypiął Gramm, który chyba również wyczuł, co się święci. – Ty przestań lepiej strugać bohatera, co? Idę z tobą!

– Nie! – zawołał spanikowany Zwierzak. – To Topieluch! On was pozabija!

Elijah prychnął niczym dzikie zwierzę, któremu ktoś nagle narzucił pęta, i zrobił krok naprzód, próbując nadążyć za rycerzem, ale ten niespodziewanie odwrócił się ku nam i huknął:

– Ani kroku dalej!

Jego głos drżał z emocji, ale jednocześnie tętnił osobliwą energią. Złocista aura spotężniała.

– Nie ma mowy! – dodał ciszej, ale równie mocno. – Róbcie, co wam kazałem. Zabierzcie stąd Kociołka. Zabierzcie ojca Vitalisa. Zabierzcie też te przekłete dusze oraz... pamięć o mnie.

Z tymi słowami odwrócił się i ruszył w dół, ku niewidocznemu jeszcze, rzeźącemu potworowi, my zaś, sparaliżowani mocą rycerskiego wybuchu, mogliśmy tylko stać i patrzeć. Znikający za skałami Urgo wydawał mi się wyższy i potężniejszy niż kiedykolwiek wcześniej, a jego stara, potłuczona i przerdzewiała zbroja lśniła czystym złotem. Tak wyglądali bohaterowie pogodzeni z własnym przeznaczeniem. Tak wyglądali ci, którzy ruszali do ostatecznego boju.

– Nie – szepnąłem ledwie słyszalnie. – Nie.

Odkaszlnąłem.

– Elijah, potrzeba będzie liny – wychrypiałem. – Najmocniejszej, jaką masz.

Elf spojrział na mnie, jednocześnie przerażony i zaintrygowany.

– Nie będziemy próbować łapać Topielucha na łąso! – rzuciłem przez ramię, biegnąc już w stronę jaskini. – Będziesz musiał pochwycić coś znacznie groźniejszego!

Odepchnąłem zaskoczonego Vitalisa, wpadłem do środka, odgarnąłem wiszące w przejściu koce, zrzuciłem na ziemię pęki ziół i zacisnąłem dłoń na pojedynczej duszy trolla.

A potem wpakowałem ją sobie do ust i przełknąłem.

16

W ciągu swojego długiego życia król Rotgier dokonał w zasadzie jedynie dwóch czynów, dzięki którym został zapamiętany przez potomnych. Pierwszym było zainspirowane przez kapłanów Doli zakazanie magii i wszczęcie prześladowań czarowników oraz czarownic, co pozwalało sądzić, że nie należał do ludzi twardych i zdecydowanych. Jako drugi wymienić należało zwycięstwo nad Vahanem Biczyskiem w bitwie pod Chremięgą, co trochę go rehabilitowało, ale znawcy dziejów zawsze wspominali, że bez pomocy krasnoludów nie dałby sobie z trollami rady. Został więc zapamiętany jako słaby polityk i przeciętny wódz, co w zasadzie zakrawało na ironię losu.

W sekrecie przed swymi kronikarzami Rotgier podjął bowiem pewną niezwykle ważną i bardzo szlachetną decyzję, która być może zadecydowała o przyszłości Doliny, a która siłą rzeczy musiała pozostać pilnie strzeżoną tajemnicą. Wkrótce po tym, jak zdobył ogromną liczbę dusz trolli i uwierzył, że dzięki temu jego wojska nagle osiągnęły zdecydowaną przewagę nad każdym przeciwnikiem, przekonał się, że legenda, wedle której dusze trolli dają wielką moc, kryje w sobie drugie dno.

Nie wiem, jak się o tym przekonał; Leśny Król, który opowiedział mi tę historię, również nie miał pojęcia. Przypuszczałem jednak, że do odkrycia doszło niedługo po bitwie, jeszcze przed rozstaniem sojuszników, bo przecież Rotgier zdążył uzgodnić wspólny front z dowódcą krasnoludów. A odkrycie brzmiało następująco: moc, którą przekazuje dusza trolla, jest dla człowieka zbyt potężna i choć ludzkie ciało jakoś zdoła ją pomieścić, ludzki umysł już nie da sobie z tym rady.

Trolle różniły się od nas pod każdym względem. Były silniejsze, szybsze, wytrzymalsze, ale też dziksze i zajadlejsze, a dusze zawierały skondensowaną esencję wszystkich tych cech. Człowiek, będący w porównaniu z trollem istotą

kruchą, nie był więc gotów na przyjęcie tak potężnej dawki obcego pierwiastka. Zdaniem Leśnego Króla ci, którzy przełkali dusze trolli, w istocie stawali się nadludzko silni i wytrzymali, tracili za to umysł. Nie potrafili zapanować nad swą dzikością, przez co stawali się równie niebezpieczni dla wrogów, jak i dla sojuszników. Szał wywołany spożyciem duszy trwał zaś bardzo, bardzo długo.

Zwycięzcy spod Chremięgi uznali więc dusze trolli za żywioł zbyt niebezpieczny, by ktokolwiek mógł z niego korzystać. Król Rotgier, któremu niewątpliwie doradzał Vitalis, doszedł do wniosku, że po tak groźną broń jak nic sięgnie kiedyś jakiś szaleniec albo zainteresuje się nią Złe, toteż w porozumieniu z krasnoludami postanowił ją ukryć, a Pierwszy nad Głosicielami użył wszystkich swoich wpływów, by przekonać Dolinę, że opowieść o duszach trolli to bujda.

To dlatego nie wykorzystano ich podczas bitwy ze Złym pod Wyrzyskiem. Dlatego nie sięgano po nie podczas Waśni czy walk z Godfrydem, królem Topierzysk. I dlatego ja również nie powinienem po nie sięgać.

Ale zrobiłbym to nawet, gdybym miał więcej czasu do namysłu. Bo przecież głupi Urgo ruszył po śmierć, a ja nie mogłem pozwolić, by zginął.

Czerwona mgła przesłoniła mi świat zaskakująco szybko. Pamiętałem tylko nabrzmiewający we mnie wrzask szaleństwa, głośniejszy od wszystkiego, co w życiu słyszałem. Zapamiętałem jeszcze tylko wiszące w przejściu koce, a potem samego Urgo, którego pochwyliłem za ramię i z furią posłałem na skały.

Oraz to, że nadciągający ścieżką Topieluch wcale nie wydał mi się już taki wielki.

*

Przez czerwoną pustkę przebijał się ból, coraz wyraźniejszy i bardziej natarczywy. Potrząsnąłem głową i chciałem poruszyć ręką, ale uświadomiłem sobie, że napieram na więzy, które boleśnie wrzynają mi się w nadgarstki i tors. Szarpnąłem za nie raz i drugi, jednocześnie rozchylając powieki.

Nie rozumiałem tego, co widzę. Przedemną leżało coś, co porównać można było tylko do gigantycznych szczypiec, a dalej spoczywało wielkie cielsko, pozornie nieruchome, ale od czasu do czasu wstrząsane niewytłumaczalnymi spazmami. Niektóre z drobnych odnóży wyrastających wzdłuż tułowia poruszały się niemrawo, inne zwisały martwo, podobnie jak jedno ślepię na szypułce. Drugiego nie widziałem.

Próbowałem zrozumieć, na co patrzę, ale widok jedynie rozbudził we mnie zapal do walki. Przeciwno komukolwiek.

Naparłem na przekłete więzy i zacząłem krzyczeć. Wołałem, by ktoś przyszedł i mnie wyzwolił, bym mógł na powrót ulec żądzy krwi, ale nikt nie nadchodził. Darłem się i błagałem, szarpałem się ile sił, ale liny trzymały mocno i tylko raniłem sobie nadgarstki.

Wtem dostrzegłem kogoś, kogo rozpoznałem. Szedł ku mnie z gracją właściwą znakomitym wojownikom i przekładał właśnie łuk z ręki do ręki. Tak, wojownik. Prawdziwy wojownik. Z kimś takim byłem gotów zewrzeć szyki. Na kogoś takiego czekałem. Ba, powoli przypominałem sobie jego imię.

Wykrzyczałem je z radością.

Obcy stanął przy mnie. Szarpnąłem się ku niemu, by go objąć i kazać mu przeciąć więzy, on jednak tkwił nieruchomo, aż zrozumiałem, że patrzy nie na mnie, tylko na pęta. Krzyczałem więc tym głośniej, tym gniewniej. Błagałem, by mnie uwolnił, by pozwolił mi znów chwycić za broń, ale on stał jedynie i przyglądał mi się pustym wzrokiem, aż w końcu uniósł rękę.

Następnie zacisnął pięść i grzmotnął mnie w głowę.

*

Czerwona pustka znów ustąpiła.

W samą porę, bym ujrzał jakiegoś postawnego mężczyznę w zbroi, który czekał w gotowości do walki, kręcąc młyńca mieczem. Natychmiast rozgorzała we mnie radość – doskonale rozumiałem, na co patrzę, i ze wszystkich sił zaprzagnąłem zrobić to samo. Zacząłem krzyczeć, by mnie uwolnił, ale ten poprzestał jedynie na oszczędnym spojrzeniu przez ramię. Ani myślał spełnić moje życzenie.

Rozgorzał we mnie straszliwy gniew, tym bardziej że cholerne więzy nadal mocno trzymały. Nie dbałem o to, że przecierają mi nadgarstki do żywego mięsa, szamotałem się, miotałem i wyłem, lecz na próżno. Gdzieś dalej ujrzałem innego wojownika, niskiego i krępego brodacza z toporem, a dalej jakiegoś mikrusa z włócznią i wykrzywioną gębą, który ani na chwilę nie przestawał krzyczeć. Zirykowało mnie to, bo to ja miałem tu problem. To mi przysługiwało prawo, by wrzeszczeć i domagać się uwagi.

Darłem się więc, ale nikt mnie nie słuchał. Na wojownika stojącego tuż przede mną wyskoczył jakiś wąż, którego odrzucił tarczą i ciął mieczem, brodacza zawirował, uniknął jakiejś macki, a potem opuścił toporzysko, a mikrus z dzikim rykiem rzucił się naprzód i wbił w coś włócznię.

Krzyczałem, bo im zazdrościłem. Krzyczałem, bo też chciałem walczyć. Bo mój spowity czerwienią świat temu właśnie służył. Chciałem ciąć, rąbać, szarpać, niszczyć!

Ulżyło mi, gdy brodacz w końcu opuścił topór i ruszył ku mnie, ewidentnie po to, by przeciąć mi więzy i spełnić me pragnienie. O dziwo, kopnął mnie w bok, i to z taką siłą, że czerwień znów zalała wszystko wokół.

*

Karmazynowa poświata przeredziła się jeszcze parokrotnie, za każdym razem ukazując obrazy będące spełnieniem wszelkich moich marzeń. Widziałem na przykład tych trzech, jak osaczali i rąbali jakąś wielką ropuchę, która co rusz wyskakiwała i odbijała się od okolicznych ścian. Walka szła im niemrawo i wiedziałem, że bez mojej pomocy mogą nie dać sobie rady, ale więzy trzymały mocno. Ba, miałem wrażenie, że założono mi nowe. Obiecałem sobie w duchu, że dowiem się, kto to zrobił, i rozszarpię sukinsyna na strzępy.

Na razie zostało mi jedynie nawoływanie i prośby o pomoc. Oczywiście nikt mnie nie słyszał, krzychałem więc i krzychałem, aż opadłem z sił i znów dałem się ponieść pustce.

Tym razem bardziej brunatnej niż czerwonej.

*

Znów rozbudził mnie ból. Wracalem do rzeczywistości o wiele wolniej niż wcześniej, bo tym razem musiałem się przedzierać przez czerń gęstą jak smoła. Czerwień, która popychała mnie do działania, zniknęła bezpowrotnie, a z nią ochota, by walczyć.

Ból wydawał się silniejszy niż dotychczas. Piekły mnie odarte nadgarstki, bolał bok, pulsowała szczeka, płonęły dziesiątki skaleczeń, a jednocześnie moje mięśnie i ścięgna wydawały się całkiem pozbawione sił. Uświadomiłem sobie, że zwisam bezwładnie w pętach i łapczywie oddycham. Chciałem coś powiedzieć, ale gardło miałem wyschnięte na wiór.

Urgo, Gramm i Zwierzak stali kilka kroków przede mną, nieopodal zmasakrowanych zwłok Topielucha. Byli zdyszani i poturbowani, ale unosili wysoko broń, wpatrując się w mgłę kłębiącą się niżej, tam, gdzie skalna ścieżka łączyła się z bagnami, jakby czekali na to, co tym razem się z niej wyłoni.

Chrypiałem i rzeziłem, ale nikt nawet na mnie nie spojrział. Byłem przerażony, bo chciałem spytać, co się dzieje z Żychłoniem i Eliahem, a nie mogłem.

Ciemność zagarnęła mnie chwilę później, gęstsza niż wcześniej.

*

– Może pora by już spuścić Kociołka z łańcucha? – powiedział Gramm.

Z trudem otworzyłem oczy. Ciemność, która mnie otaczała, wydawała się mniej przytłaczająca, bardziej naturalna i chyba przyjaźniejsza, bo rozświetlały ją płomienie ogniska. Minęła dłuższa chwila, nim się zorientowałem, że przebywam w chłodnej jaskini. Leżałem na kocach, które przypuszczalnie należały do ojca Vitalisa, ale pewności nie miałem.

Ba, niczego nie byłem pewien. Jediną realną stałą w mojej rzeczywistości był bowiem ból, promieniający z wielu miejsc na ciele, a przede wszystkim z nadgarstków. Wyciągnąłem ręce spod koca, drżące i niemalże bezwładne, i spojrzałem na krępujące je więzy.

– Przetnij je – wychrypiałem ledwie słyszalnie.

– Mówisz? – Krasnolud udał, że się zastanawia. Był blady i miał potarganą, brudną brodę, a prawe oko niemalże nikło pod fioletową opuchlizną. Kucnął z wyraźnym trudem, trzymając się przy tym za udo, ale zaraz uśmiechnął się paskudnie. – Dobrze, Kociołek, robi się, ale najpierw zaliczysz pewien test. Ile palców widzisz? – Pokazywał mi to trzy, to cztery.

– Majster, nie denerwuj mnie.

– Dobrze, czyli nie chcesz współpracować? – Krasnolud zmarszczył brwi.

– Gramm, daj mu spokój – odezwał się Urgo. Siedział przy ogniu i z uwagą przyglądał się swojemu przedramieniu, na którym widniał rząd czerwonych kręgów, ewidentnie pozostawionych przez macki.

– A niby czemu? – zaperzył się Gramm. – A jak znowu zaczniesz na nas charczeć i pluć?

– Już nie zaczniesz.

Krasnolud odruchowo zacisnął usta, nienawykły do ustępowania bez kłótni, ale tylko pokręcił głową, najwyraźniej zbyt zmęczony na awanturę. A potem przeciął mi więzy.

– Ostrzegam. – Wycelował we mnie paluch. – Jedno warknięcie i zaraz zarobisz w łeb.

Usiadłem nie bez trudu i natychmiast zacisnąłem powieki, bo zakręciło mi się w głowie.

– Co... – wychrypiałem. – Co się stało?

Odpowiedziało mi milczenie.

– Wolisz wersję skróconą – spytał w końcu Gramm – czy mam położyć nacisk na szczegóły?

– Nie wiem. – Nadal bałem się otworzyć oczy. – Rozumiem, że jesteśmy w jaskini kapłana Vitalisa, ale... Ale nie ma tu ani jego, ani Zwierzaka, Eliaha i Żychłonia. Która wersja mi to wyjaśni?

– Skrócona – sapnął Gramm. – Zżarłeś duszę trolla i porąbałeś Topielucha na kawałki, ale troszkę ci odwaliło i trzeba było cię powiązać. Trójjaki Grzesznik,

który raczył objawić nam swoją wolę, ciut się wówczas wpienił i zaczął przyzywać inne paskudztwa z bagien, a myśmy je rąbali. Nie wiem, czym by to się skończyło, gdyby Żychłoń razem z Eliahem i dziadkiem Vitalisem nie postanowili znaleźć Grzesznika.

– I co? – wychrypiałem, gdy połączyłem zasłyszane fakty z tym, co sam widziałem.

– Paskudztwa przestały wyłazić. – Krasnolud wzruszył ramionami. – Więc pewnie im się udało.

– Wysłaliśmy Zwierzaka, żeby ich poszukał – dodał rycerz, który z ponurą miną oglądał teraz pogięty naramiennik.

– Wysłaliście Zwierzaka? – zakaszlałem. – A co... co, jeśli Żychłoń i reszta wpadli w jakieś tarapaty? Powinniście być tam z nimi, a nie wygrzewać się przy ognisku!

Krasnolud i rycerz wymienili spojrzenia. Byłem już przytomny na tyle, by zrozumieć, co się za tym kryło – zostali w jaskini nie dla własnej wygody, ale po to, by chronić mnie przede mną samym.

– Nie bardzo było cię jak zostawić – odezwał się Urgo z wahaniem.

– Mam związane ręce – odparłem. – I stopy chyba też.

– Rozszarpywałeś więzy. Albo przegryzałeś.

Nie mieściło mi się to w głowie.

– Wołałem... – Przypomniałem sobie niespodziewanie. – Wołałem, byście mnie uwolnili.

– Nic, co wydostało się z twoich ust od rana, nie było nawet zbliżone do wołania – rzekł głucho Gramm. – Ryczałeś, wyłeś, rzeziłeś, toczyłeś pianę z pyska. Jak szaleniec. – Wzdrygnął się i dodał, patrząc w ciemny kąt: – Myślałem, że już po tobie.

– Ja też – odezwał się rycerz. Widziałem jego twarz oraz pytanie w jego oczach: po co ci było to wszystko?

Odkaszlnąłem parokrotnie.

– Czyli... czyli to wszystko prawda? To prawda z tymi duszami trolli?

– Cóż, Kociołek. – Krasnolud z trudem usiadł na kamieniu i niecierpliwym ruchem przygładził brodę. – Pora chyba na wersję szczegółową.

I tak oto dowiedziałem się wszystkiego. Jak przypadłem do Topielucha i jednym ciosem odrąbałem mu parę szczypiec, a potem skakałem wokół niego z nadludzką wprost zręcznością, unikałem jego ciosów, a sam raniłem go i dźgałem, dopóki nie złamał mi się miecz. Jak skoczyłem na Urgo i wyrwałem mu jego broń, by dobić potwora. Jak rzuciłem się na Żychłonia, który usiłował mnie powstrzymać. Jak rozrywałem liny, które zarzucał na mnie Eliah. Jak

Gramm, bezskutecznie próbując mnie powstrzymać, złamał mi deskę na głowie. Jak o mały włos nie przegryzłem Zwierzakowi krtani.

Mogłem być wdzięczny Doli, że nie pamiętałem zupełnie nic, mimo to ogarnęła mnie groza przemieszana z koszmarnym wprost wstydem.

– Czy ty to w ogóle przemyślałeś? – spytał cicho Uργο.

Brzmiało to tak, jakby mi zarzucał, że przez moją nierozwagę życie całej drużyny znalazło się w niebezpieczeństwie. Ja jednak dobrze wiedziałem, że jego pytanie dotyczy czegoś innego.

– Nie przemyślałem, bo nie było na to czasu – powiedziałem spokojnie. – Bo trzeba było działać bez wahania. Myślisz – pochyliłem się ku niemu, choć niespodziewanie plecy zapłonęły mi wściekłym bólem – że gdybym miał chwilę do namysłu, postąpiłbym inaczej?

Uργο umknął spojrzeniem i przygryzł wargę.

– Zrobiłbym to samo choćby i sto razy, jeśli miałyby cię to uratować przed śmiercią – ciągnąłem. – Któż z nas jest tu głupcem, Uργο? Ten, który rzuca wszystko, by ratować przyjaciela, czy ten, który chce poświęcić własne życie w myśl jakiejś głupiej klątwy?

Uργο spurpurowiał.

– Ta klątwa wcale nie była głupia!

– Owszem – zgodziłem się z nim. – Jeśli dała ci do myślenia, w skutek czego pogodziłeś się z bratem, nie była głupia. Ba, być może twój ojciec, rzucając ją, podjął ostatnią desperacką próbę pogodzenia was. Jeśli tak, to swoją rolę już odegrała, Uργο, i nie pozwolę, byś dalej się kierował własnym dumnym przekonaniem. Jesteś mi potrzebny tu i teraz, chłopie. Nie chcę żyć w świecie, w którym zabrakłoby Uργο Rosomaka, ostatniego rycerza Doli, i nie dopuszczę, by taki świat kiedykolwiek zaistniał.

W blasku ognia oczy rycerza zamieniły się w dwie ciemne plamy, mimo to widziałem, że błysnęła w nich wilgoć. Uργο pochylił się nad płomieniami i nabrał tchu, jakby chciał coś powiedzieć, ale Gramm nie dał mu dojść do głosu.

– Dobra, chłopaki – mruknął, podnosząc się, i sięgnął po swój topór. – Trochę nie wiem, o czym gadacie, ale odłóżcie etap z buziakami na później. Ktoś idzie.

W tejże chwili usłyszałem głos, ni to męski, ni to kobiecy, który rozbrzmiewał dziwnym, niezrozumiałym echem.

– Skrzynia z duszami należy do mnie! Do mnie! – powtarzał i zanosił się charkotliwym śmiechem. – Nie pozwolę wam z nią odejść! Czeka was śmierć jak każdego, kto stanie nam na drodze!

Przeszył mnie lodowaty dreszcz. Ten sam głos przecież rozległ się na chwilę przed pojawieniem się Topielucha. A zatem Trójjoki Grzesznik znalazł się w jaskini Vitalisa...

Gorączkowo rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegokolwiek broni, choć wiedziałem, że i tak nie zdołam się podnieść, by zadać choć najslabszy cios. Gramm i Urgo z niedowierzaniem i zgrozą na twarzach trzymali broń w pogotowiu.

Czyjaś dłoń odsunęła wiszące w przejściu koce i ujrzałem twarz Trójjokiego Grzesznika.

Była ohydna. Patrzyłem na popielatą, niemalże fioletową skórę i ogromne oczodoły z brudnobiałymi ślepiami, na nieludzko drobny nos i sine wargi, częściowo tylko przysłaniające dwa rzędy nierównych, szpiczastych zębów. Na ostro zakończone uszy i ostro zakończony podbródek porośnięty meszkiem.

– Zginiecie! – wycharczał Trójjoki Grzesznik. – Wszyscy! W cierpieniach!

A potem jego głową szarpnęło, a ja ujrzałem kroplę ciemnoczerwonej krwi, która wyciekła z uciętej szyi.

Z... uciętej szyi?

– Nieźle, nie? – odezwał się ucieszony Żychłoń i raz jeszcze potrząsnął trzymaną za włosy głową. – Dacie wiarę? Odrąbałem ją z dobrą godzinę temu, a ciągle gada. Pomyślałem sobie, że wezmę i pokażę wszystkim, bo przecież...

– Weź już to, kurwa, wypieprz – stęknął ojciec Vitalis, siadając obok Urgo, który wsunął miecz do pochwy i głęboko odetchnął. – Uparł się diad, no.

Guślarz pomajtał odrąbanym łbem, a ten rozdziawił usta i wywalił długi język, a potem zarzęził i zacharczał.

– Chyba się zepsuł – bąknął Żychłoń.

Trzepnął łeb parokrotnie w policzek, ale nie uzyskał już żadnych dźwięków, wzruszył więc ramionami i wywalił go za jaskinię, a potem usiadł przy ognisku. Był blady ze zmęczenia i co rusz pocierał zaczerwieniony nos, ale wydawał się bardzo zadowolony z siebie. Zwierzak, który się rozsiadł obok niego, miał obwiązaną bandażem głowę i był podrapany na twarzy, a Eliah nosił bandaż na przedramieniu i się krzywił, gdy mocniej nabierał tchu, ale wiele wskazywało na to, że żaden z moich przyjaciół poważnie nie oberwał. Uznałem to za kolejny cud.

– A więc dorwaliście sukinsyna, który kierował tym wszystkim. – Pokręciłem głową, nie kryjąc podziwu.

– Żaden agent Złego nie skryje się długo przed mocą Doli! – oświadczył ojciec Vitalis.

– I nie obroni przed glifangiem – dodał z dumną miną Żychłoń, wycierając brudne od krwi dłonie o płaszcz.

– Strzała w bebechy też nie poprawiła mu nastroju – mruknął Eliah, trzymając się za bok.

– Sporo mnie ominęło – stwierdziłem z żalem.

– Gdzie tam – odrzekł rozpromieniony Gramm. – Miałeś, Kociołek, swoje pięć minut!

– Daj mu spokój – powiedział ostro Vitalis i spojrział na mnie przez płomienie. – To, co zrobiłeś, Kociołek, było głupie i ryzykowne, tym bardziej że dobrze wiedziałeś, czym grozi zjedzenie duszy. Teraz jednak wiesz lepiej niż ktokolwiek w Dolinie, jak straszliwa to broń i jak bardzo obosieczna. Myślę więc, że powinieneś wziąć tę przeklętą skrzynię.

Przez chwilę chyba chciał się dźwignąć, ale zrezygnował.

– Weź, Zwierzak, i podaj to cholerstwo – wymamrotał. – Kolana mnie bołą.

Goblin poderwał się ochoczo i podbiegł do skalnej półki, skąd z głośnym szuraniem wyciągnął skrzynkę. Patrzyłem, jak wraca, i ogarnęło mnie zdumienie, ale też radość z powodu tego, jak szybko i sprawnie Vitalis zaprzyjaźnił się z chłopakami.

– No otwórz – polecił Zwierzakowi, gdy ten postawił skrzynkę przed nami. – Tam masz taki cyngielek... W prawo go przestaw, a potem w górę. O właśnie.

Rozległo się metaliczne szczęknięcie i wieko odskoczyło. Po ścianie jaskini przemknął refleks światła odbitego od mosiężnych okuć. Wszyscy nachyliliśmy się z zaciekawieniem, ale zamiast setek migotliwych, czarnych okruchów ujrzeliśmy przewiązany taśmą rulon.

– A czego żeście się spodziewali? – prychnął Vitalis, przyglądając się nam z niedowierzaniem przemieszonym z wyższością. – Rotgier był skończonym osłem, ale nawet on zrozumiał, że to głupota trzymać setki dusz w jednym miejscu. Zwłaszcza że miał nie lada doradcę! –

Kapłan wypiął pierś i uśmiechnął się krzywo, a potem wyjął mapę i mi ją wręczył.

– Całość dusz została podzielona na cztery części, z których każdą dobrze ukryto – rzekł uroczyście. – A po tym, co dziś ujrzeliście i przeżyliście, rozumiecie chyba, że tak powinno pozostać.

Ująłem rulon i w zadumie uderzyłem nim lekko o wnętrze dłoni.

– Tak powinno pozostać – powtórzyłem. – Jedynym agentem Złego, który niemalże wytropił skrzynię, był ten, którego łeb tak bardzo spodobał się Żychłoniowi. Z jego słów wynika, że te bydlaki ostro ze sobą rywalizują, a więc jego odkrycie najprawdopodobniej zginęło wraz z nim. Nikt nie wie, gdzie szukać dusz. I nikt nie wie, że my wiemy.

– Chyba że jednak wie – mruknął Żychłoń.

– Otóż to. Bo Trójokich w Dolinie najwyraźniej nie brakuje. – Westchnąłem ciężko i rozwinąłem rulon.

Ujrzałem mapę Doliny, na której ktoś zaznaczył cztery krzyżyki. Przysunąłem pergamin do ognia.

– Spójrzcie – powiedziałem. – Pierwsza część trafiła do Gwiżdżących Gór, gdzieś niedaleko Paszczeki. Drugą ukryto na wschodnich rubieżach Wichrowin, trzecią na południu Sokolnika, a czwartą w Puszczy Świetlistej. Rety, jakie odległości...

– Że co? – burknął ze zdziwieniem Gramm, łypiąc na mnie zdrowym okiem.

Potarłem skronie, bo nagle rozbolała mnie głowa, a potem spojrzałem na krasnoluda.

– Czemu się dziwisz? Przecież trzeba sprawdzić, czy Złe się do nich nie dobrało! Poza tym... na Dole, przecież nigdy nic nie wiadomo. Może jednak na wszelki wypadek trzeba by się zaopatrzyć w kilka takich dusz, co?

– Kociołek, sam świata nie zbawisz – oświadczył krasnolud i rozsiadł się wygodniej. – Poza tym najwyższy czas, byś wrócił do Gryfa i zajął się domem. Powidła miałeś smażyć.

Zanim zdążyłem zaprotestować, odezwał się Urgo:

– Dość już przeżyłeś. Wracaj do domu. My się tym zajmiemy.

– Ale... – Patrzyłem na nich z oszołomieniem, w ich oczach widziałem jednak twarde zdecydowanie. Przez chwilę żywiłem podejrzenie, że być może dogadali się za moimi plecami, ale wnet zrozumiałem, że do głosu doszedł ów niezwykle instynkt stadny, właściwy jedynie tym, których łączy żelazna przyjaźń. Moi towarzysze patrzyli na mnie nieprzejednanym wzrokiem i skądś wiedzieli, co należy zrobić.

– Ja z przyjemnością wrócę na chwilę w rodzinne strony – mruknął Gramm. – Przyjrzę się przy okazji tamtejszym porządkom i nie omieszkam się wypowiedzieć w paru sprawach.

– Biorę Puszcze Świetlistą na siebie – rzekł elf.

– Ja ogarnę Wichrowiny – stwierdził Żychłoń. – Będę miał najbliżej do Gryfa.

– Ja zaś z chęcią przemierzę Sokolnik – oświadczył Urgo. – Może nawet uda mi się namówić na wyprawę brata?

Westchnąłem ciężko, jednocześnie rozczarowany, jak i ucieszony.

– Wszyscy macie wrócić na Noc Zstąpienia Doli – powiedziałem, udając surowość. – Bo przegapicie moją kaczkę w jabłkach!

– Nigdy! – zawołał Urgo z udawanym przerażeniem, a potem wszyscy wybuchnęliśmy serdecznym śmiechem. Pośród ogólnej wesołości pochwyciłem spojrzenie nieco wystraszonego goblina, a gdy ucichły śmiechy, powiedziałem:

– A my, Zwierzak, wracamy do Gryfa.

Goblin poderwał się, klasnął w dłonie i puścił się w dziki płas.

– Żychłoń gadał – odezwał się niepewnie Vitalis – że ponoć nieźle jadacie w owym Gryfie. Tak sobie pomyślałem... Skoro moja robota tutaj się zakończyła, nie znalazłaby się tam jakaś prebenda w okolicy?

*

Ukochana!

Piszę ten list z zamku księcia Ruperta, który ostatnio trochę mnie polubił i obiecał, że wyśle go do Gryfa z najszybszym posłańcem, jakiego znajdzie. Przyczyny sympatii książęcej wyjawię Ci osobiście, ale wiedz, że udało nam się wykonać dla niego pewną niezwykle ważną misję. Co prawda nie zrobiliśmy dokładnie tego, o co nas prosił, ale z iście książęcą wyrozumiałością przyjął przywiezione przez nas informacje i nawet, wyobraź sobie, niespecjalnie się targował.

Zostaniemy w Sokolniku jeszcze przez chwilę, bo ostatnio zjadłem coś nieświeżego i trochę mnie przeorało. Wyjedziemy jednakże szybko, bo książęca małżonka uparcie usiłuje się w nas dopatrzeć źródła wszelkiego zła. Jest w tym trochę mojej winy, bo powinienem ostrzec Zwierzaka, by nie pluł na książęce posadzki, i Gramma, by się powstrzymał od układania zbereźnych kupletów. Tego, że Żychłoń, któremu najwyraźniej wyczerpał się asortyment złośliwych sztuczek, postanowi podwędzić trochę srebrnej zastawy, zwyczajnie nie przewidziałem. Tego, że Urgo wyzwie na pojedynek niejakiego sir Valdana, natrzęsającego się z jego zbroi, również, ale pojedynki są ponoć elementem życia dworskiego i zwyczajnie nie rozumiem, co się tu księżnej może nie podobać. Przecież Urgo wielkiej krzywdy mu nie zrobił. Kości się pozrastają.

Z drugiej strony to chyba pierwsza sytuacja, w której Urgo wyzywa kogoś na pojedynek, nieprawdaż? Wyczuwam zły wpływ brata.

Najlepiej pobyt w Sokolniku zniósł Eliah, który po prostu go przespał, a następnego dnia rano pożegnał się z nami zdawkowo i wyruszył w drogę. I tu pojawia się najciekawsza informacja, kochanie. Zawczasu pragnę Cię ostrzec, by oszczędzić Ci ewentualnego stresu, że do Gryfa wrócę jedynie ze Zwierzakiem, który zresztą nie może się tej chwili doczekać. Eliah, Żychłoń, Gramm i Urgo rozjeżdżają się bowiem w cztery strony świata, by wykonać dla księcia Ruperta pewne zadania, związane zresztą z misją, którą dopiero co zakończyliśmy. Wszyscy obiecali, że wrócą do nas na Noc Zstąpienia Doli.

Zjawię się natomiast z pewnym sędziwym, acz żywotnym kapłanem, który wydaje mi się idealnym towarzyszem rozmów i modlitw dla Twojej matki. Czuje ulgę na myśl, że chociaż raz przywiozę dla niej jakiś prezent z podróży.

Liczę, że tęsknota zdążyła już wziąć u Ciebie górę nad innymi emocjami, bo przyznam Ci szczerze, że marzę już tylko o Twoich ustach. I o klopsikach z sosem grzybowym. Ale o ustach bardziej.

Kocham Cię,
Edmund

P.S. Będę w niedzielę.

P.P.S. Ten kapłan to chyba sporo potrafi zjeść. Zostało jeszcze coś gulaszu?

P.P.P.S. Kupiłem kilkanaście wędzonych węgorzy. Mam parę pomysłów na zimowe jedzonko!

EPILOG

Wyszedłem z drewnutni, trzymając naręczce szczap, i zamknąłem drzwi kopniakiem.

– Cicho bądź! – warknąłem na Paprocha, który od godziny ujadał, aż głowa pękała. Pies oczywiście mnie zignorował, postanowiłem więc wzmocnić wagę swych słów mocnym tupnięciem. Kundel odskoczył i powrócił do szczekania, a mnie kilka szczap upadło na ziemię.

– Tata! – zawołał Edvin, który wybiegł z za rogu karczmy. – Mama pyta, czy idziesz z tym drewnem, czy ma może zacząć palić zydłami!

– Powiedz mamie, że już idę – wymamrotałem i nachyliłem się po upuszczone drewnienka, przez co z rąk wysunęły mi się kolejne.

Minęła dłuższa chwila, nim przeklinając rozszczekanego psa, własną głupotę oraz niecierpliwość żony, pozbierałem wszystko i wyprostowałem się z głuchym stęknięciem. Nadciągał zmierzch i świat nabierał tajemniczych, niebieskawych odcieni. Światło w oknach migotało złościście, a w powietrzu tańczyły pierwsze płatki śniegu. Humor z jakiegoś powodu trochę mi się poprawił.

– Idę – powtórzyłem, choć głośnie trzaśnięcie drzwiami oznaczało, że mój synek już zniknął w środku.

– Kociołek! – zawołał nagle Zwierzak. – Kociołek! O ja pieprzę! Kociołek!

Idąc w stronę głównego wejścia, zadarłem głowę. W drodze powrotnej z Sokolnika Zwierzak poganiał nas tak bardzo, że doczekał się bury ze strony starego Vitalisa, a po dotarciu na miejsce zjadł coś naprędce i momentalnie wdrapał się na dach, gdzie z niewytłumaczalnych powodów zaczął spędzać większość czasu. Niewiele jadł, prawie z nikim nie rozmawiał i nawet z dziećmiakami, ku ich wyraźnemu rozczarowaniu, bawił się niechętnie. Teraz z zaskoczeniem skonstatowałem, że w jego głosie pobrzmiwa szczera radość.

Przyjrzałem się uważnie. Goblin skakał po dachu z pochodnią w ręku, którą wymachiwał, jakby dawał znaki komuś w oddali.

– Kociołek! Chodź tu! Chodź! – darł się. – Zobaczysz coś wspaniałego!

Poczucie obowiązku nakazało mi najpierw zanieść bierwiona do izby, ale zaraz potem wypadłem na zewnątrz i bezzwłocznie wspiąłem się na górę, gdzie było zimniej, niż sądziłem.

– O co ci chodzi? – wymamrotałem. – Co niby mam zobaczyć?

– Tam patrz! Tam! – Goblin wymachiwał pochodnią. – Widzisz?

I wtedy zobaczyłem.

Niespodziewanie przypomniało mi się, jak bardzo zaskoczyło mnie to, że Zwierzak przystał do naszej kompanii. Wszak w okolicach Gryfa jako żywo nie było żadnych goblinów, mimo to on zdecydował się tu zostać, rzekomo urzeczony pięknem okolicy, i nigdy jakoś o swojej decyzji z nikim nie rozmawiał.

Teraz wszystko się wyjaśniło.

– Powiedz mi – odezwałem się słabym głosem. – To... To...

Urwałem, wpatrzony w nadciągającą ciemną masę. Przybysze byli zbyt daleko, bym mógł mieć pewność, ale wydawało mi się, że ciągną wyładowane wozy. Wiatr przyniósł niewyraźne strzępy jakiejś piosenki, którą chyba już słyszałem w wydaniu Zwierzaka. Goblin zresztą zaśpiewał kilka wersów, oszalały z radości, ani na moment nie przestając machać pochodnią.

– To twoje plemię, tak? – wymamrotałem. – Powiedz mi, że się mylę...

– Tak! – huknął Zwierzak. – Tak! Calutkie! Tak się za nimi stęskniłem! To dla nich chciałem okraść ten bank! Dla nich! Żeby chaty im pobudować! Kocyki kupić! I w ogóle!

– Kocyki... I w ogóle... – Mrugałem w nadziei, że jednak ulegam halucynacjom.

– Calutkie – oświadczył Zwierzak. – Zamieszkają w okolicy i będą nas chronić. Czyż to nie cudowne?

Skrzynia pełna dusz

Copyright © by Marcin Mortka 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2022

Redakcja – Joanna Mika

Korekta – Magdalena Świerczek-Gryboś, Paulina Stoparek, Anna Strożek

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Ilustracja na okładce – Piotr Sokołowski

Mapy – Piotr Sokołowski

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2022

ISBN mobi: 9788382104479

ISBN epub: 9788382104486



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Dagmara Kolasa, Grzegorz

Krzymianowski, Natalia Patorska

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Agnieszka Jednaka

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Karolina Prewysz-Kwinto, Paulina Gawęda,

Piotr Jankowski, Barbara Chęcińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga, Mateusz Wesołowski

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski

Administracja: Klaudia Sater, Monika Kuzko, Małgorzata Pokrywka

finanse: Karolina Żak, Honorata Nicpoń

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziak

www.wsqn.pl

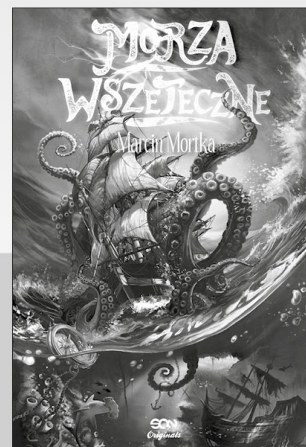
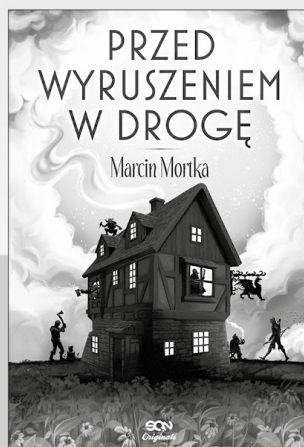
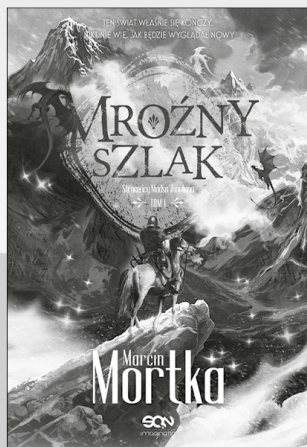
www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję, że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl